

ARTY KUROSZCZYŃSKI  
PORYWAJĄCA OPowieść  
O AMBICJI, LOJALNOŚCI  
I CIEMNEJ STRONIE  
LAT 20



# GLATZ

# KRAJ PANA

# BOGA

TOMASZ  
DUSZYŃSKI

Hrabstwo kłodzkie to urokliwa kraina, w której życie toczy się własnym, niespiesznym rytmem. Wydaje się, że po serii brutalnych morderstw, do których doszło wiosną 1920 roku, życie wróciło na stare tory i nic już nie zdoła zmać spokoju mieszkańców Kłodzka i okolic. Niestety nie jest im dane cieszyć się nim długo - wraz z odkryciem zbrodni sprzed lat powracają strach i chaos. Górę biorą ludzkie słabości i namiętności. Hrabstwo kłodzkie, nazywane krajem Pana Boga, ukazuje swoje drugie, dalekie od boskiego oblicze.

**GLATZ**

**KRAJ  
PANA BOGA**



Am Brucktorberg.

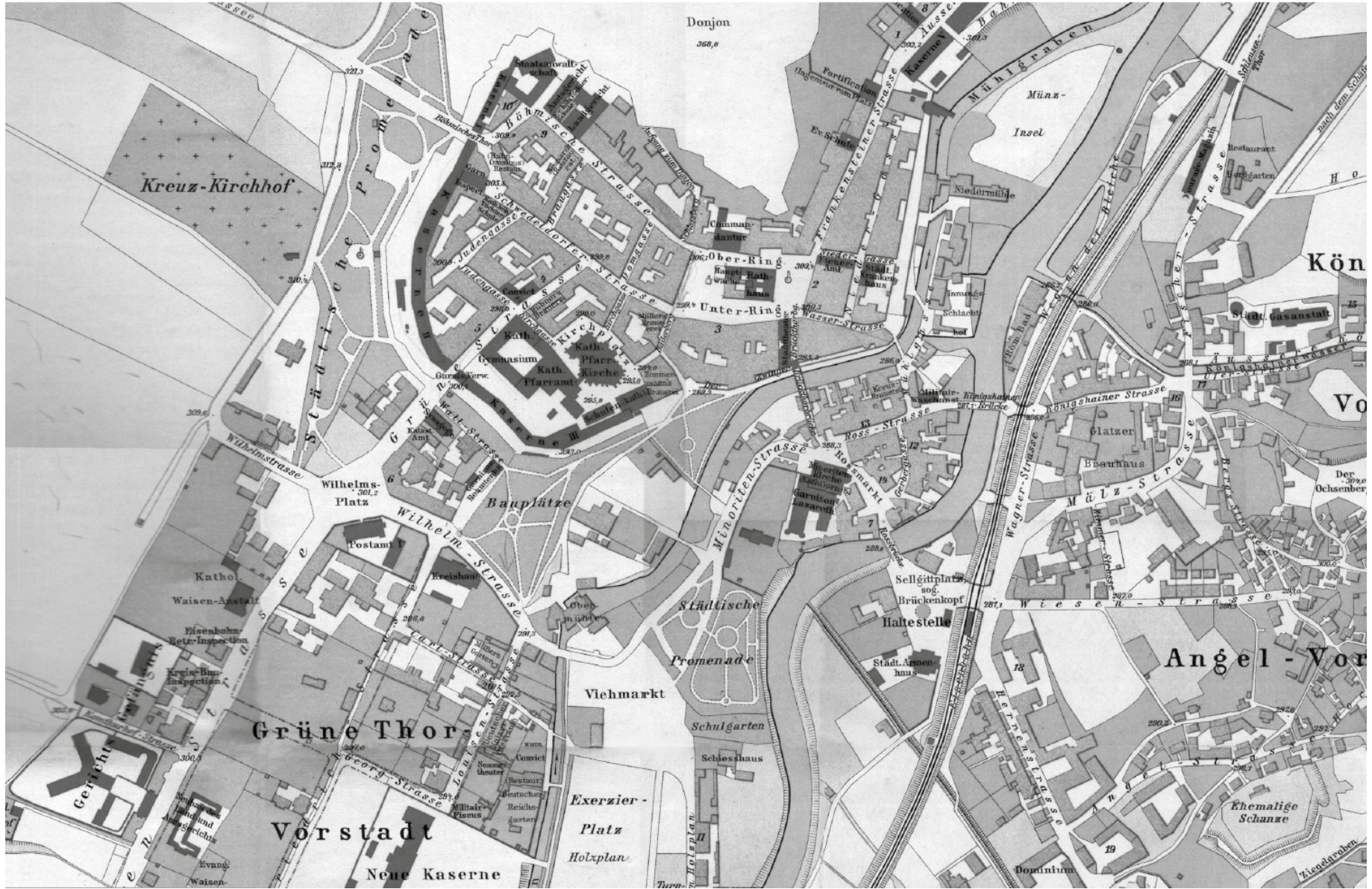
# **GLATZ**

## **KRAJ PANA BOGA**

**TOMASZ DUSZYŃSKI**

KRAKÓW 2020

*Blance, Monice, Rodzicom i miłośnikom Kłodzka*



Kreuz-Kirchhof

Donjon  
368,6

Kön

Vo

Grüne Thor

Vorstadt

Neue Kaserne

Viehmarkt

Exerzier-  
Platz

Holzplan

Angel-Vor

Ehemalige  
Schanze

Städtische Promenade

Wilhelms-  
Platz

Bauplätze

Wilhelm-Strasse

Städtische  
Promenade

Schulgarten

Schiessthaus

Sellgittplatz  
sog.  
Brückenkopf

Hafestelle

Städt. Ammen-  
haus

Dominium

Städtische Promenade

Wilhelms-  
Platz

Bauplätze

Wilhelm-Strasse

Städtische  
Promenade

Schulgarten

Schiessthaus

Sellgittplatz  
sog.  
Brückenkopf

Hafestelle

Städt. Ammen-  
haus

Dominium

Städtische Promenade

Wilhelms-  
Platz

Bauplätze

Wilhelm-Strasse

Städtische  
Promenade

Schulgarten

Schiessthaus

Sellgittplatz  
sog.  
Brückenkopf

Hafestelle

Städt. Ammen-  
haus

Dominium

## Spis ulic ulic i placów

**Nazwa historyczna    Nazwa współczesna**

**GLATZ    KŁODZKO**

Am Böhmischen Tor	ul. R. Traugutta
Am Frankensteiner Tor	ul. Nadrzeczna
Bahnhofstrasse	ul. Kolejowa
Baderberg	ul. Spadzista
Böhmische Strasse	ul. Czeska
Brücktorberg	ul. Wita Stwosza
Domgasse	ul. Tumska
Frankensteiner Strasse	ul. W. Łukasińskiego
Gartenstrasse	ul. Bohaterów Getta
Gerbergasse	ul. Braci Gierymskich
Grüne Strasse	ul. Wojska Polskiego
Herrenstrasse	ul. Lutycka
Kirchplatz	pl. Kościelny
Kirchgasse	ul. Kościelna
Königshainer Strasse	ul. Śląska
Mälzstrasse	ul. Połabska
Minoritenstrasse	ul. I. Daszyńskiego
Niedergasse	ul. Niska
Parkstrasse	ul. F. Szarego

Promenadenweg ul. Wiejska  
Ring pl. B. Chrobrego  
Rossmarkt ul. A. Grottgera  
Ross Strasse ul. J. Matejki  
Sellgittplatz pl. Jedności  
Schwedeldorfer Strasse ul. Armii Krajowej  
Uferstrasse ul. Śląska  
Wasserstrasse ul. Wodna  
Wilhelmsplatz pl. W. Jagiełły  
Wilhelmstrasse ul. T. Kościuszki  
Zimmerstrasse ul. Łużycka  
Der Zwinger ul. Nad Kanalem

**BAD REINERZ DUSZNIKI-ZDRÓJ**

Glatzer Strasse ul. Kłodzka  
Schlosserstrasse ul. Zamkowa

**STREHLEN STRZELIN**

Bahnhofstrasse ul. Bolka I Świdnickiego  
Münsterberger Strasse ul. gen. T. Kościuszki  
Polnischegasse ul. Zamkowa

## HRABSTWO KŁODZKIE, LUTY 1916 ROKU

Z niespokojnego snu wyrwał ją ból. Przeszywał całą dłoń i nadgarstek, odzywał się też pulsowaniem w piersi. Wraz z bólem przyszła świadomość, że wszystko, czego doświadczyła w ciągu ostatnich kilkunastu godzin, działo się naprawdę. Jeszcze przez chwilę pielęgnowała w sobie strzępki snu, jakby miało ją to uchronić przed rzeczywistością.

W głowie wciąż rozbrzmiewały dźwięki fortepianu, strun pobudzanych delikatnymi muśnięciami klawiszy. Śniła tamtą rozmowę sprzed kilku dni, gdy ojciec pokazywał jej pomnik Chopina w Dusznikach-Zdroju. Przechadzali się wśród willi i budynków kąpielowych, aż trafili do „kursalu”, niewielkiego dworku położonego w centrum parku. Tu ojciec zaczął opowiadać, jak zwykle z pasją i przejęciem, które budziły w niej uśmiech zażenowania. Papa od dziecka przymuszał ją do nauki gry na fortepianie. Podejrzewała, że w ten sposób realizował własne, niespełnione marzenia. Dostrzegał w niej talent i naciskał, by go pielęgnowała, wierzył, że rozkwitnie z siłą, jakiej nikt się nie spodziewał.

Początkowo sprzeciwiała się nauce. Przeszła wszystkie etapy buntu, by za każdym razem podczas rodzinnych prezentacji okazywać swojemu nauczycielowi i rodzicom chłodną obojętność. Nauczono ją skrywać niechęć. Po jakimś czasie okazało się, że musi skrywać coś zupełnie innego. Gra zaczęła sprawiać jej przyjemność, pociągały ją systematyka i powtarzalność, w nich odnalazła także miejsce dla własnej interpretacji. Coraz bardziej zatracala się w muzyce. Pewnie dlatego tak bardzo cieszyła się na wieść, że tato zamówił jej nowy instrument od Wilhelma Olbricha, wytwórcy fortepianów z Kłodzka.

Szczęknął zamek, drzwi zaskrzypiały i stanęły otworem. Podkurczyła nogi, okrywając się jednocześnie starym śmierdzącym



kocem.

Kilka głuchych, ciężkich kroków. Zbliżał się do niej mężczyzna. Przyglądała mu się. Na głowie miał worek z wyciętymi otworami na oczy. Ten sam co wcześniej. Na stoliku przy łóżku położył talerz z jedzeniem i kubek z wodą. To już trzeci posiłek, poprzednich nawet nie tknęła.

Sprawdził nocnik. Tym razem z niego nie skorzystała, było to dla niej upokarzające, a w dodatku bolesne, gdy wykręcając unieruchomioną w potrzasku dłoń, próbowała zsunąć się z łóżka i załatwić potrzebę. Szarpnął kajdankami, które przypięte były do solidnej, żelaznej ramy. Syknęła z bólu, choć nie chciała okazywać słabości. Nie pomogło zagryzanie wargi.

Przyglądała się ciemnej postaci z lękiem i nienawiścią. Przestała już zadawać pytania, wiedziała, że ten milczący osobnik nie odezwie się nawet słowem. Nie dawał się sprowokować. Przez chwilę była pewna, że uda jej się wolną ręką sięgnąć okrycia, które miał na głowie, zrezygnowała jednak z tego pomysłu. Taki impulsywny odruch mógł być poważnym błędem. Może lepiej, by nie wiedziała, kim jest. Zamiast tego łowiła w powietrzu jego zapach. Łapczywie wciągała przez nozdrza zatęchłe powietrze.

Mężczyzna przypatrywał jej się przez chwilę, w końcu odwrócił się i wyszedł z pokoju, zamknął drzwi na klucz.

Znajdowała się w piwnicy przesiąkniętej cierpką wonią starych ziemniaków. Było tu jednak sucho, a pomieszczenie przy braku oświetlenia mogło się wydawać zwykłym pokoikiem w zapuszczonej oficynie. Przez cały czas analizowała i nasłuchiwała. Miała na to dużo czasu. Źródło dochodzących do niej dźwięków znajdowało się piętro wyżej. Chwilami słyszała kroki więcej niż jednej osoby, czasem szuranie krzesła, mamrotanie, które bardziej przypominało burczenie wody w rurach.

Inaczej było na zewnątrz budynku. Tam panowała cisza. Najpewniej znajdowali się na jakimś odludziu – przecież przez pierwsze godziny od porwania pozwolili jej krzyczeć aż do

ochrypnięcia. Potem znów otworzyły się drzwi. Była pewna, że zechcą ją uspokoić, zakneblują usta, a nawet uderzą. Nic z tych rzeczy. Zamaskowany osobnik położył przed nią jedzenie, sprawdził kajdanki i wyszedł. Była zbyt zaskoczona i zmęczona, by wydać z siebie jakikolwiek nowy dźwięk. Już wiedziała, że nikt nie usłyszy jej rozpaczliwego wołania.

Ten człowiek kulał. Robił to jednak nieporadnie, jakby nie mógł się zdecydować, czy obciążać lewą, czy prawą nogę. Doszła do wniosku, że robi to specjalnie, jakby chciał ją zmylić i odwrócić jej uwagę. Musiał mieć więc powód takiego postępowania. Była już niemal pewna, że to ktoś, kogo zna, albo przynajmniej jest w stanie rozpoznać. Milczał, przez cały czas nie odezwał się nawet słowem. Dlaczego?

Oczywiście był to dobry znak. Do tej pory nie zrobili jej większej krzywdy. Przetrzymywali w zamknięciu, ale nic poza tym. Wierzyła, że nie będą chcieli jej zabić. Po co inaczej byłyby im te wszystkie środki ostrożności?

W tej konkluzji znajdowała pocieszenie. Podejrzewała, że porwali ją dla okupu. Jej ojciec, kłódzki importer i producent cygar, znalazł się na celowniku. Drogę do jego portfela miała utorować córka.

Zmarszczyła brwi. Ten zapach, gdy porywacz stał obok niej. Było w nim coś znajomego.

Zaledwie wczoraj zażywała kąpieli borowinowych i musiała opijać się niczym bąk wodą z leczniczych źródeł, która w zapachu i smaku przypominała wywar ze zgniłych jajek. Uzbrojona w szklaneczkę z rurką starała się zejść z oczu matce i wypić napój w spokoju, bo pod jej czujnym okiem wszystko podchodziło jej do gardła.

Gdy ojciec opowiedział jej o przebywającym w Dusznikach Chopinie, zastanawiała się, czy on też krzywił się, przełykając to paskudztwo. Szukała podobieństw do młodego Fryderyka zwłaszcza teraz, leżąc na niewygodnej pryczy i próbując zająć czymś myśli. Ją też zabierano do uzdrowisk. Co więcej, wierzyła, że oboje, ona i słynny pianista, podobnie postrzegają świat i wynoszą z owych

obserwacji zbliżone wnioski. Sama, podobnie jak on, także próbowała przelać je na papier.

Mierziło ją, że obłożnie chorzy już o szóstej rano ustawiali się w kolejce przy źródle. Chopin potrafił obrazowo to ująć. Na wspomnienie jego zapisków uśmiechnęła się w myślach. Tak, im bardziej ktoś był dotknięty jakimś schorzeniem, tym szybciej przebierał nóżkami, starając się być pierwszym przy wodopoju. Woda ze źródełek i błotne kąpiele musiały mieć uzdrawiającą moc. Już w pierwszy dzień pobytu niemal wszyscy odzyskiwali tutaj siły, zwłaszcza kobiety, które potrafiły po kilka razy w ciągu dnia zmieniać kreacje.

Dlaczego właśnie teraz o tym myślała, o rzeczach bez znaczenia? Borowina. Ten człowiek musiał niedawno korzystać z kąpieeli borowinowych albo też pił regularnie wodę przesyconą kwasem węglowym.

Ta nowa myśl znów ją pobudziła. Porywacz nie był sam, na pewno było ich kilku. Planowali wszystko od dawna, musieli kręcić się w pobliżu, obserwować, może nawet mieszkali w tym samym hotelu.

Zacisnęła dłonie, w inny sposób nie była w stanie dać upustu emocjom.

Powróciła myślami do dnia porwania. Przymknęła oczy, jakby to miało jej pomóc w osiągnięciu skupienia. Zieleniec. Pojechali tam w trójkę, korzystając z samochodu użyczonego przez rodzinę hrabianki von Magnis. Dużo czasu spędzili na stoku, a potem w gospodzie. Widziała wtedy kogoś znajomego? Kogoś, kto tak jak oni odpoczywał w Dusznikach?

Nie, wtedy niemal na nic nie zwracała uwagi. Miała podły nastrój po tym, czego była świadkiem z samego rana. Gabriele Magnis robiła wszystko, by poprawić jej humor, ale jej wysiłki spełzły na niczym. Żałowała, że zgodziła się na ten wyjazd.

Zrobiła to pod wpływem impulsu, chyba tylko po to, by skonfrontować się z ich towarzyszem, Bastianem Rabem. To, co

zobaczyła tuż przed wyjazdem... Bastian tam był, stał z nią przy oknie. Zupełnie jakby oboje byli pewni, że nikt ich nie zobaczy. Ta, która chciała uchodzić za jej przyjaciółkę, dopuściła się tak strasznej zdrady... Jak Sabine mogła być tak głupia, by jej ufać?

Rabe grał. Teraz dopiero to zobaczyła. Gdy kilkakrotnie spotkała go w hotelu, był otoczony gazetami i rozprawiał o krachach finansowych i inwestycjach, jakby to miało zrobić na kimś wrażenie. Wydawało się, że chce jej zaimponować. Czy dała się na to nabrać? Może miał smykałkę do interesów, ale na razie żył z pieniędzy wuja, Fritza Scholza, właściciela Germanii. Smykałkę niewątpliwie miał do czego innego, o tak. Jak widać, potrafił zawrócić w głowie każdej kobiecie.

Już na stoku w Zieleńcu dołączył do nich Thomas Zuber, znajomy i rówieśnik Bastiana. Przystojny wojskowy szybko wpasował się w towarzystwo. Dzięki niemu Sabine niemal zapomniała o swoich zmartwieniach. Ignorowała Bastiana na rzecz jego kolegi. Rabe, zdaje się, szybko pożałował, że zaprosił młodego wojskowego do paczki. Uwielbiał być w centrum uwagi.

Gospoda – teraz to do niej Sabine przeniosła się myślami. Na chwilę wyszła na zewnątrz, by zaczerpnąć powietrza... Taką wersję „sprzedała” znajomym. W rzeczywistości chciała zapalić papierosa, którego dostała od młodego wojskowego. Musiała się uspokoić, bo wciąż była roztrzęsiona.

Właśnie tam to się stało. Obok miejsca, w którym wcześniej wbiła w śnieg narty. Poczowała mocne szarpnięcie. W pierwszej chwili myślała, że ktoś się wygłupia i chce ją nastraszyć, ale zaraz straciła oddech, a czyjeś palce zacisnęły się na jej szyi. Błyskawicznie skrępowano jej dłonie, w usta wepchnięto kawałek jakiejś szmaty. Potem otoczyły ją ciemności, bo wciśnięto na jej głowę worek. Pamiętała, że gdy ktoś zarzucił ją sobie na ramię, w ogóle nie stawiała oporu. Teraz była na siebie zła, mogła przecież walczyć, kopać, gryźć. Strach był jednak paralizujący, nieśli ją bezwolną, bezwładną, jak owcę na rzeź.

Wspomnienie uleciało. Poczwała pod powiekami pieczenie. Zdołała jednak zdusić łzy.

Otworzyła oczy i wolną dłonią dotknęła unieruchomionego nadgarstka. Opuchlizna zesza. Na to czekała, starała się nie urazić tego miejsca.

Miała plan. Na początku wydawał się zupełnie irracjonalny, lecz teraz nabrała przekonania, że się uda.

Sięgnęła po leżącą na talerzu kromkę. Była nierówno ucięta i grubo posmarowana. Porywacze nie żalowali masła. Przesunęła mięszem pieczywa po skórze dłoni. Ten dotyk był przyjemny, łagodził ból i przyjemnie schładzał.

Masło rozprowadziła dokładnie, weszło pod metalowe okucie. Upewniła się, że zużyła całe, i wtedy dopiero wstrzymując oddech i ignorując ból, przycisnęła kciuk do wnętrza dłoni. Starowała się przy tym wypchnąć go jak najdalej naprzód.

Niemal parsknęła śmiechem z zaskoczenia. Udało się! Dłoń wysunęła się z kajdanek, wystarczyło mocno ciągnąć do siebie całe ramię.

Co teraz? Wszystko poszło nadspodziewanie gładko. Cały jej plan kończył się na tym momencie. Chyba nie wierzyła w to, że może się powieść. Powstał po to, by zająć czymś myśli i nie zwariować.

Zaczęła nasłuchiwać. W budynku panowała kompletna cisza. Mężczyzna zabierał talerz co najmniej godzinę po jego przyniesieniu. Nie miał powodów, by wracać do piwnicy. Ci ludzie czuli się strasznie pewni siebie, jakby nie dopuszczali myśli, że ktoś może stąd uciec.

Rozejrzała się. Zdążyła już dokładnie zlustrować pokój. Zapamiętała każdy sprzęt i rysę na ścianie, jakby te mogły dać jej jakieś wskazówki. Tuż za nią, wysoko, niemal pod sufitem znajdowało się piwniczne okienko. Docierało z niego niewiele światła. Wcześniej uznała, że to przez zaspę śniegu, która mogła nagromadzić się przy budynku. Wiedziała, które sprężyny wydają nieznośny, skrzypiący dźwięk, więc zsunęła się z łóżka bardzo

ostrożnie. Bose stopy dotknęły wreszcie chłodnej podłogi. Nie miała tu swoich butów, musieli je zabrać, nie zważała jednak na chłód. Zrobiło jej się gorąco, serce odezwało się w piersi niespokojnym rytmem, w głowie huczało, jakby tętnicami popłynął spieniony potok.

Przy pierwszym kroku ugięły się pod nią kolana. Nie przewidziała tego. Była osłabiona, a ciało odmawiało posłuszeństwa. Mimo to z trudem zebrała się w sobie. Zdjęła ze stolika talerzyk, kubek z herbatą, odłożyła je na podłogę. Mebel nie był ciężki. Przeniosła go pod ścianę.

Dłuższą chwilę starała się opanować podniecenie. Postawiła stopę na blacie, ostrożnie, niepewna, czy ten wytrzyma ciężar jej ciała. Potem, zapierając się o ścianę, uniosła się i postawiła obok drugą stopę. Mebel był lichy, zaskrzypiał żałośnie, ale na szczęście się nie rozpadł.

Sięgnęła dłonią i dotknęła przeraźliwie zimnej szyby, następnie przesunęła opuszkami w stronę okiennej ramy. Zadrzała, gdy palce natrafiły na zasuwkę.

Musiała chwilę odczekać, by uspokoić serce, które znów szamotało się w klatce piersiowej. Wreszcie nacisnęła palcami wystającą część skobla, podwoiła wysiłki. W tym momencie stolik się zachwiał. Rozpaczliwie przyłgnęła do ściany, pewna, że runie wraz z meblem na podłogę, ściągając hałasem porywaczy, odzyskała jednak równowagę. Zasuwka szczęknęła, rama odskoczyła z suchym trzaskiem.

Do wnętrza piwnicy wpadł śnieżny puch. Uniosła głowę, chwytając w płuca ożywczy podmuch powietrza.

Zapadał zmrok. Przez szparę widziała zarys ciemniejącego nieba i czubki drzew. Próbowwała mocniej odchylić ramę okna, ale coś ją blokowało. Czyżby na tym miała się zakończyć jej próba ucieczki?

Z żalem zamknęła okno. Niecierpliwie przesunęła dłońmi wzdłuż bocznej ramy i wkrótce natrafiła na dwa zabezpieczenia, które umożliwiały kilkustopniowe podnoszenie i opuszczanie okienka na

oczekiwaną wysokość. Uspokoila się, wiedziała już, że da radę. Znów otworzyła okno, starając się, by ruch był płynny, a skobel zatrzymał się na ostatniej zasuwce.

Udało się. Poczula się jak w czasach, kiedy wykradała pączki z kuchni starej Hanny. Wtedy też przeciskała się przez mały lufcik. Ta radość była niezrozumiała, jakby zupełnie zapomniała, że ucieka z rąk porywaczy.

Znów zaczęła nasłuchiwać. Nie doszedł do niej jednak żaden dźwięk, ani z wnętrza domu, ani z podwórza.

Podjęła decyzję błyskawicznie. Poczula przypływ siły, który postanowiła wykorzystać. Lekcje gimnastyki, których nie cierpiała, miały się wreszcie przydać w sposób zupełnie zaskakujący.

Dziewczyna wspięła się na palce, wystawiła dłonie poza ramę i zacisnęła dłonie na krawędzi parapetu. Stopy przesunęły się na chropowatym murze, a ona sama uniosła się do góry. Przez chwilę obawiała się, że drżący nadgarstek odmówi posłuszeństwa, znalazła jednak oparcie w mocnych palcach stopy i wsunęła się w otwór piwnicznego okienka.

Uderzyła o coś głową, mocno. Poczula pieczenie, krople krwi spłynęły z czoła i kapnęły na ramę okna. Na to już jednak nie zważała. Wypuściła powietrze z płuc, z myślą, żeby tylko się nie zaklinować, i sięgnęła dłonią dalej, podciągając ciało w stronę wyjścia.

\*

Bose stopy zapadały się w śniegu, lodowe opiłki raniły skórę, ale nie zwracała na to uwagi. Biegła pokrytą głębokim puchem ścieżką, nie odwracając się za siebie. Zaledwie kilkanaście kroków od budynku usłyszała zajadłe szczekanie. Dopiero w tej chwili dotarło do niej, na co się zdecydowała. Wcześniej wykonywała narzucone sobie zadania, nie brała pod uwagę ewentualnych konsekwencji decyzji. Zupełnie nie pomyślała o tym, że mogą mieć tutaj psa, przecież wcześniej nie słyszała go ani razu.

Czuła mrowienie na karku, cierpła jej skóra na szyi i głowie, zupełnie jakby szczekająca bestia miała za chwilę wbić w te miejsca kły.

Nie miała wiele czasu na decyzję. Budynek, w którym ją trzymano, obrzuciła zaledwie szybkim spojrzeniem. Drewniana chatka pokryta była grubą śnieżną czapą, z komina unosił się dym. Wokół rozciągał się nieprzenikniony las.

Dwie koleiny w śniegu – dostrzegła je w świetle księżyca. Ruszyła wzdłuż nich w stronę prześwitu pomiędzy drzewami. To musiała być droga dojazdowa do posesji. Modliła się, by z za zakrętu wyłoniły się jakieś budynki, by ktoś usłyszał jej wołanie o pomoc.

Dobiegło ją trzaśnięcie drzwi i czyjś okrzyk. Strach znów niemal ją sparaliżował. Zabrakło jej tchu, serce biło jak szalone. Nigdy w swoim życiu nie biegła tak szybko.

Pogoń już za nią ruszyła. Przekleństwa zdawały się coraz głośniejsze.

Las. Za zakrętem widziała jedynie nieprzeniknioną czerń szpaleru drzew. Musiała zbiec z drogi, wiedziała, że tu dopadną ją w ciągu kilku minut. Uskoczyła w bok i zapadając się w śniegu po kolana, ruszyła pomiędzy drzewami w dół stoku. Bała się, że zaraz ugrzęźnie w jakiejś zaspie. Na szczęście śnieżna skorupa pod stopami wkrótce stała się płytsza i twarda, jakby gęsty baldachim gałęzi nad jej głową ochronił ziemię przed śniegiem.

Wreszcie coś zaczęło się dziać po jej myśli. Teraz potrzebowała przede wszystkim odrobiny szczęścia. Wiedziała, że jeśli wybrała zły kierunek ucieczki, odmrozi stopy i opadnie z sił, zanim znajdzie pomoc. Jeśli nawet uda jej się umknąć przed porywaczami, to umrze z wychłodzenia.

Jak długo biegła? Wydawało jej się, że wieczność, choć w rzeczywistości pokonała nie więcej niż kilometr. Na szczęście nie słyszała za sobą głosów pogoni. Ci, którzy ją ścigali, musieli podążać dalej ścieżką, nie zauważyli, że uskoczyła w bok. Zanim się zorientują, że popełnili błąd, minie kilka kolejnych minut.



Dotarł do niej szum wody. A więc potok. Czy zdoła go pokonać? Już w tej chwili bosc stopy wydawały się zamieniać w sopte lodu. Nie czuła jeszcze bólu, ale wiedziała, że ten nadejdzie.

Nagle zadrżała, słysząc wściekłe ujadanie zaledwie kilkaset metrów za sobą. Pies. Wrócili po psa, by podążył jej śladem.

Strach powinien teraz dodać jej sił, ale stało się przeciwnie. Biegła coraz wolniej, mięśnie sztywniały, nawet usta odmawiały posłuszeństwa. Nie poddawaj się, powtarzała sobie w myślach, jeszcze nie teraz, walcz! Przed oczami zawirowały świetliste plamy. Wstrząsnął nią szloch. To sprawiło, że niemal się zatrzymała.

Teren wznosił się. Szum potoku zanikł, jakby się od niego oddaliła. Śniegu znowu było po kolana. Nie była w stanie biec. Szła krok za krokiem przed siebie. Zaczynała rozumieć, że nie uda jej się uciec, i zaskoczyło ją, z jakim przyjęła to zobojętnieniem. Po prostu szła przed siebie na dwóch marmurowych kolumnach, w które zamieniły się jej nogi.

Znów usłyszała szum potoku, gdzieś w dole, za skarpą, wiedziała jednak, że to koniec. I tak nie miała siły iść dalej. Odwróciła się w stronę pogoni. Dwóch mężczyzn i pies. Poruszali się szybko. Pomyślała, że gdyby miała buty albo chociaż gdyby owinęła stopy prześcieradłem, zwiększyłyby to jej szanse. Niemal się roześmiała. Matka zawsze jej powtarzała, że wszystko robi bez pomysłu. Miała rację.

Ten mężczyzna na przedzie. Nie kulał, teraz poznała jego charakterystyczny chód bez problemu. Już wiedziała, kim jest, nie był w stanie jej oszukać.

Pies zawarczał i wyrwał się naprzód. Dziewczyna odruchowo cofnęła się kilka kroków, uniosła rękę w obronnym geście. Straciła oparcie pod nogami. Mężczyzna dobiegł do niej i chwycił za nadgarstek. Popatrzyła mu w oczy. Trwało to ułamek sekundy. Wtedy poczuła, że palce porywacza rozluźniają uchwyt. Stopy ześliznęły się z zamarznętej skały i upadła do tyłu, na plecy. Pęd powietrza zaszumiał jej w uszach. Przygotowała się na bolesne

uderzenie, ale ono nie nastąpiło od razu. Szum potoku odezwał się ze zdwojoną siłą, potem przyszły ból i ciemność.

\*

W głowie rozbrzmiewały czystymi tonami dźwięki walca cis-mol... Jej myśli były postrzępione i chaotyczne, ale ta muzyka wydawała się ją wypełniać i przejmować kontrolę nad strachem. Na krótką chwilę otworzyła oczy, zobaczyła nad sobą skalny występ. Leżała w jakiejś szczelinie, której ściany oświetlał blady blask księżyca. Starła się poruszyć, przesunąć dłoń lub nogę, i nie rozumiała, dlaczego nie jest w stanie. Zupełnie jakby ktoś umieścił jej świadomość w kłodzie drewna.

Próbowała krzyczeć, ale nie była w stanie wydobyć głosu. Znów uniosła powieki, bo wydało jej się, że coś delikatnego dotyka jej policzka. Księżyc zniknął za chmurami. W ciemności wirowały blade płatki śniegu. Uśmiechnęła się. Wyobraziła sobie ciepłą białą kołdrę, która lada chwila opatuli jej ciało. Serce zwalniało, dźwięki wydłużały się, ich brzmienie rozciągało się w nieskończoność, tak jak dźwięki jej ulubionego walca...

## DUSZNIKI–ZDRÓJ, 4 MAJA 1921 ROKU

Komisarz Wilfried Mott, szef policji w Dusznikach-Zdroju, miał zły dzień. Jego współpracownicy, gdyby ktokolwiek zapytał ich o zdanie, przyznaliby zgodnie, że ten zły dzień ich szefa trwa już od kilku ładnych lat. Nachmurzone, marsowe oblicze policjanta było dobrze znane w miasteczku i niemal każdy, gdy tylko mógł, schodził Mottowi z drogi. Bywały jednak chwile jak ta, w której kontakt z komisarzem był nieunikniony. Tym, który miał nieszczęście kierować się do gabinetu przełożonego w dusznickiej komendzie, był asystent policyjny Klaus Bausch.

Bausch wiedział, jak będzie przebiegać ta rozmowa. Na pierwsze słowa asystenta komisarz wydmie wargi, jakby sięgał nimi w stronę oddalonego pożywienia, potem jego brwi ułożą się w literkę V. Najgorsze jednak będą szare oczy – staną się zimne i odpychające. Co gorsza, gdy Mott zda sobie sprawę, że będzie musiał poświęcić większą uwagę sprawie, z którą przyszedł podwładny, wybuchnie. Rykoszetem dostaną wszyscy pracownicy komendy, włączając w to sekretarkę i woźnego.

– Siadać, Bausch! Co się tak gapicie jak cielę na malowane wrota? – Mott odsunął od siebie szklanekę z musującym płynem. Pocierał skronie, co świadczyło o tym, że ma nawrót migreny.

Oczy Motta były małe, mrużył je, zapewne migrenie towarzyszył światłowstręt. Niemal nie poruszał ogromną łysą głową, osadzoną sztywno na karku, jakby mężczyzna bał się, że nieostrożny ruch spowoduje wzrost ciśnienia krwi w potylicy.

– Mieliśmy telefon...

Bausch zacinał się, zdając relację z przeprowadzonej przed kilkoma minutami rozmowy. Było to spowodowane nie tyle drastycznością opisu przekazanego przez świadka, ile reakcją komisarza, zupełnie inną, niż się spodziewał.

Mott ani razu nie przerwał asystentowi. Jego oczy rozszerzały się w trakcie opowieści do tego stopnia, że wydawało się, iż przekrwione gałki oczne opuszczają oczodoły.

– Zbierz ludzi, Bausch, jedziemy tam – polecił komisarz, gdy upewnił się, że podwładny nie ma nic do dodania. Sięgnął zaraz po szklanę i duszkiem wypił płyn, bo zaschło mu w ustach. Odbiło mu się, więc uderzył pięścią w klatkę piersiową i odkaslnął. – Za pięć minut ekipa ma czekać w samochodzie. Tylko niech któryś zmitręży, z dupy nogi powyrywam!

\*

Kilkanaście minut później komisarz Mott siedział w jednym z dwóch policyjnych samochodów, zmierzających w stronę wsi Graniczna. Teren wznosił się dosyć stromo. Zimą jeździło tędy coraz więcej turystów w kierunku Zieleńca, najwyżej położonej wsi w Sudetach. Mikroklimat tych terenów był znany i ceniony. W niektórych miejscach można było natknąć się na śnieg aż do późnej wiosny.

Mott nienawidził śniegu i wszelkiej aktywności związanej z zimowymi sportami. Jego żona często starała się wyciągnąć go do Zieleńca na narty, a syn próbował nawet swoich sił na miejscowej skoczni. Wilfried jednak, jeśli już zmuszony był do wyjazdu na stok, to czas spędzał w miejscowych gospodach przy kuflu piwa. Wydawało mu się, że przynajmniej w ten sposób uchroni kości i stawy przed kontuzjami. Wymazał z pamięci fakt, że kilka lat temu złamał nogę, wychodząc z zielenieckiej knajpy.

Cholerna zima. Mott zadrżał na samą myśl o ostatnich miesiącach. Od ciągłego kurczenia się w sobie i prób utrzymania pod płaszczem resztek ciepła bolały go mięśnie i kark. Nadtopione zaspy, które dostrzegał przez okno, przyprawiały go o jeszcze większy ból głowy. Kolejne specyfiki, które przyjmował, próbując złagodzić objawy migreny, okazały się kompletnie nieefektywne. Podejrzewał, że zatruwa go to miejsce, wsącza się w jego żyły jakaś substancja, która powoduje uczulenie całego ciała. Może to świństwo dostawało się do

jego organizmu z miejscową wodą? Może chodziło o zapach, który dobiegał z hoteli, łaźni i domów zdrojowych? Woń, na której wspomnienie dostawał mdłości. Siarka, żelazo, węglany. Cała pieprzona tablica Mendelejewa. Nikt nie mógł mu wmówić, że to cholera pomaga na jakiegokolwiek chorobę. Uważał, że ludziom w głowach namęcili właściciele pensjonatów i hoteli oferujący odmładzające kąpiele. Robili to skutecznie, bo coraz więcej naiwnych turystów płaciło krocie, by taplać się w tej śmierdzącej brei.

Kierowca kluczył miejscowymi drogami, a Mott zaczynał tracić cierpliwość. Las pokrywający zbocza gęstniał, zakręty stawały się coraz liczniejsze. Na szczęście droga była czarna i jechali bez przeszkód.

W końcu samochód się zatrzymał, gdy dostrzegli machającego do nich nerwowo mężczyznę. Wachmistrz uznał, że to właśnie on musiał zadzwonić na komendę. Jego spostrzeżenie potwierdził asystent policyjny Bausch:

– Heinrich Kern, panie komisarzu. On znalazł ciało.

Mott otworzył drzwi i wysiadł z samochodu. Rozprostował kości i wciągnął w płuca powietrze. Tutaj przynajmniej nie docierał dym z duszniczkich kominów. Ludzie palili w chałupach czym popadnie, a potem zatrawali całą okolicę. W dolinie czasem trudno było oddychać. Kuracjusze zimą, nawet jeśli rzeczywiście podleczyli w zdrojach żołądki i układ krążenia, to narażali na szwank płuca.

– Prowadź pan, panie Kern – Mott pominął grzecznościowe formułki. Widział wzburzenie blisko sześćdziesięcioletniego mężczyzny i nie miał zamiaru o nic teraz go wypytywać. Uznał, że podczas wędrówki na miejsce odnalezienia ciała Kern uspokoi się nieco i będzie lepszym materiałem na rozmówcę.

Drugi samochód także zatrzymał się na poboczu. Wysiedli z niego fotograf, lekarz i dwóch policyjnych asystentów. Mott ocenił ich szybkim spojrzeniem. Byli uważni i skupieni, wiedzieli, że

przełożony zrugałby ich, gdyby czuli się zbyt swobodnie i potraktowali wyjazd jak wycieczkę krajoznawczą.

Ruszyli w dół zbocza ścieżką, której Mott sam nigdy by nie odnalazł. Gleba była wilgotna i komisarz musiał uważać, żeby się nie pośliznąć. Po kilkudziesięciu metrach poczuł, jak koszula przykleja mu się do pleców. Co prawda w paru zacienionych miejscach powietrze było zimne, ale zaraz pojawiały się prześwity, które rozświetlało słońce, a wtedy temperatura skakała ładnych parę stopni w górę.

Mott popatrywał na Kerna, który szedł bardzo szybko i chwilami musiał przystawać, by poczekać na policjantów. Bausch w samochodzie zdążył wspomnieć, że mężczyzna, który znalazł ciało, niegdyś pracował przy wyrębie lasu. To akurat nie ulegało wątpliwości, jego sylwetka wciąż budziła respekt. Był żyłasty i szeroki w barkach, sprawiał wrażenie człowieka małowórnego i zamkniętego w sobie, tym bardziej znaczące było jego wzburzenie. Mott coraz intensywniej zastanawiał się, co znajdą na miejscu, w które prowadził ich drwał.

Nie musiał długo czekać, by się o tym przekonać.

Ciało uległo niemal całkowitemu rozkładowi. Szkielet był podobny do tych, które Mott widywał w gabinetach przyrodniczych. Materiał mocnych spodni o dziwo przetrwał. W kilku miejscach był poszarpany, ale zachował kolor, widoczny był nawet charakterystyczny wzór ozdobnej jodełki. Mott zauważył jeszcze, że jedna z kończyn trupa jest oderwana. Zapewne do ciała dobrały się dzikie zwierzęta. Dopiero po dłuższej chwili dostrzegł pod czaszką coś, co mogło być kiedyś włosami. Zsunęły się z warstwą skóry.

– Nie podchodzić – zakomenderował. – Sprawdzić dokładnie teren, zrobić zdjęcia.

– Musiała spaść. – Kern wskazał palcem w górę. – Nieszczęśliwy wypadek...

Komisarz podążył wzrokiem za palcem drwala. Las był tutaj gęsty, nad nimi rozciągała się kilkumetrowa skarpa. Mężczyzna mógł mieć

rację. Ofiara spadła, nieszczęśliwie uderzyła głową o skały, być może złamała kręgosłup. Jej ciało zaklinowało się pomiędzy głazami w szczelinie. Nawet przechodząc kilka metrów od tego miejsca, można było nie zauważyć trupa.

– Co pan tu robił? – zapytał Mott. – Na grzyby chyba nie pora.

– Dużo chodzę po lasach. – Kern wzruszył ramionami. Widać doszedł już do siebie. – Dziś akurat podkusiło mnie, żeby pójść wzdłuż Białego Potoku...

Mott spojrział w bok, słyszał wyraźnie szum płynącej rzeczeki.

– Trochę pan się od wody oddalił – zauważył.

– Bo skałki tutaj ciekawe... – odparł Kern, jakby to była oczywistość.

– Chyba aż nazbyt ciekawe. – Mott obserwował poczynania swoich ludzi. Teren badali dokładnie, fotograf zrobił już pierwsze zdjęcia. – Jak widać, od kilku ładnych lat nikt tu się nie zapuścił oprócz pana, Kern.

Drwał skinął głową. Znowu popatrzył na zwłoki, jakby miały działanie hipnotyczne.

Mott ruszył do swoich ludzi. Stał na jednym z kamieni, by mieć lepszy ogląd sytuacji. Obok niego pojawił się asystent Bausch.

– Turysta? Będzie trzeba przejrzeć zgłoszenia zaginionych.

– Nie musisz, Bausch. – Mott westchnął ciężko i złożył usta w dzióbek, wydając przy tym dziwny dźwięk. Popatrzył na ciało. Na bransoletkę widoczną na nadgarstku. Zauważył ją od razu, rozpoznał też zniszczone ubranie, którego opis wyrył mu się dokładnie w pamięci. – Wiem, kto to jest. Przygotuj się, Bausch, na tornado. Ono przeleci przez naszą dolinę i ani się obejrzysz, a zostaną tu tylko zgliszczka.

\*

Wilfried Mott, gdy tylko znowu znalazł się w swoim gabinecie, podniósł słuchawkę z widełek. Ta jednak zastygła w połowie drogi do ucha, a komisarz siedział w bezruchu przez kilka minut. Jego

wzrok zatrzymał się na nagłówku najświeższego wydania „Grafschaft Glatz”, jakby dostrzegł w nim zapowiedź nadchodzących wydarzeń. Wahanie szefa obserwował z dużym zainteresowaniem asystent Bausch, przezornie jednak nie odzywał się słowem, choć napięcie, które towarzyszyło komisarzowi, udzieliło się także i jemu.

W końcu Mott nacisnął widełki i połączył się z centralką.

– Z Kłodzkiem chcę rozmawiać, z komisarzem Richterem.

Mott błądził teraz wzrokiem po ścianie, na której zawieszono mapę Dusznik i kilka zdjęć najbardziej reprezentacyjnych budynków. Zamglony wzrok świadczył jednak o tym, że komisarz pogrążony jest w głębszych rozważaniach.

Asystent Bausch dowiedział się już, czyje zwłoki odnaleźli przy Białym Potoku. Dla Motta i innych policjantów było to oczywiste. Sprawa zaginięcia Sabine Hunfeld kilka lat temu mocno wstrząsnęła Dusznikami. Bausch nie był jeszcze wtedy zatrudniony w policji, jednak tak jak mieszkańcy całego hrabstwa żył doniesieniami prasowymi na temat dziewczyny. Poszukiwania zakrojone były na szeroką skalę, pamiętał, że w ekipie poszukiwawczej, która miała przeczesać okolice Zieleńca, znalazł się nawet jego ojciec. Początkowo sądzono, że Sabine zabłądziła w lesie, wkrótce jednak okazało się, że została porwana. Josef Hunfeld zgłosił się na policję po tym, jak zniknął okup złożony w umówionym miejscu, a nie odzyskał córki. Poszukiwania w lasach przerwano, skupiono się na znalezieniu porywaczy. Kolejne dni nie naprowadziły policji na trop przestępców. Porwanie przypisano międzynarodowej szajce porywaczy kobiet. Grupa działała w różnych miejscach kraju, uprowadzając młode kobiety i sprzedając je potem do zagranicznych burdeli. Podejrzewano, że taki właśnie los spotkał biedną Sabine Hunfeld.

Wkrótce wielka wojna weszła w decydującą fazę, Stany Zjednoczone dołączyły do konfliktu i jego echa zburzyły spokój, wydawałoby się, pozostającego na uboczu tych wydarzeń hrabstwa kłodzkiego. Skutki wojny odczuli jednak już wszyscy, widmo głodu



zajrzało w oczy każdemu z mieszkańców, a obawa o dalsze losy hrabstwa sprawiła, że o Sabine zapomniano.

Ponad pięć lat. Tyle czasu minęło od zaginięcia dziewczyny. Bauschowi cisnęło się na usta wiele pytań, lecz przezornie milczał. Zwłaszcza że – był niemal pewien – i w głowie Motta pojawiały się podobne znaki zapytania.

Czy to komisarz prowadził wtedy śledztwo? Tak, na pewno, przecież już wcześniej objął w niepodzielne władanie dusznicką komendę. Poszukiwania zostały przerwane dosyć szybko i Bausch zastanawiał się, czy nie za sprawą Motta. Może gdyby wtedy działano bardziej energicznie, odnaleziono by zaginioną.

– Była boso, Klaus... uciekała boso...

Asystent przełknął ślinę. Oczy komisarza wciąż były puste, przerażały bardziej niż w chwilach, gdy widać w nich było żądę mordy wobec niekompetentnych podwładnych.

– Może zwierzęta...

– Czy ty jesteś imbecylem, Bausch? Miały jej zjeść te buty? Zabrać na pamiątkę, do jasnej cholery?! W pobliżu nic nie znaleźliśmy, nawet strzępów obuwia!

Klaus skinął głową, starając się przeczekać wybuch.

Teraz przypomniał sobie okoliczności tamtej sprawy. Mott nie prowadził wtedy śledztwa. Zdaje się, że na prośbę wpływowego ojca zaginionej dochodzenie przejął ktoś inny.

– Komisarz Heinrich Richter? Tu komisarz Wilfried Mott. Tak, to ważne i nie może poczekać...

Bausch wstrzymał oddech, patrząc na przełożonego. Wiało od niego chłodem, zupełnie jak na stokach Zieleńca, na których śnieg utrzymywał się długimi miesiącami.

– Znaleźliśmy zwłoki, zdaje się Sabine Hunfeld. Została przewieziona do prosektorium. Pan prowadził wtedy sprawę porwanej, dlatego dzwonię... – Mott zamilkł, na jego twarzy pojawiło się coś na kształt złośliwego uśmiechu. Odezwał się po chwili, przerywając rozmówcy: – Jeśli chce pan osobiście powiadomić

rodzinę dziewczyny, proszę bardzo. Co do samej sprawy... pora chyba, żeby zajęły się tym właściwe osoby...

Przerwa była tym razem dłuższa. Wydawało się jednak, że Mott zupełnie nie słucha, co ma mu do powiedzenia Richter.

– Niech pan przyśle swojego człowieka, jeśli pan chce. Proszę bardzo. Jeśli jednak znów zamierzacie wszystko spieprzyć jak przed laty, to ja na siebie odpowiedzialności za to nie wezmę!

Słuchawka tępo uderzyła o widełki. Mott jednak nie wyglądał na wzburzonego. Popatrzył na Bauscha i powiedział:

– Jak chce, to niech bierze na siebie i trupa, i całą tę śliską sprawę. Niech się nią udławi! Teraz mu się już nie upiecze, tym razem ta afera nie przejdzie bez echa. – Komisarz oparł się w fotelu i złożył dłonie na brzuchu. – Zwłoki zaginionej wypływają po tylu latach. A mieliśmy ją pod nosem! Ta sprawa będzie gwoździem do trumny Richtera... Zapamiętaj moje słowa, Klaus.

Asystent skłonił głowę. Gwóźdź do trumny Richtera. Już jakiś czas temu mówiło się, że Mott miał chrapkę na ciepłą posadkę w Kłodzku. Akurat to nie było dla nikogo tajemnicą, mówiono nawet, że Mott przed laty otrzymał nominację i miał się przenieść do kłodzkiego ratusza. Dziwna sprawa, ale w tych staraniach o szefostwo ubiegł go wtedy nie kto inny, jak Heinrich Richter. Może miał większe plecy, znajomości, których Mott nigdy się nie dorobił. W każdym razie pewna, wydawałoby się, nominacja okazała się lipą.

– Przyślą tu kogoś. Uważaj na tego farfocla od Richtera. Będziemy się opierać, walczyć jak lwy, ale w końcu oddamy im sprawę Sabine Hunfeld. Nie chcemy się w tym babrać. – Mott spojrzał surowo na podwładnego. – Nie rób takiej miny, Bausch... Uwierz, że lepiej tej sprawy nie tykać. Śmierdzi na kilometr. To akurat coś w sam raz dla Richtera. Gdybyś go znał, wiedziałbyś, o co mi chodzi. Ciesz się, że nie pracujesz dla tego człowieka. Komisarz Richter cały czas krzywi się, jakby miał gówno pod nosem.

Bausch parsknął śmiechem. Mott odebrał błędnie tę reakcję, wydawało mu się, że wesołość podwładnego wywołało obrazowe

porównanie. Tak naprawdę asystent policyjny uznał, że ten opis pasuje jak ulał do samego komisarza Motta.

– Rozumiemy się, Klaus?

– Tak jest, komisarzu.

– Mam dla ciebie zadanie. – Mott znów błędził gdzieś myślami, wydawało się, że z trudem powstrzymuje odruch, by nie zacierać z zadowoleniem dłoni. To knucie bardzo do niego pasowało. – Tak zupełnie tego nie zostawimy, Bausch. Będziesz blisko tego psa, który tu przyjedzie. Będziesz trzymał się z boku, w cieniu, i niech ci nawet nie przejdzie przez myśl, żeby się wychylać. Masz widzieć wszystko i notować. Już ja będę wiedzieć, jak wykorzystać te informacje.

Dla Bauscha owo użycie przez zwierzchnika liczby mnogiej miało duże znaczenie. Ponownie skłonił głowę. Zastanawiał się jedynie, kogo do Dusznik przyśle komisarz Richter.

## KŁODZKO, 4 MAJA 1921 ROKU

– Skaranie boskie z tym dzieciakiem! Franz, weź ty się wreszcie za niego, bo nic dobrego z tej cholery nie wyrośnie!

Wachmistrz Franz Koschella, choć szczerze rozbawiony, pokiwał poważnie głową, zgadzając się ze spostrzeżeniem żony.

W odróżnieniu od innych jedynaków Opitz nie był chowany pod kloszem, zresztą Franza w jego wieku też trudno było zatrzymać w miejscu choć na chwilę. Patrząc na syna, w którego umorusanej twarzy widać było jedynie święcące radośnie oczy, Koschella wychwytywał jakąś trudną do opisaną beztroskę i za nic na świecie nie odebrałby jej chłopakowi. Wiedział jednak, że granice ustalane takim smarkom też mają znaczenie wychowawcze, co więcej, nie chciał narażać się Barbarze. Przywołał więc Opitza do porządku ostrym warknięciem:

– Na górę, do mieszkania, jasny gwint! Nie płacz się tutaj! Zanim wyjdę do roboty, mamy do pogadania!

Chłopak zatrzymał się w połowie zjazdu z poręczy i zwinnie niczym małka zeskoczył na schodek, a potem pognął za matką. Na szczęście czuł respekt wobec ojca. Franz, gdy trzeba było, używał pasa, choć atrybut ten służył raczej jako przestroga i na co dzień wisiał na gwoździu przy szafie. Sam Koschella dostawał pasem od swoich wychowawców i nie uważał, żeby zrobiło mu to większą krzywdę. Opitz musiał czuć, że jeśli przekroczy granice, Franz wygarbuje mu skórę tak, że nie usiądzie przez kilka godzin.

– Dupa nie szklanka, wachmistrzu Koschella – zauważył majster, z którym Franz umówił się na ten poranek. – Jak mój nie słucha, zaraz biorę na kolano...

– Nie będziecie mnie, Berke, uczyć, jak mam syna wychowywać – znów warknął Koschella. Czuł już w kościach, że ten dzień nie zaczął się najlepiej i nie najlepiej się skończy.

– Ja tylko ostrzegam. Lepiej, żeby się pana smyk nie plątał tu podczas remontu.

– Nie będzie. Ma wyjechać na kilka dni do rodziny żony. Lepiej oglądajcie mieszkanie i wycenę zróbcie za robotę.

– Tak jest, wachmistrzu! – Berke wyszczerzył zepsute zęby.

Koschellę zemdliło. Od majstra czuć było alkoholem i gdyby nie dobra opinia, jaką cieszył się wśród klientów, pewnie Franz nigdy nie zdecydowałby się na skorzystanie z jego usług.

Patrzył, jak Berke przechodzi przez korytarzyk do pierwszego pomieszczenia. Mężczyzna przekrzywił czapkę i z uznaniem pokiwał głową.

– Jasny pokoik, panie władzo, ładny, przestronny... Są tu takie dwa, mam rację?

Koschella, idąc za mężczyzną, zgrzytał zębami. Zastanawiał się, ile Berke policzy mu za odnowienie całego mieszkania i w bonusie za te wszystkie komplementy, które teraz wygłaszał.

Jeszcze rok temu Franz z Barbarą ledwie wiązali koniec z końcem. Żona wachmistrza dokonywała cudów, by na talerzu oprócz klusek znalazł się kawałek mięsa, a w zupie choćby jaka kość dla smaku. Odmieniło się u Koschellów, to prawda. Od roku Franz stał na czele nowo utworzonego w kłodzkiej policji Wydziału Kryminalnego do spraw Morderstw. Owa szumna nazwa odpowiadała, zdaje się, bardziej ambicjom komisarza Richtera niż samego Koschelli, została jednak zaakceptowana przez burmistrza Franza Ludwiga i wkrótce się przyjęła. Można było się spierać, czy powołanie owej jednostki ma większy sens, wszak morderstw w Kłodzku ostatnio było jak na lekarstwo.

Koschella dylematów w tej sprawie nie miał. Pensja, jaką otrzymywał, była większa, niż mógł zamarzyć. Płacił jednak za to swoją cenę. Wszystkim dokoła wydawało się, że stanowisko przytrafiło mu się jak ślepej kurze ziarno, ale dałby sobie rękę uciąć, że żaden z tych zazdrośników nie wytrzymałby chociaż tygodnia współpracy z komisarzem Richterem. Można było odnieść wrażenie,

że ten sprawdza nie tyle zaangażowanie Koschelli, ile jego psychiczną odporność. Piętrzyły się coraz to nowe wymagania, sprzeczne polecenia i ogromom papierkowej roboty, a w wydziale przydzielono Franzowi do pomocy tylko dwóch ludzi.

Ktoś inny pewnie dawno rzuciłby tę posadę w cholere, sam Koschella też miał chwilami ochotę na degradację i powrót do patrolowania ulic i rewizji suterren. Lecz gdy po całym dniu harówki wracał do domu i widział dumę w oczach Barbary i Opitza, nazajutrz wstawał niepomny wszystkiego, co go gryzło. Szedł do roboty jak w pierwszy dzień, pełen entuzjazmu i zapału.

Cholera. Franz wiedział, że tkwi w potrzasku własnych ambicji i przyziemnych potrzeb. Nie mógł się poddać, zwłaszcza teraz, gdy okazało się, że piętro niżej, tuż pod ich kłitką, zwolniło się takie piękne mieszkanie. To było jak dar od losu. Mieli szansę na lepsze życie, Koschella nie mógł tego zaprzepaścić.

– Ile czasu potrzebuje pan na remont, panie Berke?

Majster podrapał się pod czapkę w czubek głowy, cmoknął ze dwa razy. Przeszedł jeszcze do drugiego pokoiku, który miał zająć Opitz. W końcu sapnął i powiedział:

– Nie wiem, kto tak zrujnował to piękne mieszkanie, panie Koschella. Aż się scyzoryk w kieszeni otwiera na to menelstwo. Kończę niedługo robotę, którą mam na Gartenstrasse koło poczty. Jakiś tydzień, może dwa tam zejdzie... wtedy mogę do pana się przenieść.

– Tydzień, dwa? To długo, panie Berke, a jak znam życie, pewnie się tam wam przeciągnie.

– Nic się nie przeciągnie – oburzył się Berke. – My firma solidna, jak mówię jakiś termin, to słowa dotrzymuję. Sprawdzał mnie pan, to chyba o tym wie...

Koschella nie dał nic po sobie poznać. Pewnie, że sprawdzał, wziął na spytki kilku pracowników Berkego. Majster też pewnie wypytał jak trzeba o Koschellę.

– Ale rozumiem, jak to jest... – Berke odezwał się nagle bardziej pojednawczo. – Chciałoby się już wprowadzić do nowego miejsca i żyć jak człowiek. Może wyślę wcześniej pomocnika, co by wszystko przygotował, zanim wejdziemy tu z robotą. Wtedy szybciej pójdzie... Co pan na to, panie wachmistrzu?

Berke wyciągnął sękatą dłoń do Koschelli.

– Co z ceną? – dopytał Franz. Nie nabierał się na tanie numery majstrów pokroju tego pijaczka. – Muszę przecież ją znać.

– Będzie pan zadowolony.

Koschella zaklął w myślach. Miał nadzieję, że ci, co polecili mu majstra Berke, nie zrobili tego ze złośliwości. Podobnych zapewnień w różnych sytuacjach słyszał setki. Zawsze kończyło się to najgorzej, jak mogło. Jaki jednak Franz miał wybór? Samemu odnawiać podłogę, ściany, być może hydraulikę? Kiedy by to zrobił? Po nocach? I ile by to trwało? Czysz już musiał płacić, żeby nie sprzątnęli mu tego miejsca sprzed nosa. A płacił dodatkowo za poddasze, którego nie mógł jeszcze opuścić.

– Jak będzie za duża kwota, to wezmę kogoś innego, panie Berke.

– Zgoda!

Uścisnęli sobie dłonie, a Koschella miał wrażenie, że zawarł jakiś pakt z diabłem, bo majster jakoś od tego momentu nieprzerwanie zacierał ręce i uśmiechał się pod wąsem.

Koschella, wychodząc z mieszkania i zamykając drzwi na klucz, czuł, jak po plecach płynie mu strużka potu. Za szybko ten cały świat się kręcił, a wachmistrz za nim już nie nadążał. Może zmiękł na starość, powinien był przycisnąć tego majstra, aźby mu jaja uszami wyszły. Zamiast tego pożegnał się z nim i powstrzymując się, żeby nie zdzielić tamtego w łeb, ruszył do starego mieszkania.

Opitz siedział jak na szpilkach. Jakby pośladki piekły go już na samą myśl o pasie wiszącym przy szafie. Zastanawiał się pewnie, którą aferę ojciec wyciągnie na światło dzienne jako pierwszą. Tych przewinień na sumieniu miał sporo: spóźnienia do szkoły, pyskowanie nauczycielom, marne oceny. Nie mówiąc już

o włączeniu się po podejrzanych miejscach, choć matka kazała mu wracać po lekcjach prosto do domu.

– Synu. – Koschella usiadł naprzeciw chłopaka i popatrzył mu w oczy.

Młody nie unikał wzroku, patrzył hardo. Franz znał tego typu spojrzenia, nie raz widział podobne w swojej pracy. Tyle że pod takim wzrokiem często kryły się niepewność i strach. Wystarczyło odpowiednio nacisnąć tu i tam, by delikwent pękł jak dojrzały owoc. W przypadku Opitza nie było to tak oczywiste. Koschella wiedział, że pas nie jest już chłopakowi straszny. Szczeniak po prostu kładł się na krześle, zaciskał zęby i nie wydawał jęku, dopóki Franz nie skończył wymierzać kary. Lanie było dla Opitza upokarzające, a Franz, jeśli nawet uważał, jak majster Berke, że dupa nie szklanka, to upokarzać syna nie chciał.

– Opitz, jesteście bardzo podobni...

Franz zauważył zdziwienie małego. Chłopak zaczął słuchać z zainteresowaniem, choć wydawało się, że ta rozmowa będzie wyglądać jak poprzednie. Ojciec będzie gadał farmazony, a syn i tak puści wszystko mimo uszu.

– Uczyłem się słabo, wolałem siedzieć z kolegami na podwórku. Jeśli już pomagałem rodzicom, to tylko jak dostałem w skórę. Chciałem, żeby wszyscy traktowali mnie jak dorosłego, ale wiesz... w końcu zdałem sobie sprawę, że jak dorosły się nie zachowuję...

Opitz zmarszczył brwi, nic nie powiedział. Pod skórą uwidoczniły się zaciśnięte szczęki. Franz zastanawiał się, skąd w chłopaku tyle gniewu i zniecierpliwienia. Ten wrażliwy dzieciak toczył jakąś wewnętrzną walkę. Jakby gdzieś głęboko ukryła się w nim trudna do zdefiniowania skaza. Franz zastanowił się, czy rzeczywiście był kiedyś taki jak on. Czy też miał tę skazę, która mogła zaważyć na jego życiu i wyborach. Z czasem pamiętał wszystko inaczej.

– Staram się, tato. Nie wychodzi mi.

Ta szczerość zaskoczyła tym razem samego Koschellę. Otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.



– Szkoła jest nudna, to strata czasu. Wiem, co będę chciał robić w życiu.

– Co będziesz chciał robić w życiu?

– To, co ty. Będę policjantem.

– I myślisz, że do tego ukończenie szkół nie jest potrzebne?

Wzruszenie ramionami. Ta lekceważąca postawa przyprawiała Franza o białą gorączkę. Opanował się jednak, gwałtowna reakcja byłaby pokazem bezsilności i przyniosłaby więcej szkody niż pożytku.

– Chciałbym, żebyś uniknął w życiu tych błędów, których ja nie uniknąłem, Opitz.

– To się niczego w życiu nie nauczę, tato.

– Dlaczego? – zapytał odruchowo Franz. Dostrzegł w chłopaku jakąś przekorę.

– Zawsze powtarzasz, że człowiek uczy się na błędach.

Koschella oparł się ciężko na krześle.

– To ciężka nauka, synu – odparł chłodno. – Lepiej, żeby cię uczyła szkoła niż życie.

Opitz nic na to nie odpowiedział. Koschella podniósł się z trzeszczącego mebla. Czuł na sobie wzrok Barbary, ale go unikał. Założył czapkę i płaszcz i ruszył do komisariatu.

\*

W ratuszu też nie dane było Franzowi zaznać spokoju. Ledwie wszedł do salki zajmowanej przez swój wydział, gdy zaaferowany sekretarz wyciągnął go do gabinetu komisarza. Franz zacisnął zęby przygotowany na kolejną, przebiegającą według podobnego scenariusza, codzienną reprimendę. Richter znał czułe punkty podwładnego, był przekonany, że ma go w garści i rzeczywiście tak było. Prowokacje były dobrze przemyślane, Richter testował Franza, jakby z ciekawości, w którym momencie ten pęknie. Jednocześnie potrafił doskonale wyczuć granice, wiedział, że Koschella jest porywczy. Komisarz rozgrywał tę partię po mistrzowsku. Nie było to

trudne. Miał pełną świadomość, że podwładny stał się niewolnikiem stołka, który sam mu zresztą podsunął.

Gdy Franz znalazł się przed biurkiem przełożonego, był przygotowany na kilkunastominutową tyradę, tymczasem zastał Richtera wyraźnie nieswojego, pogrążonego w myślach. Widok ten był doprawdy niecodzienny.

– Pojedziesz do Dusznik, Franz. – Komisarz skupił wreszcie wzrok na Koschelli. – Odkryto tam dziś zwłoki. Chcę, żebyś uczestniczył w identyfikacji i obejrzał miejsce ich znalezienia. Przydasz się wreszcie do czegoś po roku pierdzenia w krzesło...

Najwyraźniej Richter wracał do żywych po chwilowym spadku formy. Nie zapomniał o wbiciu szpileczki podwładnemu.

– Wiemy coś więcej? – zapytał Koschella.

Richter mlasnął, jakby poczuł w ustach jakiś niesmak.

– Istnieje podejrzenie, że sprawa ta ma związek z dochodzeniem prowadzonym przez kłodzką policję kilka lat wcześniej – odrzekł niechętnie. – W 1916 roku w Zieleńcu zaginęła Sabine Hunfeld. Nie odnaleźliśmy jej. To wszystko, co musisz teraz wiedzieć. Kolejne instrukcje otrzymasz w swoim czasie...

Sabine Hunfeld. Franz powoli przypominał sobie tamtą sprawę. Rodzina Hunfeldów wydała majątek na poszukiwania zaginionej dziewczyny. Bez skutku. Zadał kilka dodatkowych pytań, próbując przełamać niechęć przełożonego do udzielania odpowiedzi. W końcu Richter rzucił na blat odręczną notatkę, która dotarła z Dusznik. Koschella szybko się z nią zapoznał i opuścił jaskinię lwa.

Zajrzał jeszcze do swojego wydziału, by poinformować Seipelta i Schulza o nowych zadaniach. Tego pierwszego postanowił zabrać ze sobą jako kierowcę. Uznał, że Schulz na razie do niczego mu się nie przyda. Poza tym od jakiegoś czasu pilnował, by tych dwóch nierozłącznych osiłków przebywało ze sobą jak najrzadziej. Zaczynali mu działać na nerwy. Zwłaszcza Paul Seipelt, który najwyraźniej miał ostatnio problem z subordynacją wobec Koschelli.

Pięć minut później Franz i jego asystent siedzieli w policyjnym samochodzie zmierzającym do Dusznik-Zdroju.

– Tajemnicza sprawa, co, Franz? – Seipelt mocno pochyłał się nad kierownicą. Czuć było od niego smażoną cebulą i ta nieprzyjemna woń wypełniała cały pojazd, przyprawiając Franza o mdłości.

– Sprawa jak sprawa – odpowiedział chłodno Koschella. Chciał zbyć Paula, nie miał ochoty na rozmowy.

– Richter powiedział ci coś więcej?

– Powiedział tyle, ile trzeba, Paul.

– Taaa – w głosie Seipelta pojawił się lekceważący ton. – Stary zawsze mówił ci tyle, ile chce, i nic poza tym. Spokorniałeś, Franz, ja to bym nie potrafił zdzierżyć takiego traktowania...

Koschella przemilczał ten przytyk. Pomyślał z rozgoryczeniem, że sam jest sobie winien – komisarz jechał po nim jak po łysej kobyle, nie mógł się więc dziwić, że nawet dwaj jego współpracownicy mają do niego lekceważący stosunek. Osilek Lothar Schulz nie był zbyt lotny i wydawało się, że wszystkie gierki i układy w komisariacie mu zwisają. Lecz Seipelta, inteligentniejszego i ambitniejszego, stać było na mniej lub bardziej wyrafinowane intrygi. Ostatnio Paulowi nie układało się na kilku frontach i odreagowywał to na innych, przekraczając mocno granice. Koschella doszedł do wniosku, że Seipeltowi rzuciło się coś na głowę. Z początku nie było tego widać, jednak z każdym tygodniem poziom wzajemnej irytacji wzrastał. Być może Paul czuł się niedoceniany. Często przebąkiwał, że tę czy inną sprawę poprowadziłby inaczej, pewnie lepiej od Koschelli.

Franz wiedział, że szanse na to, by ich wzajemne stosunki się poprawiły, są marne. Miało na to wpływ jedno znaczące wydarzenie sprzed kilku tygodni. Koschella znał słabość Seipelta do hazardu i alkoholu. Wiedział też o tym, że Paul często nie panuje nad sobą w zaciszu domowym. Jakiś czas temu odkrył, że żona Seipelta ma sińce pod oczami. Nie dał wiary, że przypadkowo kilkukrotnie uderzyła się o framugę drzwi. Tego samego dnia zaprosił Seipelta do siebie i przedstawił mu ultimatum: jeśli Seipelt jeszcze raz uderzy

żonę, wyleci z policji. Paul roześmiał mu się w twarz, wytknął Franzowi, że ten bez pozwolenia Richtera nie podetrze sobie nawet dupy. Wtedy Koschella, zdając sobie sprawę z konsekwencji tego czynu, wytoczył cięższe działa i wyciągnął kopię kwitów, jakie miał na współpracownika. Długi u lichwiarzy i przestępców, kilka dowodów na przysługi w zamian za umorzenie odsetek. Marny hazardzista Paul Seipelt po raz pierwszy w życiu był w stanie poprawnie ocenić, że gracz po drugiej stronie nie blefuje.

Koschella odwrócił się od Seipelta, obojętnie patrzył na mijany krajobraz. Jechali szosą na Náchod przez Piekielną Dolinę. W Szczytnej spojrzął na malowniczo wznoszący się nad miasteczkiem zamek, ale i ten nie zrobił na nim wrażenia. Nie ciągnęło go do pieszych wędrówek i zwiedzania, każdy wyjazd z Kłodzka wprawiał go w stan niepokoju i nerwowości. Zaczynało go swędzieć całe ciało i najchętniej, gdyby tylko mógł, zawróciłby Seipelta do miasta. Tylko na własnych śmieciach czuł, że ma nad czymś kontrolę.

W końcu wjechali do Dusznik. Seipelt kręcił się chwilę po uliczkach, by wreszcie zatrzymać się przed ponurą bryłą przytułku Świętej Elżbiety. Na przywitanie wyszedł im mężczyzna w policyjnym mundurze. Obok kroczyła zakonnica o marsowej minie.

Koschella na widok mniszki skrzywił się kwaśno. Powróciło do niego wspomnienie z dzieciństwa spędzonego w sierocińcu. Jedną z takich zjednoczonych z Bogiem kobiet, siostra Greta, szczególnie upodobała sobie wykręcanie mu uszu. Jakby w ten sposób mały Franz miał się znaleźć bliżej Stwórcy. Po prawdzie tak było, bo stawał na palcach, by choć trochę złagodzić ból. Do dziś śniło mu się, jak znienawidzona przeorysza woła do niego: „Diabła za skórą masz, Franz, i ja go wygonię!”. Jednego Koschella nie był jej w stanie odmówić: musiała być to kobieta wielkiej wiary, skoro łudziła się, że dokona tego cudu.

– Wachmistrz Franz Koschella? – Młody policjant uśmiechnął się nieznacznie, patrząc na przybysza z dyskretnym zainteresowaniem.  
– Asystent policyjny Klaus Bausch. Cieszę się, że pan tak szybko przyjechał.

Franz uściśnął wyciągniętą prawicę. Także przyjrzał się chłopakowi. Młodzik był chudy jak szczapa, ale wyglądał na wysportowanego. Koschella pomyślał, że musiał to być jeden z tych amatorów uroków natury. Zapewne dbał o kondycję, wędrując po okolicznych wzgórzach.

– Dzień dobry – przywitał się oschle wachmistrz. Przelotnie spojrzął na zakonnicę i mimowolnie potarł ucho.

– Siostra Klara. – Kobieta skłoniła sztywno głowę, kąciki jej ust nie uniosły się nawet na milimetr. – Proszę za mną, doktor Kloze czeka na panów. – Obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę wejścia do budynku.

Dopiero w tym momencie dołączył do nich Seipelt. Przywitał się z Bauschem i uniósł pytająco brwi. Klaus poczuł się zobowiązany do złożenia raportu.

– Radca sanitarny Gregor Kloze od długiego czasu pomaga w przytułku. Na jego życzenie przewieziono zwłoki właśnie tutaj, do sióstr szarytek. Zapewne kierowała nim tak wygoda, jak i chęć zachowania dyskrecji. Jeśli nasze przypuszczenia się sprawdzą, stara sprawa zaginięcia odżyje. Budziła wtedy bardzo dużo emocji i niewątpliwie będzie tak i teraz. Nie dokonaliśmy jeszcze oficjalnej identyfikacji zwłok, ale gdy to się stanie... – Policjant rozłożył ręce w znaczącym geście.

– Skąd podejrzenia, że chodzi o Sabine Hunfeld? – zapytał Koschella, wchodząc do korytarza chłodnego budynku.

– To wstępne założenie. Ubranie i biżuteria, które znaleźliśmy na i przy zwłokach, są zgodne z opisem ze zgłoszenia...

Franz skinął głową. W rozmowie z komisarzem Richterem odniósł wrażenie, że przełożony nie wątpi, iż identyfikacja potwierdzi

tożsamość dziewczyny. Nie roztrząsał jednak teraz tej sprawy. Skupił się na tym, by nadażyć za siostrą Klarą.

Z ciekawością rozglądał się wokół. Przytułek sprawiał dobre wrażenie, wewnątrz było jasne i czyste. Ktoś zadbał tutaj o detale, by zapewnić sporej kubatury pomieszczeniom wygląd domowych pokoi. W kilku otwartych salach dało się dostrzec białe drewniane meble, fotele ozdobione były wygodnymi zapewne poduchami, przy oknach zwisały kolorowe zasłony, a w kątach ustawiono sporo kwiatów.

Znalazłszy się na klatce schodowej, ruszyli w dół. Tutaj korytarz nie sprawiał już tak dobrego wrażenia. Chłód przenikał do szpiku kości, a zapach kojarzył się z wilgotną piwnicą. Wkrótce siostra Klara otworzyła drzwi i policjanci znaleźli się w pomieszczeniu, które inspektorowi zdrojowemu służyło za kostnicę.

Z doktorem Kloze przywitali się skinieniem głowy. Franz znał ten typ ludzi. Domyślał się, że jeśli będzie chciał czegokolwiek się od niego dowiedzieć, będzie musiał uzbroić się w cierpliwość i przygotować odpowiedni zestaw pytań.

Zanim jednak przystąpił do indagowania, spojrzął na leżące na stole zwłoki. Obraz, jaki ukazał się jego oczom, wydawał się nieco nierzeczywisty. Stopień rozkładu zmarłej był daleko posunięty i Franz mógłby przysiąc, że leży przed nim szkielet spreparowany do celów naukowych. W towarzystwie, które znalazło się w kostnicy, jedynie młody Bausch wydawał się mocno poruszony. Wyraźnie omijał wzrokiem stół sekcyjny.

– Doktorze Kloze, czy może określić pan wiek i potwierdzić płeć zwłok? Zna pan przyczyny śmierci?

Kloze uniósł głowę i odszukał wzrokiem osobnika zadającego mu pytania. Zamrugał kilkukrotnie, jakby miał problemy z akomodacją oka. Zapewne zbyt często wpatrywał się w szkło powiększające, którego używał do oględzin.

– Płeć żeńska, dziewczyna, szesnasto-, może siedemnastoletnia – odezwał się w końcu. Ton jego głosu był matowy i mechaniczny. –

Złamany kręgosłup, pęknięta kość potyliczna czaszki. Ponad wszelką wątpliwość przyczyną śmierci był upadek z wysokości. Niestety upadła na plecy wprost na skałkę, którą zresztą zidentyfikowałem na zdjęciach...

Koschella podążył wzrokiem za palcem doktora wskazującym biurko. Ruszył w tę stronę i przyjrzał się fotografiom.

– Proszę kontynuować, doktorze Kloze.

– Dokładnej daty śmierci jeszcze nie ustaliłem. Potrzebuję czasu na bardziej precyzyjne badania i wyliczenia – zastrzegł lekarz, unosząc dłoń, by mu nie przerywano. Uprzedził pytanie Franza. – Co najmniej kilka lat, sądząc po stanie rozkładu. W miejscu odnalezienia zwłok było chłodno, długo zalegał tam śnieg...

Koschella skinął głową, przypatrując się uważnie inspektorowi zdrojowemu. Człowiek ten mówił i poruszał się jak maszyna. Sprawiał wrażenie, że pozbawiony jest wszelkich emocji. Wydawałoby się, że doktor mający na co dzień styczność z kuracjuszami powinien przejawiać więcej empatii.

– Rozumiem, że obrażenia podczas upadku stały się przyczyną śmierci, wyklucza więc pan, że do śmierci mogło dojść gdzie indziej i ktoś mógł ułożyć tam ciało celowo? – dopytywał wachmistrz, spoglądając na zdjęcie przedstawiające skarpe.

– Takich obrażeń trudno dokonać w inny sposób. Ułożenie ciała, ukształtowanie terenu... wszystko wskazuje na to, że śmierć nastąpiła w tamtym miejscu. Jednak ustalenie, jak do niej doszło, spoczywa na panu.

Franz skinął głową. Zabrzmiało to niczym rzucone mu wyzwanie. Zostawił fotografie i podszedł do stolika, na którym złożono ubranie i rzeczy osobiste dziewczyny.

– Sabine Hunfeld... zaginęła zimą, prawda? – Franz skierował pytanie do Bauscha. Odpowiedzi jednak udzielił mu doktor:

– Luty, pamiętam tamten dzień. Uczestniczyłem w poszukiwaniach, zresztą jak niemal wszyscy z naszego miasta... Wie pan, że byliśmy blisko tego miejsca nad Białym Potokiem?

Koschella przeniósł wzrok z rzeczy osobistych denatki na inspektora.

– Spodnie, pozostałości bluzki, łańcuszek, bransoletka... Tylko to odnaleziono?

– Zgadza się – potwierdził Bausch.

– Buty? Kurtka? Kombinezon, który powinna mieć na sobie?

– Nic z tych rzeczy – poinformował tym razem Kloze, z większą uwagą przypatrując się kłodzkiemu wachmistrzowi.

– Co z identyfikacją zwłok, doktorze?

– Wydaje się, że mogę potwierdzić niemal ze stuprocentową pewnością, że to Sabine... – Kloze potoczył wzrokiem po trójce policjantów, jakby chciał nadać swoim słowom większej mocy. – Dziewczyna miała złamany lewy obojczyk po upadku podczas jazdy konnej. Stwierdziłem tutaj tę kontuzję. Dodatkowe badania przeprowadzę jeszcze dziś...

Koschella chciał zadać nowe pytanie, ale przeszkodziło mu w tym donośne skrzywienie. Drzwi kostnicy uchyliły się, a w nich pojawiła się kolejna zakonnica. Nie zważając na policjantów, dała energiczny znak doktorowi i zaraz zniknęła.

Kloze w lot zrozumiał jej polecenie i starannie nakrył zwłoki płachtą.

Kilka sekund później drzwi znów się otwały, tym razem na oścież. Wkroczyła przez nie wysoka, trzymająca się sztywno kobieta.

Koschella rozpoznał Katherine Hunfeld, żonę kłodzkiego fabrykanta i importera cygar, macochę Sabine. Ostatnie lata mocno wyostrzyły jej rysy, lecz uroda Katherine była wciąż uderzająca. Miała w sobie coś dystyngowanego, niewątpliwą klasę. Roztaczała wokół siebie aurę respektu, powodując, że nawet Koschella czuł się spięty w jej obecności.

Wachmistrz mimowolnie przeniósł wzrok na towarzyszącą Hunfeld zakonnice i doznał gwałtownego wstrząsu. Rozpoznał ją. Przez tyle lat udawało mu się jej unikać. Nie spotkał jej w Kłodzku, choć wiedział, że zajmuje się chorymi w przywzięciennym oddziale



szpitalnym. Spotkał ją za to tu, w Dusznikach. Zapewne przyjechała z Hunfeld. Z trudem oderwał wzrok od starej, pomarszczonej twarzy i przeniósł go na macochę Sabine.

– Gdzie... gdzie ją znaleźliście?

– Przy Białym Potoku.

Wachmistrz pozwolił, by ta odpowiedź wybrzmiała w pomieszczeniu. Przypomnił sobie życiorys kobiety. Jej małżeństwo ze znanym kłodzkim importerem cygar stanowiło swego czasu temat wielu plotek, być może przyczynił się do tego fakt, że Katherine była drugą żoną Hunfelda, w dodatku zdecydowanie od niego młodszą. Związkowi nie wrócono świetlanej przeszłości, przetrwał jednak i nie doznał uszczerbku nawet przez tę ciężką próbę, której doświadczyli podczas ferii zimowych w Dusznikach-Zdroju.

Hunfeld zmarł niespełna dwa lata po zaginięciu córki. Mówiono, że stracił nadzieję na jej odnalezienie, podupadł na zdrowiu, a serce odmówiło mu posłuszeństwa. Zanim to nastąpiło, oboje z żoną poświęcili się poszukiwaniom. Wynajmowali detektywów, opłacali ich podróże do Wrocławia, Drezna, Berlina... Sprawdzali każdą plotkę o choć trochę podobnych do Sabine dziewczynach, które widziano w drogich burdelach Rzeszy. Wydali majątek, szukając córki, która przez cały czas była tak blisko...

Franz widział, jakie emocje targają teraz Katherine Hunfeld. W milczeniu wpatrywała się w nieruchomy kształt pod szpitalnym prześcieradłem. Być może dotarło do niej, że ostatnich pięć lat żyła próżną nadzieją, iż Sabine kiedyś się odnajdzie. Franz zastanowił się, jak on sam by się czuł, gdyby to jego dziecko zaginęło. Czy przez tych pięć lat poszukiwań Opitza zdołałby pozostać przy zdrowych zmysłach?

– To ona? To Sabine? – spytała Katherine cichym, rozedrganym głosem. – Mogę... ją... zobaczyć?

Pytanie zawisło w powietrzu. Doktor Kloze, który swoją oschłą powierzchownością nie budził sympatii, stanął na wysokości

zadania. W jednej chwili uległ niesamowitej przemianie. Przemawiając do kobiety, był stanowczy i konkretny, a jednocześnie pełen empatii.

– Odradzam, szanowna pani Hunfeld. Minęło zbyt wiele czasu... widok panią wstrząśnie. Jesteśmy w stanie dokonać identyfikacji w inny sposób. – Sięgnął po miseczkę, w której znajdowały się osobiste przedmioty denatki.

– Ale chcę ją zobaczyć! – zaoponowała twardo przybyła. – Jeśli to Sabine... muszę ją pożegnać.

Doktor opierał się jeszcze przez chwilę, ale widać było, że ugina się pod ciężkim, stanowczym spojrzeniem kobiety. W końcu płachta została zsunięta. Katherine Hunfeld, która chciała sprawiać wrażenie opanowanej i silnej, wstrząsnął szloch. Szybko został otoczona opieką siostry Klary i doktora.

Koschella odwrócił wzrok, jakby będąc świadkiem słabości rozpaczającej matki, naruszał jej prywatność. Zauważył, że podobnie uczynił Bausch. Seipelt z kolei patrzył na Katherine bez skrepowania z jakąś tępą fascynacją.

Franz próbował zebrać w myślach wszystkie informacje o Katherine. Śmierć przybranej córki, a potem męża doświadczyła ją mocno. Przez dwa lata po zaginięciu Sabine majątek Hunfeldów został mocno uszczuplony. Wszystkie pieniądze wydawano na poszukiwania, sam interes zaś podupadł, bo Josef Hunfeld nie miał już serca do jego prowadzenia. Po śmierci męża w domu wdowy zaczęli się pojawiać dłużnicy. Wtedy też pokazała swój charakter. Zajęła się firmą. Początki były trudne, branża wydawała się zarezerwowana dla mężczyzn, ale młoda wdowa szybko zdobyła zaufanie kontrahentów. Firma w ciągu roku zaczęła przynosić przychody porównywalne do tych z okresu świetności za czasów Hunfelda. Po dwóch latach Katherine stała się największym importerem wyrobów tytoniowych w regionie. Nie zaprzestała poszukiwań Sabine. Franz mógł się założyć, że lwią część dochodów przeznaczala na opłacanie detektywów i informatorów.

– Co w tej sprawie robi policja?

Pytanie było tak niespodziewane, że w pierwszej chwili Franz nie zorientował się, że skierowane jest właśnie do niego.

– Wznawiamy sprawę, pani Hunfeld. Nowe okoliczności...

– Ona nigdy nie powinna zostać zamknięta.

Franzowi pozostało jedynie skinięcie głową. Ton głosu Katherine Hunfeld i jej mowa ciała sprawiały, że trudno było w jakikolwiek sposób sprzeciwić się jej ocenie.

– Popełniliście wtedy wiele błędów.

Koschella nie odpowiedział. Wstrzymał oddech tknięty nagłą myślą. Wiedział już, kto prowadził wtedy sprawę zaginionej. Komisarz, a właściwie jeszcze wtedy nadwachmistrz Heinrich Richter – to on stał w tamtym czasie na czele grupy śledczej.

Franz wypuścił z płuc powietrze. Czuł, że ktoś mu się przygląda. Odwrócił się do siostry zakonnej. Jej przenikliwe spojrzenie sprawiło, że zapiekły go uszy.

Klose szepnął coś do ucha Hunfeld i ta straciła zainteresowanie policjantami. Franz uznał, że rozmowę z nią odłoży na później. W takich okolicznościach nie miała sensu, obawiał się też, że nie jest do niej należycie przygotowany. Widząc nastawienie Katherine Hunfeld, mógł się spodziewać, że to on znajdzie się pod ostrzałem i będzie musiał udzielić mnóstwa odpowiedzi. Postanowił, że do tej konfrontacji dojdzie już w Kłodzku, na innym gruncie.

Nie pozostało mu nic innego, jak wykorzystać odpowiedni moment, by się pożegnać, i gdy tylko to uczynił, ruszył do wyjścia. Niczym cienie podążyli za nim Seipelt i młody Bausch. Nieoczekiwanie dołączyła do nich starsza zakonnica, która przyprowadziła Hunfeld do kostnicy.

Kobieta w milczeniu wyprowadziła ich przed budynek, jakby zamierzała się upewnić, że nigdzie po drodze się nie zawieruszą. Dopiero tam pożegnała się z nimi skinieniem głowy. Koschelli jednak nie dane było dotrzeć do samochodu, bo po pokonaniu kilku metrów usłyszał jej nieprzyjemnie szeleszczący głos:

– Panie policjancie, może pan zamienić ze mną dwa słowa?

Franz przystanął. Dał sygnał Seipeltowi i Bauschowi, by zaczekali na niego przy samochodzie, i z ociąganiem odwrócił się do przeoryszy.

– Co pan zamierza zrobić w tej sprawie? – zapytała oschle kobieta, gdy wachmistrz stanął naprzeciw niej.

– Zostałem wyznaczony do prowadzenia śledztwa. Zamierzam ustalić, co się wtedy stało. Proszę zaufać policji, wykonamy swoją pracę jak należy.

– Proszę nie żartować – kobieta parsknęła śmiechem. – Przez pięć lat owa policja nie zrobiła w sprawie Sabine zupełnie nic. Wiarę można pokładać w Bogu, a nie w ludziach, którzy najwyraźniej nie znają się na swojej robocie.

– A gdzie był Bóg wtedy, pięć lat temu, droga pani, co? – warknął Koschella. Zamilkł nagle, bo widział po twarzy zakonniczy, że tę prowokację zaplanowała. Żałował, że dał się złapać. Dodał więc spokojniej: – Jak siostra chce, niech dalej ufa Bogu, nikt tego nie zabrania. Nam jednak niech da robić swoje...

Nie czekał na odpowiedź przeoryszy. Okręcił się na pięcie i ruszył do auta.

– Ten diabeł to dalej za koszulą ci siedzi, Franz – usłyszał za plecami. – Mnie się nie udało go przegonić, ale może komu innemu się uda...

Wachmistrz nawet się nie zatrzymał. Jej słowa niemal zupełnie go nie dosięgły, tylko uszy zapłonęły żywym ogniem.

\*

Gabriele von Magnis wyczekała na odpowiedni moment, chciała mieć pewność, że właściciel składu budowlanego jest na miejscu, w swoim biurze. Wtedy przekroczyła ruchliwą ulicę i weszła do parterowego budynku. Wyminęła kilku subiektów, po czym znalazła się w korytarzu prowadzącym do części biurowej. Na jej widok sekretarz otworzył szeroko usta i zaraz je zamknął. Kobieta

wiedziała, że pracownicy zostali wyczuleni na kolejne jej wizyty przez swojego pracodawcę, Kurta Michalka.

– Czym mogę służyć?

– Chciałam rozmawiać z właścicielem.

– Czy była pani umówiona?

– Dobrze pan wie, że nie. Od kilku dni do państwa wydzwaniam, próbując umówić się z panem Kurtem. Do tej pory mi się to nie udało, postanowiłam więc przyjść bez zapowiedzi.

– Obawiam się... – sekretarz odchrząknął, zaczął wertować leżący przed nim notes. – Obawiam się, że dziś pan Kurt jest zajęty. Może w przyszłym tygodniu będę w stanie panią zapisać na spotkanie. Proszę zadzwonić, tak koło wtorku.

– Tak też zrobię. – Gabriele uśmiechnęła się do wyraźnie pocącego się mężczyzny. – Dziękuję za pana pomoc.

– Ależ... proszę... – Sekretarz był zdziwiony, że tak łatwo dała za wygraną. Był przyzwyczajony, że hrabianka Gabriele von Magnis potrafi przesiadywać na krześle w poczekalni długimi godzinami, póki Kurt Michalek nie zdecyduje się jej przyjąć.

– Do widzenia.

– Do widzenia, pani hrabianko. – Mężczyzna otarł pot z czoła i przeniósł wzrok na swój notes. Zastanawiał się, czy czasem Magnis, zaglądając mu przez ramię, nie dostrzegła rozkładu dzisiejszych zajęć Michalka. Na wszelki wypadek postanowił uprzedzić pracodawcę, że hrabianka mogła użyć kolejnego fortelu, by się do niego dostać.

Gabriele tymczasem wyszła z budynku i przeszła za jego narożnik. Tu skręciła w bramę, za którą składowano materiały budowlane. Stała w cieniu niewielkiego daszku, pod który zwykły podjeżdżać ciężarówki odbierające towar.

Zaledwie kwadrans później zobaczyła, jak tylnym wyjściem wymyka się Kurt Michalek. Mężczyzna ten w pośpiechu zakładał marynarkę i poganiał kierowcę, który podbiegł do samochodu zaparkowanego po drugiej stronie placu.

Nim zdążył dotrzeć do pojazdu, usłyszał za sobą głos Gabriele:

– Świetnie, że pana widzę!

Obrócił się na pięcie w sposób tak niefortunny, że spadł z ostatniego schodka. Zaklął pod nosem i uniósł kontuzjowaną stopę.

– Mam nadzieję, że nic się panu nie stało? – Gabriele stanęła przy nim i współczująco dotknęła jego ramienia. – Jeśli potrzebuje pan pomocy, chętnie jej panu udzielę.

– Nie... nic mi nie jest. – Kurt wykrzywił się w uśmiechu, choć w rzeczywistości straszny ból promieniował z jego śródstopia. – Pani hrabianko, jakaż niespodzianka. Co panią sprowadza?

– To, co zawsze, panie Michalek. Potrzebujemy pana pomocy. Dach w lazarecie przy Minoritenkirche przecieka, przydałyby się materiały do łatania dziur, wymiany części przegniłej więźby. Pan wie, że pomagamy tam bezdomnym, wydajemy posiłki, staramy się ich leczyć... ale jeśli przyjdzie większy deszcz, zatoniemy.

– Wiem, wiem. – Michalek spojrzał na samochód, jakby się zastanawiał, czy kulejąc, da radę uciec przed hrabianką i schować się we wnętrzu pojazdu. – Ale niech mi pani powie, dlaczego wciąż ja? Dlaczego pani wciąż do mnie przychodzi po prośbie?

– Bo pan ma dobre serce, panie Michalek. Pan przekáže nam z tej dobroci serca materiały, ktoś inny pokryje koszty robocizny, a jeszcze ktoś pomoże nam w zdobyciu funduszy na lekarstwa, opatrunki czy jedzenie...

Michalek się zawstydził. Wiedział, że gros tych funduszy dla potrzebujących przekazuje rodzina von Magnis.

– Stephen! – zawołał jednego z pracowników, dając owym okrzykiem upust bólowi stopy. Ulżyło mu, gdy upuścił trochę pary. – Chodź tu, młody.

Chłopak pojawił się przed pracodawcą i hrabianką niemal natychmiast.

– Służę uprzejmie – oznajmił radośnie.

– Spieszę się, hrabianka von Magnis złoży u ciebie zamówienie. Zapisz wszystko, czego potrzebuje, a Hans ma to dowieźć pod

wskazany adres. Transakcja bezgotówkowa.

– Bezgotówkowa – potwierdził Stephen, nie przestając się uśmiechać. Wpatrzony był w kobietę jak w obrazek.

– Ja się już pożegnaj z panią. – Kurt podskoczył w stronę samochodu, który zdążył zaparkować tuż przed nim. – Wszystkiego dobrego, pani Magnis.

– Bóg zapłać, panie Michalek. – Gabriele ukloniła się z wdzięcznością i ująwszy subiekta pod rękę, ruszyła do składu.

Kurt wszedł do samochodu i zatrzasnął za sobą drzwi. Zanim wyjechał na ulicę, obejrzał się za siebie. Noga przestała go boleć, ale ten ból dziwnym sposobem przeniósł się wyżej, na potylicę i skronie. Zastanawiał się, czy jak wróci z umówionego spotkania, będzie miał w swojej firmie jeszcze cokolwiek na sprzedaż. Gabriele von Magnis potrafiła zawrócić w głowie każdemu. Pozostawienie z nią młodego Stephena było nieroztropne. W uszach Michalka huczały jego własne słowa: „Zapisz wszystko, czego potrzebuje”...

– Jasna cholera – zaklął i zaraz uśmiechnął się pod nosem. Unikał tej kobiety jak ognia, ale gdy już dawał się złapać w jej sidła, wcale mu z tego powodu nie było przykro.

\*

Z całego Kłodzka to właśnie wyspę Piasek Gabriele lubiła najbardziej. Teren ten, położony pomiędzy Nysą Kłodzką a Młynówką, stanowił swego czasu podgrodzie, natomiast teraz, wraz z powstawaniem kolejnych ulic i kamienic, nabrał nowego znaczenia. Dwie wieże Minoritenkirche nieodmiennie przyciągały wzrok tych, którzy schodzili ulicą Brücktorberg w stronę kamiennego mostu i dalej na Rossmarkt. Ten malowniczy widok przyciągał także wzrok Gabriele, gdy była dzieckiem. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że tak dużo czasu przyjdzie jej spędzać w budynkach przy świątyni katolickiego kościoła garnizonowego.

Na mocy dekretu o sekularyzacji usunięto z klasztoru franciszkanów i w przykościelnych budynkach urządzono wojskowy

lazaret. Z czasem siostry zakonne zaczęły opiekować się tutaj bezdomnymi. W pracy pomagali im wolontariusze, do których należała także von Magnis. Zarówno tutaj, jak i na więziennym oddziale szpitalnym przy Gartenstrasse miała sporo obowiązków.

– Odpocznij chwilę, już jestem. – Gabriele uśmiechnęła się do przyjaciółki wydającej posiłki oczekującym w kolejce potrzebującym.

– Michalek nam pomoże? Znowu go przekonałaś? – Weronika uśmiechała się, wiedziała, jaka będzie odpowiedź Gabriele. Była od niej o kilkanaście lat starsza, zaprzyjaźniły się już jakiś czas temu.

Magnis wzruszyła ramionami, jakby to, czego dokonała, było czymś najzwyczajniejszym w świecie. Weronika wiedziała jednak, że nie było. Siostry zakonne opiekujące się lazaretem od kilku lat dobijały się do osób prywatnych i miasta o wsparcie. To, co otrzymywały, ledwie starczało na bieżące potrzeby. Gabriele miała niesamowitą zdolność zjednywania sobie ludzi i przekonywania ich do pomocy.

– Materiały powinny dziś dojechać. Trzeba jeszcze znaleźć firmę, która zajmie się remontem... ale z tym też sobie poradzimy.

Gabriele przejęła stanowisko przy wielkim kotle i uchwyciła chochlę zanurzoną w zupie. Miały do wydania jeszcze kilkadziesiąt posiłków. Dzieci, kobiety i mężczyźni stali cierpliwie w ogonku, czekając na swoją kolej.

Gdy kilka lat temu Gabriele zgłosiła się do pomocy, szybko zorientowano się, kim jest. Widziała ukradkowe spojrzenia i kpiące uśmiechy. Być może pracownicy przytułku spodziewali się, że będzie się wywyższać, narzucać innym swoje zdanie niczym jakaś księżniczka z bożkowskiego pałacu. Podobno ustawiono nawet kilka zakładów, ile panienka z dobrego domu wytrzyma. Żarty szybko jednak ustały i teraz wszyscy traktowali ją jak swoją.

– Postanowiłaś już coś w związku z tym wyjazdem?

Weronikę gnębiła ta myśl, odkąd nowa znajoma zdecydowała się jej zwierzyć ze zmartwień. Ciężko robiło się na myśl, że Gabriele



niedługo może ich opuścić. Nie do końca rozumiała te wszystkie zależności w wyższych sferach. Gabriele była posłuszna rodzicom, a ci, zdaje się, podjęli decyzję co do jej przyszłości. Najpierw szkoła ogrodnicza, potem sprawa z ciotką Gabriele. Młoda hrabianka była zbyt dobrze wychowana, by sprzeciwić się woli ojca i matki. Weronika uważała, że Gabriele powinna zdobyć się na odwagę i pójść własną drogą, jednak sama nie miała śmiałości, by podzielić się tą myślą z koleżanką.

– Ciotka przysłała po mnie za kilka dni...

Słyszając to, Weronika zacisnęła zęby. Nie chciała palnąć czegoś bezmyślnie. Wiedziała, co to oznacza. Gabriele miała wyjechać do Wrocławia i tam spędzić kilka miesięcy. Cioteczka planowała wprowadzić młodą krewną w zacne towarzystwo miasta. Bale, herbatki, koncerty, wszystko w jednym celu. Stara kwoka zamierzała wyswatać Gabriele z jakimś obleśnym typem.

– Nie wyobrażam sobie ciebie w roli spolegliwej małżonki jakiegoś tłuściocha.

Gabriele nie odpowiedziała. Na jej czole pojawiła się jedynie zmarszczka. Weronika uśmiechnęła się w duchu. Była pewna, że von Magnis także sobie tego nie wyobraża.

Zajął się pracą. Gabriele wlała zupę do dwóch misek przyniesionych przez Haima. Chłopiec wyszczerzył w uśmiechu szczerbate zęby i zaraz znikł za plecami dorosłych. Wiedziała, że posiłek zanieśe swojej matce. Zanotowała w myślach, że musi odwiedzić tę kobietę. Magda Ross unikała pracowników opieki społecznej jak ognia.

Gabriele nie miała złudzeń, wiedziała, skąd brała się ta postawa. Miasto już wiele lat temu zlikwidowało przytułek dla ubogich przy Sellgittplatz, zamieniając go na muzeum przyrodnicze. Od tego czasu wciąż nie znalazło się odpowiednie miejsce dla ubogich. Ludzie ci wegetowali w czasie ciężkich zim, gnieźdząc się całymi rodzinami w jednej izbie. W latach wojny całe hrabstwo przeżywało problemy z zaopatrzeniem. Brak pracy i jakichkolwiek perspektyw

sprawiał, że biedni obarczali winą za swoje nieszczęścia wszystkich wokół siebie. Trudno było zmienić ich sposób myślenia, a każda próba wyciągnięcia ręki do potrzebujących traktowana była podejrzliwie.

Mimo wszystko Gabriele była dobrej myśli. Widziała poświęcenie innych wolontariuszy i to napawało ją optymizmem. Czasy także się zmieniały. Groza wielkiej wojny powoli odchodziła w niepamięć. Ludzie chcieli żyć i żeby żyć, musieli patrzeć w przyszłość bardziej optymistycznie. Do nich należała pomoc. Zapewniali potrzebującym koce, ubrania i ciepłe posiłki. Te ostatnie wydawali w dawnym lazarecie garnizonowym przy Minoritenkirche.

– Dzień dobry, pani Grüner.

– Dzień dobry, dziecko. – Starowinka trzymała miskę w trzęsących się dłoniach. Gabriele przejęła naczynie, nalała do pełna, a potem, podążając za kobietą, zaniósła posiłek do stolika. Mogła sobie już na to pozwolić, bo w kolejce zostało zaledwie kilka osób.

– Mój Heinrich do mnie napisał, wróci niedługo...

Gabriele usiadła naprzeciw staruszki, przejęła wyciągniętą w jej stronę zaplamioną kopertę. Tę samą, którą pani Grüner pokazywała jej od trzech lat.

Przebiegła wzrokiem tekst, który znała na pamięć. List syna do matki. Ostatni, jaki napisał, zanim jego nazwisko pojawiło się na liście poległych w kłodzkim „Kreisblatt”.

– Heinrich to przystojny mężczyzna, silny, a przy tym wrażliwy. Dobre dziecko...

Trzęsący się głos staruszki i jej słowa nieodmiennie powodowały, że Gabriele czuła ucisk w gardle.

– Może panienka go pozna. Jak przyjedzie, to na pewno będzie chciał panienkę zobaczyć...

Gabriele włożyła list do koperty. Starannie ułożyła go na stole i nakryła swoją dłonią dłoń kobiety.

– Proszę jeść – powiedziała. – Musi być pani w pełni sił. Co by Heinrich powiedział, gdyby zobaczył, jak pani marnieje w oczach?

Pani Grüner uśmiechnęła się i pokiwała głową. Chwyciła łyżkę i zanurzyła ją w zupie.

Gabriele poczuła na ramieniu czyjaś dłoń. Odwróciła się. Napotkała spojrzenie siostry Klary.

– Chodź ze mną, dziecko – odezwała się zakonnica. – Musimy porozmawiać.

Było coś w jej głosie, co zaniepokoiło Gabriele. Wiedziała, że siostra Klara miała przyjechać z Dusznik dopiero za kilka dni, musiało wydarzyć się coś ważnego, skoro wróciła do Kłodzka tak szybko.

\*

– Jedziemy teraz Keyserweg. Tę drogę nazwano tak na cześć inspektora leśnego Keysera...

Koschella od blisko kwadransa wysłuchiwał w milczeniu krajoznawczego wywodu asystenta policyjnego Bauscha. Nie przerywał mu, bo nauczył się, że nawet mało znacząca informacja może się kiedyś przydać, po prawdzie był jednak bliski złamania własnej zasady. Walczył ze sobą, by nie kazać policjantowi zawrzeć jadaczki.

– Ten trakt na pewno ułatwił turystom dotarcie na Orlicę i do Złotej Sztolni. Aż dziw, że nikt do tej pory nie trafił w miejsce, gdzie znaleziono dziewczynę.

– Najciemniej pod latarnią – zauważył ponuro Seipelt. Paplanina młodzika zdaje się także na niego nie wpływała najlepiej.

Na szczęście Bausch zamilkł. Wychylił się nagle w siedzeniu i wskazał palcem pobocze przy jednym z ostrych zakrętów.

Gdy automobil stanął i wyszli na zewnątrz, Koschella podejrzliwie przyjrzał się okolicy. Chwilę wcześniej minęli idących w stronę wzgórz piechurów z ciężkimi plecakami. Mężczyźni wydawali się zadowoleni z tej wędrowki. Franz uznał, że tylko wariaci mogą cieszyć się z potu zalewającego oczy.

– Prowadź, Bausch – zarządził Koschella.

Asystent policyjny skinął głową i ruszył w dół zbocza.

Wachmistrz podążył za gadułą. Zaraz zaklął, gdy zahaczył kurtką o jeden z krzewów. Zatrzymał się i sprawdził materiał okrycia. Cholera, pomyślał, Barbara będzie musiała zacerować. Za jego plecami Seipelt śmiał się w kułak. Franz zamierzał doprowadzić go do porządku ostrym słowem, ale w tej samej chwili trzewiki Seipelta straciły przyczepność i policjant runął na ziemię, objając kość ogonową.

Koschelli od razu poprawił się humor. Nie raz już się przekonał, że cudze nieszczęście to trampolina do własnego dobrego samopoczucia.

\*

Asystent policyjny Bausch kilka razy przystawał, by poczekać na ociągających się „miastowych” policjantów. Gdy tylko zobaczył Koschellę, wiedział, z kim ma do czynienia. Rozpoznał go. Śledził sprawę geometrycznego zabójcy z zeszłego roku. Żył nią nie tylko hrabstwo kłodzkie, ale i cały kraj. Doniesienia prasowe czytał od deski do deski. Najczęściej pismaki wspominały prowadzącego tamto śledztwo kapitana Wilhelma Kleina, ale można było sporo się dowiedzieć i o wachmistrzu Koschelli. Musiał odegrać w tamtych wydarzeniach niepoślednią rolę, skoro zaraz po zakończeniu sprawy został mianowany szefem nowo utworzonego Wydziału Kryminalnego w Kłodzku.

Jeśli Bausch miałby się z kimś podzielić swoim wyobrażeniem o wizerunku policjanta, jak nic wskazałby Koschellę. W tym wypadku na ten całościowy obraz składały się przymioty zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne. Był to niewątpliwie choleryk, oschły ponurak, od którego lepiej było trzymać się z daleka. Do tego ta fizjonomia. Nie chodziło już o to, że był sękaty jak dąb, ale o samą, straszliwie oszpeconą twarz. Franzowi brakowało zapewne kawałka szczęki, przez co grymas, który co jakiś czas pojawiał się na jego fizys, powodował ciarki na plecach. W oczach policjanta wydawało

się czaić jakieś szaleństwo. Według opisów prasowych kapitan Klein budził swoim wyglądem jeszcze większą grozę. O nim jednak po zeszłorocznych wydarzeniach słuch zupełnie zaginął. Bausch był wdzięczny losowi, że nie przyszło mu dziś spotkać obu tych śledczych. Gdy się denerwował, gadał jak najęty, przy tamtych dwóch zasłużyłby sobie na opinię katarynki.

– Zaraz będziemy. To niedaleko, chodźmy – starał się przynaglać towarzyszy do szybszego marszu.

Rzeczywiście, już kilka minut później znaleźli się pod skarpą. Koschella tylko przelotnie spojrzął na miejsce, w którym odnaleziono zwłoki Sabine. Wydawał się zupełnie nie zainteresowany tym, co ma mu do powiedzenia Bausch. Zamiast tego wyminął towarzyszących mu policjantów i zaczął się wspinać na wzniesienie.

Bausch spojrzął na Seipelta. Kłodzki wachmistrz wzruszył tylko ramionami i ruszył za swoim przełożonym pod górę, nie przejmując się tym, że od dłuższego czasu sapie jak parowóz. Klaus, chcąc nie chcąc, ruszył za nimi.

Gdy obaj znaleźli się na wzniesieniu, zobaczyli, jak Franz pochyla się nad skarpą i uważnie rozgląda. Po chwili wachmistrz odwrócił się i ruszył w stronę lasu

Bausch był zbyt zaskoczony, by o cokolwiek zapytać. Obserwując wachmistrza, doznał dziwnego uczucia. Miał wrażenie, że patrzy na psa, który wietrzy trop. Droga, którą obierał Koschella, wydawała mu się zupełnie irracjonalna. Chwilami, zamiast podążać łatwiejszą ścieżką, szedł pod górę. Dopiero po dłuższej chwili do Bauscha dotarło, jaka jest tego przyczyna.

– Panie wachmistrzu? – zaczął nieśmiało, gdy Franz przystanął na dłużej, zastanawiając się zapewne, którądy iść dalej. – Uważa pan, że ona uciekała przed kimś... uciekała boso?

Koschella popatrzył na Bauscha, ale jego wzrok wydawał się nieobecny. Nie odpowiedział, jedynie skinął głową i na tym się skończyło. Znów ruszył przed siebie, jakby zwiتریł nowy zapach.

Bausch starał się kierować tą samą metodą co kłódzki wachmistrz. Próbował być przewidujący, wybierał drogę nie pod siebie, ale tę, którą najłatwiej było się poruszać komuś, kto mógł biec z przeciwnego kierunku.

Kilkanaście minut później znaleźli się na zarośniętej ścieżce. Tu Koschella znów przystanął. Popatrzył w lewo i w prawo. Tym razem obrał kierunek, którego Bausch nie przewidział.

Kilkaset metrów dalej Klaus poczuł, jak opada mu szczęka. Jego oczom ukazała się skryta wśród drzew opuszczona chata. Miał przeczucie, że właśnie tutaj chciał dotrzeć wachmistrz.

\*

Asystent policyjny Bausch w milczeniu obserwował, jak kłódzki szef Wydziału Kryminalnego przeskakuje ogrodzenie i rusza zarośniętą ścieżką do drewnianej chaty. Nie skomentował tego w żaden sposób, po prostu poszedł jego śladem. Nie protestował też, gdy policjant kopniakiem potraktował rozchwiane drzwi i wszedł do środka.

Drugi wachmistrz, Paul Seipelt, przez cały ten czas wydawał się zupełnie obojętny na działania kolegi, jakby jego własna obecność tutaj była przykrym obowiązkiem. Gdy Bausch na niego patrzył, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że na chorobliwie żółtej twarzy tego policjanta pojawia się wyraz znudzenia.

Weszli do niewielkiego przedsionka. Tu Koschella dał im znak, żeby niczego nie dotykali. Sam pchnął ramieniem kolejne drzwi prowadzące do zaciemnionej, zatęchłej izby.

Bausch i Seipelt zatrzymali się w progu, tymczasem Koschella w kilku energicznych krokach znalazł się pośrodku pomieszczenia. Wolno zlustrował wnętrze. Obserwacja, zdaje się, nie przebiegła po jego myśli, bo pokręcił głową i zwrócił się szorstko do Klause:

– Wiesz coś o tym miejscu, Bausch? Do kogo należy?

– Nie mam pojęcia – asystent zaprzeczył, widząc jednak w oczach Koschelli coś na kształt dezaprobaty, zaraz dodał: – Ale się dowiem. Kilka chałup w tym rejonie zostało opuszczonych wiele lat temu,

ludzie wyjechali za pracą. Na wojnie też poległo sporo mieszkańców naszego regionu, rudery po nich niszczeją i nie ma kto się nimi zająć.

– Tak, to miejsce opuszczono już dawno temu... – Koschella podszedł do jednej z półek i przejechał po niej palcem. Bausch widział z miejsca, w którym stał, czarną opuszkę wachmistrza. – Ale co jakiś czas ktoś się tutaj pojawia...

– Jeśli już, to pewnie turyści i włóczędzy szukający schronienia – podsunął asystent.

Koschella skinął głową, przyjmując ten argument. Wnętrze izby było w opłakanym stanie. Meble zostały niemal całkowicie przetrzebione, najprawdopodobniej służyły za rozpałkę do pieca. Na podłodze wałały się papiery, puszki po konserwach i butelki z dusznickiego browaru Rübartscha. Okna w większości wybito, te, które ocalały, zawdzięczały to przekrzywionym okiennicom. W kilku miejscach podłoga była zapadnięta i najprawdopodobniej przegniła. Dach musiał mocno przeciekać.

Koschella zapewne podobnie ocenił stan chałupy, bo nacisnął butem na jedną z desek. Ugięła się, jakby zrobiono ją z gumy.

Wachmistrz na tym nie poprzestał. Ruszył w stronę kolejnych drzwi, starając się nie dotknąć kuchennego pieca. Zdecydowanie pchnął je ramieniem i po chwili zniknął w ciemnym korytarzu.

Bausch popatrzył na Seipelta, oczekując po nim jakiejś reakcji, ale ten wpatrywał się w okno, za którym widać było gęste drzewa. Dopiero kiedy asystent policyjny ruszył za Koschellą, Seipelt podążył za nim niczym cień. Nie było to przyjemne uczucie.

W ciemnym korytarzyku Bausch odnalazł schody i ruszył nimi w dół. Po chwili znalazł się w progu piwnicznego pomieszczenia. Po plecach przebiegły mu ciarki. Cisza, która tu panowała, zdawała się wprost nienaturalna, smuga światła wydobywająca się z wąskiego okienka przy suficie rozjaśniała w kilku miejscach szare betonowe ściany i podłogę. Kiedyś zapewne trzymano tu ziemniaki i opał, teraz w izbie znajdował się jeden, jedyny mebel, który nadawał jej

nierzeczywisty wygląd. Łóżko, solidne, z żelazną ramą i wezglowiem. Ustawiono je pod jedną ze ścian. Zupełnie tu nie pasowało.

Koschella zbliżył się do mebla, obejrzał rozdarty materac i schylił się, by zajrzeć pod łóżko. Po chwili odwrócił się gwałtownie i spojrzał w stronę okna.

– Krzesło!

Bausch w pierwszej chwili nie zrozumiał, o co chodzi wachmistrzowi. Odruchowo zaczął poszukiwać mebla. Dojrzał siedzisko dopiero po chwili, ukryte w cieniu korytarzyka. Klaus doszedł do wniosku, że wiele się jeszcze musi nauczyć, nie był równie dobrym obserwatorem, co kłudzki wachmistrz. Podszedł do krzesła, a gdy wrócił z nim do pomieszczenia, postawił je przed policjantem.

Koschella nawet nie spojrzał na policyjnego asystenta. Podniósł mebel i przeniósł pod ścienne okienko. Po chwili stanął na trzeszczącym żałośnie siedzisku.

Milczał. Długo lustrował framugę i wnękę okna. Potem wyciągnął z kieszeni rękawiczki, założył je i otworzył okienko.

Znów popatrzył na coś, czego Bausch nie był w stanie dostrzec ze swojego miejsca. Zakończył obserwację. Na powrót zamknął okienko i zeskoczył z krzesła. Dopiero wtedy zwrócił się do towarzyszących mu policjantów, a jego głos zabrzmiał głucho pośród betonowych ścian:

– Trzeba będzie zadzwonić po techników, najlepiej naszych, z Kłodzka.

– Znalazłeś tam coś? – Drugi z wachmistrzów ruszył w stronę okna, jakby zamierzał sam sprawdzić odkrycie kolegi. Tamten jednak powstrzymał go zdecydowanym ruchem dłoni.

– Nic nie ruszamy, wychodzimy z piwnicy. Tak jak powiedziałem, to sprawa techników. Poczekasz na nich na górze. W pierwszej kolejności mają sprawdzić ślady krwi przy okienku...



– A ty co zamierzasz? – Seipelt najwyraźniej nie był zadowolony z wydanego polecenia.

– Asystencie Bausch, w jakim hotelu mieszkała zaginiona, wie pan? – Koschella zignorował pytanie podwładnego i zwrócił się bezpośrednio do asystenta.

– Tak, wiem – potwierdził Bausch, wyczuwając ze zdziwieniem coraz większe napięcie pomiędzy kłódkimi policjantami. – Germania. Największy hotel w Dusznikach, bardzo popularny także dziś...

– Pojedziemy tam teraz we dwóch. Z hotelu wykonam telefon do swoich ludzi.

Bausch spojrział na Seipelta, który nawet nie starał się ukrywać niezadowolenia. W końcu ruszył za Koschellą do wyjścia. Próbował nie patrzeć na łóżko – sama myśl o nim przyprawiała go o ciarki.

\*

Prowadzenie samochodu spadło na barki Klausa. W pierwszej chwili nie czuł się pewnie za kierownicą nowego samochodu, a sprawy nie ułatwiała świadomość, że siedzący u jego boku Koschella przypatruje się uważnie wszystkim manewrom. Wkrótce jednak napięcie minęło i Bausch nabrał wprawy w kierowaniu mechaniczną bestią. Poddawała się jego woli i przestała wyczyniać na drodze dzikie harce. Gdy parkował przy hotelowych rabatkach, robił to z nieukrywanym żalem.

Żwir zachrząścił pod ich butami. Wyszli z wozu niemal na wprost głównego wejścia hotelu uzdrowskiego.

Jasna elewacja budynku wyglądała przyjemnie, ogromny napis Bade-Hotel Germania widoczny był z daleka. Biało-czerwone markizy nad balkonami i bluszcz oplatający parterową drewnianą konstrukcję wysuniętą przed główną linię budynku nadawały mu styl górskich rezydencji. Bausch, patrząc na ten hotel, wielokrotnie miał wrażenie, że nie powstydziliby się go nawet włoskie kurorty.

Koschella zdawał się nie doceniać walorów architektonicznych budynku. Parł w stronę głównego wejścia niczym czołg. Asystent trzymał na wodzy swoje wrodzone gadulstwo, nie chciał niepotrzebnie rozdrażniać wachmistrza, choć korciło go, by zadać Koschelli kilka pytań. Obserwował w milczeniu jego działania, obiecując sobie, że wyciągnie z tego jakąś naukę.

A było co obserwować. Koschella najpierw skorzystał z telefonu, by zadzwonić do komisariatu w Kłodzku, potem w kilka sekund postawił do pionu recepcjonistę, który zwlekał z powiadomieniem o wizycie policji dyrektora hotelu. Wyciągnął go z za kontuaru za ucho i kazał się prowadzić wprost pod drzwi gabinetu zarządcy.

Tam przestawił na bok sekretarkę, która zagroziła mu drogę, i wparował do dyrektora, obcesowo przerywając mu rozmowę z jakimś kontrahentem.

Bausch przez cały ten czas zastanawiał się, czy powinien w jakikolwiek sposób reagować. Wspomnienie słów przełożonego, komisarza Motta, ułatwiło mu wyzbycie się dylematów. Przecież miał się trzymać z boku, w cieniu, i nawet przez myśl miało mu nie przejść, żeby się wychylać. Bausch nie wychylał się wobec tego ani na milimetr. Gdy przyszło co do czego, po prostu usiadł na jednym z krzeseł i słuchał rozmowy wachmistrza Koschelli z dyrektorem, Fritzem Scholzem.

– Odnależliście ją? – Scholz był wstrząśnięty i wcale tego nie ukrywał. Sięgnął na ślepo po paczkę papierosów leżącą na biurku, ale strącił ją na podłogę. – Byłem pewny... Wszyscy byliśmy pewni, że została porwana. Głośno wtedy było o tych bandytach, którzy porywali dziewczyny na terenie kraju.

– Jak pan widzi, Sabine Hunfeld nie została wywieziona ani z kraju, ani z hrabstwa – zauważył chłodno Koschella.

– To znaczy, że to był nieszczęśliwy wypadek? Zgubiła drogę? Z jakiegoś powodu wracała z Zieleńca do Dusznik sama, zostawiwszy przyjaciół, i spadła ze skarpy?

Bausch uważnie obserwował właściciela hotelu. Ten zwiualizował sobie okoliczności zaginięcia i śmierci dziewczyny dosyć sprawnie. W pierwszej chwili Klaus zdziwił się, że w słowach tego mężczyzny wyczuł dziwny ton, coś jakby ulgę. Był pewny, że podobne spostrzeżenie musiał mieć Koschella.

– Tego nie powiedziałem, panie Scholz... – Pod wpływem spojrzenia wachmistrza hotelarz zaczął się wiercić. – Nie rozważajmy jednak ostatnich wydarzeń, będą one przedmiotem badań policji. Wróćmy raczej do przeszłości. Rodzina Hunfeldów zatrzymała się wtedy w Germanii. To wspaniała hotel, który zapewne bardzo dba o swoją reputację. Musieliście mocno odczuć całą tamtą sprawę...

– Odczuliśmy ją jako ludzie, panie wachmistrzu, którym los bliźniego nie jest obojętny. – Scholz wyprostował się w fotelu, wyraźnie dotknięty słowami wachmistrza. – Pamiętam tę wspaniałą dziewczynę. Cały czas uśmiechnięta, dobrze wychowana, obdarzona niebywałym talentem muzycznym... Gdy dowiedzieliśmy się o jej zniknięciu, cały personel zaangażował się w poszukiwania. Ja także osobiście robiłem wszystko...

– Godne pochwały, doprawdy – przerwał Koschella. – Jednak to tutaj, wśród gości hotelu i jego pracowników, szukałbym w pierwszej kolejności osób odpowiedzialnych za zniknięcie panny Hunfeld.

To spostrzeżenie zawisło w powietrzu niczym ładunek wybuchowy. Scholz był zbyt wstrząśnięty słowami Koschelli, by zdobyć się na jakikolwiek komentarz, zamiast tego schylił się po leżącą na podłodze paczkę. Podniósł ją, wyciągnął z niej papierosa i zapalił. Mocne zaciągnięcie się dymem spowodowało zapewne powrót wewnętrznej równowagi, bo w końcu Scholz przemówił:

– Takie teorie miał pana poprzednik prowadzący przed laty dochodzenie, wachmistrz... nie, teraz komisarz Richter. Obecnie, zdaje się, jest to pana przełożony w Kłodzku. – Przysunął do siebie popielniczkę i strząsnął do niej popiół. – Przyznam, że wtedy, usłyszawszy jego słowa wypowiedziane w tym gabinecie, czułem

wyrzuty sumienia, których... nie powinienem czuć. Jeśli rzeczywiście wśród gości hotelu byli tacy, którzy dokonali porwania Sabine, w jaki sposób miałbym zapobiec ich działaniu? W jaki sposób miałbym im przeszkodzić, nie wiedząc o ich planach? Panie wachmistrzu, niech mi pan wierzy, ta sprawa nie opuszcza mnie od wielu lat. Tkwi jak zadra gdzieś głęboko. Czuję pewną odpowiedzialność za klientów, którzy do nas przyjeżdżają. Ale nie za każdego przyjezdnego, który zawitał do Dusznik w 1916 roku! Czy pan wie, że w tamtym roku odwiedziło nasze miasto ponad siedem tysięcy kuracjuszy?

– Chciałby pan, żeby to był nieszczęśliwy wypadek, panie Scholz. Hotelarz nie odpowiedział, znów zaciągnął się dymem.

– Gdyby śmierć Sabine okazała się nieszczęśliwym wypadkiem – kontynuował Koschella – sprawę by zamknięto i do niej nie wracano. Teraz istnieje duże prawdopodobieństwo, że prasę znów zainteresuje śmierć panny Hunfeld, a w kontekście jej śmierci pojawiać się będzie nazwa Germanii, w której mieszkała wraz z rodzicami. W kontekście, dodajmy, który nie będzie sprzyjał pozytywnemu wizerunkowi spokojnego uzdrowskiego hotelu i miasta.

– To prawda – przyznał Scholz. – Przyłapał mnie pan. W ciągu kilku minut naszej rozmowy przez moją głowę przewinęło się wiele podobnych, niegodnych myśli. Chciałbym, żeby ta sprawa już nie wracała, żeby rozwiązano ją wtedy, gdy była szansa odnalezienia Sabine Hunfeld żywej. Dlaczego tak się nie stało? Przecież policja miała poruszyć niebo i ziemię, by ją odnaleźć...

Koschella skinął głową, przyjmując cenną ripostę.

– Zdaje się, że życia Sabine nikt już nie zwróci – przemówił spokojnie Scholz. – Dobrze przynajmniej, że odnaleziono jej ciało. Pan przyjechał po to, by odszukać tych, którzy przyczynili się do jej śmierci. W czym więc mogę panu pomóc?

– Potrzebuję dostępu do listy gości z okresu, w którym w Germanii zatrzymali się Hunfeldowie.

– Oczywiście, poproszę sekretarkę, by zaprowadziła pana do naszego archiwum. Będą tam wszystkie potrzebne dokumenty. Coś jeszcze?

– Czy znał pan dobrze tę rodzinę?

Scholz zgasił w popielniczce papierosa, o którym podczas ostatnich minut rozmowy najwyraźniej zapomniał.

– Tak można powiedzieć. – Skinął głową. – Łączyły nas interesy, zanim... Przez swoich znajomych ułatwiałem Josefowi kontakty z producentami cygar i papierosów. Hunfeld swego czasu był jednym z ich największych importerów w Kłodzku. Po zaginięciu Sabine się załamał. Zaniedbał wiele spraw, podupadł na zdrowiu, a cały majątek wydał na detektywów. Byłem pewny, że po śmierci Josefa firma już się nie podniesie, ale jego żona na szczęście odnalazła w sobie siły, by się nią zająć. Jestem pełen podziwu dla Katherine.

– Co może mi pan powiedzieć o interesach Hunfelda sprzed porwania Sabine?

– Był pracoholikiem, ale podziwiałem jego etykę pracy.

– Miał wrogów?

– Konkurencję, o wrogach nic mi nie wiadomo.

– Pogróżki?

– Mówiłem, nic mi o tym nie wiadomo, wachmistrzu. Tacy ludzie jak ja czy Hunfeld mogą wzbudzać zawiść, zazdrość, ale nie przyczyniamy się do otwartych konfliktów.

– A pana interesy w tamtym okresie? Czasy wielkiej wojny zapewne miały wpływ na obłożenie hotelu?

– Nic z tych rzeczy, cały czas mieliśmy gości, nie tylko z Prus, ale i z zagranicy.

– Tak, wspomniał pan o siedmiu tysiącach kuracjuszy w Dusznikach w tamtym okresie – potwierdził Koschella. – Przez wiele lat sprawa Sabine, jak pan to ujął, tkwiła w panu głęboko niczym zadra. Zapewne zastanawiał się pan wtedy i później, co tak naprawdę się z dziewczyną stało.

– Tyle razy powtarzano wersję o uprowadzeniu przez szajkę z Berlina, że w nią uwierzyłem. Jak pan wie, uwierzył w nią nawet Josef...

– Skąd wzięła się ta teoria, panie Scholz? Dlaczego tak łatwo w nią pan i inni uwierzyliście?

Hotelarz uniósł brwi. Spojrzał na Koschellę nieco zdziwiony.

– Przecież takie było oficjalne stanowisko policji. Z tego, co pamiętam, zaangażował się w to nawet Berlin...

– Zdaje się, że tak. – Koschella pokiwał głową, stracił nagle zainteresowanie rozmową, czemu dał wyraz, podnosząc się z krzesła. – Cóż, w tej chwili, zdaje się, nie mam do pana więcej pytań. Być może jednak do tej rozmowy jeszcze powrócimy.

Bausch także wstał. Wyczuł w głosie wachmistrza niedopowiedzenie, ukrytą sugestię, i zastanawiał się, czy Scholz był równie spostrzegawczy.

– Jestem do panów dyspozycji. – Gospodarz uniósł się w fotelu i podał Koschelli dłoń. – Jeśli będzie pan potrzebować noclegu dziś lub kiedykolwiek w związku z prowadzeniem w Dusznikach tej sprawy, proszę po prostu o tym poinformować recepcjonistę.

– Tak zrobię – zapewnił Franz. – Dziękuję za poświęcony czas. Jeśli można, skorzystam teraz z archiwum.

\*

Bausch i Koschella znaleźli się w sekretariacie. Kobieta, z którą już wcześniej mieli do czynienia, wysłuchiwała właśnie przez słuchawkę poleceń szefa. Gdy zakończyła rozmowę, oschle poinformowała intruzów, by podążyli za nią. Wkrótce otworzyła drzwi archiwum i ostentacyjnie wskazała półkę, na której powinni szukać interesujących ich dokumentów.

Gdy opuściła pomieszczenie, Bausch zdecydował się zadać Koschelli pytanie, które nurtowało go od dłuższego czasu:

– Myśli wachmistrz, że ta zorganizowana grupa porywaczy to od początku była bzdura? Było o nich głośno swego czasu. Podczas

wojny kraj trwał pogrążony w chaosie, znalazło się wielu, którzy zajmowali się różnymi machlojkami, także handlem żywym towarem. Ludzkie życie nie było wtedy zbyt cenne.

– A czy kiedykolwiek było, Bausch? W tej chwili niczego nie możemy wykluczyć.

Ton wachmistrza był oficjalny i szorstki, a z samego przekazu niewiele można było wyciągnąć, Bausch skinął więc tylko głową i obserwował, jak Koschella sięga po księgę, na której grzbiecie wypisano 1916 rok.

Franz celowo zdusił w zarodku kolejne pytania młodego policjanta. Po prawdzie nie miał mu zbyt wiele do powiedzenia. Sam o sprawie wiedział tyle, co nic i próbował poukładać sobie wszystko w głowie. Dzwoniąc z hotelu do Kłodzka, nie tylko wezwał do Dusznik techników, ale i przekazał archiwistom polecenie, by ci wyciągnęli wszystko, co mają u siebie, o sprawie Sabine Hunfeld. Liczył, że staną na wysokości zadania.

Przeglądając księgę, podjął kilka decyzji.

– Asystencie Bausch – odezwał się – mam dla pana zadanie. Pojedzie pan teraz do Seipelta. Razem z nim zaczeka pan na techników i ich pierwsze ustalenia.

Bausch energicznie skinął głową. Nie miał nic przeciwko. Sam ciekaw był, co technicy znajdą w tej ruderze. Jeśli rzeczywiście przetrzymywano tam Sabine Hunfeld, będzie to nie lada sensacją. Ślady krwi, które Koschella odnalazł przy okienku, mogły mieć związek ze sprawą i Bausch nie zdziwiłby się, gdyby w tamtych warunkach przetrwały wiele lat.

– Proszę przekazać wachmistrzowi Seipeltowi, że ma zabrać się do Kłodzka z technikami. Jeśli będzie psioczył, proszę podać mu rozkład jazdy pociągów i niech wraca na własną rękę. Po wszystkim, proszę przyjechać tutaj, pod hotel. Dzisiaj zostaną na noc w Germanii.

– Tak jest – potwierdził Bausch.

Popatrzył jeszcze przelotnie na Koschellę, który powrócił do studiowania dokumentów. Ten facet ruszył sprawę z miejsca w ciągu kilku godzin. Bausch nabierał pewności, że będzie świadkiem jeszcze niejednego przełomu, i to w krótkim czasie. Dziwiło go jedno: dlaczego nikt wcześniej w tym śledztwie nie wykazał choć odrobiny takiej energii jak ten policjant. Może dlatego, odpowiedział sam sobie, że nigdy prawdziwego śledztwa nie wszczęto.

Bauscha nagle olśniło. Przypomniał sobie jeszcze jedno wydarzenie sprzed pięciu lat.

– Wachmistrzu, w tym dniu, w którym porwano Sabine... doszło do zuchwałej kradzieży w domu inspektora zdrojowego. Było tam składowane złoto, które skupowano na potrzeby wojenne.

– Kto dokonał włamania? – zainteresował się Koschella.

– Nie wykryto sprawcy. Podejrzanym był niejaki Armand. Jednak winy mu nie udowodniono.

– Armand...

Bausch miał pewność, że ten dusznicki bandyta nie był Koschelli obcy. Wachmistrz nie zadał jednak kolejnych pytań, a powrócił do studiowania dokumentów, dając tym samym znać, że temat uznał za zakończony.

Gdy Klaus wyszedł z hotelu, poczuł zaskakujący przyływ energii. Gdzieś z tyłu czaszki odzywały się słowa jego przełożonego, wachmistrza Motta. Miał być jedynie obserwatorem, trzymać się daleko od tej śliskiej sprawy. Prawda była jednak taka, że Klaus wcale nie należał do osób, które lubiły trzymać się w cieniu, i ostatnio coraz częściej przechodziło mu przez myśl, by wychylać się nieco bardziej niż inni.

\*

Kilkaset osób – tylu gości przewinęło się przez hotel uzdrowiskowy Germania w czasie pobytu rodziny Hunfeldów. Kilka nazwisk było Koschelli znanych, widać zaciejsi mieszkańcy Kłodzka lubili tu przyjeżdżać przynajmniej na kilka dni w roku. Scholz mówił



prawdę, mimo wojny Duszniki wciąż były lubiane wśród kuracjuszy. Pojawiło się sporo adresów meldunkowych z hrabstwa i całego Śląska. Ku zdziwieniu Franza kurort popularny był w Brandenburgii i Prowincji Poznańskiej.

Czy rzeczywiście książka meldunkowa mogła stanowić jakikolwiek trop w śledztwie? Czy porywacze mogli przebywać aż tak blisko dziewczyny i to tutaj upatryli sobie przyszłą ofiarę? Świadczyłoby to o ich dużej pewności siebie. Na pewno trzeba było taką opcję rozważyć, chociaż Koschella zaczął od tych dokumentów z bardziej prozaicznego powodu. Chciał znaleźć jakikolwiek punkt zaczepienia i mieć poczucie, że nie buksuje w miejscu, czekając na materiały, które mieli mu przysłać z Kłodzka.

Ostatni rok był czasem jego wewnętrznych zmagania. Komisarz Richter przez cały ten czas psioczył na niego, mówiąc, że nie wykazał się niczym, czym udowodniłby, że zasłużył na swoje stanowisko i pensję. Chcąc nie chcąc, Franz przyznawał mu w duchu rację. Zajmował się sprawami, które nie odbiegały zbyt od tego, co robił wcześniej jako jeden z wachmistrzów zatrudnionych w kłodzkiej policji. Jeśli przydarzyło się w Kłodzku jakieś morderstwo, to nie stanowiło wyzwania. Zabójstwa w afekcie, nieumyślne zabójstwo podczas bójki, kilka niebudzących wątpliwości samobójstw. Franz musiał przyznać, że przez cały ten rok, odkąd stanął na czele Wydziału Kryminalnego, czekał na sprawę taką jak ta. Chciał udowodnić swoją przydatność – nie tyle Richterowi, ile samemu sobie.

Sabine Hunfeld. Przyjechała do kurortu na początku lutego wraz z rodzicami i dwójką młodszego rodzeństwa. Rodzina zajmowała na drugim piętrze hotelu duży apartament, który wynajęła na dziewięć dni. Pobyt został przedłużony przez ojca dziewczyny zaraz po jej zaginięciu. Hunfeld odesłał żonę i dwójkę rodzeństwa Sabine do Kłodzka, a sam został na miejscu, by wziąć udział w poszukiwaniach. Rubryczka kosztów przy jego nazwisku została

przekreślona. Najwyraźniej Scholz uznał, że w takich okolicznościach nie wypada mu pobierać opłaty za pobyt.

Porównując kwoty płacone przez innych klientów hotelu, Koschella mimowolnie zagwizdał pod nosem. Mimo trwającej wojny, uwzględniając inflację, Scholz sporo sobie życzył za pokoje. Co więcej, nie mógł narzekać na brak klientów. Wachmistrz powrócił wspomnieniami do 1916 roku. Czyżby Duszniki ominęły te perturbacje, które trawiły resztę hrabstwa? Przez kilka kolejnych lat Kłodzko borykało się z problemami z zaopatrzeniem, a nawet pensjami, nie sądził, by reglamentacja kartkowa z tamtego okresu jakimś cudem ominęła Duszniki. Scholz musiał mieć swoje własne źródła zaopatrzenia i układy, które pozwoliły mu funkcjonować, jakby kraju nie trawił ogień wojny.

Franz przewertował księgę gości od zimy do końca 1916 roku. Na jej ostatnich stronach natrafił na ciekawy dział kosztów dodatkowych. Tutaj także znalazł nazwisko Hunfelda. Ojciec Sabine sporo płacił za jej lekcje gry na fortepianie, uiszczał też opłaty za wynajem nart i za kulig. Żonie otworzył osobny rachunek, który także opiewał na znaczne kwoty. Wyglądało na to, że lata wojny nie odbiły się na interesach importera. Gdy zimą 1916 roku Franz z trudem załatwiał opał, by nie zamarznąć na swoim poddaszu, Hunfeld bawił się w najlepsze w uzdrowisku, nie szczędząc przy tym pieniędzy na zbytki.

A co z drugim wątkiem przedstawionym przez młodego Bauscha? Czy można było mówić o przypadku, gdy w małym miasteczku w ciągu jednego dnia dochodzi do tak znaczących wydarzeń? Franz znał Armanda, a dokładniej ciemne sprawki, którymi się zajmował. Ten złodziej, przemytnik i oszust nie był na tyle lotny, by samemu zaplanować skok na skład złota w domu inspektora zdrojowego. Jego obecności w Dusznikach w tamtym okresie Franz postanowił przyjrzeć się dokładniej.

Wachmistrz zatrzasnął z rozmachem księgę. Po chwili wahania włożył ją pod pachę. Postanowił jeszcze raz przeanalizować

wszystkie dane.

Gdy wyszedł z archiwum, poczuł na sobie ciężki wzrok sekretarki. Na pewno widziała, że Franz wynosi księgę meldunkową, ale nijak tego nie skomentowała. Być może wcześniej skonsultowała taką ewentualność z Scholzem. Gdy śledczy przechodził obok jej biurka, poinformowała go, że właśnie ktoś do niego przyjechał i czeka na zewnątrz budynku.

Franz w podziękowaniu skinął kobiecie głową i żwawym krokiem ruszył do wyjścia. Spodziewał się ujrzeć kuriera z kłodzkiego magistratu z zamówionymi od archiwistów aktami sprawy Sabine, lecz już z daleka dostrzegł kogoś, kogo zupełnie się tutaj nie spodziewał. Do Dusznik osobiście pofatygował się bowiem komisarz Richter. Przełożony Franza stał wyprostowany niczym struna, wpatrując się z zamyśleniem w okna hotelu na wysokości drugiego piętra – tego, które zajmowała rodzina Hunfeldów. Koschella doznał w tym momencie dziwnego uczucia. Wieczór w Dusznikach-Zdroju momentalnie stał się chłodny.

– Dzień dobry, komisarzu.

– Witaj, Franz.

– Wejdzie pan do środka?

Richter nie odpowiedział. Koschella zrozumiał, że komisarz nie kwapi się do przekroczenia progu Germanii, ruszyli więc w stronę alejek Parku Zdrojowego. Franz nie musiał długo czekać, aż Richter przejdzie do rzeczy.

– Prowadziłem wtedy dochodzenie dotyczące zaginięcia Sabine Hunfeld, wachmistrzu. Zawieszono je z kilku przyczyn...

Koschella słuchał uważnie, nie przerywał przełożonemu. Wiedział, że Richter zawsze jest ostrożny i dobiera słowa w sposób przemyślany, zwłaszcza gdy coś dotyczy go osobiście. Stary zawsze stawiał sprawy tak, żeby nie można było się do niego przyczepić w żaden sposób. Był jak otoczek z brzegów Nysy oszlifowany przez nurt rzeki. Jednak już w tych pierwszych, krótkich zdaniach Franz dostrzegł kilka symptomatycznych przekazów, które musiały mieć

znaczenie. Richter sygnalizował zawieszenie, a nie zamknięcie dochodzenia, co Koschella zanotował sobie w pamięci. Również to, że komisarz sugerował, iż owo zawieszenie najwyraźniej odbyło się gdzieś ponad nim.

– Podejrzenia padły na grupę przestępczą z Berlina. Dokładniej tamtejsze ringvereiny. Walki o wpływy w stolicy spowodowały, że niektóre z tych mafijnych organizacji szukały nowych pomysłów na interesy. Ich członkowie zajmowali się handlem ludźmi, młodymi kobietami. Często działali jako przedstawiciele biur rekrutujących do pracy zarówno w Prusach, jak i za granicą. Te dziewczyny korzystały z ich usług, wyjeżdżały. Potem przez jakiś czas jeszcze pisały do domów, w końcu przepadały bez wieści. Większość pochodziła z nizin społecznych, same zgłaszały się do biur. Czasem jednak rekrutujący poszukiwali specjalnego towaru na zamówienie...

Koschella cały zamienił się w słuch.

– Były to szczególne zlecenia, zapotrzebowania na określony typ kobiet: wykształconych, ładnych, do tego bardzo młodych, takich, które były jeszcze...

– Dziewicami? – dopowiedział wbrew sobie Koschella. Wiedział, że komisarz zawiesił głos, oczekując, że to on dokończy zdanie.

– Właśnie – potwierdził Richter.

– Od razu przyjął pan taką wersję? Uważał pan, że Sabine została porwana przez berlińską grupę?

– Nie. – Komisarz zatrzymał się pod jednym z drzew, którego gałęzie nisko zwisały nad ich głowami. – W początkowej fazie śledztwa przyjęliśmy, że chodzi o porwanie dla okupu.

– Pisały o tym gazety. Czego żądali porywacze?

Richter znów podjął wędrówkę szeroką alejką prowadzącą w głąb parku.

– Znajdzie pan ich list w aktach, które przywiozłem ze sobą. Użyli wycinków liter i całych słów z gazet, które zidentyfikowaliśmy jako

nasz miejscowy „Grafschaft Glatz”. Żądali dużej sumy, jednak Hunfeld był w stanie ją zebrać.

– Co się więc stało? – spytał Franz, chcąc to usłyszeć bezpośrednio od komisarza.

– Co się stało... – Richter przystanął przy Teatrze Zdrojowym i zapatrzył się w niewielki budynek. – Hunfeld miał zawieźć pieniądze w wyznaczone miejsce w lesie za Zieleńcem i tam je zostawić. Porywacze zagrozili w liście, że próba kontaktu z policją oznaczać będzie śmierć dziewczyny.

– Hunfeld was powiadomił?

– Nie. Wystraszył się groźby, chciał utrzymać porwanie w tajemnicy i zapłacić okup. Był pewny, że odzyska córkę. Po złożeniu pieniędzy, naprawdę ogromnej sumy, miał dostać kolejną informację, gdzie szukać Sabine.

– Pieniądze złożył, informacji nie dostał.

Komisarz zawiesił wzrok na wachmistrzu.

– Tak, Koschella, tak właśnie się stało. Hunfeld wrócił później w to samo miejsce, ale pieniądze ktoś już podjął.

– I dopiero wtedy zwrócił się do was... Ale wy już wiedzieliście o porwaniu z innego źródła i zaczęliście działać... – Koschella był niemal pewny, że tak właśnie się stało. W tej sprawie zdecydowanie coś musiało pójść nie po myśli Richtera.

Zawrócili w stronę hotelu.

– Policję powiadomili towarzysze Sabine, którzy byli wtedy z nią w Zieleńcu na nartach. Miejscowi funkcjonariusze nie zlekceważyli zgłoszenia i przystąpili do poszukiwań dosyć szybko. Hrabia von Magnis, ojciec przyjaciółki Sabine, a także właściciel Germanii, Fritz Scholz, wykorzystali swoje kontakty. Postawili na nogi miejscowy komisariat i nas w Kłodzku.

– Wtedy pan przyjechał i przejął śledztwo?

– Tak.

– Ale poszukiwania zostały równie szybko przerwane. Dlaczego? Richter skinął głową, jakby czekał właśnie na to pytanie.

– O zaginięciu powiadomiono nie tylko nas, ale i Berlin.

– Kto powiadomił?

– Komisariat w Dusznikach, jeden z miejscowych nadgorliwców stojących na jego czele, komisarz Mott. Zrobił to jednak zgodnie z zaleceniem, które kilka miesięcy wcześniej dotarły do wszystkich prezydiów policji w Prusach. Przypadki zaginięć młodych dziewczyn miały być niezwłocznie zgłaszane bezpośrednio do Berlina, do śledczych prowadzących sprawę szajki porywaczy.

– Berlin wmieszał się w sprawę?

– Te dupki ją przejęły, Franz. Dostaliśmy wyraźne polecenie, żeby dać sobie spokój. Śledczy byli na tropie grupy, która miała siedzibę w stolicy, jednej z grubych ryb zamarzyło się rozbicie ringvereinów. Byli przestępcy tworzący te organizacje stali się zbyt zuchwali, nadepnęli na odcisk nie temu, komu trzeba. Śledczy mieli już ich na widelcu, a nasze działania mogły zniweczyć dwa lata pracy...

– Wysłali do Dusznik swoich ludzi ze stolicy?

– Mieli pojawić się w Dusznikach, jednak ze mną się nie skontaktowali.

Koschella zmarszczył brwi. Ta sprawa śmierdziała na kilometr. Czyżby Richter uniósł się wtedy honorem? Skoro Berlin go zignorował, nie miał zamiaru angażować się w sprawę? To byłoby podobne do tego małostkowego drania. Zresztą cała ta sprawa ringvereinów wydawała się niejasna. W ostatnich latach ich aktywność była w stolicy coraz większa, zapewne nie ustępowali rozmachem mafii nowojorskiej czy tej z Chicago.

– To wtedy zawieszono dochodzenie?

Spojrzenie Richtera wystarczyło, by Franz zdał sobie sprawę, że przełożony potraktował pytanie jako retoryczne.

– Głupota – powiedział Koschella. – Mam rozumieć, że dla dobra swojego śledztwa ci w Berlinie postawili krzyżyk na dziewczynie? Mają Sabine na sumieniu...

– Według śledczych porywacze byli już wtedy daleko od Dusznik wraz z córką Hunfelda. Uznali, że poszukiwania na miejscu nie mają

sensu. Zgodnie z kodeksem honorowym tych organizacji morderstwo nie wchodziło w rachubę. Dziewczynę spodziewano się prędzej czy później znaleźć żywą w stolicy.

– Tyle że odnaleźliśmy ją, jej zwłoki, kilka kilometrów stąd. Nigdzie nie wyjechała, wychodzi więc na to, że tak naprawdę z jej porwaniem ringvereiny nie miały nic wspólnego.

– Jest pan pewny, wachmistrzu?

Franz zdał sobie sprawę, że to nie było pytanie, raczej otwarcie na dalszą część dobrze zaplanowanej przez Richtera rozmowy.

– Widziałem zdjęcia Hunfeld zrobione jej za życia. Jeśli ktoś miał ją porwać, to nie dla jej urody, ale dla pieniędzy ojca. Stąd okup, zresztą podjęty. Po prostu coś musiało pójść nie tak.

– Twoja spostrzegawczość jest niezwykła, a bezpośredniość wręcz ujmująca. – Głos Richtera stał się zgrzytliwy, jednak komisarz nie zaprzeczył słowom Franza. Milczenie, które zapadło po tych słowach, znów było znaczące.

– Szukamy kogoś, kto znał Hunfelda – kontynuował Koschella. – Dokładniej osobnika, który orientował się w jego możliwościach finansowych. Być może nawet kogoś stąd, z hrabstwa, z Kłodzka, a może Dusznik.

– Nie chcę studzić twojego zapału, wachmistrzu, ale ta sprawa może być bardziej skomplikowana, niż ci się wydaje.

– Wręcz przeciwnie, komisarzu, może okazać się prostsza, niż pan myśli. – Koschella poczuł się pewniej, choć jego deklaracja zdawała się rozbawiać Richtera. – Możemy się nią zająć na nowo. Kto ma wymierzyć sprawiedliwość, jak nie my? Jeśli komisarz pozwoli mi na użycie wszelkich koniecznych środków, to ruszenie tej sprawy z miejsca pozostanie kwestią czasu.

– Masz wszystko, Koschella, oprócz czasu... – zaanonsował Richter.

Wachmistrz zdał sobie sprawę, że właśnie docierają do konkluzji tej rozmowy.

Zatrzymali się przy samochodzie, kierowca otworzył przed Richterem drzwi. Ten sięgnął po teczkę leżącą na tylnym siedzeniu

i podał ją Franzowi.

– Berlin lada chwila dowie się o odnalezieniu ciała Sabine Hunfeld. Jej macocha, Katherine, rozpoczęła właśnie krucjatę przeciw nam. Jeśli nawet nie ona, to ten usłużny idiota Mott nie wytrzyma i znów do nich zadzwoni. Spodziewam się, że stolica zacznie maczać palce w sprawie, ale tak naprawdę nikt nie będzie chciał rozgrzebywać tego gówna. Jak wiesz, ringvereinów nie rozbili, żadnych handlarzy nie oskarżyli, nikogo nie skazali... Masz nie więcej niż dwa tygodnie, by zrobić coś w sprawie Sabine. Tyle jestem ci w stanie zapewnić. Jeśli nie uda ci się ustalić, kto stoi za jej porwaniem, już nikt nie pozwoli nam tknąć tej sprawy, a opinia publiczna rozerwie nas na strzępy. Rozumiesz?

Koschella nie odpowiedział. Zastanawiał się, kogo bardziej boi się Richter: Berlina czy wpływowej Katherine Hunfeld. Chyba znał odpowiedź na to pytanie. Trzymana pod pachą księga gości hotelu Germania i lekki skoroszyt z dokumentami śledztwa parzyły mu skórę.

– Koschella, dwa tygodnie. – Richter, zdaje się, chciał się upewnić, że jego słowa dotarły do podwładnego. – Pokaż, na co cię stać. Bo w końcu kto ma wymierzyć sprawiedliwość, jeśli nie ty?

Franz nie był pewny, czy w głosie Richtera słyszy kpinę, czy rzeczywistą zachętę. Patrzył długo za odjeżdżającym przełożonym, a teczka coraz mocniej paliła go w dłoń.

\*

– Odnaleziono ją, drogie dziecko...

W pierwszej chwili do Gabriele nie dotarło, o czym mówi zakonnica. Coś było jednak w jej spojrzeniu, w ruchu dłoni, którą nakryła jej własną, że zrozumiała.

Poczuła ucisk w żołądku. Zupełnie jakby ktoś zacisnął jej trzewia w imadle; stamtąd rozprzestrzenił się lodowaty chłód po całym ciele. Nie była w stanie wykrztusić z siebie nawet jednego słowa.

– Dziś rano odnaleziono ciało Sabine nad Białym Potokiem.



Gabriele pokręciła głową. Niby wiedziała, co mówi do niej siostra Klara, ale nie była w stanie przyjąć tych słów do wiadomości. Sabine była martwa, przez te wszystkie lata leżała gdzieś tam w lesie, samotnie pośród drzew. Gabriele nie rozumiała tego.

– Lekarz potwierdził, że to ona. To stało się wiele lat temu, najpewniej zaraz po porwaniu. Przykro mi, Gabriele, wiem, że byliście blisko, ale przynajmniej mamy już pewność, co się wtedy stało... Sabine jest już u Pana...

Gabriele podniosła się z ławki. Musiała przytrzymać się oparcia, bo straciła równowagę. Nie była w stanie wydusić nawet słowa. Ruszyła przed siebie, nie wiedząc nawet, w jakim kierunku zmierza. Szła długo. Przytomność przywrócił jej huk wody przy jazie zastawkowym. Tutaj przystanęła i usiadła na trawie.

Sztuczny wodospad zagłuszył jej myśli, zupełnie jakby wypłukiwał z niej wszystkie bolesne wspomnienia. Poczowała łzy na policzkach. Nie powstrzymywała ich. Nie pamiętała, kiedy ostatnio płakała. Nie uroniła łez na pogrzebie czwórki rodzeństwa, a przecież pękało jej serce. Ten cały ból kumulował się gdzieś głęboko w środku. Tamy puściły dopiero teraz, uwalniając falę żalu i rozgoryczenia, która pomknęła naprzód z równie wielkim impetem jak woda przelewająca się przez próg jazu.

Sabine. Chyba przez te wszystkie lata w Gabriele wciąż tliła się iskierka nadziei, że jej przyjaciółka się odnajdzie. Pamiętała tamten straszny dzień. Chwilę, w której Sabine długo nie wracała do gospody. Wyszła wtedy potajemnie zapalić papierosa. Kryła się z tym nawet przed Gabriele, choć ta wiedziała o jej słabości. Często później wyrzucała sobie, że powinna była wtedy wykazać się większą stanowczością. Gdyby nalegała, może Sabine rzuciłaby palenie i nic by się nie stało?

Nie, Sabine chodziła własnymi ścieżkami, była niezależna, nie dało się nadażyć za jej pomysłami. Nikt by jej do niczego nie zmusił.

Ile to trwało? Kwadrans, może dwadzieścia minut. Sabine nie wracała. To nawet nie Gabriele zaniepokoiła się o przyjaciółkę, tylko

chłopak, który dołączył do nich na stoku w Zieleńcu. Thomas, wysoki przystojny młodzieniec, ich instruktor jazdy na nartach. Był na jednodniowej przepustce z kolegami z batalionu garnizonowego z Kłodzka, który wtedy stacjonował na granicy. Towarzyszył im cały dzień i wydawał się z tego powodu bardzo zadowolony. Być może dlatego, że obie robiły do niego maślane oczy.

Wiele razy analizowała tamten dzień i chwilę, w której zdała sobie sprawę, że z Sabine mogło się stać coś złego. W jej głowie pojawiały się obrazy, wyraźne i ostre. Takie pozostały do dziś, choć wydawałoby się, że po czasie wyblakną niczym utrwalone na starej kliszy. Pamiętała każdy szczegół tamtego dnia.

Wyszli w trójkę na zewnątrz, ona, Thomas i Bastian Rabe, siostrzeniec właściciela Germanii. Rabe nie był zbyt zadowolony z tego faktu. Może dlatego, że tego dnia pomiędzy nim i Sabine wyczuwalne było jakieś napięcie. Ten ponury, introwertyczny młodzieniec wciąż chodził z zadartym nosem. Obserwował i analizował wszystko, co się wokół działo. Nie włączał się do rozmowy, ale słuchał uważnie każdego wypowiedzianego słowa, jakby z nadzieją, że kiedyś wykorzysta swą wiedzę przeciw innym. Bastian miał w sobie jednak jakiś magnetyzm, któremu trudno było się oprzeć. Tym bardziej dziwiło to, że Sabine, która wcześniej wydawała się nim zainteresowana, diametralnie zmieniła o nim zdanie. Gabriele zastanawiała się, co do tego doprowadziło. Martwiło ją też, że ów chłód przyjaciółki wyczuwała również względem siebie. Przez chwilę myślała, że Sabine jest zazdrosna. Być może zauważyła, że Bastian interesuje się Gabriele. Ona jednak wiedziała, że Rabemu imponuje tylko jej pochodzenie.

Pamiętała, że śnieg tego wieczoru skrzył się i chrzęścił pod butami jak małe diamenty. Nikogo na zewnątrz nie znaleźli. Chyba dopiero wtedy naprawdę się zaniepokoiła. Wiedziała, że Sabine potrafi być nieobliczalna, ale nie zostawiłaby Gabriele samej w gospodzie. Szaleństwo przyjaciółki miało granice.

To Bastian znalazł rękawiczkę, a Gabriele ją rozpoznała. Ciepłą parę podarowała przyjaciółce w ostatnie święta.

W czasie ich poszukiwań koło gospody przejechało kilka zaprzęgów wracających do Dusznik. Thomas był pewny, że Sabine zrobiła im psikusa, wykorzystała podwózkę i zapewne lada chwila będzie w hotelu. Gabriele odczuła jednak niepokój, który nakazał jej zaalarmować ojca. Bastian stanął na wysokości zadania, poparł ją. To on odnalazł telefon w gospodzie. Powiadomił Hunfeldów, a potem policję.

Gabriele wytarła chusteczką mokre policzki. Z zamyślenia wyrwały ją dzwony na wieżach kłodzkich kościołów. Właśnie wybiły czwartą. Potraktowała to jak sygnał powrotu do rzeczywistości. Podniosła się z trawy i otrzepała spódnice.

Przez chwilę miała ochotę wrócić do Bożkowa i zaszyć się w jednym z pałacowych pokoi. Podjęła jednak inną decyzję. Musiała zająć czymś myśli. Obiecała sobie przecież, że odwiedzi małego Haima i jego matkę. Jeśli zdoła, pomoże przynajmniej żywym.

\*

Klaus Bausch od dłuższego czasu obserwował przez szybę samochodu obu mężczyzn. Nie bawił się w szpiega. Po prostu czekał w samochodzie, aż wachmistrz Koschella skończy rozmowę z postawnym, trzymającym się przesadnie sztywno mężczyzną.

Obaj przechadzali się alejkami Parku Zdrojowego. Kilukrotnie przystawali. Bausch doszedł do wniosku, że nieznajomy mężczyzna musi być przełożonym wachmistrza.

Gdy znaleźli się przy drugim samochodzie kłodzkiej policji, Bausch był niemal pewny, że w odwiedziny do Koschelli przyjechał sam komisarz Heinrich Richter. Mina tego policjanta sprawiała, że po plecach przebiegały ciarki. Mott przy kłodzkim komisarzu wydawał się szarą, bezzębną myszką.

Dopiero gdy samochód policyjny ruszył spod hotelu w stronę Kłodzka, Bausch zdecydował się opuścić pojazd. Zbliżając się do

Koschelli, odniósł wrażenie, że wachmistrz przebywa myślami gdzieś daleko, zapatrzony w nieokreślony punkt na horyzoncie. Nagle policjant poruszył zuchwą. Zdaje się miał w ustach niecenzuralne słowa.

– Jestem z powrotem, wachmistrzu – zakomunikował niepotrzebnie Klaus.

– I świetnie. W sam raz, żeby odpowiedzieć mi na jedno ważne pytanie. Pijecie tu tylko tę paskudną wodę, co śmierdzi jajami, czy macie też piwo?

Bausch wyszczerzył zęby i ochoczo skinął głową.

– Mamy, wachmistrzu – potwierdził. – I to nawet całkiem niezłe.

– To się okaże. Prowadźcie, Bausch, do swojego ulubionego lokalu.

Kilka minut później siedzieli w Reinerzer Brauhaus. Klaus lubił to miejsce nie tylko ze względu na smak piwa z tego browaru, ale i na panującą tu atmosferę i wystrój. Żyrandole, zasłony w oknach i fantazyjne wzory winorośli na ścianach sprawiały, że czuł się tutaj dobrze. Żałował jednak, że pojawili się w lokalu w momencie, gdy ten świecił jeszcze pustkami.

Koschella milczał. Wpatrywał się w skoroszyt, który położył na stole po swojej prawicy, i mocno się nad czymś zastanawiał. Bausch czekał, aż wachmistrz zdecyduje się odezwać pierwszy, miał przecucie, że ta chwila nadejdzie. Na razie przełykał tylko piwo, starając się nie robić tego zbyt łapczywie. Strasznie chciało mu się pić, niemal cały dzień nie miał w ustach kropli wody.

W końcu Koschella sięgnął po kufel i uniósł go do ust. Całą zawartość naczynia wlał w siebie w ciągu kilku sekund. Bausch uśmiechnął się i pomyślał, że z wachmistrza jest równy chłop. Siorbnął i skinął na kelnera, by ten przyniósł następną kolejkę.

– Co się wtedy działo w Dusznikach, Bausch, w lutym tysiąc dziewięćset szesnastego? Opowiedz, jak pamiętasz tamten rok.

– No działo się i nie działo. – Bausch wytarł usta rękawem. – Zaginięcie Sabine Hunfeld na kilka tygodni zepchnęło w cień wszystkie inne wydarzenia. Wczasowiczów było sporo, zresztą

właściciele hoteli i pensjonatów nigdy nie mogli narzekać. Ludzie zjeżdżali się tutaj, jakby wojny nie było, w cieniu pozostawała za to ta biedniejsza część Dusznik. Niemal wszyscy mieli kłopoty ze związaniem końca z końcem. Na szczęście magistrat zrobił kuchnię wojenną przy zajeździe Zur Krone, to z głodu nie pomarli. Ale mięso to był wtedy rarytas, kupowaliśmy kości czterdzieści fenigów za funt, żeby choć do zupy włożyć...

Koschella nie przerywał. Skinął jedynie głową, gdy policjant wspomniał o kościach na zupę. Jeszcze niedawno mieli z Barbarą podobne dylematy.

– Co jeszcze, Bausch?

– O! To może wachmistrza zainteresować. – Asystent policyjny stuknął się palcem w czoło. – W styczniu tysiąc dziewięćset szesnastego roku dyslokowano w rejon Dusznik i Kudowy Drugą Kompanię Piątego Batalionu Garnizonowego z Kłodzka. Chłopcy mieli dozorować granicę z Austro-Węgrami. Z tego, co pamiętam, miała być jakaś wizytacja u nas z dowództwa brygady. Szycha znaczy się, stąd te środki ostrożności. Zresztą dowódcę kompanii zakwaterowano właśnie w Dusznikach, tak jak część żołnierzy, oficerów i orkiestrę... Każdy chciał wtedy, jak był zaciąg do wojska, służyć u nich, być blisko domu. Większość naszych i tak rzucono na front. W sumie kilkuset mieszkańców Dusznik poszło na wielką wojnę, wielu nie wróciło...

– Ciebie do wojska nie wzięli, Bausch?

Asystent policyjny spojrział na Koschellę, próbując wyczuć jego intencje. Pokręcił głową, wyjaśniać niczego jednak nie chciał. Nie wzięli go, bo matka знаła wachmistrza Motta, który organizował wtedy w mieście Jugendwehrę. To Mott załatwił mu później posadę asystenta policyjnego. Lokalny komisariat miał zachować pełną obsadę, więc stanowił nieocenioną przechowalnię dla tych, których na wojnę nie ciągnęło. Zresztą Bausch, wówczas osiemnastolatek, nie miał wyrzutów, sam burmistrz Dusznik Josef Goebel mimo

powołania wywinął się od woja, mógł liczyć na wstawiennictwo szych z Wrocławia.

– Co z nadleśniczym i leśniczym? Kto pełnił wtedy te funkcje w Dusznikach?

Bausch zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć.

– Nadleśniczy Becker i leśniczy Feicke. Obaj wśród poległych.

Koschella ruszył szczęką, a jego twarz wykrzywiła się w półksiężyc. Indagował dalej:

– Miejscowi przestępcy z tamtego okresu?

– Nasuwa mi się tylko jedno nazwisko, wachmistrzu, Franz Armand. Ale o nim wspominałem.

– Łączono go z porwaniem Sabine? Przesłuchiowano?

– Po włamaniu do inspektora zaraz go nasi zgarnęli. W czasie gdy Sabine zniknęła, siedział w areszcie.

– Alibi żelazne – zauważył Franz.

– Żelazne – potwierdził Klaus. – Jak się okazało, na włamanie u inspektora też miał alibi. Kilku świadków potwierdziło, że był wtedy gdzie indziej.

– Jak na takiego pechowca w tym dniu Armand miał piekielne szczęście.

Bausch zaśmiał się i skinął głową. Miał więc rację, wachmistrz o Armandzie wiedział wiele. Zapewne i to, że odsiadywał w kłodzkim więzieniu siedemnasty wyrok z kolei. Ten miał trwać kilka ładnych lat, a bandyta wpadł jak zwykle przez swoją głupotę.

Koschella upił łyk piwa i otarł usta z piany. Błądził jak dziecko we mgle, wciąż nie wiedział, czego się uchwycić. Być może zbyt chciał zaufać intuicji. Doszedł do ponurej konkluzji: po raz pierwszy w życiu był w stanie zgodzić się ze swoim przełożonym, komisarzem Richterem, a to nie wróżyło najlepiej. Ta sprawa rzeczywiście mogła się okazać o wiele bardziej skomplikowana, niż mogło się wydawać. Na bolącą głowę domówił sobie kolejny kufel miejscowego piwa.

Godzinę później Franz stanął przed kontuarem hotelu Germania. Recepcjonista bez zbędnych formalności przekazał mu klucz do pokoju. Zanim jednak wachmistrz wszedł po schodach na piętro, wsłuchiwał się w dźwięki płynące długim korytarzem od jednej z sal.

Nie był miłośnikiem muzyki. Głębokie tony wydały mu się ponure, jednak doskonale odzwierciedlały nastrój, który go ogarnął. Ruszył za tym dźwiękiem, poddając się wrażeniu, że rozchodzi się on zupełnie przypadkowo, a jego źródło jest jedynie słuchowym mirażem.

Już zamierzał zawrócić do swojego pokoju, gdy dźwięki fortepianu uderzyły go z nową siłą. Stał przy wysokich, na poły otwartych drzwiach i zajrzał do środka. Miał przed sobą salę balową hotelu. Teraz na podwyższeniu widać było spory instrument muzyczny i dwoje ludzi, którzy nad nim się pochylali. Kobieta na oko miała blisko czterdzieści lat, siedzący obok niej mężczyzna był pod trzydziestkę. Przewracał właśnie strony nutownika i z zadowoleniem kiwał głową. Udzielał lekcji owej damie.

Koschella przeszedł w głąb pomieszczenia i niezauważony usiadł na jednym z licznych pustych krzesel.

Otworzył teczkę od Richtera. Znalazł w niej kilka wycinków z gazet, zeznania bliskich Sabine Hunfeld i krótki raport Motta, komisarza duszniczej policji.

W pierwszej kolejności wczytał się w relacje osób, które towarzyszyły dziewczynie tuż przed jej zniknięciem. Bastian Rabe, siostrzeniec właściciela Germanii, Thomas Zuber, szeregowiec z kłodzkiego garnizonu, zarazem instruktor narciarstwa. Odnalazł też osobę, której nazwisko pojawiło się także w innych dokumentach: Gabriele von Magnis, przyjaciółka zaginionej dziewczyny. Hunfeldowie i Magnisowie mieli wynajęte apartamenty tuż obok siebie.

Kobieta przestała grać. Od podwyższenia dobiegł do Franza chichot. Popatrzył w tamtą stronę i zupełnie nie zdziwił się tym, co zobaczył. Takie historie w uzdrowiskach były na porządku

dziennym. Samotne kuracjuszki i miejscowi instruktorzy jazdy na nartach, tańca lub, jak w tym wypadku, nauczyciele gry. Widział tego typu bawidamków, którzy zabawiali znudzone mężatki. Zapewne ten grajek do marnej pensji fundowanej przez hotel mógł dołożyć sporą sumkę od żądnych wrażeń dam.

Koschella odkaszlnął znacząco. Dłoń kobiety powędrowała w stronę krocza nauczyciela i cofnęła się błyskawicznie. Nie zdradzając oznak zmieszania, dama podniosła się z krzeselka i ruszyła do wyjścia. Gdy mijala Koschellę, nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

Mężczyzna także przyjął zupełnie spokojnie fakt, że został nakryty w dwuznacznej sytuacji. Podchodząc do wachmistrza, wzruszył ramionami.

– Pan do mnie? – zapytał, taksując Franza i zapewne oceniając grubość jego portfela. Być może wziął go za kolejnego kuracjusza w potrzebie. – Wiktor Prumow. Mogę jakoś pomóc?

– Widzę, że jest pan bardzo pomocny, gdy potrzeba, zwłaszcza jeśli idzie o płęć przeciwną. – Koschella nie przedstawił się. Wyczuł u Prumowa słowiański akcent, nazwisko też nasuwało jednoznaczne skojarzenia. Postawa, jaką przyjmował ten człowiek, kazała sądzić, że mężczyzna chce uchodzić za rosyjskiego intelektualistę. Jakby był co najmniej wygnanym z kraju na emigrację carewiczem.

– Rozumiem. – Mężczyzna spoważniał. – Czy ma pan jakiś związek z panią Bauer? Mogę pana zapewnić, że...

– Spokojnie. – Koschella przekrzywił głowę, nie odrywając wzroku od nauczyciela. Lubił, gdy ludzie czuli się niepewnie pod jego spojrzeniem. – Nie mam nic wspólnego z panią Bauer ani zapewne z żadną inną damą, która pobiera u pana... lekcje.

– Świetnie! – Mężczyzna się roześmiał. – Już myślałem, że jest pan jednym z mężów pań, które czasem wyobrażają sobie zbyt wiele i którym wydaje się, że płacą za coś więcej niż nauka gry na fortepianie.

– Pojawiali się u pana zazdrośni mężowie?



– Cóż... – nauczyciel zawahał się, ale zaraz uśmiech wrócił na jego twarz. Znowu poczuł się pewnie. – Przez kilka lat mojej pracy zdarzały się i takie przypadki. Częściej jednak dostaję od nich sute napiwki. Nalegają, by zajmować się ich żonami dwadzieścia cztery godziny na dobę, bo wreszcie mają święty spokój...

Jego śmiech był ordynarny. Otoczka intelektualisty rozplynęła się w powietrzu jak za dotknięciem różdżki i Koschella pomyślał, że najchętniej strzeliłby tego bawidamka w gębę. Pewnie jeszcze rok temu nawet by się nie zawahał. Jednak jako szef kłodzkiego Wydziału Kryminalnego nabrał ogłady. Chyba przez to poczuł teraz odrazę do samego siebie. Tłumił naturalne instynkty. Stąd mogły się brać jego coraz częstsze bóle żołądka. Ceną nowego stanowiska było kilka wrzodów. Zastanawiał się, na jak długo wystarczy mu tej cierpliwości i czy kiedyś nie utraci samokontroli. Był pewny, że w końcu musi wyjść z niego diabeł.

– Same się pchają do łóżka, prawda? – Koschella podjął grę, zaśmiał się równie ordynarnie jak rozmówca.

– Naprawdę, staram się wykonywać swoje obowiązki najlepiej, jak potrafię. Proszę mi wierzyć, że nie gustuję w kobietach w kwiecie wieku, szanowny panie. – Prumow mrugnął porozumiewawczo. – Marnie grają, choć trzeba przyznać, że przejawiają inne talenta...

Koschella pokiwał głową, z udawanym rozbawieniem patrząc na obsceniczny ruch dłoni Prumowa.

– A jakie talenta przejawiała Sabine Hunfeld? – zapytał, nie przestając się uśmiechać. – Lepsza była w grze na fortepianie czy w łóżku?

Powtórzony przez wachmistrza ruch nadgarstka nie wywołał u muzyka podobnej wesołości.

\*

Obok hotelu Pod Złotą Koroną Gabriele przekroczyła jezdnię i skierowała się wzdłuż kanału w Uferstrasse. Od jego strony słychać było nawoływania dzieciarni, wystarczyło jednak przejść

kilkadziesiąt metrów, by zanurzyć się w zupełnie innym, oderwanym od rzeczywistości świecie. Czas płynął tu innym, leniwym rytmem. Zupełnie jakby zostawiało się Kłodzko gdzieś daleko i nagle przenosiło się na jakąś zapomnianą przez Boga wieś. W oknach jednopiętrowek schło pranie, budynki kruszały i murszały, zamiast gwaru miasta słychać było szmer wody obmywającej zalegające w kanale otoczaki.

Gabriele przystanęła przy barierce i spojrzała w dół. Brzegi zarosły krzakami, te pokryły się listowiem. Pod mostkami widać było pięcio-, może sześćioletnich chłopców moczących stopy w potoku. Jedna z kobiet robiła pranie, druga stała obok, coś tłumacząc.

Wystarczyło spojrzeć za siebie, by nacieszyć oczy kolejnym malowniczym obrazkiem. Pocztywkowy widok, prosto z atelier kłodzkiego fotografa Georga Marxa. Łuk mostu, nad nim w środkowym planie kilka pnących się do góry budynków i w końcu obraz wyrastającej ponad miasto twierdzy.

– Pani tutaj?

Gabriele odwróciła się do Haima. Chłopak umorusany był jeszcze bardziej niż kilka godzin temu. Co prawda często mówiło się, że brudne dziecko to szczęśliwe dziecko, jednak z tego malca warstwę wrosniętego w skórę brudu trzeba byłoby zdrapywać godzinami. Ten zabieg z kolei szczęścia na pewno już by mu nie dał. Ale w tej chwili, sądząc po wyglądzie, Haim był najszczęśliwszym smykem na świecie.

– Mama jest? Chciałam z nią porozmawiać.

– Śpi, niedługo idzie do pracy. – Chłopiec wskazał krzywe drzwi jednego z domów. Zaraz okręcił się na pięcie i ze śmiechem pognął do czekających na niego pod mostem kolegów.

Gabriele odprowadziła dzieciaka wzrokiem, po czym zwróciła się w stronę domu. Doszły ją słuchy, czym zajmuje się Magda Ross. Była daleka od potępiania tej kobiety, nie to było jej rolą. Poznała życie na tyle, by wiedzieć, że różne sytuacje pchają ludzi do różnych decyzji.

Majowe słońce przygrzewało mocno. Gabriele jeszcze chwilę stała w jego zasięgu, zanim zanurzyła się w chłodne, wilgotne trzewia budynku. Objęła spojrzeniem zasuszony kwiatek w kącie korytarzyka, dziurawe wiadro i połamane krzesło. Dostrzegła dwoje drzwi: zza jednych słyhać było głośny kaszel starszej osoby, za drugimi panowała cisza. To do nich zapukała.

Nikt jej nie odpowiedział. Zastukała ponownie, głośniejsze. Nauczyła się, że w kontaktach z ludźmi musi być bardziej zdecydowana. Jeśli ktoś zobaczy jej słabość, nie będzie się liczył z jej zdaniem.

– Czego?!

To krótkie, niecierpliwie rzucone słowo wystarczyło Gabriele, by podjęła decyzję. Nacisnęła klamkę i uchyliła drzwi.

– Pani Ross? Gabriele z opieki. Możemy porozmawiać?

Usłyszała skrzypnięcie sprężyn, potem człapanie bosych stóp na podłodze. Wreszcie w progu pojawiła się rozczochrana głowa, a za nią szczupłe ciało w wymiętym ubraniu. Gabriele zastanawiała się, ile lat ma Magda Ross. Była uderzająco piękna, choć zaniedbana. Przyszło jej na myśl, że mogą być w tym samym wieku.

– Co mi tu, nikt pani nie zapraszał!

– Przyniosłam rzeczy dla Haima. – Gabriele nie miała zamiaru wdawać się w dyskusje czy wyjaśnienia. Pierwszy kontakt powinien przebiegać szybko. Musiała przejąć inicjatywę, zignorować ewentualne cierpkie słowa rzucone w jej stronę. Wcisnęła w dłoń kobiety dużą torbę.

– A kto powiedział, że potrzebuję jałmużny?

– To nie jałmużna. Zawsze coś może się przydać, jeśli nie będzie potrzebne, proszę dać Haimowi, by przyniósł mi z powrotem. Może jednak znajdzie się w okolicy ktoś, kto będzie tych rzeczy potrzebował.

Magda Ross nieco się spieszyła. Być może starała się skupić na słowach wyrzucanych przez kobietę z prędkością huraganu. W jednej dłoni trzymała torbę, drugą przygładziła włosy.

Gabriele w tym czasie dyskretnie zlustrowała pokój zajmowany przez samotną matkę z dzieckiem. Łóżko przypominało barłóg, na krzesła zalegały wymięte ubrania. Jeden z kącików izby, zajmowany najprawdopodobniej przez Haima, był czysty i uporządkowany. Zauważyła stół, na nim drewnianą figurkę żołnierza i podniszczoną książkę.

– Haim lubi oglądać obrazki w książkach, prawda?

– Czyta... próbuje czytać. – Magda Ross wyraźnie nie była przygotowana na to wtargnięcie Gabriele. Pytanie zupełnie zbiło ją z tropu, ale jednocześnie przywołało na twarz uśmiech. – Czasem nie wiem, po kim on taki zdolny...

Uśmiech zgasł tak nagle, jak się pojawił, kobieta oblała się rumieńcem. Chyba zdała sobie sprawę z dwuznaczności swoich słów.

– Mam elementarz, który mu się spodoba. – Gabriele nie pozwoliła, by krepująca sytuacja trwała zbyt długo. – Jutro, gdy przyjdzie do nas, to mu go pożyczę.

– Ale... – Widać było, że gospodyni intensywnie myśli i Gabriele odczuła ulgę, widząc jej wahanie. Wiedziała, że teraz Magda Ross walczy z samą sobą. Haim nie był jej obojętny. Nawet jeśli ona odcinała się od innych i nie chciała niczyjej pomocy, to zależało jej na dobru dziecka.

– Pożyczam, niczego w zamian nie oczekuję – zapewniła Gabriele.

– Haim jest mądrym chłopakiem. Na pewno skorzysta z elementarza.

– Co pani chce? Słyszałam, że pani to hrabianka, a chodzi w takie miejsca, że pies z kulawą nogą nie chce się zapuścić. Nie lepiej tam u siebie w zamku siedzieć, służba wszystko załatwi, nie trzeba rącek brudzić...

Gabriele uniosła dłonie. Spojrzała na nie, jakby po raz pierwszy od dawna miała taką okazję.

Były czyste, ale mocno zniszczone, wyglądały na dekadę starszą niż ona sama.

– Proszę przekazać Haimowi, żeby jutro do mnie podszedł. Dobrze, pani Ross?

Kobieta przeniosła wzrok z dłoni Gabriele na jej twarz. Wydawało się, że chce coś jeszcze powiedzieć. Zrezygnowała, znów się zaczerwieniła, jedynie skinęła głową.

– Do widzenia! – rzuciła w pośpiechu Gabriele i wyszła z izby, a potem z budynku.

Haim wspinał się właśnie na barierkę mostu. Był cały mokry, jego twarz z ciemnej zrobiła się różowa. Gabriele machnęła mu ręką, ale ten był zbyt zaabsorbowany zabawą, żeby to zauważyć. Ruszyła więc z powrotem w stronę Minoritenkirche.

W jej głowie wciąż rozbrzmiewały słowa Magdy Ross: „Czego pani chce?”.

Tak naprawdę nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Nie łudziła się, że zmieni świat. Motywacja tego typu samarytanek była najczęściej licha, wystarczyło większe niepowodzenie, by uznały, że ten właśnie świat, który chciały ratować, sprzysięgał się przeciw nim. Podobne słowa Gabriele słyszała często, oczywiście w różnej formie, przeważnie bardziej dosadnej. Kiedy hrabiance się znudzi wścibiać nos w nie swoje sprawy?

\*

Wchodząc do pokoju hotelowego, Koschella był pewny, że łeb lada chwila pęknie mu na pół. Starość. Był wrakiem człowieka. Gdy popatrzył w lustro zawieszone w korytarzyku, widział twarz poznaczoną zmarszczkami, do tego wykrzywioną jak po udarze mózgu. Nigdy wcześniej mu to nie przeszkadzało, ale teraz osiągnął stan ciała i umysłu, przy którym miał wrażenie, że rozsypuje się jak spróchniałe drzewo.

Ile wypił? Dwa, trzy piwa? Tymczasem miał wrażenie, że roztwierają się pod nim piekielne czeluście.

Zeznania, nazwiska, daty, miejsca... Starał się ułożyć wszystko w głowie, ale owo wszystko wymykało się jego percepcji.

Chora ambicja. Tak, to właśnie to, przerost ambicji gorszy na starość od przerostu prostaty. Wpakował się w gówno po uszy, podpisując rok wcześniej cyrograf z Richtermem. Na cholere było mu przyjmować szefostwo Wydziału Kryminalnego? Nie nadawał się do tego. Był wyrobnikiem. Mógł wpieprzyć podejrzanemu, wyciągnąć z niego każdą informację. Mógł wykonywać mniej lub bardziej udolnie czyjeś polecenia, ale jak na Boga miał sam poskładać do kupy te wszystkie wątki, które rozrosły się wokół tej popieprzonej sprawy? I to w dwa tygodnie?

– Kurwa! – Franz cisnął teczką na podłogę. Wycinki gazet i pisane ręcznie raporty rozsypały się po kwiecistym dywanie. – Chuj z tym wszystkim!

Podszedł do okna. Wyjrzał na zewnątrz. Coraz więcej klientów hotelu wracało z pieszych wędrówek po Dusznikach. Kobiety w doskonałym nastroju, mężczyźni nadskakujący im niczym w jakimś godowym tańcu. Koschellę zemdliło od samego patrzenia.

Zastanawiał się, czy Sabine też była obserwowana w taki sposób, wtedy, ponad pięć lat temu. Upatrzyli ją sobie tutaj czy już wcześniej, w Kłodzku? A może była przypadkową ofiarą? Może równie dobrze ten los mógł spotkać drugą z dziewczyn, śliczną Gabriele von Magnis?

Koschella poczuł skurcz żołądka, podbiegł do umywalki i zwymiotował. Wytarł usta ręcznikiem i przymknął oczy.

Sabine Hunfeld. Dlaczego zainteresowano się właśnie nią?

Trudno było uwierzyć w przypadek. Nie, to porwanie zaplanowano. Dziewczynę obezwładniono przy gospodzie, a potem przewieziono do tej chaty, w miejsce, w którym zapewne była przetrzymywana aż do ucieczki. Hunfeld otrzymał list z żądaniem okupu. Zastosował się do instrukcji, nie poinformował o niczym policji... Mimo to dziewczyna zginęła.

Koschella znów podszedł do okna. Czy on na miejscu Hunfelda też by tak postąpił? Przekazałby pieniądze na okup z nadzieją, że zwrócą mu dziecko?

Oparł się dłońmi o parapet. Być może Sabine wróciłaby do domu, gdyby nie próbowała ucieczki. Porywacze przetrzymywali ją w piwnicy, zapewne przykutą do łóżka, lecz udało jej się oswobodzić, uciekła piwnicznym okienkiem. Boso... Później, być może przez przypadek, spadła ze skarpy. Stała do niej tyłem... cofała się, musieli ją ścigać. Byli blisko...

Koschella otworzył okno, wpuszczając do pokoju świeże wiosenne powietrze. Próbował pozbyć się cierpkiego zapachu rzygowin, który rozszedł się po pomieszczeniu.

Tak, Koschella niemal widział ostatnie sceny życia dziewczyny. Jej prześladowców. Spieszyli się, nie zabrali ciała, nie ukryli go... ale zabrali pieniądze, które Hunfeld zostawił we wskazanym miejscu.

– Jasna cholera!

Koschella musiał wyrzucić z siebie te słowa głośno, bo kilka osób stojących pod hotelem popatrzyło w jego stronę.

Wachmistrz wzruszył ramionami i przeszedł w głąb pokoju. Uklęknął na dywanie i zaczął układać rozrzucone na nim kartki papieru.

Nie spanikowali, uzmysłowił sobie to nagle. Pieniądze były dla nich najważniejsze. To nie mogli być przypadkowi przestępcy. Żadne gangi z Berlina czy innego, kurwa, Paryża. To ktoś stąd, ktoś, komu się upiekło, gdy sprawie ukręcili łeb śledczy ze stolicy. Wystarczyłoby kilka pytań zadanych właściwym osobom, by wpaść na trop porywaczy.

Koschella popatrzył na trzymany w dłoniach anonimowy list do Hunfelda. Rzeczywiście litery wycięto z gazet. Kilka słów zostało wydartych w całości, jakby komuś nie chciało się bawić w żmudne składanie wyrazów z drobnej czcionki. Nie zdziwiłby się, gdyby gazetę zabrali z hotelowego lobby.

Dwa tygodnie?

Koschella pieczołowicie uporządkował wszystkie dokumenty w teczce. Gdy czytał zeznania Gabriele von Magnis, zainteresowało go kilka szczegółów. Przyszło mu do głowy, że termin, który narzucił

mu Richter, nie jest wcale tak nierealny, jak się wydawało. Czekają go wiele pracy, ale już sobie wszystko zaczynał układać.

Naraz przed oczyma stanęła mu blada twarz Katherine Hunfeld. Ciężko podniósł się z podłogi i usiadł na łóżku. Już wiedział, że bez względu na wszystko dotrzyma deklaracji, którą nieroztropnie rzucił w obecności przełożonego. Dowie się, kto porwał Sabine Hunfeld, i ten ktoś zapłaci za swój czyn głową.



## KŁODZKO, 5 MAJA 1921 ROKU

Wczesnym rankiem Koschella wykonał kilka telefonów z pokoju hotelowego Germanii. Wykorzystał nieprzespaną noc na ułożenie planu działania. Ten plan ograniczył się do jednej kartki papieru i kilku wypisanych na niej nazwisk. Jedno z nich podkreślił kilkakrotnie. Postanowił rozpocząć od rozmów z tymi, którzy towarzyszyli Sabine Hunfeld w ostatnich chwilach przed porwaniem. Wielkiego pola do popisu nie miał: z trójki znajomych dziewczyny Thomas Zuber już nie żył, w Kłodzku przebywali Gabriele von Magnis i Bastian Rabe. Franz miał zamiar w pierwszej kolejności przesłuchać tego ostatniego. Wiedział, że Rabe z racji prowadzonych interesów często przebywa poza miastem, dziś jednak był na miejscu i tę okoliczność wachmistrz postanowił wykorzystać.

Franz wymeldował się z hotelu i po krótkiej podróży samochodem dotarł do Kłodzka. Zaparkował przed kamienicą, w której mieszkał Rabe. Do środka wpuścił go niezbyt rozmowny lokaj. Poprowadził wachmistrza na piętro do salonu, gdzie czekał wysoki, przystojny gospodarz.

Rabe liczył najwyżej dwadzieścia siedem, może dwadzieścia osiem lat. Miał mocny uścisk dłoni, lecz jednocześnie dało się w nim wyczuć jakąś delikatność. Koschella potrafił zrozumieć, dlaczego młody mężczyzna zasłużył sobie na miano łamacza damskich serc. Sprawiał wrażenie tajemniczego i romantycznego, był też zadbany, o czym świadczył nie tylko ubiór, ale i wypielęgnowane dłonie oraz starannie przycięty zarost. Ułożone włosy odsłaniały wysokie czoło. Badawcze spojrzenie, jakim obdarzał swojego gościa, mogło onieśmielać, i Koschella w oczach Rabego dostrzegł czujność, a także coś jeszcze, coś bardzo znajomego: wrodzoną bezczelność.

– Proszę usiąść, wachmistrzu. Wiem o odnalezieniu biednej Sabine.

Franz zajął miejsce w fotelu, którego wartość zapewne przekraczała jego roczną pensję. Nie rozglądał się po urządzonym z przepychem wnętrzu, nie chcąc, żeby cokolwiek go rozpraszało.

– Składałem już zeznania. Minęło od tamtego czasu pięć lat. Nie wiem, czy jestem w stanie dodać coś więcej.

– Najprawdopodobniej ma pan rację, panie Rabe. Jestem jednak pewny, że przez tych kilka lat zdarzało się panu powracać myślami do tamtych wydarzeń. Być może nawet po takim czasie przypomniał się panu jakiś szczegół, na który wtedy, pod wpływem niewątpliwych emocji, nie zwrócił pan uwagi. Zaginięcie przyjaciółki musiało mocno panem wstrząsnąć.

– Zaginięcie Sabine wstrząsnęło wszystkimi. Ale ma pan rację, wielokrotnie wracałem myślą do tamtych wydarzeń. Początkowo robiłem sobie wyrzuty, że mogłem zachować się inaczej...

– Jak inaczej, panie Rabe?

– No właśnie nie wiem jak... Nie mogłem przecież przewidzieć, że stanie się coś tak strasznego. Nic nie wskazywało na to, że może dojść do porwania.

– Zapoznałem się z zeznaniami pana i hrabianki. Według wyjaśnień Gabriele von Magnis Sabine tego dnia wydawała się nieswoja, była czymś wzburzona. Pan tego nie zauważył?

– Nie i... muszę sprostować pana wcześniejsze stwierdzenie. Z Sabine nie byliśmy przyjaciółmi, ledwie znajomymi. Nie znałem jej na tyle dobrze, by ocenić jej stan ducha tego dnia.

– Rozumiem. – Franz skinął głową. – Nic nie wzbudziło więc pana niepokoju, nic nie zastanowiło? Czyjeś nietypowe zachowanie, coś, co mogłoby rzucić nowe światło na tamtą sprawę?

– Porwanie Sabine jest dla mnie po dziś dzień zagadką, panie wachmistrzu. A jej śmierć... ciosem. Jej najbliżsi żyli przez te lata nadzieją, że dziewczyna się odnajdzie.

– Pan, rozumiem, nie miał złudzeń w tej sprawie?

– Chyba pozbyłem się ich w chwili, gdy mimo złożenia okupu Sabine nie wróciła.

– Rozumiem. – Koschella chrząknął. – Jednak dokonał pan chłodnej oceny i analizy. Jeśli spodziewał się pan już wtedy, że dziewczyna nie żyje, miał pan rację.

– Nie sprawia mi to satysfakcji, wachmistrzu.

– Oczywiście, że nie – zgodził się Koschella. Zaczął wiercić się na krześle, jakby następne pytanie, które chciał zadać, sprawiało mu trudność. – Czy mógłbym wiedzieć, co robił pan w kolejnych dniach po zaginięciu Sabine? Tego w pana zeznaniach nie ma, a bardzo mnie to interesuje.

– Nie odnalazł pan tego w zeznaniach, bo policja rozmawiała ze mną tylko w dniu zaginięcia Sabine.

– No tak, logiczne. – Koschella uśmiechnął się idiotycznie, jak przyłapany na prostym błędzie uczniak. – Zaspokoi pan jednak moją ciekawość?

– Dołączyłem do poszukiwań. Przeczesałismy teren w pobliżu gospody, także w okolicach Zieleńca. Policja kazała nam jednak odpuścić, gdy pojawił się wątek szajki porwaczy.

– Nie wierzył pan w tę szajkę?

– Wydało mi się to pozbawione sensu.

– Dlaczego?

Rabe zamilkł i sięgnął po papierośnicę. Wysunął ją w kierunku gościa, ale ten odmówił poczęstunku. Płomień zapalniczki uniósł się w stronę cygaretki i Rabe zaciągnął się dymem.

– Pieniądze, panie wachmistrzu. One odgrywały tu rolę. Ktoś chciał pieniędzy ojca Sabine.

– Dostał je. Dlaczego więc dziewczyna nie wróciła do domu?

– Na to pytanie będzie pan musiał znaleźć odpowiedź. Nie spodziewa się pan chyba, że rozwiążę tę sprawę? Nie pracuję w policji.

Koschella zignorował ten przytyk.

– Gabriele von Magnis sugerowała, że w dniu porwania pan i Sabine nie odnosiliście się do siebie zbyt życzliwie. Może się pokłóciliście?

– Hrabianka Gabriele von Magnis odniosła mylne wrażenie. Sabine tego dnia rzeczywiście wydawała się... nie mieć humoru. Jednak chyba wszyscy odczuliśmy to w równym stopniu.

– Łączyło pana z Sabine coś więcej?

Rabe zmarszczył brwi, wydawało się, że nie zrozumiał pytania.

– Mówiłem, że nie byliśmy nawet przyjaciółmi.

– Jedno nie wyklucza drugiego. – Koschella pozwolił, by to stwierdzenie wybrzmiało wystarczająco długo.

– To bezczelne pytanie. Nie zniżę się do odpowiedzi.

– Nie musi pan – zgodził się wachmistrz. – Te i inne pytania zadawać jednak będę panu przy każdym naszym kolejnym spotkaniu...

– Zamierza mnie pan nachodzić? W jakim celu? Dlaczego moje zeznania są dla pana tak ważne?

– Przyczyniła się do tego pana niewątpliwa zdolność analitycznego myślenia – Koschella nie odmówił sobie utarcia nosa zarozumialcowi. – Wykluczył pan udział ringvereinów z Berlina w porwaniu Sabine. Powiedział pan o pieniądzach Josefa Hunfelda, które miały decydujące znaczenie. Konsekwencją tych przesłanek jest przyjęcie założenia, że porywaczy należy szukać w najbliższym kręgu ofiary i jej ojca.

– A ja jestem w tym kręgu?

– Oczywiście – zgodził się pogodnie Franz. – Nawet jeśli nie był pan przyjacielem Sabine...

– Nie mogłem uczestniczyć w porwaniu dziewczyny. Jak pan wie z raportu, przebywałem z Thomasem i hrabianką von Magnis w gospodzie...

– Porywaczy było kilku, panie Rabe.

– Czy coś pan sugeruje, wachmistrzu? Powinienem rozmawiać z panem w obecności adwokata?

– Decyzja należy do pana. Być może jednak chcę wykorzystać pana. Pobudzić pańską pamięć. Może powie pan coś, co mnie zainteresuje? – Koschella wyczekująco spojrział na gospodarza.

Postanowił pójść za ciosem. – To wzburzenie, które Sabine odczuwała w dniu porwania: z czym mogło być związane? Przecież nie domyślała się, że przytrafi jej się coś tak strasznego. Co takiego mogło wydarzyć się rankiem tego dnia, tuż przed wyjazdem, co sprawiło, że nastrój dziewczyny uległ tak gwałtownej zmianie? Nie zwierzyła się z tego nawet swojej przyjaciółce? Przecież były tak blisko, mówiły sobie wszystko.

– O to chyba powinien pan zapytać hrabinę. – Rabe wymownie sięgnął po wiszący na łańcuszku zegarek.

– Zrobię to, oczywiście. – Koschella wyczuł w głosie Bastiana zniecierpliwienie. Postanowił pograć na tej strunie. – Myślę jednak, że hrabianka von Magnis nie zna odpowiedzi na to pytanie. Nie dlatego że nie były tak bliskimi przyjaciółkami z Sabine, jak mogło się wydawać... Podzielę się z panem swoimi przemyśleniami. Wydaje mi się, że istnieją dwie możliwości takiego stanu rzeczy. Sabine ukrywała przed hrabianką, jak pan to określił, swój stan ducha, bo zajmująca ją sprawa dotyczyła właśnie hrabianki lub też... w jakiś sposób krępowała ją obecność pana i Thomasa.

– Myśli pan? – W głosie Rabego słuchać było wyraźny kpiarski ton.

– Tak właśnie myślę, choć może to zwykły strzał...

– Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi, panie wachmistrzu. Skoro ani hrabianka, ani ja czy Thomas nie poznaliśmy owej tajemnicy Sabine, znaczy to chyba, że zabrała ją ze sobą... do grobu.

– Tak się wydaje, drogi panie – zgodził się Franz, z powagą kiwając głową.

Rabe wstał z fotela i zapiął guzik marynarki. Dał tym do zrozumienia, że wizyta dobiegła końca.

– Dziękuję za przyjęcie mnie mimo tylu obowiązków, które zapewne ma pan na głowie.

– Miał pan szczęście, bo dziś wyjeżdżam na kilka dni.

– Rozumiem, rozumiem – westchnął Koschella, zmierzając u boku gospodarza w stronę wyjścia z gabinetu. – Interesy, zgaduję. Pieniądz, jak pan zauważył, odgrywa w naszym życiu ogromną rolę.

Rabe wypuścił wachmistrza na korytarz. Nie podał mu ręki na pożegnanie. Pozwolił, by w progu policjanta przejął lokaj.

– Dla pana też pieniądz jest ważny, wachmistrzu?

Koschella odwrócił się do gospodarza. Ten stał w drzwiach, patrząc wyczekująco na niego.

– Oczywiście – potwierdził policjant. – Ale ważniejsze jest dla mnie poznanie owej tajemnicy, o której rozmawialiśmy.

Koschella wyszedł z kamienicy w chłód dnia. Gdy zatrzasnęły się za nim drzwi, postawił kołnierz płaszcza. Zapatrzył się w budynek naprzeciwko. Ktoś obserwował go z okna na piętrze. Zasłona poruszyła się, jakby w ten sposób ktoś komuś przekazał umówiony sygnał.

Franz przeciął ulicę i skierował się do kamienicy. Kolejne odwiedziny miał złożyć właśnie tutaj, w domu rodziców Thomasa Zuberera. Bliskiego przyjaciela Bastiana Rabego. Gdy otwierał furtkę, w uszach rozbrzmiewały mu ostatnie słowa Rabego, które ten rzucił za nim przed opuszczeniem jego domu.

– Są w życiu rzeczy ważniejsze od pieniędzy i tajemnic. Szkoda by było, gdyby nieco za późno zdał pan sobie z tego sprawę, wachmistrzu.

Mamy dwa tygodnie, by się o tym przekonać, pomyślał Koschella i ruszył do kamienicznej bramy.

## KŁODZKO, 18 MAJA 1921 ROKU

Niebo nie płakało na pogrzebie Sabine Hunfeld. Błękit rozświetlonego przedpołudniowym słońcem nieba przypominał wakacyjne, pełne beztrudnych dni. Na ulicach Kłodzka nie widać było jednak radości. Gabriele von Magnis szła wśród tłumu w stronę starego miasta i Kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Unosił ją powolny, leniwy nurt. Dobiegały ją przyciszone głosy, strzępki rozmów i opowieści. Wszyscy ulegali podniosłemu nastrojowi. Wszystkich połączyło coś trudnego do opisania. Sklepiarze zamykali interesy i dołączali do tłumu, choć najpewniej nie mieli w planach uczestnictwa w pożegnaniu Sabine.

Dzieci, dorośli, starcy. Ilu z nich znało Sabine? Raczej niewielu. Co więc pchało ich, by uczestniczyć w pogrzebie zmarłej przed pięciu laty dziewczyny? Ciekawość? Gabriele wiedziała, co powiedziałyby na to Sabine: zapytałyby, czy ci ludzie nie mają nic lepszego do roboty.

Orszak skręcił w Kirchgasse. Gabriele przeszła przez Czarną Bramę i ruszyła w stronę kościoła. Przez chwilę miała ochotę zawrócić, ale chęć pożegnania Sabine była silniejsza.

Tłum otoczył kościół. Ludzie wypełnili Kirchplatz i boczne uliczki. Szła pośród tej niemej ciszy w kierunku bramy świątyni. Wkroczyła do środka wraz z pierwszymi dźwiękami kościelnych organów.

Nie pamiętała wiele z mszy. Miała przed oczami Sabine. Wspomnienia zalały ją bolesną falą. Chwilami uśmiechała się do siebie, przywołując w pamięci rozmowy, których tak bardzo jej brakowało, chwilami zaś walczyła z napływającymi do oczu łzami.

Uniesienie trumny było dla niej znakiem czegoś ostatecznego. Patrzyła, jak ta wędruje nad głowami zebranych do wyjścia. Wtedy też owładnęło nią uczucie pustki.

Gabriele poczuła na sobie czyjś wzrok. Ukłoniła się Katherine Hunfeld, ta jednak wydawała się jej nie zauważać, jej wzrok był

nieobecny. Szła za trumną w towarzystwie dwójki młodszego rodzeństwa Sabine. Brat i siostra jej przyjaciółki po śmierci ojca opuścili Kłodzko. Zdecydowali się na życie na własny rachunek. Nie czuli się związani z macochą.

– Gabriele...

Von Magnis uśmiechnęła się smutno do siostry Sabine, która wypatrzyła ją w tłumie. Widok Sandry sprawiał ból. Była taka podobna do zmarłej...

Do kolumny żałobników dołączali kolejni ludzie. Gabriele wycofała się do bocznej nawy. Zdecydowała, że nie pójdzie na cmentarz, nie musi w ten sposób żegnać Sabine. Nie chciała patrzeć, jak trumna opada w czeluść rodzinnego grobowca. Zastanawiała się, czy okoliczności śmierci przyjaciółki kiedykolwiek zostaną wyjaśnione, a porywaczy spotka zasłużona kara.

\*

Josef Ziegel widział tamtego mężczyznę w świetle latarni bardzo wyraźnie. Tak zeznał jeszcze tego samego dnia podczas przesłuchania. Trudno zresztą było nie zauważyć stojącej przy Parkstrasse postaci. Wyszedł wtedy na chwilę na papierosa. Mężczyzna stał na chodniku z rękami w kieszeniach płaszcza. Patrzył na budynek łaźni miejskiej w sposób, w jaki Ziegel patrzył na żonę po trzydziestu latach małżeństwa. Niby z uwagą, ale wzrok jakby przechodził przez przezroczystą materię. Josef skinął wtedy głową, osobnik także się odklonił, choć z opóźnieniem.

Ziegel skończył papierosa i wrócił do swoich obowiązków woźnego. Zamykające się za nim drzwi nie wydały głośnego kliknięcia, do jakiego był przyzwyczajony. Wyczuł za plecami podmuch powietrza i owiewającą go woń papierosowego dymu zmieszanego z zapachem męskiego potu. Gwałtownie odwrócił się w stronę gościa, ale ten był już na schodach prowadzących na górne piętra.



Josef wzruszył ramionami. Przez lata pracy w Mariannenbad Glatz przyzwyczajony był do ekscentrycznych zachowań klientów. Nigdy nie komentował tego, co tu się dzieje – z kilku powodów. Najważniejszy był taki, że zależało mu na tej posadzie. Nie była to typowa łaźnia miejska, w której przy kąpeli w wątpliwie czystej wodzie dostawało się przy okazji grzyba między palcami stóp. Mariannenbad było kompleksowym zakładem wodoleczniczym z urządzeniami, których pozazdrościć mogły największe uzdrowiska w Prusach. Wanny i baseniki z wibracyjnym masażem, kąpiele elektryczne. Josef sam nie włożyłby do takiej wanny nawet palca, ale ludzie uwielbiali tego typu nowinki i z tym nie dyskutował.

Właściciel łaźni płacił dobrze, a często wypłacał premię, doceniając dyskrecję pracowników takich jak Josef. Dyskrecja była bowiem jedną z podstaw, na jakich opierała się działalność tej firmy. W takie dni jak dzisiejszy najwyższe piętro łaźni zamykano dla klientów specjalnych. Najpierw przybywało kilka dziewczek, które przechodziły całą procedurę ablucji w łaźniach. Większość z nich była szpetna i łasa na pieniądze, jedną tylko Josef uznawał za wartą uwagi. Zdaje się miała na imię Magda. Była młoda i ładna, choć niezbyt rozmowna. Zachowywała się jak jakieś spłoszone zwierzątko. Potem pojawiali się dystyngowani mężczyźni, którzy pozbywali się wierzchniego odzienia i szybko przemykali na najwyższe piętro. Wśród owych klientów nie brakowało kłódzkich osobistości. Gdy pobyt w łaźni dobiegał końca, mężczyźni ci, wyraźnie odprężeni, wracali po płaszcz, doceniali dyskrecję woźnego równie mocno co jego pracodawca. Na wysokość napiwków Josef nie narzekał.

Josef początkowo owego spóźnionego gościa zaliczył do specjalnych klientów łaźni. Uśmiechnął się do siebie, zastanawiając się, jak dużego napiwku może się po nim spodziewać. Sumy były wprost proporcjonalne do wyrzutów sumienia danego delikwenta. Wtedy jednak przypomniał sobie, że osobnik nie zostawił w szatni płaszcz. To wzbudziło jego niepokój, a finalnie doprowadziło do

sytuacji, w której Ziegel przestał się czuć zobowiązany do zachowania dyskrecji.

\*

Mężczyzna, który wyminął dozorcę Ziegela, działał zgodnie z planem. Każdy z kolejnych etapów miał wyliczony co do minuty i co ważne, nie napotykał żadnych przeszkód w jego realizacji.

Gdy znalazł się na drugim piętrze, sprawdził godzinę. Eteryczne olejki i wonne sole kręciły go w nosie. Musiał zatkać palcami obie dziurki, by kichnięciem nie ściągnąć na siebie niczyjej uwagi.

Dla pewności odczekał minutę i dopiero wówczas zdecydował się podejść do drzwi oddzielających zwykłą część łaźni od tej, do której wstęp mieli specjaliści klienci. Człowiek, który był jego celem, znajdował się już na miejscu.

Intruz nacisnął klamkę, a ta ustąpiła. Zlustrował korytarz. Zgodnie z zapowiedzią po ochroniarzu nie było nawet śladu. Do ostatniego etapu operacji zostało dziesięć minut.

Ruszył przed siebie spokojnym, ale zdecydowanym krokiem. Wystarczyło kilka rzutów oka, by zorientować się, że nie musi obawiać się niczyjego zainteresowania. Sflaczałe, nagie ciała poddawane były zabiegom przez kobiece dłonie. Nawet jeśli miał to być masaż erotyczny, to przypominał bardziej zawody w ugniataniu ciasta. Kilka nagich par baraszkowało w wannach. Słysząc było pochrząkiwania i obłeśne, gardłowe śmiechy mężczyzn.

Uznał, że od śmierci madame Herty i upadku burdelu przy hotelu Nowy Wrocław narybek najstarszego zawodu świata stracił na jakości. Większość dziewczyn rozjechała się po Śląsku, część wybrała Wrocław. W Kłodzku zostały te, które zdawały sobie sprawę, że kariery w swojej profesji nigdzie indziej nie zrobią.

Kolejny korytarz. Na jego końcu drzwi z napisem „Nie wchodzić”. Nacisnął klamkę i wbrew ostrzeżeniu wkroczył do dużego, przyciemnionego wnętrza.

Leżący na łóżku mężczyzna opleciony był licznymi kabelkami. Z daleka mogło się wydawać, że śpi ukryty w pajęczym kokonie.

Za ścianą rozległ się głośny śmiech. To pobudziło przybysza do działania. Zdał sobie sprawę, że przez cały czas wstrzymywał oddech, wsłuchując się w szum i bulgot wody. Rozkład pomieszczeń i miejsce, w którym umieszczono szafkę z panelem sterującym urządzeniami łaźni, znał na pamięć. Wśliznął się do małego pokoiku.

Nie patrzył już w stronę mężczyzny, którego wciąż widać było za szybą. Wyciągnął z kieszeni śrubokręt i odkręcił nim niewielkie śrubki. To umożliwiło mu zdjęcie płyty okrywającej panel. Obszedł zabezpieczenia w sposób, w jaki go poinstruowano. Dotknął jednej z gałek i ją przekręcił, powoli zwiększając natężenie prądu.

Osobnik naprężył się. Kończyny drgnęły, jakby mężczyzna próbował wyszarpnąć przypięte do ciała elektrody. Potencjometr powoli zbliżał się do maksimum. Wygięte w łuk ciało się skurczyło. Wydawało się, że nawet w sterowni słychać było chrzęst kości i trzask ścięgien.

Przez chwilę sam trzymał gałkę w takim napięciu, jakby i jego dłoń doznała wstrząsu elektrycznego. Gdy opuścił pokój, dotarł do niego smród palonego ciała.

Sięgnął do kieszeni płaszcza, wyciągnął dwie butelki i je odkorkował. Oblał dokładnie śmierdzącym płynem głowę, klatkę piersiową i członki leżącego. Po chwili w jego dłoniach pojawiły się zapalki. Odpalił pierwszą z nich i rzucił na tors trupa.

Zasłonił rękawem nos i patrzył, jak ciało zajmuje się ogniem. Gdy skóra mężczyzny szerniała, wyszedł z pokoju zabiegowego.

Krzyki zaalarmowanych kuracjuszy i pracowników usłyszał w momencie, gdy znalazł się na parterze. Pozostał mu do wykonania ostatni punkt planu. Podszedł do jednego z krzeseł i na nim usiadł. Czuł na sobie uważny wzrok dozorczy aż do momentu, w którym do łaźni wbiegli pierwsi policjanci z kłodzkiej komendy.

Kilka minut później wachmistrz Paul Seipelt wrócił z oględzin miejsca zbrodni. Podeszedł do niego i ostrym słowem kazał wstać. Ledwie to uczynił, Seipelt bez ostrzeżenia wystrzelił potężnym prawym sierpowym. Franz Koschella, osuwając się na podłogę, był wdzięczny losowi, że wachmistrz wybrał tę stronę szczęki, która i tak była już w opłakanym stanie. Tej drugiej byłoby mu cholernie szkoda.

## GROMNIK, POWIAT STRZELIŃSKI, 20 MAJA 1921 ROKU

– Zmieniłeś się, Wilhelmie.

Wilhelm Klein zaśmiał się dyskretnie i pokręcił głową.

– Mówisz to tak, jakbyśmy się znali całe życie. Po czym wnioskujeś, że się zmieniłem, Oskarze? Bo nauczyłem się pić z tobą piwo?

– To też, jeszcze kilka miesięcy temu nie tknąłbyś tego, jak to ujmujesz, „świństwa”, nawet gdyby zależało od tego twoje życie. Można powiedzieć, że sprowadzam cię na złą drogę. – Oskar Müller z niewinną miną przełknął piwo ze strzelińskiego browaru Roberta Jaeckela.

– Zupełnie jak ten diabeł, co kusił miejscowych rozbójników, Czirnów. – Klein poważnie skinął głową, nawiązując do lokalnej legendy związanej z rozbójnikami z gromnickiego zamku. Oskar zamęczał go opowieściami o ziemi strzelińskiej, odkąd się poznali. Klein blisko pół roku temu odwiedził w rynku sklep Müllera, by zakupić plecak i sportowe obuwie. Talent Müllera do sprzedaży był niewątpliwy. Kapitan, wychodząc po blisko dwóch godzinach ze sklepu, oprócz plecaka i butów stał się posiadaczem niezliczonych map. Do tego w gratisie dostał niezmordowanego przewodnika w postaci Oskara. Müller zaofiarował się, że pokaże nowemu-staremu mieszkańcowi Strzelina przepiękną okolicę i strzelińskie wzgórza, którego to przyrzeczenia niezmordowanie dotrzymywał w każdą sobotę i niedzielę.

– Podjąłeś już decyzję? – Oskar otarł wąsy z piany i odstawił pusty kufel na blat. – Wracasz do tajnych służb?

Klein milczał dłuższy czas. Siedzieli przy stolikach na zewnątrz gospody. Poranne majowe słońce przygrzewało dosyć mocno i zaczynał czuć działanie chmielowego napoju. Zastanawiał się, czy nie był to sposób Müllera na rozwiązywanie mu języka. Słaba głowa

zgubiła niejednego. Wciąż dziwił się, że otworzył się przed Müllerem tak bardzo. Rzeczywiście, ten zabawny mężczyzna bywał rozbijający, ujmował naturalną szczerością i otwartością. Wilhelm skonstatował ze zdziwieniem, że po dwóch miesiącach znajomości sklepikarz znalazł się w gronie – wąskim, bo jednoosobowym – jego najbliższych strzelińskich znajomych.

– Wciąż rozważam propozycję. – Klein popatrzył w stronę wieży widokowej. Na jej szczycie widać było grupkę szkolnej młodzieży. Dobiegał stamtąd głos nauczyciela rozwodzącego się nad walorami przyrodniczymi okolicznych wzgórz.

– Być może czas, żebyś zadał sobie pytanie, co chcesz robić w życiu. Jesteś zbyt młody, by siedzieć beczynnie. Minął już ponad rok od tamtej sprawy w Kłodzku. A odkąd Agnes wyjechała...

– Już planujesz pozbyć się mnie z miasta? – Klein przerwał przyjacielowi. Nie chciał drażnić tematu.

– Myślę, że wróci do ciebie – Müller nie miał dla niego litości. – Wydaje mi się, że nie potrafiła się w tym wszystkim odnaleźć. Nie było tu twojej winy.

Klein znów sięgnął po kufel, tym razem z mniejszą ochotą. Upił mały łyk, chcąc ukryć zmieszanie. Chyba dopiero pod wpływem słów Oskara zdał sobie sprawę z upływającego czasu. Od momentu gdy wrócił do domu i zrozumiał, że Agnes spakowała walizki i wyjechała, oddawał się dosłownej beczynności. Na co poświęcił ostatnie miesiące? Na rozpamiętywanie przeszłości, czytanie książek, a może po prostu na powrót do żywych?

– Nie zrozum mnie źle – Müller zaśmiał się pod nosem. – Czas się wziąć w garść. Jesteś człowiekiem stworzonym do działania. Czy to miasto jest twoim miejscem na ziemi, nie wiem. Wiem jednak, że posiadasz nieprzeciętne zdolności, które nie powinny zgnuśnieć razem z tobą.

Tym razem to Klein się zaśmiał. Pokręcił głową z niedowierzaniem. Już wiedział, dlaczego dopuścił tego człowieka

tak blisko siebie. Być może potrzebował kogoś, kto był mu w stanie bez ogródek uświadomić kilka podstawowych spraw.

Wciąż zadawał sobie pytania, na które nie znajdował odpowiedzi. Dlaczego przyjechał, a właściwie powrócił po latach do Strzelina? Chyba od dawna nosił się z takim zamiarem. Odczuwał jakąś bliżej nieokreśloną tęsknotę za tym miastem. Chciał wrócić w miejsce, w którym się urodził, chociaż tak naprawdę nie miał do kogo ani do czego wracać.

Pamiętał te ulice, światło słoneczne zalewające rynek i wieżę ratusza. Pamiętał wyrobiska zalane wodą, w których kąpał się jako dziecko. Pamiętał nawet, choć jak przez mgłę, małego Müllera, który przesiadywał na kamieniu pod bramą swojej kamienicy przy drogerii Pod Złotym Lwem. Obok owej drogerii Josepha Hoffmana była pompa i mały Müller często ją obsługiwał, sam z siebie, przez nikogo nieproszony, gdy któryś z mieszkańców przychodził czerpać z niej wodę.

Siedem lat. Tyle miał Klein, gdy umarł jego ojciec i wraz z matką wyjechał ze Strzelina do jej siostry do stolicy.

– Ten telegram, który dziś dostałeś. Widzę, że coś mocno cię męczy...

Klein odruchowo chciał dotknąć kieszeni. Tam schował wiadomość z Berlina. Wciąż nie wiedział, jak na nią odpowiedzieć.

– Czytasz gazety? – Müller zmienił nagle temat. To pytanie było tak nieoczekiwane, że Klein w pierwszej chwili go nie zrozumiał.

– Czy czytam?

– Ślęczysz nad tymi wszystkimi książkami, to wiem, ale czy wiesz, co się dzieje w kraju? W najbliższej okolicy? – Oskar doprecyzował pytanie, widząc konsternację przyjaciela.

– Odciałem się od tego. – Klein wzruszył ramionami. – Zapewne nic się nie zmieniło. Za sto lat ludzie wezmą do ręki prasę i przeczytają o takich samych problemach i konfliktach jak dzisiaj...

– Być może. – Müller spoważniał, co nie umknęło uwadze Kleina.

Wilhelm poczuł dziwne mrowienie na karku. Znał to uczucie, nie wróżyło niczego dobrego.

– Myślę, że na tę gazetę powinieneś zerknąć... Ja w tym czasie skoczę po piwo.

Müller położył na blacie „Strehleener Kreis- Und Stadtblatt” i zgodnie z zapowiedzią ruszył do gospody. Wilhelm wystawił twarz do słońca, które weszło ponad korony drzew, oświetlając polanę. Przymknął oczy, wchłaniając w siebie ciepło promieni. W tym samym momencie jednak ciepło się ulotniło. Klein uniósł powieki i z wyrzutem spojrział na chmurę, która przysłoniła słońce. Jedyna chmura na błękitnym nieboskłonie.

Przeniósł wzrok na gazetę. Jego uwagę przykuły trzy wyrazy: „Glatz” i „Franz Koschella”. Odpowiedź na dzisiejszy telegram została zepchnięta na dalszy plan.



## KŁODZKO, 20 MAJA 1921 ROKU

Recepcjonista Anton Krupski był pewien, że ten moment nastąpi prędzej lub później i w drzwiach Hotelu Dworcowego pojawi się kapitan Wilhelm Klein. Musiał jednak przyznać, że w pierwszej chwili nie poznał mężczyzny, który stanął przed ladą. Pamiętał Kleina chudego i wysuszonego na kość, tymczasem teraz miał przed sobą zgoła innego człowieka. Uśmiechnął się, widząc ogorzałe policzki Kleina. Mężczyzna był okazem zdrowia, nie licząc oczywiście szpetnych wojennych ran pokrywających dużą część twarzy. Postęp i tak był wyraźny. Jeszcze rok temu chorobliwa ziemista skóra i cienie pod oczami kwalifikowały hotelowego gościa do gatunku wampira lub też osobnika bliskiego zejścia z ziemskiego padołu.

– Dzień dobry, kapitanie Klein. Czy ten sam apartament co zwykle?

– Więc jest wolny, panie Krupski...

– Oczywiście! – Mężczyzna sięgnął pod blat po klucz. – Pozwoliłem sobie zarezerwować ten pokój dla kapitana już wczoraj.

– Dziękuję. – Wilhelm skinął głową, wpatrując się w starego recepcjonistę.

Krupski zarezerwował mu pokój już wczoraj. Zapewne zaraz po tym, jak miasto obiegła wieść o aresztowaniu wachmistrza Franza Koschelli pod zarzutem morderstwa ze szczególnym okrucieństwem. Wilhelm skonstatował, że ludzie najwyraźniej czytają w nim niczym w otwartej księdze. Ta aura tajemniczości i niedostępności, którą wokół siebie roztaczał, była zwykłą iluzją, na którą nabierał jedynie samego siebie.

– Pan kapitan już jest! Dzień dobry! Proszę pozwolić mi zabrać pański bagaż.

Hans Fredke, uśmiechnięty od ucha do ucha boy hotelowy. Wilhelm odruchowo wręczył chłopakowi torbę podróżną. Ten

przechwycił sprawnie klucz i zaraz zniknął na schodach prowadzących na piętro.

– Czy zamówić kapitanowi coś do jedzenia? – zapytał Krupski, szeroko się uśmiechając. – Może ma kapitan jakieś inne życzenia?

Wilhelm naraz zdał sobie sprawę, jak bardzo jest głodny. Po powrocie z Gromnika do Strzelina zdążył się jedynie przebrać i spakować i zaraz złapał pociąg do Kłodzka. Na kilku stacjach zapewne pojawiali się w wagonach sprzedawcy oferujący podróżnym wszelakiej maści kanapki, ale Wilhelm był zbyt zajęty nadrabianiem zaległości w prasie, by to zauważyć.

Z artykułów dowiedział się niewielu rzeczy, większość pisana była w sensacyjnym tonie, ale pojawiło się też kilka szczegółów, które mogły stanowić punkt zaczepienia dla działań Kleina w kolejnych dniach.

– Zjem – powiedział. – Pewnie, że coś zjem, panie Krupski.

Wilhelm ukłonił się portierowi i ruszył w ślad za Hansem Fredke i swoim bagażem. Był pewny, że tym razem będzie w stanie bardziej docenić kłodzką kuchnię. Postanowił, że nie odmówi sobie ani klusek, ani kłodzkiego pstrąga. Zegar z kukułką zawieszony na korytarzu wybił trzynastą. Klein miał jeszcze sporo czasu, by zebrać myśli, zanim weźmie w obroty kilku ludzi w tym szacownym mieście.

\*

Koschella leżał nieruchomo na pryczy od kilku godzin. Dziś przenieśli go z aresztu śledczego do celi w więzieniu na Gartenstrasse. Sprawiał im sporo kłopotów, areszt pękał w szwach, a ci, którzy spędzali tu czas wbrew swojej woli, zaczęli coraz śmieiej prowokować wachmistrza. Po pierwszej bójce zdecydowano, że bezpieczniej dla wszystkich będzie przetransportować Franza do osobnej celi w najlepiej strzeżonym obiekcie w Kłodzku. Koschella nie miał nic przeciwko, zresztą sam zasugerował takie rozwiązanie.

Odmówił zeznań, nie chciał korzystać z usług urzędowego obrońcy. Czekał.

Jego myśli zbyt często skupiały się na Barbarze i Opitzu. Odpychał je od siebie, nie mógł teraz poświęcać uwagi bliskim. Najważniejsza była koncentracja i kontrola nad sobą. Nic nie mogło go rozpraszać.

Zamknął oczy, pod powiekami na siatkówce oka natychmiast pojawił się plan budynku w kształcie litery Y. Skrzydło A i B, pokój pracy, sala modlitewna. Znał te miejsca. Był tu już kilka razy wcześniej, jednak w zupełnie innej roli.

Na planie pojawiły się kolejne punkciki: pokoje strażników, trasy obchodów. Musiał wziąć pod uwagę kilka dodatkowych czynników. Nie mógł o niczym zapomnieć. Kto stanowił teraz dla niego największe zagrożenie? Współwięźniowie czy pracownicy służby więziennej, którzy teoretycznie powinni go chronić? Nie. Koschella wiedział, kto jest jego największym wrogiem. Tu nic się nie zmieniło – był nim czas.

\*

Klein przystanął w podcieniu kamienic przy Böhmsche Strasse i spojrział w głąb ulicy. Do jego nozdrzy dotarł słodkawy zapach płynący z piekarni Paula Ullricha. Mimo że kapitan najadł się do syta w Hotelu Dworcowym, poczuł, jak ślina napływa mu do ust. Zwalczył pokusę, by kupić sobie bułkę lub precla. Zamiast tego ruszył schodkami w górę i po chwili znalazł się nad sklepem obuwniczym Gallwitza. Tutaj przeszedł obok figury ukrzyżowanego Jezusa i odszukał wejście do klatki schodowej.

Zaduch korytarza był niemiły dla powonienia, przesycony wonią wilgoci i piwnicznych wyziewów. Majowe słońce nie zdążyło rozgrzać starych murów, przez co Klein miał wrażenie, że znalazł się w chłodni. Poczuł na rękach gęsią skórę.

Schody skrzypiały pod jego ciężarem. Zdawał sobie sprawę, że nabrał masy. Na szczęście nie odbiło się to na jego sprawności fizycznej. Musiał przyznać, że piesze wycieczki z Müllerem miały

dobry wpływ na jego kondycję. Gdyby nie one, pewnie teraz dotarłby na najwyższe piętro kamienicy, walcząc o każdy oddech.

Zapukał w drzwi mieszkania na poddaszu. Czekał, rozejrzał się dokładnie, choć w niewielkim przedsionku pomiędzy schodami a mieszkaniem Koschellów miejsca wiele nie było. Klein odwiedził już kiedyś Franza. Z uznaniem myślał wtedy o jego żonie, Barbarze, która mimo trudnych warunków życiowych potrafiła uwić schludne i czyste gniazdko. Niewielka przestrzeń zajmowanej przez nich izby nie dawała wielkiego pola do popisu, troskliwa dłoń kobiety zadbała więc i o te kilka metrów kwadratowych korytarza.

Drzwi się uchyliły. W pierwszej chwili Kleinowi wydawało się, że kobieta na jego widok przelęknęła się, jakby zobaczyła ducha. Zdał sobie sprawę, że stoi w cieniu, a jego pokiereszowana twarz nie stanowi zbyt przyjemnego widoku. Ukłonił się, nie zdążył jednak nic powiedzieć, bo Barbara Koschella wreszcie go rozpoznała.

– Pan kapitan! – Jej głos zadrżał, zapanowała jednak nad emocjami i szeroko otworzyła drzwi. – Proszę wejść. Boże, modliłam się, żeby pan przyjechał...

Barbara wprowadziła gościa do izby. Klein zdążył zauważyć, że zatrząsnął się jej podbródek, a oczy się zaszklily. Poczucił się nieswojo. W pierwszej chwili chciał poszukać jakichś słów pocieszenia, ale zdał sobie sprawę, że lepiej będzie, jeśli skoncentruje się na tym, na czym zna się najlepiej. Tylko w ten sposób mógł jakoś pomóc tej rodzinie.

Klein zasiadł przy stole na wskazanym krześle. Barbara wciąż była roztrzęsiona, próbowała zebrać myśli. Zakreśliła się przy kuchni, w końcu jednak i ona usiadła. Klein w tym czasie dyskretnie się rozejrzał. Już wcześniej przed drzwiami mieszkania Koschellów spostrzegł, że coś się zmieniło. Tutaj, we wnętrzu izby, to wrażenie się pogłębiło.

– Nie wiem... nic z tego nie rozumiem... – Barbarze trzęsły się dłonie. Położyła je na obrusie i zapatrzyła się w swoje paznokcie,

jakby wstydziła się spojrzeć gościowi w oczy. – Nie wiem, jak to się mogło stać...

– Widziała się pani z Franzem, pani Barbaro?

Skinęła głową. Była całkowicie rozbita.

– Byłam u niego w... więzieniu na Gartenstrasse. Przenieśli go tam z aresztu. Mojego Franza zamknęli jak złoczyńcę, mordercę...

– Przyznał się do winy?

Popatrzyła na niego, jakby nie rozumiała pytania.

– Czy Franz coś pani mówił, przekazał jakiejkolwiek informacje?

Pokręciła głową.

– Nie odezwał się do mnie nawet słowem. Z nikim nie chce rozmawiać. – Barbara zacisnęła dłoń, co nie uszło uwadze Kleina.

– Nawet słowem... Może z panem będzie inaczej? Kapitanie, pójdzie pan do mojego męża? Ja nie wiem, co zrobię, jeśli go skażą. Mówią, że za to morderstwo czeka go stryczek... Ale Franz... on by czegoś takiego...

– A przed tym wydarzeniem zachowywał się inaczej? Mówił coś?

Zawahała się, jakby próbowała sobie przypomnieć nieodległą przeszłość.

– Franz wszystko dusi w sobie, nigdy nie był wylewny. Trzymał nas od swojej pracy z daleka. Wiedziała, że ostatnio zajmuje się sprawą tej dziewczyny, co ją znaleźli w Dusznikach. Pochłonęło go to wszystko bez reszty, zmiana była w nim widoczna. Ale to była taka dobra zmiana, więc niczym się nie martwiłam.

– Dobra?

– Franz nigdy do tego się nie przyzna, ale on i ta jego praca to jedność. Nie lubi bezczynności. Widać było, że cały czas się męczy, czeka na jakąś sprawę, przy której będzie mógł się wykazać. Zupełnie jak wtedy, rok temu, przy sprawie tego geometrycznego zabójcy. On chyba chciał panu dorównać, pokazać, że też coś potrafi...

Klein nie skomentował.

– Odkąd Franz został szefem tego całego Wydziału Kryminalnego... – Barbara najwyraźniej musiała wyrzucić z siebie to, co ją gnębiło. – Narobił sobie tym więcej wrogów, niż było warte. Mówiłam mu, że pieniądze szczęścia nie dają, ale chciał, żebyśmy się wyprowadzili z tej klitki. Płacimy już czynsz za mieszkanie piętro niżej. Zaczęliśmy remont...

– Chciałbym przejrzeć rzeczy Franza – poprosił Klein łagodnie.

Prośba zaskoczyła Barbarę, jednak skinęła głową.

– Pan jest jedyną osobą, która może mu pomóc... – Kobieta wstała od stołu. Wskazała szafę i stolik przy łóżku. – Tam jest królestwo Franza. Tylko nie wiem, czy coś pan znajdzie, kapitanie.

Odwróciła się do kuchni, jakby nie chciała patrzeć na to, co robi Klein. Kapitan stanął pośrodku niewielkiej izby i omiótł wzrokiem wszystkie sprzęty. Szafa przylegała do ściany, umieszczono ją tuż obok łóżka i niewielkiego stolika. Po drugiej stronie pościana wciśnięto bielizniarkę z lustrem. Owa wydzielona część pomieszczenia była zapewne „królestwem” Barbary. Na ścianach wisiało kilka zdjęć przodków i obraz z widokiem Śnieżnika. W pomieszczeniu panował porządek, nawet niewielkie łóżko syna Opitza było zasłane. Pod nim stała skrzynka z drewnianymi zabawkami.

– Opitz nic nie wie. – Barbara, zdaje się, odczytała myśli Kleina. – Bogu dzięki, że przed tym wszystkim wysłaliśmy go do mojej siostry. Miał tam zostać na czas remontu i przeprowadzki... Gdyby się dowiedział, że Franza oskarżono o morderstwo, przeżyłby to bardzo mocno...

Klein słyszał, że Barbara pociąga nosem, nie odwrócił się jednak do niej.

Podszedł do szafy i po chwili otworzył ją na oścież. Rzeczy Koschelli wisiały w należyтым porządku. Sprawdził kieszenie spodni i marynarki, przepatrzył także kieszonki koszul i kamizelki. Niczego w nich nie znalazł.

Przeniósł uwagę na stół Franza. Mieściła się na nim lampka, a pod nią kilka książek i broszura, którą najwyraźniej wachmistrz przeglądał przed aresztowaniem. Klein dostrzegł znany sobie podręcznik dla sędziów śledczych Hansa Grossa. A zatem Koschella próbował się dokształcać w najnowszych technikach śledczych. Klein przewertował szybko broszurę, która go zaintrygowała, a potem odszukał strony, na których ta otwierała się najłatwiej. Znał ludzkie przyzwyczajenia, czytelnicy wciąż nie używali zakładek i odkładali książkę otwartą do góry grzbietem na rozwartych stronach. Franz nie był wyjątkiem.

– Identyfikacja zwłok – przeczytał pod nosem Klein. Po chwili wahania zamknął broszurę i ją odłożył. – Czy jest coś jeszcze, co chciałaby mi pani powiedzieć, pani Barbaro?

Kobieta pokręciła głową.

– Proszę porozmawiać z Franzem...

– Zrobię to – obiecał.

Klein zobaczył w jej oczach ulgę. Pożegnał się i po chwili był już na schodach. Piętro niżej przystanął przy jednym z mieszkań. Nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się bez przeszkód. Wsunął się do pustego pomieszczenia. Nowe mieszkanie Koschellów. Wyglądało na to, że remont zaczęto i przerwano. Ktoś, kto próbował wyrównać ściany masą szpachlową, robił to bardzo nieudolnie.

\*

Paul Seipelt zaciągnął się chciwie papierosem. Po chwili jednak, gdy zobaczył w podcieniach kamienicy przy Böhmische Strasse mężczyznę, na którego czekał, wypuścił z nozdrzy kłęb dymu i odrzucił cygaretkę na chodnik. Rozgniatając niedopałek czubkiem buta, zauważył, że przydałaby mu się zmiana obuwia. Nosek buta był niemal całkowicie zdarty, nie wystarczała już gruba warstwa zachwalanej w prasie pasty Nigrin. Jeśli liczył w najbliższym czasie na jakąś znaczącą karierę, musiał zacząć zwracać uwagę na takie szczegóły. Jeszcze oficjalnie nie został nominowany na szefa

Wydziału Kryminalnego na miejsce zhańbionego Franza, ale wierzył, że to kwestia czasu.

Kapitan Wilhelm Klein. Na widok tego mężczyzny Paul odczuwał dziwną treść. Ganił za tę reakcję samego siebie, nie wiedział do końca, skąd się brała. Było w Kleinie coś niepokojącego. Odnosiło się wrażenie, że wszystko i wszystkich przeświała wzrokiem zupełnie jak urządzenie, którego działanie kilka dni temu zademonstrował na Paulu Seipelcie doktor Kuhnast. Urządzenie do przeświałeń ciała...

– Panie Klein!

Seipelt uniósł dłoń, chcąc zwrócić uwagę przybyłego. Zdał sobie sprawę, że zrobił to niepotrzebnie, bowiem Klein rozpoznał go z daleka.

– Wachmistrzu Seipelt. – Kapitan przywitał się z policjantem, gdy znaleźli się naprzeciw siebie. Patrzyli sobie w oczy, a Paul miał wrażenie, że im dłużej próbuje utrzymać kontakt wzrokowy z Kleinem, tym bardziej pije go w szyję kołnierzyk koszuli.

– Komisarz Richter prosi do siebie... – oznajmił chłodnym, służbowym tonem.

Klein skinął głową, jakby właśnie tego oświadczenia się spodziewał. Ruszyli w stronę budynku ratusza, w którym siedzibę miała kłódzka policja.

– Zastanawialiśmy się, czy pan przyjedzie. – Na twarzy Seipelta zagościł cierpki uśmiech. – Większość chłopaków obstawiała, że tak...

– A pan jak obstawiał, wachmistrzu?

– No ja nie miałem wątpliwości, że pan przyjedzie na ratunek swojemu protegowanemu. O Koschelli piszą gazety w całym kraju. Czytał pan?

– Czytałem.

– No właśnie. Sprawa była dla mnie jasna jak słońce, że na ratunek pupilkowi przybędzie nie kto inny jak kapitan.

Paul odzyskał rezon, nawet pozwolił sobie na większą uszczypliwość, by odreagować wcześniejszą chwilę słabości. Do



Franza nie miał większego szacunku i nie starał się z tym kryć. Trudno było mu się pogodzić, że to właśnie Koschella został szefem Wydziału Kryminalnego. Uznał, że zaważyły tu nie tyle zdolności Franza, ile poparcie Kleina i burmistrza Franza Ludwiga, którego kapitan Klein był krewnym.

– Był pan przy aresztowaniu Koschelli?

Paul nie potrafił stłumić uśmiechu. Zacisnął i rozwarł pięść, która wciąż bolała go po ciosie zafundowanym Franzowi. Nie przejmował się, że ten gest nie uszedł uwagi Kleina.

– Byłem – potwierdził. – Franz napisał sobie biedy. Zawsze uważałem, że jest nieobliczalny. Szkoda go, bo dobry był z niego policjant. Posunął się jednak za daleko. Zaczął działać na własną rękę.

– Niczego nie podejrzewaliście?

– A co mieliśmy podejrzewać? Kręcił się z tym całym asystentem policyjnym Bauschem z Dusznik. Jego wykiwał, a nas trzymał na uboczu. Wszystko sobie zaplanował...

Zamilkli, co było Seipeltowi na rękę. Chciał po prostu wypełnić polecenie i odstawić kapitana pod drzwi komisarza Richtera. Jedyne, czego nie mógł się doczekać, to efektu tego spotkania. Wiedział, że Richter nie darzył Kleina sympatią. Rok temu komisarz niewiele mógł zrobić, by mu dopiec i pozbyć się go z miasta, teraz jednak wiele rzeczy się zmieniło. Kapitan nie był już w czynnej służbie i przebywał w Kłodzku jako osoba prywatna. I jak z osobą prywatną zapewne Richter miał zamiar z Kleinem rozmawiać. Wobec takich petentów policja mogła sobie pozwolić na wiele.

Wyminięli budynek Komendantury i Miejskiej Kasy Oszczędnościowej, po czym, okrążywszy gmach ratusza od północnej strony, skręcili w prawo.

Obok fontanny z lwem zwolnili nieco ze względu na spory tłum petentów opuszczających magistrat, w końcu jednak znaleźli się we wnętrzu budynku i ruszyli po schodach do gabinetu komisarza Richtera.

– Poczekam tu na pana, panie Klein. W razie czego służę podwózką na dworzec. Za jakąś godzinę odjeżdża pociąg do Wrocławia.

– To nie będzie konieczne, wachmistrzu – Klein uśmiechnął się uprzejmie, jakby nie dopatrzył się złośliwości. – Zamierzam w Kłodzku zostać dłużej. Na pewno będziemy mieli sposobność spotkania i sprawdzenia wyników kolejnych zakładów...

Ten uśmiech. Seipelt znów poczuł na plecach ciarki. Mimowolnie spojrzął pod nogi. Humor jeszcze mocniej popsło mu spostrzeżenie, że w przeciwieństwie do jego butów obuwie Kleina jest w idealnym stanie. Niemal dostrzegął w wypolerowanej skórze jego trzewików odbicie swojej głupkowatej miny.

\*

– Nie mam dobrych wiadomości, panie Klein. – Komisarz Heinrich Richter chłodno patrzył na przybysza, który zajął miejsce na krześle naprzeciw jego biurka. Mebel należał do niewygodnych i każdy z podwładnych czy petentów, którzy mieli nieszczęście na nim siadać, już po minucie kręcił się na nim, bezskutecznie próbując przyjąć najmniej bolesną pozycję. Na Wilhelmie Kleinie wbijające się w siedzenie gwoźdźdiki nieudolnie sprawionej tapicerki nie robiły wrażenia. Siedział swobodnie, a jego oblicze było nad wyraz pogodne. – Wszystkie dowody świadczą przeciw Franzowi Koschelli. To, co zrobił... Przekroczył wszelkie granice. Wyrzucam sobie, że pozostawiłem mu zbyt wiele swobody. Wiedząc, jak jest nieobliczalny, powinienem był mieć do niego ograniczone zaufanie. My, policjanci, nie jesteśmy od wymierzania sprawiedliwości! Nic go nie tłumaczy, sam stał się zwykłym mordercą. Stał się jednym z tych, których ścigał.

– Rozumiem, że osoba zamordowana w łaźni miejskiej była podejrzana w sprawie, którą prowadził wachmistrz Koschella?

Richter nie odpowiedział na pytanie. Zamiast tego zmarszczył brwi, nachylił się nad biurkiem i oparł łokcie na blacie.

– Po co pan przyjechał do Kłodzka? Jaki jest cel tego indagowania? Rozumiem, że interesuje się pan Koschellą ze względu na panów... znajomość sprzed roku?

– Można tak powiedzieć.

Komisarz przez chwilę wpatrywał się w Kleina, próbując zrozumieć, jakiej przemianie uległ ten mężczyzna w ostatnim czasie. Bo owa przemiana była niewątpliwa. Nie chodziło już nawet o tę fizyczną. Wcześniej wydawało się, że każdy, kto zbliża się do Kleina, może poranić się o jego szorstką, kanciastą osobowość. Słowa, spojrzenia, gesty, wszystko to razem i z osobna sprawiało, że w towarzystwie kapitana człowiek miał wrażenie, że cierpnie mu skóra na całym ciele. Teraz Klein się zaokrąglił, wydawało się, że stracił ten ochronny najeżony ostrymi szpikulcami pancerz. Odnosiło się wrażenie, że wystarczy lekko go dźgnąć, by zranić miękkie, odsłonięte wnętrze.

– Z czystej uprzejmości udzielę panu wyjaśnień, panie Klein. – Richter uśmiechnął się w duchu, zadowolony ze swoich wnikliwych spostrzeżeń. – Zastrzegam jednak, że nie zgodzę się, by w jakikolwiek sposób ingerował pan w tę sprawę. Pańskie działania mogą zostać odebrane jako działania na szkodę prowadzonego śledztwa.

Richter nie doczekał się żadnej reakcji Kleina, ciągnął więc mentorskim tonem:

– Zamordowanym był Bastian Rabe, siostrzeniec Fritza Scholza, właściciela hotelu Germania w Dusznikach-Zdroju. Zgodnie z ostatnim raportem wachmistrza Koschelli znalazł się on w kręgu jego podejrzanych.

– Franz wniosł o areszt?

– Żaden z dowodów, które przedstawił, nie wystarczyłby do podjęcia takich kroków. Cała teoria Koschelli oparta była na domysłach, przypuszczeniach... fantazjach.

– Jakich?

– Proszę wybaczyć – Richter zaśmiał się, kręcąc głową – nawet przez wzgląd na naszą znajomość nie mogę udzielić panu tych informacji.

– Dlaczego wachmistrza przeniesiono z aresztu śledczego do więzienia? Tam, zdaje się, przebywa wiele osób, które nie darzą Koschelli sympatią.

Richter spoważniał. Znów oparł się o krzesło. Gdy przemówił, miał nadzieję, że jego ton jest wystarczająco chłodny, by ostudzić zapał Kleina do dalszych pytań.

– Na jego własne życzenie. To kolejny dowód na utratę rozsądku przez wachmistrza, a może i zdrowych zmysłów. Mimo wszystko staramy się go izolować od... osób, które nie darzą go sympatią.

– Rozumiem.

– Panie Klein – Richter westchnął, jakby nagle zrezygnował z oficjalnego tonu i zapragnął pokazać swoje ludzkie oblicze. – Wachmistrz mimo wszystko wciąż jest naszym człowiekiem. Nie chcemy, by stała mu się krzywda. Jego proces będzie uczciwy, dołożymy wszelkich starań, by sąd wziął pod uwagę okoliczności łagodzące.

– A co ze sprawą Sabine Hunfeld? Kto będzie ją prowadził?

– Obowiązki Franza Koschelli przejął wachmistrz Paul Seipelt. – Richter podniósł się z miejsca, dając sygnał, że rozmowa dobiegła końca.

Klein także się podniósł.

– Jeśli pozostawi pan kontakt do siebie, mój sekretarz powiadomi pana o postępach śledztwa związanego ze sprawą Koschelli.

– Myślę, że nie będzie takiej potrzeby, panie komisarzu...

Richter skłonił głowę w wyrazie zrozumienia dla tej decyzji. Jednocześnie starał się maskować uśmiech.

– Bezpiecznego powrotu do domu, panie Klein.

– Dziękuję za życzenia i poświęcony mi czas. Mimo wszystko... dopóki wachmistrz Koschella nie został skazany prawomocnym wyrokiem sądu, nigdzie się nie wybieram.

Patrząc na wychodzącego Kleina, Richter zdał sobie sprawę, że się pomylił. Kapitan nie uległ takiej przemianie, jak mu się wydawało. Świadczyło o tym nieprzyjemne uczucie, które właśnie go ogarnęło. Znow na całym ciele ścierpła mu skóra.

\*

Opuściwszy budynek ratusza, Wilhelm Klein skierował się w stronę zachodniej pierzei rynku. Już wcześniej zauważył miejsce, które postanowił odwiedzić. Stoliki kawiarni i cukierni Moltke przyciągały uwagę z daleka. Kapitan wszedł do wnętrza pachnącego kawą i świeżymi słodkościami. Przełknął ślinę gromadzącą się w ustach. Na razie musiał odmówić sobie przyjemności. Poprosił obsługę o możliwość skorzystania z telefonu. Wkrótce odnalazł w książce adresowej odpowiedni numer. Gdy uzyskał połączenie, zamówił rozmowę z asystentem policyjnym Bauschem z komisariatu w Dusznikach. Była krótka i konkretna. Dopiero po jej zakończeniu Klein zamówił sobie kawałek sernika i herbatę. Usiadł na zewnątrz kawiarni, na drewnianym tarasie przy jednym z okrągłych stolików. Czekając na zamówienie, zamknął oczy i wystawił twarz do słońca. Skwar dnia powoli słabł, wokół rozbrzmiewał gwar tętniącego życiem miasta. Miasta, które, jak zdążył się przekonać Klein, skrywało więcej tajemnic, niż mogło się na pierwszy rzut oka wydawać.

\*

Gabriele miała do załatwienia kilka spraw przy Schwedeldorfer Strasse – jak choćby spotkanie w mieszczącej się przy tej ulicy wyższej szkole ewangelickiej dla dziewcząt. Rozmawiała z zarządzającą administracją szkoły siostrą Hildą o pracy dla Magdy Ross. Dowiedziała się o wakacie na stanowisku sprzątaczk i zarekomendowała na to miejsce matkę Haima. Miała nadzieję, że ta przyjmie ofertę i zdecyduje się na zmiany w swoim życiu.

Gdy znów znalazła się na rozświetlonej słońcem ulicy, ruszyła w stronę rynku. Wiosenne słońce zalewało dachy kamienic i brukowaną ulicę, mimo to Gabriele odczuwała przejmujący chłód. Wiedziała, skąd brało się to nieprzyjemne uczucie. Targał nią niepokój, którego nie umiała się pozbyć.

Dziś w nocy, po raz pierwszy od dawna, w jej śnie pojawiła się Sabine. Ubrana była w długą złocistą sukienkę, stała w progu pokoju i się uśmiechała, wydawało się, że bardzo chce coś powiedzieć przyjaciółce. Gabriele obudziła się nad ranem zrana zlaną potem, z mocno bijącym sercem. Potem przez cały dzień miała kłopoty z koncentracją. Wykonywała obowiązki automatycznie, chwilami z opóźnieniem reagowała na pytania. Nikt na szczęście nie zwrócił jej uwagi. Być może wszyscy wiedzieli, co zaprzęta jej myśli. Odnalezienie ciała Sabine, a potem jej pogrzeb wzbudziły w mieście wiele emocji.

Od jakiegoś czasu wciąż przeżywała w kółko ten sam dzień, ostatni dzień, w którym widziała przyjaciółkę.

Ten obraz znów powrócił. Już rano przed wyjazdem do Zieleńca próbowała odnaleźć Sabine. Umówiły się w holu na dziewiątą, przyjaciółka jednak gdzieś się zawieruszyła, nie było jej nawet na śniadaniu. Punktualnie o wyznaczonej godzinie pojawił się za to przy recepcji Bastian Rabe. Ani Gabriele, ani Sabine nie były zadowolone z jego towarzystwa, nie mogły jednak odmówić zabrania go ze sobą, skoro jego wuj zapewnił im transport do Zieleńca i wszelkie atrakcje na miejscu.

Bastian z każdą upływającą minutą niecierpliwił się coraz bardziej. Nie szczędził cierpkich słów Sabine.

W końcu umówili się, że spróbują ją odszukać, każde na własną rękę. Gabriele najpierw skierowała się do apartamentu wynajmowanego przez rodzinę przyjaciółki. Pan Hunfeld poinformował ją o porannej lekcji gry na fortepianie – Sabine nie chciała z niej zrezygnować przed planowanym wyjazdem. Gabriele udała się więc do sali balowej, jednak ta okazała się pusta. Przyszło

jej do głowy, że przyjaciółka wystawiła ją do wiatru i przyjdzie jej spędzić dzień w towarzystwie nielubianego Bastiana. Obiecała sobie, że jej tego nie podaruje.

Wtedy jednak przypomniała sobie o słabostce Sabine, z którą ta nieudolnie kryła się przed wszystkimi. Gabriele kilkakrotnie widziała, jak przyjaciółka pali papierosy. Zaciągała się jak nałogowy palacz. Tak, Gabriele była pewna, że odnajdzie Sabine w parku, na tyłach hotelu.

Ruszyła więc w stronę tylnego wyjścia, przez część budynku przeznaczoną na mieszkania służby. Nie zdążyła jednak opuścić hotelu, dostrzegła Sabine przypadkiem, jak ta wychodzi z uchylonych drzwi jednego z pokoi. Widziała też mężczyznę, który całował ją zachłannie, jednocześnie wsuwając dłoń w jej spodnie. Gabriele stanęła jak wryta. Sabine wyrwała się z chichotem z męskich objęć i nie zauważywszy przyjaciółki, pobiegła do drzwi wyjściowych.

– Pamiętaj, co obiecałaś! Nie jedź z nimi, przyjdź do mnie znowu!

Odpowiedział mu tylko głośny śmiech.

Mężczyzna, zanim zniknął w swoim pokoju, spojrzał w przeciwną stronę korytarza, by się upewnić, że nikt go nie obserwuje. Gabriele widziała, jak lubieżny uśmiech gaśnie na jego twarzy, a palce zaciskają się na klamce. Pomyślała, że zrobił to z taką siłą, że będzie odczuwał ból stawów, uderzając w klawisze, przy kolejnej udzielanej lekcji gry na fortepianie.

Tym bardziej dziwiło ją późniejsze zachowanie przyjaciółki. Wychodząc od Prumowa, tryskała humorem, coś jednak wydarzyło się w ciągu kilkunastu kolejnych minut, bo ten humor straciła. Nie była to jakaś dziecinna gra, Gabriele знаła Sabine zbyt dobrze, by wiedzieć, że coś mocno musiało ją dotknąć.

Otrząsnęła się z tego wspomnienia, gdy zdała sobie sprawę, że wpatruje się we własne odbicie widoczne w wystawowej szybie księgarni Karla Königa. Przez chwilę zastanawiała się, co zaprowadziło ją do budynku stojącego na rogu Kirchgasse.

Przypomniała sobie dopiero w momencie, gdy spojrzała na książki eksponowane na drewnianych stojakach. Już kilka dni wcześniej zwróciła uwagę na pięknie oprawiony tom baśni Christiana Andersena. Miał to być prezent dla Haima. Była zachwycona jego postępami. Chłopak uczył się czytać bardzo szybko, nie wątpiła, że historie w książce go zainteresują. Zwłaszcza baśń o dzielnym ołowianym żołnierzyku. Nie było nic dziwnego w tym, że niemal wszyscy chłopcy z Kłodzka, mieszkając w pobliżu twierdzy, jak jeden mąż chcieli w przyszłości zostać żołnierzami. Miała jednocześnie nadzieję, że ta historia czegoś go nauczy. Nie zgadzała się, że opowieść nie ma szczęśliwego zakończenia. Zresztą większość historii z prawdziwego życia kończyła się podobnie. Ważniejsze było dla niej owo życie, które na przykładzie żołnierza pokazywało, że nie wolno się poddawać nawet w beznadziejnej sytuacji.

Kilka minut później opuściła księgarnię i ruszyła w stronę rynku. Przy Baderberg spojrzała na elewację budynku i przetłumaczyła w myślach widoczny na niej napis: „Krótki jest żywot człowieczy i różnym troskom podległy. Rankiem rozkwita, wieczorem słabnie, nocą zachodzi. Czego chcą losy pobożne, to skreśli ludzkie życzenia. Niech tedy będzie w życzeniach, czego chcą losy pobożne”. Te słowa wyryły się jej w pamięci dawno temu.

Wyminęła aptekę i skręciła w lewo, w stronę kolumny maryjnej. To był jej kolejny rytuał. Zawsze gdy przechodziła przez rynek, starała się przy niej zatrzymać. Zmrużyła oczy, patrząc w kierunku Najświętszej Pani stojącej na szczycie; aureola wokół głowy świętej odbijała ostre promienie słońca.

Po chwili Gabriele spojrzała w stronę południowej pierzei. Wydało jej się, że ktoś wpatruje się w nią równie intensywnie, jak ona w posąg świętej. Mężczyzna siedział przy jednym ze stolików przed kawiarnią Moltke, jego twarz oświetlało słońce. Dziewczyna mimowolnie wstrzymała oddech. Poznała go. Widziała go na zeszłorocznym balu charytatywnym w Hotelu Cesarskim,



zorganizowanym w ramach pomocy weteranom. Musiała przyznać, że historia tego mężczyzny bardzo ją zainteresowała.

Znów zaczęła oddychać. Nie, kapitan Klein nie patrzył na nią, miał zamknięte oczy. W tym momencie nabrała pewności, że niedługo będzie miała okazję poznać go osobiście. Kilka dni temu zwrócił się do niej inny policjant, wachmistrz Franz Koschella. Tamta rozmowa okazała się brzemienna w skutki. Doprowadziła do finału, którego Gabriele zupełnie się nie spodziewała. Tym bardziej w tej chwili nie spieszyło jej się do kolejnej wymiany zdań z przedstawicielem prawa.

\*

Franz czekał. Wiedział, że ten moment nastąpi. Do celi weszło dwóch. W milczeniu zajęli prycze. Żaden nie odezwał się nawet słowem, ale nie miał wątpliwości, że obaj dobrze się znają.

Roztaczali wokół siebie więzienny smród. Czuć też było od nich coś innego, odór właściwy zwierzętom znaczącym swoje terytorium.

Wpatrywał się w sufit. Nie poruszył się. Wiedział, że w odpowiednim momencie ciało go nie zawiedzie. Wszystko skalkulował z zimną precyzją.

Mimo to uderzenia drewnianym stołkiem w głowę uniknął cudem. Zagapił się? Popęłnił tak głupi błąd?

Ci dwaj na szczęście też go zlekceważyli. Gdyby przystąpili do działania we dwóch, Koschella nie miałby żadnych szans, wystarczyłoby, żeby przygnietli go swoimi cielskami. Wielkie jak bochny łapy rozerwałyby Franza na strzępy.

– Kurwa!

Tyle zdążył powiedzieć ten, który chciał załatwić sprawę za pomocą lichego siedziska. Franz leżący na górnej pryczy zdążył się unieść i kopnąć buldoga w szczękę. Widział, jak oczy napastnika wywracają się na drugą stronę. Niszczący impuls przeszył system nerwowy, odcinając umysł. Mężczyzna zachwiał się jak bokser, który podczas walki traci przytomność na ułamek sekundy. Był na

tylko pewny siebie, że wierzył, iż ciało poradzi sobie z odcięciem prądu. To jednak nie nastąpiło. Buldog zeszywniał i runął na bok, rozwalając w drzazgi stół, wprost na betonową podłogę.

Koschella wiedział, że starcie z drugim napastnikiem musi rozstrzygnąć się szybko. Jedynie w książkach opisywano długie, emocjonujące pojedynki na pięści. Z reguły już po jednym–dwóch ciosach przeciwnik tracił wolę walki.

Drugi buldog szybko otrząsnął się z zaskoczenia. Ruszył w stronę Koschelli, unosząc zaciśnięte pięści. Franz oparł się jedną nogą o ścianę i odepchnął od niej. Piętrowa prycza skrzypnęła, przechyliła się i runęła na napastnika.

Ten na nieszczęście Koschelli był czujny. Uskoczył w bok i wyprowadził szeroki sierp. Wachmistrz źle wymierzył skok. Najpierw poczuł pięść, która wbiła mu się pod pachę, a potem ból w skręconej kostce. Miał wrażenie, że usłyszał też odgłos pękających żeber. Stracił oddech. Przed oczami pojawiły się mgliste plamy. Gdy w końcu znalazł oparcie na przeciwległej ścianie, szybko ocenił sytuację. Przeciwnik był rozważniejszy od kolegi. Poczuł, że mocno zranił Franza. Nie przewidział jednak, że wachmistrz Franz Koschella nie tylko wkalkulował w to starcie połamane żebra, ale też przygotowany był na o wiele większe szkody.

Franz uchylił się przed kolejnym ciosem, jednak ten wysiłek sprawił, że z płuc wydostała się resztką powietrza. Ból w boku był paralizujący i całe ciało sprzeciwiało się zaczerpnięciu kolejnego oddechu. Nie był w stanie wyprowadzić ciosu prawą ręką, kopnął więc z całej siły w nogę buldoga.

Ściągną nie wytrzymały takiego przeciążenia. Mężczyzna ryknął z bólu, gdy kolano wykrzywiło się w bok. Postanowił zmienić taktykę. Dostoczył do Koschelli i przygniótł go do ściany, jednocześnie zasypując gradem ciosów.

Franz ponownie poczuł pięść między żebrami. Tracił równowagę. Zdawał sobie sprawę, że jeśli upadnie, drab uzyska przewagę. Wystarczyło, że ponadstukilowe cielsko wdusi go w podłogę – wtedy

nic nie będzie stało na przeszkodzie, by buldog zmasakrował go do nieprzytomności.

Franz próbował złapać głowę napastnika i wbić mu kciuk w oko, jednak osiłek wywinął się jak piskorz i Koschella poczuł, jak jego zęby dzwonią o siebie, a echo tego uderzenia kołacze się w obolałej czaszce.

Wtedy też zdał sobie sprawę, że się unosi. Buldog ryczał jak dziki zwierz. Podnosił Koschellę niczym piórko, najwyraźniej zamierzał rzucić nim o podłogę. Franz nie wahał się ani chwili i wyprowadził cios kolanem. Tym razem to zęby buldoga zadzwoniły niczym dzwony. Mężczyzna zwiotczał, przechylił się do tyłu, po czym runął jak ścięte drzewo.

Koschella otarł rękawem krew z ust i pochylił się nad leżącym, który wciąż był na granicy świadomości. Poklepał go po policzku, pomagając mu skoncentrować na sobie wzrok.

– Powiedz mu, że chcę z nim porozmawiać, słyszysz? Powiedz mu, że ma tylko jedną szansę.

Zanim oczy buldoga wywróciły się na drugą stronę czaszki, zdążył skinąć głową.

\*

Wachmistrz Leon Czosek był nowym pracownikiem kłodzkiego więzienia. Wszystkie testy przed przyjęciem do pracy zdał z wyróżnieniem, został jednak wrzucony na głęboką wodę. Dostał przydział do zakładu głównego, choć liczył na to, że wdroży się najpierw na oddziale szpitalnym. Dyrektor placówki nie dał mu jednak żadnej nadziei. Chętnych do pracy w więzieniu brakowało i Czosek miał poznać już w pierwszych tygodniach funkcjonowanie tego miejsca od podszewki.

Nie skarżył się, zresztą nie miał na co. Wyrwał się z Ludwikowic Kłodzkich, zabitej dechami wsi, o czym wielu jego rówieśników mogło jedynie marzyć. Był ambitny i miał niemało oleju w głowie, co zauważyli nauczyciele wiejskiej szkoły, do której uczęszczał. To

dzięki nim Czosek dostał się do kłodzkiego liceum i ukończył je jako jeden z lepszych uczniów w swojej klasie. Wtedy też podjął decyzję, której skutki odczuwał do dzisiaj. Ojciec, matka i bracia wzywali go z powrotem na wieś. Uznali, że Czosek uczynił już zadość swoim fanaberiom i powinien zejść na ziemię. Godzili się na kontynuowanie przez niego nauki, mając nadzieję, że wyniesie z niej praktyczną wiedzę, którą później spożytkuje w rodzinnym gospodarstwie. Leon nie miał jednak zamiaru spełnić ich oczekiwań. Nie widział siebie w oborze czy stajni przewalającego gnój do taczek. Do rodzinnej wsi nie wracał, nawet nie dlatego że nie chciał taplać się w oborniku – zwyczajnie nie był przygotowany, by stawić czoła swoim najbliższym. Krewcy bracia mieli mu za złe, że zawiódł pokładane w nim nadzieje. Uważali, że złamał niepisaną umowę. Harowali za niego w polu, gdy on czytał książki, teraz miał wrócić i swoje odpracować.

Czosek zamierzał im pomóc, ale w inny sposób. Planował wysłać na wieś część pieniędzy, które miał zarobić jako strażnik. Na razie jednak nie starczało mu na czynsz w ruderze przy Gartenstrasse.

Chciał zostać policjantem. To było jego marzenie. Niestety podanie, które złożył w ratuszu, zostało odrzucone. Sekretarz miejski polecił mu się zgłosić do naczelnika kłodzkiego więzienia. Tak też zrobił i tu, o dziwo, przyjęto go dosyć szybko. Leon w pierwszych dniach pracy pilnował się, żeby za dużo nie mówić i się nie wychylać. Wiedział, że jest uważnie obserwowany i oceniany. Czuł, że niedługo zostanie poddany swego rodzaju testowi. Właśnie teraz, po dwóch tygodniach od przyjęcia, miał się przekonać, że rzeczywiście tak było.

Wraz z dwoma starszymi kolegami został wysłany do aresztu przejściowego. Zastana sytuacja wprawiała go w nie lada zdumienie. Pod ścianą, pośród kilku roztrzaskanych mebli, siedziało trzech mężczyzn – przynajmniej dwóch w stanie, który świadczył o mającej tu miejsce bójce. Każdy z nich milczał wpatrzony w jakiś bliżej nieokreślony punkt: na ścianie, suficie czy też podłodze.

Zachowywali się, jakby żaden z nich nie zdawał sobie sprawy z obecności innych współwięźniów.

Czoska dziwiło jednak coś jeszcze. Wiedział, kim jest jeden z pokiereszowanych osadzonych. Był to wachmistrz policyjny Franz Koschella. Z informacji, które podano im na odprawie, wynikało, że Koschella powinien przebywać w tej celi sam. Jakimś jednak cudem znalazło się tu wraz z nim dwóch innych mężczyzn. Tych Czosek zdążył poznać jako najgorszych zakapiorów z zakładu głównego.

Młody wachmistrz już miał zrezygnować ze swego postanowienia, by nie wychodzić przed szereg, na szczęście w porę ugryzł się w język. Zdał sobie sprawę, że pozostali funkcjonariusze obserwują nie tyle rozgrywającą się przed nimi scenkę, ile zachowanie młodszego kolegi. Czosek z obojętną miną patrzył więc, jak drzwi celi otwierają się i dwa byczki zostają z niej wyprowadzone.

Patrzył równie obojętnie, jak drzwi na powrót się zamykają. Z mniejszą obojętnością obserwował przez wizjer, jak Franz Koschella wgapia się w krwawe plamy na ścianie. Po chwili Czosek uznał, że tak naprawdę Koschella wpatrywał się w zwykłe przebarwienia tynku, które musiały tu powstać lata temu. Co więcej, gdyby go ktoś zapytał, nie był w stanie stwierdzić, czy kiedykolwiek widział w tej celi dwóch innych osadzonych.

Młody wachmistrz miał niewątpliwy talent dostosowywania się do nowych, trudnych sytuacji. Już wiedział, że najważniejszy test, jaki przyszło mu zdać, nastąpił właśnie dziś. Był też pewny, że zdał go z wyróżnieniem. Świadczył o tym fakt, że po raz pierwszy koledzy zrobili mu miejsce przy swoim stole na stołówce. Niestety podle żarcie w tym towarzystwie wcale nie smakowało mu bardziej niż dotychczas.

\*

Asystent policyjny Klaus Bausch wysiadł z pociągu tuż po szesnastej. Z daleka rozpoznał oczekującego na niego mężczyznę. Najczęściej, gdy przyjeżdżał do Kłodzka, z wysokości nasypu podziwiał dachy

budynków i górującą nad miastem twierdzą. Dziś żadnej z tych rzeczy nie dostrzegął. Jego uwagę przykuwał człowiek wyróżniający się wzrostem wśród podróżnych stojących na peronie.

Przywitali się mocnym uściskiem dłoni i ruszyli w stronę Hotelu Dworcowego. Nie zamienili w drodze zbyt wielu słów, ograniczyli się do zwykłych uprzejmości. Klaus domyślił się, że konkretna rozmowa odbędzie się w hotelowej restauracji. W niej zasiedli kilka minut później.

Bausch z wdzięcznością upił łyk piwa. Podczas podróży z Dusznik miał wrażenie, że ugotuje się w przedziale. Wagony błyskawicznie nagrzewały się od słońca. Na te niedogodności być może pomogłoby otwarcie okna, ale asystent policyjny miał nieszczęście siedzieć w pobliżu starszej kobiety, która nie pozwalała tego uczynić w obawie przed przeciągami. W efekcie był tak spragniony, że odstawił na blat do połowy opróżniony kufel.

Klein nie spieszył się z zadawaniem pytań, Bausch zdecydował się więc przemówić pierwszy. Było dla niego jasne, jaki jest cel tej rozmowy. Z Franzem Koschellą nawiązał przyjazne stosunki. Towarzyszył wachmistrzowi w ostatnich dwóch tygodniach niemal przy każdej czynności. Niemal, gdyż Franz często chadzał własnymi ścieżkami i nie mówił o wszystkim. Bausch nie miał jednak o to pretensji, wiedział, że każdy z policjantów ma własny styl pracy. Koschella traktował go jak partnera, liczył się z jego opiniami. Bausch nigdy nie poczuł się przy nim jak ubogi krewny z zapomnianego przez Pana Boga komisariatu. Musiał przyznać, że zawiązała się pomiędzy nimi jakaś nić sympatii. Ze strony Bauscha nie zmieniło się to mimo ostatnich wydarzeń.

– Nic nie wskazywało na to, kapitanie Klein, że dojdzie do tak dramatycznych wypadków... Franz prowadził śledztwo w pośpiechu, ale robił to z pełnym zaangażowaniem i dbałością o szczegóły. Nie mogę mu nic zarzucić, wręcz przeciwnie: odczuwam podziw dla jego przenikliwości w wielu sprawach. Prawdę mówiąc, zupełnie nie rozumiem tego, co się stało.

– Będę panu wdzięczny, panie Bausch, jeśli zdecyduje się pan ze mną podzielić informacjami na temat przebiegu śledztwa. Jednocześnie muszę panu uświadomić, że występuję w tej sprawie zupełnie prywatnie.

Klaus skinął głową. Sięgnął po paczkę papierosów. Wyciągnął ją w stronę Kleina, a gdy ten odmówił, ujął jednego w opuszki i wsunął do ust. Po chwili odpalił zapałkę i zaciągnął się dymem.

– Jest pan jedyną osobą, która zainteresowała się tym, co mam do powiedzenia w sprawie Koschelli. Jeśli mogę pomóc wachmistrzowi w jakikolwiek sposób, zrobię to bez wahania. Wszyscy postawili już na nim krzyżyk, a jednocześnie cieszą się, że wachmistrz rozwiązał sprawę, przy okazji wymierzając sprawiedliwość. Co chce pan wiedzieć?

– Proszę zacząć od początku, panie Bausch.

Bausch przysunął do siebie popielniczkę i umościł się na krześle. Rozejrzał się po restauracyjnej sali. Miejsce, w którym siedzieli, było dyskretne, stół stał we wnęce pod oknem i nie przyciągał uwagi. Asystent policyjny pochwalił Kleina za przezorność. Mimo to mówił ściszym tonem:

– Koschella dosyć szybko zrezygnował z tropu, który od początku brano pod uwagę jako najbardziej prawdopodobny. Zniknięcie Sabine Hunfeld wiązano z szajką zajmującą się handlem ludźmi. W czasie wojny wiele organizacji przestępczych, zwłaszcza tych ze stolicy, wykorzystało chaos w państwie, by rozszerzyć swoją działalność. Czuły się bezkarnie. Porywano dziewczyny, uzależniano od narkotyków, kończyły najczęściej w burdelach. Berlin przejął tę sprawę. I to było początkiem końca śledztwa. Sabine dołączyła do grupy tych kobiet, które zaginęły bez wieści. Jej akta wylądowały zapewne na stosie innych podobnych spraw z całych Prus. Z Berlina co prawda pofatygowali się tutaj śledczy, ale zabawili nie dłużej niż kilka godzin...

– Odrzuciliście ten wątek. Jakim tropem poszliście?

Bausch uśmiechnął się w duchu. Zrobiło mu się przyjemnie, że Klein używa liczby mnogiej, stawiając go na równi z Franzem. Przeszło mu przez myśl, że być może powinien być ostrożniejszy. Sprawa była delikatna, a próżność mogła się odbić czkawką. W tej jednak materii Bausch był dziwnie o swój los spokojny. Zapewne łatwiej byłoby się odciąć od Koschelli. Nikt nie chciał mieć powiązań nawet z potencjalnym mordercą, ale Bausch przemyślał sobie wszystko już dawno. Tak naprawdę odczuwał równie wielką potrzebę tej rozmowy co Klein. Ta sprawa od początku śmierdziała, wciąż mogła mieć jakieś drugie dno.

– Odkryliśmy chatę, w której trzymali dziewczynę. Wachmistrz Koschella ustalił, że Sabine jakimś cudem z niej uciekła. Niestety niezbyt daleko. Zwłoki odnaleźliśmy dwa kilometry dalej. Spadła ze skarpy. Obrażenia były śmiertelne... Wcześniej porywacze zażądali okupu od ojca porwanej. Stary Josef zostawił pieniądze w wyznaczonym miejscu, a one zostały podjęte. Wydaje się, że dziewczyna miała cholernego pecha: spróbowała ucieczki, która skończyła się dla niej tragicznie. Braliśmy pod uwagę, że doszłoby do wymiany, gdyby nie jej śmierć.

– Właśnie te ustalenia przekonały was, że nie chodziło o szajkę handlującą żywym towarem?

– Tak właśnie – odparł Bausch. – Sabine była przetrzymywana w pobliżu Dusznik, pojawił się wątek okupu. Do tego porywacze go zabrali. Żadna z działających wówczas w naszym kraju zorganizowanych grup nie zwracała sobie głowy gierkami prowadzonymi z rodziną czy policją. Żadna nie stawiała żądań okupu. Każda grupa kalkulowała ryzyko. Jeśli upatrzyła sobie ofiarę, dokonywano porwania i grupa zniknęła. Nawet jeśli przyjąć, że okup miał pomóc w zyskaniu czasu, to trudno uznać, że ktoś po wszystkim ryzykowałby jeszcze jego podjęcie...

– Co dalej?

Bausch przyglądał się uważnie Kleinowi. Był pewny, że w tej chwili w umyśle kapitana dokonuje się gruntowna analiza



wszystkich danych. Miał wrażenie, że ten mężczyzna wyciąga wnioski kilkakrotnie szybciej niż on i Koschella razem wzięci.

– Wątek stacjonujących w Dusznikach i w pobliżu miasta żołnierzy z Drugiej Kompanii Piątego Batalionu Garnizonowego z Kłodzka. W dniu porwania Sabine i jej przyjaciółce towarzyszył młody rekrut, który uczył obie panie jazdy na nartach, Thomas Zuber... Zginął w tysiąc dziewięćset szesnastym roku na froncie. Wiem, że Franz rozmawiał z jego rodziną. Kolejnym krokiem Koschelli było prześwietlenie najbliższego otoczenia Hunfelda. Jego samego także. Wachmistrz interesował się partnerami w interesach i ewentualnymi wrogami fabrykanta. W sferze zainteresowania Franza był też hotel Germania, jego właściciel, pracownicy, klienci i oczywiście Bastian Rabe.

– Jaka była pana opinia w tej sprawie, panie Bausch?

– Nie miałem wyrobionego zdania. Nie miałem także wytypowanych sprawców. – Bausch zdecydował się na szczerość, choć był pewny, że zdradzając swoją nikłą w rzeczywistości rolę w prowadzeniu sprawy, wiele straci w oczach Kleina. Zgasił papierosa i przysunął do siebie kufel. – Wydawało mi się, że także Franz Koschella nikogo konkretnego nie podejrzewa. Być może zaważyła tu moja słaba spostrzegawczość, a być może to, że wachmistrz nie należy do ludzi wylewnych. Przyznaję, że nie dzielił się ze mną wszystkimi przemyśleniami, zresztą trudno, bym tego oczekiwał. Nie uczestniczyłem we wszystkich podejmowanych przez niego czynnościach, zwłaszcza tu, w Kłodzku. Służyłem raczej pomocą w Dusznikach. – Bausch pociągnął łyk. Dopiero wtedy dokończył myśl. – Zauważyłem, że w pewnym momencie Franz zamknął się w sobie... Nie wiedziałem dlaczego. Zrozumiałem to po czasie, dwa dni temu. Myślę, że wachmistrz po prostu nie chciał mnie mieszać w coś, co zaplanował...

– Nic nie wskazywało więc na to, że Koschella podejrzewa o porwanie jednego z mężczyzn, którzy towarzyszyli tego dnia Sabine Hunfeld i Gabriele von Magnis?

– Nie, Bastian Rabe, siostrzeniec właściciela Germanii, wydawał mi się równie podejrzany jak inni. Choć dziś, gdy wiem, że Franz zabił właśnie tego człowieka, nie jest tak trudno w to uwierzyć...

Milczeli. Bausch sączył piwo, czując się coraz bardziej nieswojo, Klein zapatrzył się w podłogę i widniejący na niej geometryczny wzór.

– Jest coś jeszcze, panie Bausch. Coś jeszcze chce mi pan powiedzieć.

Klaus skinął głową. Odsunął od siebie kufel, bo piwo jakimś sposobem nabrało zbyt silnego posmaku goryczki.

– Tuż przed wydarzeniami w miejskiej łaźni Franz Koschella odwiedził komisarza kłodzkiej policji, Heinricha Richtera.

– Nie powinno być to niezwykle, w końcu to jego przełożony.

– To prawda, kapitanie. Jednak w naszych rozmowach z Franzem, wachmistrem Koschellą znaczy się, pojawił się jeden wątek, który, mam wrażenie, nie doczekał się rozwiązania.

– Proszę śmiało mówić.

– Komisarz Richter w tysiąc dziewięćset szesnastym roku awansował na obecne stanowisko... Nie odbyło się to przed sprawą Sabine Hunfeld ani po niej, tylko w trakcie. W najbardziej newralgicznym momencie. Przed awansem komisarz Richter, który prowadził sprawę zaginięcia, działał bardzo energicznie, lecz nagle...

– Przestał być tak energiczny?

– Przestano zajmować się sprawą. Wątek szajki porywającej dziewczyny zdominował śledztwo, a sprawa straciła rozpęd, gdy pojawiły się informacje o przejęciu dochodzenia przez sam Berlin. Jednak i prowadzący dochodzenie stracili zapał...

– Co pan sugeruje? – dopytał Klein.

Bausch wzruszył ramionami.

– Wachmistrz uważał, że to Bastian Rabe stał za porwaniem Sabine. Muszę przyznać, że przypatrując się Rabemu wtedy, w tysiąc dziewięćset szesnastym roku, i później odniosłem wrażenie, że

człowiek ten miał bardzo dużo szczęścia. Ten czas był dla niego przełomowy. W kolejnych latach dorobił się majątku, którego mógłby mu pozazdrościć każdy. Posiadł udziały w największych kłódzkich interesach, jednocześnie zajmował się... niezbyt czystymi sprawami. Udzielał pożyczek, kredytów, zajmował się lichwą. Na jego działalność patrzono przez palce. Nikt mu krzywdy nigdy nie zrobił. Ale może po prostu szukam dla Franza Koschelli jakiegoś usprawiedliwienia...

– Tak zapewne pan robi. Proszę jednak dokończyć myśl, która narodziła się w pana głowie.

Klaus wziął głęboki oddech i wyrzucił z siebie:

– Może Richter nie miał nic przeciw temu, by sprawa zakończyła się tak, jak się zakończyła, czyli rękami Koschelli... Wiem, że komisarz zagrał Franzowi na ambicji. Dał mu tylko dwa tygodnie...

– Co po tym czasie miało się stać?

– Podobno Richter sugerował, że znów sprawą zainteresuje się Berlin, a wtedy będziemy mieli powtórkę sytuacji sprzed lat. Znaczący, sprawie ukręca łeb. W tysiąc dziewięćset szesnastym roku dochodzenie w sprawie berlińskich ringvereinów zakończyło się porażką. Od tamtej pory te organizacje robią w Berlinie, co chcą. Nie chcieliby więc, by to wypłynęło. Rabe znów wyszedłby z tego obronną ręką.

– A z tym według pana Franz Koschella nie był w stanie się pogodzić?

Bausch skinął głową. Zdał sobie sprawę, że za smak goryczki, który odczuwał, bynajmniej nie odpowiada piwo. Odchrząknął, sięgnął po kufel i przepłukał usta.

– Od czego pan zacznie, panie Klein?

– Od początku. Zna pan może adres rodziców tego młodego wojskowego, Thomasa Zubera?

\*

Dla Gabriele uśmiech na twarzy Haima wiele znaczył. Jego matka wciąż była nieufna, zachowywała dystans, nie rezygnowała też z uszczypliwości. Von Magnis wiedziała jednak, że musi zachować cierpliwość. Wielu ludzi nie wierzyło w bezinteresowność innych i nie mogła mieć o to pretensji. Magdę i Haima życie mocno doświadczyło, od bliźnich zaznali niemal wyłącznie obojętności lub zła.

Gdy Haim przeglądał pierwsze strony baśni Andersena, Gabriele rozmówiła się z jego matką. Propozycja pracy sprzątaczką w wyższej szkole ewangelickiej dla dziewcząt mocno ją zaskoczyła. Von Magnis wydawało się nawet, że kobieta odebrała ofertę jako uwłaczającą jej godności, jakby zawód, który obecnie wykonywała, takowy nie był. Hrabianka skarciła się za spostrzeżenie, które pojawiło się w jej myślach. Zdała sobie sprawę, że reakcja Ross mogła mieć inne podłoże. Nie tak łatwo odmienić dotychczasowe życie, gdy leży ono w rękach innych.

Wychodząc z mieszkania Magdy, Gabriele była jednak dobrej myśli. Nauczyła się, że trudno jest pomóc komuś, kto tej pomocy nie chce przyjąć. Mimo to wydawało się, że w relacjach z matką Haima nastąpił jakiś przełom.

Idąc w stronę Gartenstrasse, pomyślała też o sobie, o swojej przyszłości. Rodzice nalegali, by wyjechała do Wrocławia. To, co miała w życiu robić, wydawało się już postanowione, przechodziła od punktu A do punktu B. Wiedziała, gdzie będzie za rok czy dwa. A może wcale nie? Może była gotowa na podjęcie innej decyzji, wybranie innej ścieżki?

Wkrótce Gabriele zatrzymała się pod murami więzienia. Strażnicy rozpoznali ją i wpuścili za wysoką bramę. Po chwili znalazła się w bloku szpitalnym. Założyła fartuch i przywitała się z siostrą przełożoną. Miały do omówienia kilka ważnych spraw.

Wilhelm Klein przemierzał wolnym krokiem Zimmerstrasse, zmierzając w stronę kamienicy, w której mieszkali rodzice Thomasa Zuberera. Wzmianki o młodym żołnierzu pojawiły się zarówno w relacji asystenta policyjnego Bauscha, jak i w notatce prasowej, z którą kapitan zapoznał się w drodze do Kłodzka. Zuber towarzyszył Sabine w dniu jej porwania. Zgodnie z relacją dziennikarza zginął na froncie jeszcze w 1916 roku, zaledwie kilka tygodni po feralnych wydarzeniach w Zieleńcu.

Kapitan wyminął willę Alberta Jacoba, importera alkoholi oraz właściciela wytwórni likierów i soków owocowych, po czym przeszedł na drugą stronę ulicy. Tu zatrzymał się przy furtce prowadzącej do okazałej, zdobionej imponującą wieżyczką kamienicy, otworzył ją i wkroczył na ścieżkę, w cień budynku. Spis lokatorów znalazł przy bramie i posiłkując się numeracją, zlokalizował mieszkanie na pierwszym piętrze. Wkroczył do klatki i po chwili zapukał w drzwi.

Po kilkunastu sekundach na korytarz wyjrzała kobieta.

– Wilhelm Klein, chciałbym porozmawiać o Thomasie.

Usta kobiety rozchyliły się, nie wydała jednak żadnego dźwięku. Wyraźnie się zawahała, szpara w drzwiach początkowo zmniejszyła się, lecz już po chwili skrzydło stanęło otworem.

– Proszę wejść, kapitanie. Wiem, kim pan jest.

Klein uklonił się, zdjął kapelusz i wytarł buty w wycieraczkę. Kobieta zaprosiła go gestem do środka, po czym za nim zamknęła. Poprowadziła go do salonu.

Przed Wilhelmem otworzyła się spora przestrzeń kontrastująca z wąskim korytarzem. Salon był jasny, wychodził na Zimmerstrasse, promienie zachodzącego słońca przenikały przez firany, oświetlając okrągły stół, meble i wiszące na ścianach zdjęcia w ramkach. Na wszystkich fotografiach widać było młodego chłopaka, kilka z nich wykonano zapewne w miejscowym atelier. Przedstawiały Thomasa w mundurze, na niektórych na tle kłodzkiej twierdzy.

– To mój mąż, Artur.

Klein przeniósł wzrok na siedzącego w fotelu inwalidzkim mężczyznę. Ten przechylał się lekko, zapatrzony w okno, tę część, która specjalnie dla niego została odsłonięta. Miał niczym nieograniczony widok na ulicę.

– Artur doznał wylewu miesiąc po informacji o śmierci Thomasa.

– Przykro mi. – Klein usiadł na krześle wskazanym przez gospodynię.

– Rozmawiam z panem, bo tak jak Thomas... Obaj służyliście ojczyźnie, na froncie.

Wilhelm nie reagował na te słowa, czekał, co matka chłopaka ma do powiedzenia.

– Znow mówią o Thomasie, ferują wyroki, ale nikt tak naprawdę nigdy nie zapytał nas o syna. Pierwszym był wachmistrz Koschella, a teraz pan.

– Czy Thomasa o coś oskarżano?

– O udział w porwaniu Sabine Hunfeld. To była jedna z pierwszych wersji policji. W jednostce, w której wtedy przebywał, niemal doszło do linczu, gdy ktoś puścił plotkę, że Thomas stał za porwaniem. Bardzo to przeżył. Ja już wtedy podejrzewałam... wiedziałam, kto rzucił na niego te oskarżenia...

– Kto?

– Bastian Rabe, jego przyjaciel. Zupełnie jakby chciał odsunąć od siebie podejrzenia. Zaszczuli Thomasa, a potem...

Klein spostrzegł, że mężczyzna na fotelu inwalidzkim drży. Musiał słyszeć i rozumieć całą rozmowę.

– Mąż dzięki swoim kontaktom uchronił Thomasa od wysłania na front, załatwił mu miejsce w orkiestrze garnizonowej. Wiem, jak to brzmi. – Kobieta popatrzyła twardo na Kleina, jakby spodziewała się jego surowej oceny. – To było nasze jedyne dziecko, chcieliśmy je chronić. Jednak już kilka dni po zniknięciu Sabine Thomasa wysłano na front... Dowiedzieliśmy się o tym, gdy był już w drodze. Arturowi nie udało się cofnąć na czas tego rozkazu. Thomas wziął udział

w ciężkich walkach z Rosjanami. Poległ w marcu nad jeziorem Narocz, trzy tygodnie po wydarzeniach w Zieleńcu.

Kobieta zamilkła, walczyła ze słabością, która nie pozwalała jej kontynuować rozmowy. Wstała i podeszła do ustawionego przy ścianie stolika, na którym znajdowała się karafka z wodą. Odciągnęła korek, wlała płyn do szklanki, upiła z niej spory łyk. Dopiero wtedy podjęła wątek:

– Nie znaleziono ciała. Według oficjalnej wersji syn był jednym z zaginionych. Ale dotarliśmy do mężczyzny, który z nim służył i brał udział w tamtym starciu. Powiedział, że jest pewny, że Thomas przeżył wymianę ognia, mimo to znaleziono go później martwego, z dziurą z tyłu głowy, wyglądało to na egzekucję z bliskiej odległości... Ten żołnierz mówił, że kompania, do której rzucono syna, była od początku przeznaczona na straty. Powołano do niej przestępców i straceńców. Wydano na naszego syna wyrok, rozumie pan?!

– Poda mi pani dane tego żołnierza, z którym rozmawialiście?

– Na nic się nie przydadzą. Nie dożył końca wojny. Jedyne świadek śmierci Thomasa także zaginął na froncie.

Klein popatrzył na panią Zuber. Widział jej napięcie, czekała na jedno słuszne pytanie.

– Bastian Rabe rzucał podejrzenia na państwa syna, by odciągnąć śledczych od swojej osoby?

Przymknęła oczy.

– To był człowiek bez skrupułów. Zastawiał wokół naszego Thomasa sieć, próbował go wciągać w różne interesy, namawiał do złego... Wiem, że syn nigdy by...

Kobietą wstrząsnął szloch. Podeszła do męża, położyła mu dłoń na ramieniu, jakby to on potrzebował pocieszenia, nie ona.

– Już nic nie przywróci życia Thomasowi. Ale sprawiedliwość dosięgła Rabego. Dosięgła go rękami Franza Koschelli. Wszyscy wywieraliśmy na wachmistrzu presję. – Kobieta znów spojrzała na

Kleina z tą twardością w oczach. – Jesteśmy więc współwinni zabicia tego... człowieka. Chętnie weźmiemy na siebie tę karę.

Klein nie podjął tematu winy czy współwiny, bo nie to go interesowało.

– Thomas i Bastian Rabe znali się długo? – zapytał.

– Od dziecka. – Kobieta wskazała budynek po drugiej stronie ulicy.

– O tam, tam mieszkał Bastian Rabe.

\*

Przechodząc przez jezdnię, Wilhelm Klein wyczuwał na sobie wzrok rodziców Thomasa. Artur musiał całymi dniami przesiadywać w jednym miejscu, wpatrzony właśnie w tę kamienicę, w której mieszkał Bastian. Być może wcześniej, wiele lat temu, gdy jego syn był mniejszy i szedł tak jak teraz Klein w stronę tego domu, zastanawiał się, czy Thomas powinien utrzymywać ową przyjaźń. Może wtedy nie potrafił odmówić synowi, był zbyt mało stanowczy. Teraz zapewne dzień w dzień obwiniał się, że nie przerwał w porę tamtej relacji.

Klein uchwycił kołatkę i uderzył nią dwukrotnie w drzwi wejściowe domu Rabego. Spodziewał się, że kamienica może być opuszczona, jednak po chwili mu otwarto, a w progu stanął lokaj.

– Dom zamknięty, nie przyjmujemy nikogo. – Starszy mężczyzna zmierzył Kleina obojętnym wzrokiem. Wyklepał formułkę, którą zapewne powtarzał w ostatnich dniach dosyć często.

– Wciąż pan tu pracuje mimo śmierci właściciela?

– Pracuję, pensję opłaconą mam z góry do końca przyszłego miesiąca. Dom przypadnie dalszemu krewnemu pana Bastiana...

Klein domyślił się, że lokaj liczy na przedłużenie umowy i zajęcie u nowego pracodawcy.

– Kto zajmuje się sprawami majątku po śmierci pana Rabego?

– Według testamentu ów krewny.

– Czy mogę dostać do niego jakiś kontakt?



– Proszę zostawić wiadomość. Gdy się pojawi, na pewno zostanie mu przekazana. – Lokaj wyraźnie tracił cierpliwość. Być może pensja, jaką dostawał, nie była na tyle wysoka, by opłacało mu się użerać ze wszystkimi nachodzącymi dom petentami.

Klein obszukał kieszenie płaszcza, mową ciała dając wyraźny sygnał, że nie ma kartki i niczego do pisania.

– Pan wejdzie...

Lokaj zrobił mu miejsce, wpuszczając go do owalnego przedsionka, i wskazał stolik przy ścianie. Na blacie spoczywał stosik kartek papieru i ołówki, a obok piętrzyła się piramida galaretek i słodyczy w opakowaniach kłodzkiej firmy May.

Klein napisał kilka nic nieznaczących słów na kartce, podał też swoje imię i nazwisko i adres Hotelu Dworcowego. Po tym wszystkim nie zapomniał poczęstować się słodyczami.

– Dużo tego macie – powiedział. – Nie żebym przepadał za cukierkami.

– Bastian Rabe był dumny ze swojej firmy.

– Swojej? Byłem pewny, że to firma Hermanna Maya?

Lokaj wzruszył ramionami. Dawał do zrozumienia, że rozmowa dla niego jest już zakończona.

Klein skinął głową i wyszedł na ścieżkę przed kamienicę. Wracając do centrum, rozpuścił w ustach wiśniową galaretkę. Uznał, że rzeczywiście jest smaczna, i nie dziwił się, że Bastian Rabe chciał się tytułować właścicielem wytwórni, w której powstała.

## KŁODZKO, 21 MAJA 1921 ROKU

Katherine Hunfeld siedziała w gabinecie, trzymając w dłoniach srebrną ramkę ze zdjęciem Sabine. Obraz dziewczyny w jej własnej pamięci z każdym rokiem zacierał się coraz bardziej. Towarzyszyło jej wrażenie pustki, takiej samej jak po śmierci męża. Na tym zdjęciu Sabine była uśmiechnięta. Jednak już dawno temu Katherine zauważyła w jej oczach jakąś zmianę, coś, co mąciło jej spokój. Tę tajemnicę dziewczyna zabrała ze sobą.

Hunfeld czekała na mężczyznę, który zadzwonił do niej rano. Kapitan Klein. Wiedziała, kim jest, zastanawiała się, czy ten człowiek będzie w stanie odgrzebać w przeszłości to, czego nie udało się nikomu innemu.

– Wejść! – rzuciła w stronę drzwi, gdy usłyszała donośne pukanie.

Klein, wchodząc do gabinetu Katherine Hunfeld, odniósł wrażenie, że znalazł się w kapsule czasu, a kobieta, która wyszła mu naprzeciw, zupełnie nie pasuje do scenografii. Na ścianach wisiały zdjęcia Josefa Hunfelda. Na wielu z nich uśmiechał się, dzierżąc cygaro w taki sposób, że nie można było mieć złudzeń, kto, a właściwie co powinno być w centrum uwagi fotografa. Ujęcia z kontrahentami, na tle sklepów i magazynów, paczek i skrzyń. Podróże zagraniczne, ściskanie dłoni, poklepywanie po plecach. Obraz mężczyzny sukcesu, zadowolonego z zawodowego życia.

– Wiele mu zawdzięczam. Wszystkiego nauczyłam się od Josefa. To zawsze będzie dzieło jego życia...

Klein zanotował w myślach, że Katherine Hunfeld jest spostrzegawcza. Witając się z nią, wytrzymał tak siłę jej stalowego spojrzenia, jak i mocny uścisk dłoni. Kobieta roztaczała aurę pewności siebie. Wskazując Wilhelmowi wolne krzesło, zrobiła to w sposób uprzejmy, niepozostawiający jednak złudzeń, kto tu jest petentem i komu należy się szacunek.

Klein, przyglądając się Katherine, wiedział, że kobieta dokonuje w tej chwili podobnej oceny jego osoby. Pani Hunfeld, trzydziestoparolatka, wyglądała na starszą. Pogłębione ciemne worki pod oczami zdradzały jej oddanie pracy, dbała jednak zarówno o fryzurę, jak i strój. Kostium, który nosiła, musiał pochodzić z najlepszych domów mody, podobnie jak drogie perfumy. Przymioty wewnętrzne też miały swoje znaczenie. Katherine Hunfeld na pierwszy rzut oka była osobą pedantyczną i konsekwentną. Trudno zresztą sobie wyobrazić, by inaczej zdołała odnieść sukces w branży.

– Zdążyłam zasięgnąć informacji o panu. – Katherine usiadła w fotelu, opierając łokcie na podłokietnikach, dłonie splotła na brzuchu. Siedziała wyprostowana, sztywna. Być może nigdy w towarzystwie nie pozwalała sobie na chwilę rozluźnienia. – Nie mam złudzeń, że przyjechał pan nie tyle w sprawie Sabine, ile swojego znajomego, wachmistrza Koschelli.

Kolejna słuszna obserwacja, pomyślał Klein, nie podzielił się jednak tą myślą.

On także zdążył zasięgnąć informacji o swojej rozmówczyni. O Katherine mówiono z szacunkiem, choć z opowieści choćby recepcjonisty Hotelu Dworcowego wyłaniała się postać tajemnicza. Pani Hunfeld nie dopuszczała ludzi zbyt blisko, nie miała także przesadnie bujnego życia towarzyskiego. W ten sposób nie dawała pretekstu do powstawania plotek. Często podróżowała, zasłużyła sobie jednak na opinię zdolnej i odważnej w działaniach przedsiębiorczyni. Po stracie pasierbicy i śmierci męża poświęciła się budowaniu własnego imperium.

– Wiem, że zna pan wachmistrza Koschellę bardzo dobrze. – Katherine wzięła na siebie ciężar rozmowy, co też wiele o niej mówiło. – Jestem pewna, że darzycie się panowie wzajemnym szacunkiem. Wachmistrz nie zasłużył, by gnić w więzieniu. Służę wszelką pomocą dla niego i jego rodziny.

– Dziękuję w imieniu wachmistrza. – Klein skinął głową, postanawiając wykazać się większą inicjatywą. – Przyszedłem do pani, domyślam się bowiem, że wachmistrz także panią odwiedził. Rozmawialiście o Sabine?

– Tak. Powiedziała mu wszystko, co mnie i mężowi udało się ustalić przez lata poszukiwań. Czy uwierzy pan, że to był pierwszy policjant, który dokładnie słuchał tego, co mam mu do powiedzenia? Do tej pory spotykałam się jedynie z ignorantami, ludźmi, którzy nie byli godni nazywać się śledczymi. Przez tyle lat odbijaliśmy się od drzwi komisarzy, sędziów i prokuratorów. Każdy z nich miał mnie i Josefa za wariatów. Zapewne liczyli, że odpuścimy. Ba, sugerowano nam, żebyśmy się zajęli firmą, a nie straconą sprawą... Mieliśmy zapomnieć o córce?

Katherine Hunfeld wstała od biurka i nerwowym krokiem zaczęła się przechadzać wzdłuż gabinetu. Pod jej nogami zaskrzypiały dębowe deski.

– Widziałam determinację wachmistrza Koschelli. – Przystanęła, zapatrzyła się w zdjęcia na ścianie. – Od razu to zrozumiałam. Ta sprawa pochłonęła go całkowicie. Wachmistrz nie jest taki jak ci tutejsi idioci w mundurach. To prawdziwy policjant, człowiek z zasadami... choć ostrzegałam go.

– Przed czym ostrzegała pani wachmistrza Koschellę, pani Hunfeld? – zapytał Klein. Nie uszła jego uwadze zmiana w tonie głosu kobiety.

– Ostrzegałam, że nie dadzą mu rozwiązać tej sprawy, zamiotą wszystko pod dywan. I że jeśli zechce walczyć o sprawiedliwość, to będzie musiał wymierzyć ją sam. – Katherine odsunęła się od ściany i ponownie usiadła za biurkiem. Tym razem zapatrzyła się w stojący pośrodku blatu obrazek w srebrnej ramce. – Posłuchał mnie i sprawiedliwość wymierzył... Powinam być może czuć wyrzuty sumienia, bo na niego naciskałam, ale... ale nie potrafię... Koschella zrobił to, co powinien. Bastian Rabe wywinąłby się jak nic. Można powiedzieć, że jestem współwinna czynu pana kolegi.

Klein skinął głową. Po raz kolejny w ciągu dwóch dni słyszał o współwinie. Pomyślał też, że Koschella nie uległby pod niczyją presją, nawet kobiety tak przekonującej jak pani Hunfeld. Zapytał jednak o coś innego:

– Dlaczego uważa pani, że Rabe nie odpowiedzialby za swoje czyny?

– Żartuje pan? – Katherine parsknęła śmiechem, co nie licowało z jej pozą dystygowanej damy. – Bastian Rabe miał pół tego miasta w kieszeni. Uzależnił od siebie finansowo największe żydowskie przedsiębiorstwa w Kłodzku. Fabryka Win i Likierów Schweizera i Briegera, destylatornia Louisa Schotta. W czasach kryzysu udzielił im lichwiarskich pożyczek. Dzięki niemu rodzina May wykupiła największy browar w mieście, Glatzer Brauhaus... Hermann May to ten sam, który produkuje galaretki i likier Róża Kłodzka. Zresztą Rabe zajął się dystrybucją także likierów i spirytusu. Ma łeb na karku i kontakty w całym kraju.

– Pani mąż też brał od niego pożyczki?

Kobieta zamilkła. Zbladła, co zdradzało jej wzburzenie.

– Tak. – Potrząsnęła głową, jakby odganiała jakąś natrętną myśl. – Miał czelność zaproponować pieniądze także mężowi, gdy byliśmy w potrzebie. Zapewne jego własne, te, które Josef przekazał porywaczom w okupie...

Klein milczał, czekał, aż Katherine Hunfeld zwalczy targające nią emocje.

– Kiedy zaczęła pani podejrzewać Rabego o udział w porwaniu?

– Dopiero po rozmowie z Franzem Koschellą. Gdy wachmistrz mnie odwiedził, powiedział, że Sabine nie była jedyna. Mówił, że jest pewny, że Rabe zrobił to jeszcze raz. Porwał kogoś dla okupu. Wtedy wszystkie elementy układanki wskoczyły na miejsce. Tamto porwanie jednak nie zakończyło się tak tragicznie jak porwanie naszej córki...

– Czy wachmistrz Koschella zdradził, o kogo chodziło?

– Nie. Ale myślę, że jeśli on dotarł do tej informacji, to panu też się uda.

\*

Koschella wciąż miał problemy z oddychaniem, ale żebro wydawało się całe. Liczył, że ból minie i nie zniweczy jego planów. Próbował się podciągnąć na jednej z krat, odpokutował to jednak, bo całe ciało sprzeciwiało się wysiłkowi.

Wiedział, że ma najwyżej dzień, zanim podejmą decyzję. Gdyby ponowili próbę i wysłali kolejnych osiłków, mógłby zamawiać grabarza. Uznał jednak, że sprawy rozegrał właściwie i wiadomość dotarła do adresata.

Dopiero nad ranem na jego wyraźną prośbę pozwolono mu na wizytę w bloku szpitalnym. Towarzyszyło mu dwóch strażników. Jeden z nich był napięty i czujny, Franz domyślił się, że jest nowicjuszem. Nie była to dobra okoliczność. Koschella uznał, że będzie musiał na niego uważać, bo reakcje żółtodzioba mogą być nieprzewidywalne. Jeśli idzie o drugiego, mógł przypuszczać, że zdoła przewidzieć jego działania.

Gdy do sali weszła młoda dziewczyna, wpatrywał się w ścianę. Pod czujnym okiem strażników zdjął więzienną koszulę. Pielęgniarka zbadała jego żebra; nie wiedział, czy bardziej wrażliwy był w tym momencie na ból czy chłód jej palców. Nałożyła mu na skórę jakąś maść i owinęła klatkę piersiową bandażem. Dotrwał do końca badania, choć spocił się jak mysz. Miał wrażenie, że przy każdym oddechu ktoś wbija mu w płuca ostry szpikulec.

– Żebra są całe, ale ostre dolegliwości mogą się utrzymywać nawet przez tydzień. Proszę więźnia regularnie przyprowadzać do kontroli.

Ani on, ani strażnicy nie skomentowali tej informacji. Czuł na sobie uważne spojrzenia obu mężczyzn, gdy pielęgniarka pomagała mu się ubrać.

Podniósł się z kozetki, starając się nie wydać przy tym jęku. Starszy ze strażników nakazał mu się zatrzymać przed drzwiami. Skontrolował jego ubranie, nie starając się zachowywać delikatnie.

Franz tym razem poczuł na sobie wzrok pielęgniarki. Odwzajemnił jej spojrzenie. W końcu został wypchnięty na korytarz. Starał się nie zaciskać pięści, by nie budzić podejrzeń. Miał szczęście, że kontrolował go starszy ze strażników. Gdyby robił to nowicjusz, być może w swojej nadgorliwości pokrzyżowałby Koschelli plany.

Wachmistrza doprowadzono do celi. Usiadł na pryczy i nie poruszał się przez długie godziny. Odczekał do zmroku. Wysunął gryps pomiędzy palców. W świetle reflektorów dochodzących przez okno był w stanie bez problemu odczytać drobne literki.

Informacja była krótka. Klein pojawił się w Kłodzku. To znaczyło, że Franz nie ma już zbyt wiele czasu na załatwienie wszystkich spraw tutaj, w więzieniu przy Gartenstrasse.

\*

Stojący przed drzwiami Banku Rzeszy Sigmund Winter miał znakomity humor. Przyczyn tego doskonałego nastroju było kilka. Po pierwsze, pogoda. Ciepły słoneczny ranek rozświetlał brukowane ulice, sprawiając, że miasto przestało wyglądać ponuro. Ożywczy wiosenny powiew przewietrzył uliczki Kłodzka. W takich chwilach niemal można było zapomnieć, że jeszcze niedawno ulice pokrywała śniegowo-błotna breja.

Zanim wszedł do banku, przeciągnął się jak kot. Rozejrzał się wokół. Okolica zdążyła już ożyć, na kamiennym moście pojawiło się wielu mieszkańców zmierzających od Wyspy Piasek w stronę rynku. Mężczyźni w tej wędrówce pod górę robili często przystanek przy kiosku z papierosami. Teraz utworzyła się tam spora kolejka, w której ostatni klienci stali już na ulicy. Kobiety także miały kilka przystanków na trasie. Jednym z nich była witryna sklepu z damskimi kapeluszami. Jej właściciel S. Loewy dbał, by codziennie w ekspozycji pojawiło się przynajmniej jedno nowe nakrycie głowy.

Nie ustępował mu Carl Bergmann, który także starał się, by wystawka jego domu towarowego zachęcała do odwiedzin i zakupów.

Dyrektor Winter uśmiechnął się z zadowoleniem. Darzył szacunkiem każdego z tych przedsiębiorców. Dbali o swoje interesy, nie poddawali się bylejakości, która wydawała się coraz powszechniejszą skazą. Ostatnie lata były ciężkie. Kłodzki oddział Banku Rzeszy nie dysponował wystarczającą ilością środków, by zaspokoić potrzeby rozwijających się biznesów. Skarbiec świecił pustkami, ludzie zwyczajnie nie mieli kapitału, który mogliby ulokować na swoich rachunkach. Stąd liczne odmowy przyznawanych kredytów, pleniąca się lichwa i wiele bankructw. Kilka ulubionych browarów dyrektora, które zwykł odwiedzać po pracy, zostało zamkniętych, kilka sklepów przestało istnieć, kilka rodzinnych firm odeszło w niepamięć. Tylko nieliczni mieli w tych latach szczęście. Na palcach jednej ręki można było policzyć kłodzkie rodziny, które zamiast zaciągania kredytów lokowały w skarbcu banku pokaźne oszczędności. W sumie oprócz rodziny Mayów i Hunfeldów oraz Bastiana Rabego nikt inny do głowy dyrektorowi nie przychodził.

Winter czuł jednak w powietrzu zapowiedź lepszych dni. Zaledwie przedwczoraj do banku dotarł ogromny zastrzyk finansowy z Berlina. Opancerzony samochód przejechał przez miasto niczym pancernik dumnie rozpruwający fale Bałtyku. Rozpakowywanie skrzyń zajęło godzinę. Przy rozsądnym spożytkowaniu ten kapitał mógł przysłużyć się miastu. Winter wiedział, jak to zrobić, opierał się na swoim doświadczeniu, znajomości ludzi i ich zdolnościach. Dostrzegał też coś więcej niż inni. Widział system naczyń połączonych, drobnych, niemal niewidocznych złotych nici oplatających Kłodzko. Wystarczyło jedną z tych rozedrganych, napiętych strun naciągnąć, by odkryć sieć wzajemnych powiązań i zależności, by stać się obserwatorem procesów przebiegających, wydawałoby się, mimowolnie. W rzeczywistości procesy te



następowały według jasno określonych prawideł. Dzięki matematycznym obliczeniom Sigmund Winter był w stanie wyjaśnić każde ze zjawisk, które miał przed oczami. Wynik owych obliczeń prowadził go do najważniejszej, satysfakcjonującej konkluzji. Wszystkie z owych nici świadczących o wzajemnych powiązaniach zbiegały się w jednym miejscu. Niemal widział, jak złociste pęki strun mkną od górnego rynku i Rossmarkt w jego stronę, zbierają się w gruby, połyskliwy sznur odbijający promienie słońca, a potem wpadają przez otwarte drzwi wprost do pachnącego pieniędzmi Banku Rzeszy.

Ludzie. Ludzie są najważniejsi. Oni są siłą napędową tego świata, pomyślał Winter. Jego zadaniem była ocena ryzyka, a w przypadku pozytywnej weryfikacji – pielęgnowanie i zapewnienie podłoża do rozkwitu ludzkich marzeń. Miał służyć radą, udzielić pomocy w realizacji śmiałych planów, a przede wszystkim zapewnić dyskrecję.

W tym ostatnim aspekcie dyrektor Winter odczuwał pewien dyskomfort. Stało się to przyczyną jego bezsenności i nawracającej nerwicy serca. Ugiął się przed wachmistrzem Franzem Koschellą, pozwolił, by jeden z najważniejszych fundamentów, na który tak często się powoływał, został naruszony. Policjant wchodził do jego banku jak do obory. Wskazywał drzwi archiwum swoim brudnym palcem, jak wskazuje się drzwi do wygodki. Tam znikał na długie godziny i wertował dokumenty, przeglądał informacje zgromadzone przez bankowych detektywów na temat każdego niemal mieszkańca tego hrabstwa. Co gorsza, dyrektor Winter wiedział, do czego Koschella ich używał. Ten policjant miał twarz szantażysty, człowieka, który nie cofnie się przed nikim i przed niczym. Na szczęście niedawno ta gehenna się skończyła. Wszystko wróciło do normy. Winter, czytając artykuł w „Grafschaft Glatz” o aresztowaniu wachmistrza, nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu. To była kolejna przyczyna jego dobrego humoru. Przyczyna bez wątpienia najważniejsza.

Już miał zniknąć wraz z nowymi klientami we wnętrzu banku, gdy coś go podkusiło, by ponownie spojrzeć w stronę kamiennego mostu. W pierwszej chwili jego mózg nie zarejestrował tego, co widzi. Dyrektorowi pociemniało w oczach. Chciał je nawet przetrzeć, by się upewnić, że nie ma przywidzeń, nie był jednak w stanie unieść dłoni. Ogarnęła go słabość, a radość jęła wyciekać zeń niczym z rozbitego naczynia.

Winter oparł się o ścianę, czując, że za chwilę serce ściśnie mu dokuczliwa arytmia. Wiedział, kim jest idący w stronę rynku wysoki mężczyzna. Rozpoznawał jego pokrytą bliznami twarz. Zganił się za irracjonalny strach, który odbierał mu trzeźwość myślenia. Wycofał się do banku i ruszył do swojego gabinetu. Powinien myśleć racjonalnie. To, że Wilhelm Klein pojawił się w Kłodzku, nie musiało być niczym niezwykłym. Przyjechał w sprawie Koschelli, być może obaj nawiązali koleżeńskie stosunki podczas prowadzenia sprawy sprzed roku. Nie znaczyło to jednak, że Klein pójdzie w ślady wachmistrza i stanie się jego prześladowcą.

Winter bez słowa wyminął swojego sekretarza Karla Paschke i otworzył drzwi gabinetu. Zasiadł ciężko w fotelu. Dlaczego, patrząc na przybysza, doznał tej dziwnej wizji? Wydało mu się bowiem, że ten, stawiając długie kroki na kłodzkim bruku, napiera niczym taran na złote nici prowadzące do Banku Rzeszy i zrywa je, jakby zrobione były z lichej przędzy.

Pukanie, a po chwili zaczerwieniona twarz sekretarza dały Winterowi odpowiedź na ową wątpliwość. Dyrektor bez słowa sięgnął do szuflady, wyciągnął z niej chłodny przedmiot i rzucił w stronę Paschkego. Sekretarz uchwycił w locie klucz do archiwum i również bez słowa ulotnił się z gabinetu. Dyrektor Winter wstał chwiejnie z fotela i podszedł do okna. Oparł rozpalone czoło o szybę i wyjrzał na ulicę. Zdał sobie sprawę, że tym razem nie jest w stanie w obrazku, który ma przed oczami, dostrzec niczego niezwykłego. W wiosennym słońcu skrzyły się już jedynie okna w budynku

naprzeciw. Wilhelm Klein całkowicie zaburzył system naczyń połączonych, z którego Winter tak bardzo był dumny.

\*

Wilhelm Klein wyprosił z pomieszczenia sekretarza banku, choć ten uczynił to z ociąganiem. Po chwili usiadł na krześle przy małym biurku otoczonym regałami. Przesunął wzrokiem po grubych tomach akt Banku Rzeszy. Uważnie przyjrzał się tym teczkom i skoroszytom, które odstawały od stojących w równym rzędku swoich towarzyszy. Przeniósł spojrzenie na tabliczki z literami alfabetu zdobiące szufladki katalogów. Jedna z nich była delikatnie wysunięta. Od niej postanowił zacząć.

Zdjął płaszcz i podszedł do mebla. Pociągnął delikatnie za uchwyt szufladki. Odczytał dane z karteczki, którą ktoś przed nim wybrał spośród kilkudziesięciu innych. Zapamiętał sygnaturę i odwrócił się w stronę regału.

Bastian Rabe. Już z miejsca, gdzie stał, dostrzegł imponujących rozmiarów skoroszyt, który ktoś niedbale odłożył na półkę.

Wilhelm zdjął marynarkę i przewiesił ją przez oparcie fotela. Odszukał jeszcze akta Josefa i Katherine Hunfeldów. Przeniósł na biurko interesujące go dokumenty i zaczął je przeglądać.

Zaczął od informacji o rodzicach Sabine. Po zaginięciu dziewczyny firma Hunfelda przeżywała kryzys. Działała jeszcze przez jakiś czas siłą rozpędu, jednak bankructwo, jak wynikało z raportów, było bliskie. Hunfeldowie wydawali więcej, niż mieli. Klein domyślił się, że pieniądze przeznaczone były na poszukiwania Sabine. Przed bankructwem uratowała ich pożyczka od Bastiana Rabego, co potwierdzało informacje uzyskane od Katherine Hunfeld. Po śmierci Josefa na dokumentach zaczęło się pojawiać imię Katherine. Aż do chwili obecnej w depozycie bankowym zgromadziła majątek mogący przyprawić o zawrót głowy.

Klein sięgnął po kolejne akta. Przedsiębiorstwa, spółki, towarzystwa i fundacje – Klein szybko zdał sobie sprawę, że aby

prześledzić wszystkie działania i powiązania Rabego, musiałby poświęcić na studiowanie akt kilka miesięcy. Zamknął skoroszyt i się zamyślił. Nawet Koschella nie miał tyle czasu. Wachmistrz był inteligentny, nie można było go jednak podejrzewać, że dokonał analizy wszystkich materiałów zgromadzonych w Banku Rzeszy. Musiał pójść prostszą drogą, być może dostrzegł coś, czego w tej chwili nie dostrzegał jeszcze Klein.

Wilhelm ponownie otworzył akta Bastiana Rabego. Wczytał się w charakterystykę mężczyzny skreśloną piórem bankowego detektywa. Matka i ojciec młodego przedsiębiorcy nie śmierzdzieli groszem, żadne z nich nie dorobiło się takich pieniędzy jak wuj Bastiana, właściciel hotelu Germania, Fritz Scholz. Wuj zresztą wspierał finansowo swoją siostrę, zwłaszcza w sprawach związanych z edukacją siostrzeńca.

Bastian Rabe przerwał jednak studia, by zająć się zarabianiem pieniędzy. Okazało się, że ma do tego smykałkę. Pobierał pożyczki w Banku Rzeszy, ale też pożyczek udzielał, a dokładniej inwestował je w różne branże. Gros z nich związanych było z importem luksusowych towarów, a także z produkcją i obrotem alkoholem. Wspierał przedsiębiorców, w niespokojnych czasach stawał się ostatnią deską ratunku dla firm, które przeżywały zadyszkę. W tym czasie nawet Bank Rzeszy odmawiał pomocy finansowej tym, którzy zwracali się o kredyty i pożyczki, Rabe natomiast nie cofał się przed ryzykanckimi krokami. Wydaje się, że często jego pożyczki nie były związane ze zwykłymi kredytami, jakich udzielały banki. Nie chodziło mu o marne procenty. Zasilał firmy pieniędzmi, stając się ich udziałowcem, cichym wspólnikiem. Na tym właśnie polegał patent tego człowieka. Otrzymywał firmach swoich partnerów udziały niewspółmiernie duże do sum, których użyczał. To znaczyło, że przedsiębiorcy ci byli pod ścianą, a Rabe stawał się ich jedyną nadzieją.

Bastian Rabe działał aktywnie w tej branży jeszcze w czasach kryzysu, tuż po wojnie. Szybko stał się niezależny finansowo,

próbował swych sił w imporcie i eksporcie i mimo młodego wieku zaczął odnosić sukcesy. Jednak nawet jego firma, według raportów finansowych, dostała szybko zadyszki, niemal zniszczyła ją inflacja. Lecz młody biznesmen nieoczekiwanie odbił się od dna. Jednym z ostatnich działań jego spółki była inwestycja z 1920 roku. Bastian Rabe pośredniczył w wykupie z rąk Kurta Aschera kompleksu budynków na rogu Königshainer Strasse i Mälzstrasse. Glatzer Brauhaus, największy browar w mieście, między innymi dzięki wsparciu Rabego, przeszedł w ręce przedsiębiorcy Hermanna Maya.

Klein z podziwem odnotował, że przytłaczająca większość inwestycji tego człowieka była trafna. Jednocześnie stawiał sobie podczas tej kwerendy jedno pytanie: w jaki sposób dwudziestokilkuletni mężczyzna zgromadził kapitał, który pozwolił mu na rozpoczęcie szeroko zakrojonej działalności? Był pewny, że dociekał tego również Koschella.

Klein postanowił zaufać instynktowi. Wstał od biurka i podszedł do regału, na którym można było odnaleźć roczne sprawozdania bankowe. Zdjął opasy tom, jako jedyny pozbawiony grubej warstwy kurzu, i odszukał informacje o wytwórcy znanych galaretek i likieru Róża Kłodzka. Całkiem niedawno przeglądał je ktoś jeszcze i Klein był pewny, że jest w stanie wskazać osobę, której zainteresowanie było zbieżne z jego własnym.

\*

Haim spał, gdy wychodziła. Zawsze było jej trudno zostawiać go samego i myślała o nim przez cały czas nieobecności w domu. Chociaż nie, nie w tych chwilach, gdy wyłączała umysł, gdy czuła na sobie ciężar tych sapiących, śmierdzących czosnkiem wieprzów.

Czy rzeczywiście była w stanie zmienić coś w swoim życiu? Nie mogła być tak naiwna jak hrabianka. Musiała być bardziej przewidująca, musiała myśleć o konsekwencjach.

Magda była czyjąś własnością. Nikt jej nie pozwoli z dnia na dzień powiedzieć: kończę z tym, podążam inną drogą. Były już takie,

którym wydawało się, że mogą postawić granice, ale szybko pozbawiano je złudzeń. Czasem wystarczyło bicie, częściej zastraszanie. Czy ona byłaby w stanie przeciwstawić się swoim pracodawcom, gdyby zagrozili, że zrobią coś Haimowi?

Magda przystanęła i uchwyciła się kurczowo barierki mostu. Na myśl o konsekwencjach takiej decyzji ogarnął ją paralizujący strach. Traciła oddech, wydawało jej się, że nie może zaczerpnąć powietrza.

Königshainer Brücke zadrżał, gdy przejechał po nim konny wóz. Magda popatrzyła w nurt Nysy, jakby woda mogła oczyścić nie tylko jej myśli, ale i ciało.

Gabriele von Magnis. Czy protekcja hrabianki mogła jej zapewnić bezpieczeństwo? Czy to znane nazwisko wystarczyłoby, żeby dali jej spokój, żeby odpuścili?

Pokręciła głową. Nie, nie pozwoliliby sobie na to. Byłby to zły sygnał dla innych dziewczyn. Prędzej ją zabiją, a ciało rzucają do Nysy lub Młynówki ku przestrodze. Co wtedy stałoby się z Haimem? Czy piękna i mądra Gabriele ocaliłaby jej syna?

Ruszyła znów przed siebie, zeszła z mostu w Ross Strasse. Tutaj zgodnie z instrukcją przystanęła w bramie opuszczonej pralni garnizonowej. Furtka była przymknięta, pchnęła ją i weszła do środka. To już kolejny raz, kiedy pojawiała się w tym miejscu. Zlecenie specyficzne. Klient początkowo budził jej grozę, na szczęście nie miał żadnych nietypowych wymagań.

Zastanawiała ją, kim jest, choć nie powinno. Myślała o nim wiele razy. Dziwnie się ubierał. Mimo gorąca nosił długi płaszcz Continentala skrywający całą sylwetkę. Na twarzy zawsze miał maskę. Na pewno bał się, że go rozpozna. Wielu rajców i sędziów zaspokajało swoje chucie u kobiet takich jak Magda. W większości jednak robili to jawnie, najwyraźniej wychodząc z założenia, że plotka o ich rozwiązłości tylko potwierdzi ich męskość. Ten tutaj był inny. Spełniał jakieś swoje ukryte fantazje, był jednocześnie delikatny i brutalny. Gdy zatracił się w przeżywaniu rozkoszy, tracił nad sobą kontrolę.

Być może nie powinna zaprzętać sobie tym głowy. Płacił kilkakrotnie więcej niż inni. Prawda była jednak taka, że z każdym spotkaniem niepokoił ją coraz bardziej. Po ostatnich głośnych wydarzeniach w Mariannenbad łaźnia została zamknięta i Magda oraz inne dziewczyny straciły stałe miejsce pracy. Posłańcy przychodzili z adresami, na które miały się udać. Teraz nawet nie wiedziała, kto zajmuje się w mieście sutenerstwem.

Otworzyła drzwi do budynku i ruszyła w ciemnościach przed siebie. Już na nią czekał. W półmroku niewiele potrafiła dostrzec, lecz słyszała jego oddech.

Poczuła chłód, gdy uchwycił jej dłoń i pociągnął za sobą do jednego z pokoi. Tu popchnął ją na stół. Oparła się rękami o blat, próbując odzyskać równowagę, wtedy podciągnął jej spódnice.

Zdarł z niej majtki z taką samą gorączką jak zwykle. Miał niespożytą energię i wiedziała, że należy do tych mężczyzn, którymi seks potrafi całkowicie zawładnąć, a w końcu zniszczyć. Żądza miała go we władaniu, brała u niego górę nad rozsądkiem.

Gwałtownie rozchylił jej pośladki. Czowała, jak drżą mu dłonie. Jęknęła, gdy wniknął w nią językiem. Był coraz śmielszy i coraz bardziej namiętny, wiedziała, że stała się obiektem jego codziennych fantazji. Pozbywał się wszelkich zahamowań. To też niepokoiło ją coraz bardziej, nie miała pojęcia, jak daleko się posunie.

Pieścił ją czule, niemal jak kochanek, choć wiedziała, że jest dla niego zaledwie przedmiotem służącym zaspokojeniu. Gdy w nią wszedł, starała się skupić na sprzętach, które stały pod oknem i w drżącej poświacie nabierały fantastycznych kształtów. Chwilami wydawało jej się, że na przechylnym krześle ktoś siedzi i w milczeniu ich obserwuje. Zamknęła oczy, starając się sobie wyobrazić, że jest zupełnie gdzie indziej. Wtedy górę wzięły inne zmysły. Poczuła jego zapach... Zapach, który znała.

Mężczyzna sprawiał jej ból. Jego place wbijały się w jej ciało, jakby miały je przebić na wylot. W końcu wydał z siebie jęk rozkoszy i się odsunął. Wraz z wyrzuceniem nasienia przyszło otrzeźwienie.

Widziała wielu takich jak on – gdy się zaspokajali, pozbywali się złego ducha, który dotychczas miał ich we władaniu.

W milczeniu podciągnął spodnie. Nie poruszyła się, stała w bezruchu, tego od niej oczekiwał. Gdy przy pierwszym spotkaniu odwróciła się do niego i chciała coś powiedzieć, popchnął ją brutalnie i złapał za szyję, była pewna, że ją udusi. Poluźnił jednak ucisk i przycisnął do ściany. Stała jak sparaliżowana, dopóki nie wyszedł z pokoju.

Teraz rzucił pieniądze pod jej stopy. Głuchy odgłos kroków oddalił się, w pomieszczeniu zapanowała cisza, jednak Magda wciąż miała wrażenie, że klient ją obserwuje. Odczekała kilka minut. Założyła bieliznę i poprawiła spódnicę. Pieniądze schowała w zagłębieniu dekoltu.

Była pewna, że wyszedł, ale wciąż wyczuwała jego obecność. Zupełnie jakby duszne powietrze przesiąkło jego zapachem. Wciąż nie mogła sobie przypomnieć skąd, jednak była pewna, że zna ten zapach i... tego mężczyznę.



## KŁODZKO, 22 MAJA 1921 ROKU

Koschella przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje. To był zły znak. Stracił czujność, a do tego nie powinien był dopuścić. Nie usprawiedliwiała go potworne zmęczenie i towarzyszące mu od dawna napięcie. Upiekło mu się, dziś dali mu spokój, wyrok współwięźniów został odroczone, zależał od wyników spotkania, do którego, miał nadzieję, dojdzie lada chwila.

Usiadł na łóżku i rozejrzał się przytomniejszym wzrokiem po celi. Więzienną pryczę potraktował jak hotelowe łóżko, co mogło skończyć się dla niego tragicznie. Usilnie próbował się otrząsnąć z resztek snu. Wiedział, że jeśli nie zapanuje nad własnymi słabościami, wcześniej czy później popełni fatalny w skutkach błąd.

Szczęknęła kłapa, strażnik wsunął przez otwór miskę z jedzeniem. Dwukrotnie stuknął łyżką w drzwi. Koschella odczytał sygnał, podniósł się z pryczy i podszedł do stalowej przegrody.

– Będzie spotkanie, Koschella. Dziwię się, że sam o nie prosiłeś. Ale wcześniej masz jakąś wizytę z zewnątrz.

Ochryple powiadomienie wystarczyło. Franz przejął łyżkę i wrócił na swoje miejsce. Zupę mleczną zjadł z apetytem. Potrzebował dużo sił.

Po raz ostatni powrócił myślami do snu, w którym widział Barbarę. Stała samotnie na Gartenstrasse przy głównej bramie więzienia. Wołała go, wydawało się, że to nawoływanie nigdy się nie skończy.

Wtedy jednak brama skrzypnęła. Przez wąski otwór ktoś rzucił w jej stronę pakunek. W tym sennym majaku Franz widział, jak jego żona podchodzi do tobołka i go rozwija. Rozpoznał własne rzeczy: spodnie, koszulę i marynarkę, nawet zegarek po ojcu. Dopiero wtedy zauważył, że Barbara pod pachą trzyma podobne, choć mniejsze zawiniątko. Potem obraz rozmazał się, do Koschelli dotarło jedynie kobiece zawodzenie.

Wstał. Musiał pobudzić mięśnie i umysł. Z wiekiem coraz trudniej mu to przychodziło. Zastygał, czuł się tak, jakby rdzewiał od środka, a wszelkie próby poruszenia stawami jedynie kruszyły rudawy nalot na kościach.

Chodził przez chwilę tam i z powrotem od łóżka do ściany. Poruszał ramionami. Odczuwał mniejszy dyskomfort, ale mięśnie przy żebrach wciąż sprzeciwiały się, gdy próbował je naciągnąć. Podszedł do piętrowego łóżka i uchwycił górną poręcz. Podkurczył nogi i ostrożnie spróbował rozprostować plecy. Wiele nie działało, ból okazał się zbyt dotkliwy. Wątpił, by udało mu się utrzymać cały ciężar ciała na rękach. To mogło się okazać przeszkodą.

\*

– Jakiś pan prosi o rozmowę z tobą...

Być może było coś w tonie głosu Weroniki, co sprawiło, że Gabriele von Magnis poczuła się nieswojo. Przerwała sortowanie rzeczy zakupionych z niewielkiego funduszu miejskiego, wyszła ze składziku i ruszyła korytarzem garnizonowego lazaretu. Ogarnął ją chłód bijący od kamiennej posadzki i grubych ścian.

Mężczyzna stał w holu przy głównym wejściu odwrócony do niej plecami. Mocne światło wydobywające się z otwartych drzwi powodowało, że jawił się jej jako nieokreślona czarna plama na jaskrawym płótnie.

Usłyszał jej kroki. Odwrócił się i skłonił lekko głowę.

Przyjrzała się okaleczonemu obliczu. Poparzenia na twarzy sprawiały, że trudno było określić wiek tego człowieka. Jednak nie tylko blizny budziły respekt przed Wilhelmem Kleinem. Było w kapitanie coś, co zarazem odpychało i przyciągało.

– Dziękuję, że zgodziła się pani na rozmowę. Wie pani, w jakiej sprawie przyszedłem?

Przytaknęła, po czym poprawiła grubego sweter, który zupełnie nie spełniał swojego zadania.

– Wyjdźmy na zewnątrz, jeśli nie ma pani nic przeciwko. Przyjemniej jest dziś na dworze.

Wydało jej się, czy Klein także zadrzał? Zupełnie jakby i przez jego marynarkę przeniknął chłód tego miejsca. Po chwili zdała sobie sprawę, że owo drżenie mogło mieć inną przyczynę. Ściany lazaretu przesiąkły szpitalnymi woniami. Ona zdążyła do nich przywyknąć, lecz w Kleinie być może obudziły jakieś wspomnienia. Pomyślała, że kapitan musiał spędzić w wojskowych szpitalach wiele tygodni, a nawet miesięcy.

Wyszedłszy z budynku, skręcili w lewo, w Minoritenstrasse, i już wkrótce znaleźli się na miejskiej promenadzie. Gabriele poczuła przyjemne ciepło rozplywające się po ciele. Miała wrażenie, że wreszcie odmarza w jej wnętrzu bryła lodu. Przyjrzała się drzewom i krzewom pokrytym bujnym listowiem.

– Wciąż pani o niej myśli. Bardzo często.

Zaskoczył ją. To nie było pytanie, ale stwierdzenie, jakby pewność siebie pozwalała Kleinowi sądzić, że może czytać w czyjejś duszy. W pierwszej chwili ją to oburzyło, zdała sobie jednak sprawę, że pytanie nie miało podtekstów. Być może rzeczywiście czytał w myślach?

– Owszem. Wciąż o niej myślę – przyznała. – Pewnie dlatego, że do teraz tamten dzień wydaje mi się jedynie snem. Zupełnie jakbym miała ją spotkać na ulicy Kłodzka... Mieszkała zaledwie kilkadziesiąt metrów od miejsca, z którego wyszliśmy. W kamienicy nad sklepem firmowym Hunfeldów przy Rossmarkt.

– Odwiedziłem jej macochę. Nie pogodziła się z jej śmiercią.

– Rodzicom trudno się pogodzić ze śmiercią dziecka. Myślę, że tak naprawdę jest to niemożliwe.

Skinął głową.

– Chce mnie pan zapytać o tamten dzień? O dzień, w którym Sabine zaginęła? – Spojrzała na kapitana, próbując wyczytać coś z tej nieprzeniknionej maski, jaką stanowiła jego twarz.

– Chciałem zapytać, czy pani także uważa, że za wszystkim stał Bastian Rabe.

Zatrzymali się tuż nad brzegiem Nysy, przy wyłożonej drobnymi kamykami ścieżce. Gabriele zapatrzyła się w nurt rzeki.

– Wachmistrz Koschella zapytał mnie o to samo. Owszem, interesował się także dniem, w którym Sabine zniknęła, ale pod koniec rozmowy zdałam sobie sprawę, że zmierza właśnie do tego... Przez te wszystkie lata nie podejrzewałam Bastiana. Jednak gdy wachmistrz zadał to pytanie... odpowiedziałam twierdząco.

Klein także patrzył w nurt Nysy, jakby w ruchu wody odkrywał jakiś tajemniczy wzór.

– Jeśli chce pan zapytać dlaczego, nie podam panu jasnej odpowiedzi. Być może powinnam czuć się winna, że oskarżyłam Bastiana, nie mając żadnych dowodów, jednak...

– Jednak nawet teraz jest pani pewna, że to on.

– Tak – potwierdziła. – Wiem także, że nie mógł działać sam.

– Kto jeszcze? – zapytał krótko.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Może powinien pan mnie o kogoś zapytać, wytypować jakieś nazwisko i znów nabiorę tego niezłomnego przekonania, które miałam wtedy?

– Nie będę w stanie wymienić konkretnych nazwisk. Wachmistrz Koschella pytał o innych?

Potrząsnęła głową.

– I to właśnie mnie zastanawia. – Tembr Kleina nie należał do przyjemnych. Gabriele wiedziała, że u ludzi, którzy doznali oparzeń, często dochodziło do uszkodzenia dróg oddechowych. To mogło mieć wpływ na metaliczne, szorstkie brzmienie jego głosu. – Dlaczego Franz Koschella zdecydował się wymierzyć sprawiedliwość tak szybko. Ukarał Bastiana Rabego za czyn, którego ten najpewniej się dopuścił. Sama pani jednak zauważyła, że Rabe nie działał sam. Wachmistrz nie szukał pozostałych porywaczy? Nie był w stanie tego zrobić? Bał się, że jeśli będzie zwlekał, Rabe ulotni się z kraju, a może nawet ucieknie na inny kontynent?

– Zadaje pan te pytania niewłaściwej osobie...

– Próbuję jak Franz naprowadzić panią na coś, co pomoże w śledztwie. Może po prostu robię to zbyt otwarcie i nieudolnie.

Gabriele popatrzyła na Kleina. Wyczuła, że ma do czynienia z człowiekiem inteligentnym i zdystansowanym do siebie. Rezerwa, którą odczuwało się wobec niego na początku, zniknęła bez śladu, odniosła wrażenie, że zna tego mężczyznę od dawna. Jakby przed chwilą powrócili do niedawno przerwanej rozmowy.

– Niech pan więc pyta dalej – zaproponowała.

– Nie mam dostępu do pani zeznań. Jednak... Przywołując w pamięci tamten dzień, zapewne wciąż myśli pani o chwili porwania, o tym, że pani przyjaciółka zniknęła po wyjściu z gospody. Ale wyobraźmy sobie, że tamtego dnia nie doszło do porwania. Czy jakieś inne wydarzenie, czyjeś zachowanie, odbiegały od normy i wysunęłyby się na plan pierwszy?

Gabriele zawahała się, skinęła głową.

– Rano, przed wyjazdem, szukałam Sabine, spóźniała się... W końcu zobaczyłam, jak wychodzi z pokoju Wiktora Prumowa.

– Byli kochankami?

– Sabine... ona czerpała z życia garściami. Nie wiem, jak zażyły był to związek.

– Widziała panią?

– Nie... Wiktor za to chyba tak. Teraz już nie jestem pewna. Ale jest coś jeszcze.

– Proszę mówić.

– O tym także wspominałam w zeznaniach. Kiedy Sabine wychodziła od Wiktora, wydawała się radosna, szczęśliwa. Jednak już kilkanaście minut później jej nastrój uległ diametralnej zmianie. Nie zwróciłabym może na to uwagi, ale Sabine nie była chimeryczna. Coś musiało ją mocno wzburzyć, coś, co wydarzyło się w ciągu kilkunastu minut od jej wyjścia od Prumowa. Wiem, że pobiegła do swojego pokoju, zupełnie jakby miała zrezygnować z wycieczki. Ostatecznie pojawiła się w recepcji. Zwróciłam uwagę

na napięcie pomiędzy nią i Bastianem. Wcześniej takich nieprzyjemnych relacji pomiędzy nimi nie zauważyłam.

– Jak pani myśli, co miało na to wpływ? Czy Bastian mógł dokonać podobnego odkrycia jak pani? Dowiedział się o jej romansie z Prumowem?

– To mogłoby tłumaczyć jego zachowanie, ale nie wiem, czy dotknęłoby w jakikolwiek sposób Sabine.

Klein się zamyślił. Ten moment wykorzystała Gabriele, by również zadać pytanie:

– Zastanawia mnie to, co powiedział pan wcześniej. Naprawdę myśli pan, że wachmistrz Koschella postawił wszystko na jedną kartę? Nie obchodzili go ci, którzy musieli współdziałać z Bastianem?

– Istnieje kilka możliwości, które spowodowały, że Koschella postąpił tak, a nie inaczej. Być może pomocnicy Rabego nie dożyli dzisiejszego dnia. Będąc na miejscu Bastiana, pozbyłbym się świadków. Mogli też zginąć w inny sposób, ostatnia wojna zabrała ze sobą wiele ludzkich istnień.

– Thomas zginął w czasie wojny, był blisko Bastiana... Sugeruje pan, że obaj stali za porwaniem? Że tego dnia się wspierali, zapewniali sobie alibi?

– To nie przesądza o winie tego chłopaka, ale ktoś chciał się go pozbyć, uznał go za niewygodnego świadka. Został wysłany na front...

– Jednak obaj byli cały czas ze mną. Musiało być ich więc co najmniej kilku. Ktoś przecież porwał Sabine przed budynkiem gospody, kapitanie. W momencie gdy Bastian i Thomas byli blisko mnie.

– Na pewno niepoślednią rolę w działaniach wachmistrza odgrywała presja czasu, pani Gabriele. Wiele wskazuje na to, że tuż przed śmiercią Bastian Rabe spodziewał się jakichś komplikacji. Opróżnił wszystkie swoje konta, być może po to, by uciec.

– Wachmistrz Koschella zabił więc głównego winnego śmierci Sabine... – Gabriele powiedziała to automatycznie, a wypowiedzenie tych słów nie niosło ze sobą żadnych emocji. – Zakończył to, co powinno zostać zakończone już dawno.

– Wydaje się, że wskazała pani dobrze – potwierdził kapitan. – Dowody zaprowadziły Koschellę wprost do Rabego. W tysiąc dziewięćset szesnastym Bastian dorobił się szybkich pieniędzy, których źródła trudno dociec. Mogły pochodzić z okupu za Sabine. Jednak obawiam się, że Franz Koschella nie zakończył, jak to pani ujęła, tego, co powinno zostać zakończone już dawno.

Gabriele popatrzyła na Kleina. Uśmiechnął się nieznacznie i ten uśmiech sprawił, że znów poczuła w żołądku bryłę lodu.

\*

– Wstawaj, kurwa! Rusz dupę, Koschella! Mówię do ciebie, chuju zasrany!

Franz podniósł się z pryczy. Do celi weszło dwóch strażników, tych samych, którzy wcześniej eskortowali go do części szpitalnej. Ten starszy, wypasiony wieprzek z pękatym nosem, pocił się obficie, śmierdziało od niego potem i starymi skarpetami. Młodszy trzymał się prosto, a mundur wisiał na nim jak na wieszaku. Wachmistrz wiedział, że już za kilka miesięcy będzie leżał jak ulał. Chłopak spasię jak koledzy. Już przesiąkał tym miejscem, wpasowywał się jak karaluch w szparę w ścianie. Na jego twarzy widać było rosnącą pewnością siebie. Zapewne został zaakceptowany przez stado.

– Wizytę masz. Zachowuj się. Jak coś będziesz odwalać w trakcie rozmowy, od razu to przerywam. A jak odpierdolisz jakiś większy numer, to przez przypadek odprowadzę cię na inny oddział. Chłopaki się ucieszą z twojej wizyty. Niejeden cię pamięta, Koschella, i wiele by dał, żeby móc wspominać z tobą dawne czasy.

Franz nie reagował, patrzył przed siebie i czekał na koniec przedstawienia.

– No, idziemy! Bo widzę, że się rozmarzyłeś. Na czułości z dawnymi podopiecznymi będzie jeszcze pora...

Koschella zignorował ochryply, ordynarny śmiech wachmistrza Hermanna Stempela. Ten typ ludzi znał bardzo dobrze, a o tym człowieku wiedział niemało. Skargi na niego wpływały regularnie, służba więzienna miała jednak zbyt mało pracowników, by ktokolwiek zdecydował się na pozbawienie go posady. Franz widział, że Stempel go bada i stara się wyczuć, na ile może sobie pozwolić. Koschella znał słabe punkty strażnika, ale postanowił odłożyć konfrontację z nim na później.

Skrzydło B, drugie piętro. Koschella ruszył korytarzem. Zza drzwi innych izolatek doszły do niego niecenzuralne okrzyki. Nie uszło jego uwadze, że szczególnym zainteresowaniem cieszą się tu wszelakie sprawy okołodobytnicze. Ze zdziwieniem przyjął różnorodność zabiegów, którym zamierzano go poddać przy bliższym spotkaniu.

Ruszyli schodami w dół, odprowadzani okrzykami więźniów. W końcu dotarli na parter, do skrzydła C. Zapach środków czystości przyprawiał tu o zawrót głowy. Stempel otworzył drzwi i wprowadził Franza do salki widzeń.

Duże okna wpuszczały do pomieszczenia sporo dziennego światła. Koschella zamrugał, bo jego intensywność spowodowała ból gałek ocznych. W końcu skoncentrował wzrok na stojącym pośrodku pomieszczenia stole i dopiero wówczas dostrzegł mężczyznę opierającego się nonszalancko o blat. Ruszył wolno w jego kierunku i usiadł na krześle. Przez chwilę obaj w milczeniu mierzyli się wzrokiem. Wilhelm Klein przemówił pierwszy.

– Koschella, gdzieś ty był, jak rozum dawali, co?

Franz zapatrzył się w usta Kleina. Wąskie wargi wydawały się rozdzielać z trudem, jakby niechętnie przeciskanym z gardła słowom. Koschella nie miał zamiaru odpowiadać. Klein w tym wypadku wcale nie musiał się okazać jego sojusznikiem.



– O czym myślałeś, Koschella, bawiąc się w sędziego i kata? To pytanie cały czas mnie nurtuje. Wiem na pewno, że raczej nie o swojej rodzinie.

Franz nie odwrócił wzroku, choć miał wrażenie, że zadrgała mu powieka. Klein go prowokował, nie robił tego bez powodu. Koschella musiał być cholernie ostrożny i nie dać się ponieść emocjom. Nawet jeśli postanowił, że nie zamieni z kapitanem nawet słowa, to mogła go zdradzić mowa ciała.

– Nowe wymarzone mieszkanie, remont, lepsze życie dla Barbary i Opitza. Tymczasem przekreśliłeś wszystko, na co pracowałeś. Warto było?

Milczenie. Koschella wyrównał oddech. Patrzył na Kleina zupełnie obojętnym wzrokiem.

– Chciałem ci pomóc, Franz, ale nie widzę nic, co działałoby na twoją korzyść. Co z tego, że zabiłeś Rabego? Przecież nie przywróciłeś tym życia Sabine Hunfeld. Takich jak Rabe jest wielu, co z nimi? Myślisz, że wieść o mścicielu z Kłodzka odmieni ich życie? Okażą skruchę i wyrzekną się złych występków? Kto się nimi zajmie, gdy ty gniesz w tej norze?

Koschella patrzył w ścianę, koncentrował się na bliżej nieokreślonym kształcie utworzonym przez wilgoć.

– Po co ci to było, Franz? – ciągnął kapitan. – Trafiłeś do pierdła na własne życzenie, wręcz się o to prosiłeś. Dopadły cię wyrzuty sumienia? Szukasz pokuty? Jeśli tak, to prędzej czy później wydadzą tu na ciebie wyrok. Nie wiadomo, czy doczekasz procesu. Będziesz miał, co chciałeś...

Koschella stał się czujny. Zachowanie obojętności nie przychodziło mu łatwo. Spodziewał się wizyty Kleina, starał się na nią przygotować, ale gdy dawny przełożony pojawił się w sali widzeń, zdał sobie sprawę, że na wszystko przygotować się nie mógł. Klein chwilami patrzył na strażników, którzy przysłuchiwali się rozmowie. Było ich trzech. Oni też udawali obojętność, ale w rzeczywistości notowali w myślach każde słowo. Kapitan wiedział

o tym doskonale, mówił więc to, co miało trafić do ich uszu, mówił też to, co miało trafić do uszu Koschelli, ale odpowiednio przefiltrowane. I to, co przefiltrował z przekazu Kleina Franz, mocno go zaniepokoiło.

– Nie potrzebuję pomocy... – wydusił z siebie, zdając sobie sprawę, że to pierwsze odstępstwo od planu, które mogło pociągnąć za sobą kolejne.

– Przecież mówię, że ci jej nie udzielię! – Klein zaplótł ręce na piersi. – Posunąłeś się za daleko. Upoiłeś się władzą i straciłeś nad wszystkim kontrolę. Nie wiem, co musiałyby się stać, żebym postąpił tak jak ty. Trudno mi to sobie wyobrazić, może dlatego... – wahanie w głosie Kleina było wyraźne. Jakiś cień przemknął po jego twarzy. – Może dlatego że nie jesteśmy ulepieni z jednej gliny.

– Nie jesteśmy – potwierdził Franz, czując, jak ciemnieje mu przed oczami. Postać Kleina rozmyła się w rozedrganym powidoku.

– Tak myślałem. – Klein nagle odsunął się od blatu stołu. Patrzył na Koschellę z góry. Ten jednak nie odwzajemnił spojrzenia. – Powodzenia, wachmistrzu. Przyda ci się. – To powiedziawszy, opuścił salę widzeń.

Franz nie musiał długo czekać, by poczuć szarpnięcie za ramię. Został wypchnięty na korytarz i poprowadzony do celi. Pocił się jak mysz.

Towarzyszący mu w drodze Stempel co chwila parsknął śmiechem. Gdy znaleźli się przed izolatką, zwrócił się do młodszego strażnika:

– Słyszałeś tę kłótnię kochanków, Czosek? Chusteczkę trzeba chyba zostawić Koschelli, żeby się mógł wypłakać. Będziesz płakał, Franz, co? Może wpuścić ci tu na pocieszenie jakiegoś kochasia, co cię przytuli? Chcesz?

Franz wszedł do swojej nory. Stał pośrodku pomieszczenia i odwrócił się do strażników. Jego lekceważący uśmiech nie uszedł uwadze Stempela.

– Co się szczerzysz? Myślałem, że ten cały Klein to twój mentor. Obciągałeś mu, a teraz co, zostawił cię na pastwę losu? Na twoim

miejscu nie byłoby mi tak wesoło. Chłopaki się tobą zajmą, wybiją ci tę resztkę zębów, zanim zaczną ci pakować kutasy do gardła.

– Twoja stara coś o tym wie, nie, Stempel? Często obciąga w domach wielkich panów, u których sprząta. Widziałem ostatnio, że uzębienie miała w fatalnym stanie...

Franz ustawił się bokiem, tak by chronić naruszone żebro. Pierwsze uderzenie pałki przyjął na ramię. Potem nastawił się tak, by przyjąć cios pięścią na głowę. Łuk brwiowy pękł szybko. Franz zalał się krwią i opadł na kolana.

– Młody, chcesz poćwiczyć? Trzeba się wprawiać. Bierz się za niego...

Koschella otarł dłonią czoło i spojrzał na młodego strażnika. W jego oczach zobaczył zarówno strach, jak i ciekawość. Ta druga szybko zwyciężyła. Pierwszy cios był słaby, drugi mocniejszy, gdy Stempel zaczął dopingować kolegę.

Franz wypluł ząb na podłogę, co wzbudziło rechot starszego strażnika.

– Jeszcze kilka, pójdzie szybko, Franz. Nowi koledzy cię za to polubią. Będą dochodzić jak w płatkach róż!

Młody strażnik bił coraz słabiej. Koschella próbował skoncentrować na nim wzrok. Nie dostrzegał już ciekawości w jego oczach, w spojrzeniu pojawiły się strach i obrzydzenie. Franz nie wiedział jeszcze, czy to negatywne uczucie do niego, więźnia, czy do siebie samego.

Gdy wachmistrz tracił przytomność, w głowie huczał mu śmiech Stempela. W tle pobrzmiwały słowa Kleina: co musiałoby się stać, żebym postąpił tak jak ty... Zanim Franz zapadł się w lepką nicość, nabrał pewności, że Klein już wiedział, dlaczego on, Koschella, postąpił właśnie w ten, a nie inny sposób. Pozostawało pytanie, co zrobi z tą informacją.

Dzień w Dusznikach-Zdroju był upalny. Na szczęście w cieniu drzew można było odnaleźć odrobinę chłodu. Zbliżał się wieczór, który miał przynieść mieszkańcom wytchnienie od tych niespodziewanych, wiosennych skwarów. Klaus Bausch kończył już służbę, gdy wezwał go do siebie komisarz Mott. Nie było mu to na rękę, bo miał kilka spraw do załatwienia, ale nie mógł unikać szefa.

– Doszło do wypadku, Bausch, zdaje się morderstwo, pojedziecie na miejsce.

– Ale komisarzu, skończyłem służbę. Peterski jest wolny...

– Służbę kończycie wtedy, kiedy ja powiem, rozumiano, Bausch?

– Mott przeszył asystenta lodowatym spojrzeniem. – Poza tym to, co dzieje się w tym hotelu, to wasza sprawa.

– Moja sprawa? – Bausch zmarszczył brwi. – Hotel... Germania?

– No! – Mott skinął głową z jakąś ponurą satysfakcją. Pot kapał mu z czoła na biurko. – Wracacie na właściwe tory, Bausch. Już wam, zdaje się, mówiłem, że przez tę dolinę przejdzie tornado. Przez chwilę byliśmy w oku cyklonu, stąd ten pozorny spokój, ale teraz, Bausch, teraz możecie się spodziewać, że pierdolnie w nas wichura, jakiej nie pamiętają nawet na Śnieżniku.

\*

– Jasna cholera...

Bausch nie zauważył, że wdepnął w kałużę krwi. Dopiero, gdy but zaczął przyklejać mu się do posadzki, zdał sobie sprawę, że dywan przesiąkł juchą.

– Jesteście pewni, że to on?

– Rozpoznali go... więc pewnie on. – Peterski, który pojawił się na miejscu zbrodni przed Bauschem, zdążył przeprowadzić szybki wywiad wśród pracowników hotelu.

– Kto go znalazł?

– Pani Tscherny. – Peterski wskazał paluchem korytarz i leżącą na sofie kobietę. Zajmował się nią sanatoryjny lekarz.

– A czego ona szukała u niego w pokoju?

– Szczęścia? – Peterski wyszczerzył się i mrugnął porozumiewawczo. – Grajek uszczęśliwiał tu wiele kobiet. Traktował je... instrumentalnie!

Bausch zignorował rechot kolegi. Gdy policyjny fotograf zakończył swoją pracę, znów zbliżył się do ciała. Wiktor Prumow leżał na plecach, głową w kierunku ściany. Widok był makabryczny. Grymas pośmiertny zdradzał potworne cierpienie pianisty. Z szeroko otwartych, pokrwawionych ust wystawał napęczniały język, wytrzeszczone gałki oczne zwrócone były tęczęwkami do wnętrza czaszki. Nogi ofiary skrępowano sznurem, podobnie ręce, brutalnie wykręcone za plecy.

– Lepszej śmierci nie mógł sobie wymarzyć, co? – Peterski bawił się wyśmienicie. Chichotał, wskazując narzędzie zbrodni wciąż oplątane wokół szyi Prumowa. – Zabiło go to, co tak kochał...

Bausch spojrzał na struny zaciśnięte na gardle pianisty, wrzynające się głęboko w skórę.

– Ciekawe czy się udusił, czy wykrwawił?

Asystent policyjny Bausch nie miał takich dylematów jak Peterski. Zastanawiał się, czy na młotkach fortepianowych, do których przyłączone były struny, zostały jakieś ślady. Zastanawiało go okrucieństwo tej zbrodni, a także – przede wszystkim – tak nieefektywny sposób jej dokonania. Wybór narzędzia, którym się posłużono, stanowił jasny sygnał, że morderca chce coś zakomunikować. Prumow został potraktowany – jak to ujął Peterski – instrumentalnie, ponieważ instrumentalnie traktował swoje uczennice. Zemsta zdradzonego męża? Morderstwo w afekcie?

Nie, Bausch od razu odrzucił tę koncepcję. Stał w miejscu egzekucji. Na Prumowie wykonano wyrok. Motyw tego zabójstwa miał specjalne znaczenie.

– Trzeba przesłuchać męża pani Tscherny, może zazdrośnik siedzi w łazience i próbuje zmyć krew Prumowa z koszuli.

Chichot Peterskiego zdawał się dobiegać gdzieś z daleka. Bausch doznał nagle uczucia, że wie, jak wyglądało to morderstwo.

Wyobrażał sobie, że napastników musiało być co najmniej dwóch. Unieruchomili Prumowa, związali go i rzucili na łóżko. Jeden przytrzymał nogi ofiary, drugi wskoczył na klatkę piersiową. Zaciągał pętlę wokół szyi...

- Wezmę chłopaków i przesłuchamy wszystkich zameldowanych...
- Jasne, Peterski, przesłuchuj.

Bausch wciąż miał przed oczami tamtą scenę. Siniego Prumowa próbującego walczyć o oddech. Oprawcę, który czerpał satysfakcję z powolnego wrzynania się strun w miękką skórę, zaciskania tętnicy, a potem jej przerywania. Może coś mówił do tracącej świadomość Prumowa. Przypominał mu ostrzeżenia, z których tamten do tej pory nic sobie nie robił. Chwila, w której Prumow dławił się własną krwią, na pewno miała trwać możliwie jak najdłużej. Ten, który siedział na klatce piersiowej pianisty, musiał lubić krew i czuł się tu, w hotelu Germania, jak u siebie...

Bausch ominął kałużę krwi przy łóżku i podszedł do okna.

– Weszli i wyszli tędy – powiedział do siebie. Rękawem marynarki odepchnął ramę. Wyrzwał na zewnątrz, starając się nie dotykać parapetu.

Prościej było zabić Prumowa strzałem w głowę. Wbić mu nóż w serce, zatłuc zwykłym pogrzebaczem. Mordercy wybrali jednak zupełnie inną metodę. Krwawą. Musieli liczyć się z tym, że sami będą cali we krwi, że ta tryskać będzie z przeciętej tętnicy.

– Co z psem? – rzucił za siebie Bausch, widząc w odbiciu w szybie Peterskiego, który zdążył już zapewne wydać polecenia kolegom.

– Jedzie z Kłodzka. Powinni być za kwadrans.

– Za kwadrans to całe zbiegowisko za oknem zadcpcze wszystko, co jest możliwe. Peterski, wyślij ludzi, żeby odgradzili dostęp do tyłów budynku.

– Jakich ludzi? – Peterski uniósł brwi. – Mamy dwóch, obaj spisują świadków. Hotel zamknięty, żeby nikt nam stąd nie wyszedł.

– Jasna cholera... – Bausch jeszcze raz wychylił się przez okno. Ślady. Czy dostrzegał ślady, które świadczyłyby o tym, że mordercy

rzeczywiście opuścili Germanię? Buty wciąż kleiły mu się do podłogi. Zanim pojawił się na miejscu, Peterski i fotograf zdeptali wszystko dookoła. Miał teraz odizolować hotel na wiele godzin i, jak w jakiejś cholernej powieści detektywistycznej, przez noc maglować wszystkich, którzy mieli nieszczęście przebywać tutaj w czasie popełnienia zbrodni? Jakby wszystko przebiegało według zaplanowanego wcześniej przez kogoś scenariusza...

Bausch nie spojrział nawet na Peterskiego, po prostu wyszedł z pokoju i ruszył korytarzem, na którym zgromadziło się kilkunastu zdezorientowanych gości hotelowych. Wyminął ich i skierował kroki do sali balowej. Podążał za dźwiękiem, który od dłuższego czasu niczym odległe echo rozlegał się w jego głowie. Wziął je wcześniej za słuchowy omam, teraz był jednak pewny, że zmysły go nie zawiodą.

Na podwyższeniu przy fortepianie siedziała dziewczyna. Uderzała w klawisze, wydobywając z nich czyste dźwięki znanej melodii. Bausch zatrzymał się, poczuł ogarniający go chłód. Miał wrażenie, że jest świadkiem niemożliwej sceny, że pod wpływem jakichś silnych przeżyć odsłonił kurtynę, za którą dostrzegł wydarzenie z przeszłości. Oto Sabine Hunfeld popisowała się przed niewidzialnym tłumem swoim muzycznym talentem, grając jeden z walców Chopina. Owo wrażenie wydawało się trwać w nieskończoność, rozmyło się jednak gwałtownie, gdy jeden z dźwięków zabrzmiał głucho, burząc całkowicie harmonię tonów.

– Proszę odejść od fortepianu! – wykrzyknął Bausch. – Bardzo proszę się odsunąć!

Dziewczynka, może dwunastoletnia, drgnęła przestraszona, patrząc na asystenta policyjnego.

– Bardzo proszę wyjść – powtórzył Bausch nieco ciszej, widząc, jak spłoszona panienska zeskakuje z ławeczki ustawionej przy fortepianie. Pobiegnęła do drzwi i zatrzasnęła je z hukiem, od którego policjant zadrżał na całym ciele.

Bausch zajrzał do wnętrza instrumentu, potem usiadł na ławeczce. Uniósł palec wskazujący i ustawił go nad jednym

z klawiszy.

Najpierw Bastian Rabe, teraz hotelowy grajek. Bausch nie miał wątpliwości, że każde z tych zabójstw łączy się z przeszłością, z zaginięciem Sabine Hunfeld. Koschella przyciskał grajka w ostatnich dniach przez zabiciem Rabego, odwiedzał go kilkakrotnie. Komuś wyraźnie się to nie spodobało...

Bausch uderzył w niemy klawisz.

\*

Wilhelm Klein dotarł do narożnej kamienicy przy Königshainer Strasse w godzinach wieczornych. Wcześniej kluczył ulicami miasta niczym niedzielny turysta. Robił to celowo, od rana towarzyszyło mu bowiem kilku wywiadowców lokalnej policji. A w miejscu, do którego się teraz udawał, nie chciał towarzystwa.

Ogon udało mu się zgubić już na rynku. Wsiadłszy do dorożki na Rossmarkt, kazał się zawieźć na Mälzstrasse. Tutaj rozplynął się pomiędzy budynkami dawnego browaru kłodzkiego i znalazł przed wejściem wytwórni marmolady i soków owocowych. Kamienica Maya stanowiła ciekawe połączenie funkcji mieszkalnych i produkcyjnych. W oknach na piętrze widać było firanki i kwiatki, od strony ulicy zaś kilka wejść prowadzących do sklepików firmowych i działów produkcyjnych.

Gdy wszedł do środka, uderzył go w nozdrza intensywny słodki zapach. Kamienica, zdawało się, przesiąkła marmoladą od fundamentów po dach. Owa słodycz nie oszczędziła również pracowników Hermanna Maya. Sekretarka przedsiębiorcy na widok Kleina uśmiechnęła się szeroko, zupełnie jakby kapitan przypominał jej jakąś szczególnie smaczną galaretkę.

– Jestem umówiony. Nazywam się Wilhelm Klein, chciałem się widzieć z Hermannem Mayem.

– Oczywiście... Pan May na pana czeka.

Klein skinął głową. Nie mógł wyjść z podziwu nad stanem uzębienia kobiety. Jeśli lubiła słodkości, to z pewnością pamiętała



o dokładnym czyszczeniu zębów proszkiem dentystycznym. Hermann May dbał o to, by jego ludzie byli wizytówką firmy. Próchnica nie miała wstępu w progi tego słodkiego królestwa. Zapewne przedsiębiorca miał dobry układ z lokalnym dentystą i zapewniał swoim ludziom odpowiednią opiekę.

– Proszę za mną.

Słodycz w głosie kobiety była porażająca. Wchodząc do gabinetu Hermanna Maya, Klein zastanawiał się, czy pracownicy tej firmy są dokładnym odzwierciedleniem swojego pracodawcy. Dostyc szybko przekonał się, że to przypuszczenie jest mylne. Hermann May na widok gościa skrzywił się tak, jakby bolała go cała szczęka.

– Dzień dobry, kapitanie.

May wskazał Kleinowi krzesło. Ten chętnie skorzystał z zaproszenia i usadowił się na wygodnym siedzisku.

– Dziękuję za zaproszenie. – Klein teraz dopiero zdał sobie sprawę, że grymas Maya zapewne ma związek z chorobą. Lewa strona twarzy przedsiębiorcy wydawała się dotknięta paralizem. Mimo tej ułomności May mówił dosyć wyraźnie. – Odebrałem wiadomość w recepcji hotelu. Dobrze się złożyło, bo chciałem pana odwiedzić i zadać kilka pytań.

– Domyślam się, jakie to mogą być pytania – powiedział May. – Nasze spotkanie było nieuniknione.

Ta deklaracja nie zaskoczyła Kleina. Tik – drganie lewej powieki – świadczył o wzburzeniu przedsiębiorcy.

– Pozwoli pan więc, że zacznę i zapytam o pańskie związki z Bastianem Rabem.

May położył dłonie na stole. Gest ten z jednej strony stanowił jasny przekaz świadczący o czystości intencji, z drugiej jednak widać było, że jedynie w ten sposób jest w stanie zapanować nad drżeniem rąk.

– Wiem, że spędził pan sporo czasu w bankowym archiwum – zaczął May. – Dotarł pan więc do tej informacji, a ja panu ją potwierdzę. W tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku Bastian Rabe pożyczył mi sporą sumę pieniędzy. Dzięki jego kapitałowi rok

później zdołałem wykupić cały kompleks budynków Glatzer Brauhaus i przenieść tutaj produkcję.

– Do czego się pan zobowiązał w zamian za pożyczkę?

– Do jej spłaty z dużym procentem, a co więcej... – May przerwał, sięgnął po paczkę papierosów i włożył jednego do ust. Być może nikotyna go uspokajała. Miał jednak trudności z zapaleniem zapalki. Klein nie starał mu się pomóc w tej czynności, cierpliwie czekał, aż przedsiębiorca zaciągnie się dymem. – Co więcej, oddałem Rabemu udziały w mojej firmie. Co miesiąc wypłacałem mu procent od dochodu.

– Na lichwiarskich warunkach...

– Lichwiarskich – potwierdził May. Klein widział, z jakim wysiłkiem przemysłowcowi przychodzi przewycięzanie własnej ułomności. – To ryzyko podjąłem wtedy świadomie, panie Klein. Choć nie wiedziałem, że Rabe rozgrywa sprawy według innych reguł. Przejdźmy jednak do rzeczy. Chce mnie pan zapytać o rzecz konkretną, a ja na to pytanie chcę udzielić odpowiedzi. Odnalazł pan w banku jeszcze jedną informację o moich operacjach finansowych, tych tuż sprzed wykupu browaru.

Klein nie potwierdził ani nie zaprzeczył. Czekał, co May ma mu do powiedzenia.

– Widziałem pana wtedy, rok temu w Hotelu Cesarskim... Darzę pana ogromnym szacunkiem i wiem, że jest pan jedyną osobą godną zaufania, z którą mogę rozmawiać otwarcie.

Kapitan domyślał się, że to zaufanie ma związek z faktem, że mimo pokrewieństwa z burmistrzem Kłodzka, Franzem Ludwigiem, jest on osobą z zewnątrz, niewikłaną w miejscowe układy.

– Bastian Rabe udzielił mi pożyczki, owszem. Ale dopiero ostatnie wydarzenia uświadomiły mi, że pożyczył mi moje własne pieniądze.

Mężczyzna zadrżał mocniej. Wstał, podszedł do barku i wyciągnął butelkę koniaku. Otworzył ją, nie przejmując się, że nakrętka spadła na dywan. Wlał bursztynowy płyn do kieliszka i wypił go duszkiem. Przymknął oczy. Stał tak chwilę w milczeniu, aż odzyskał

wewnętrzną równowagę. W końcu spojrzał na Kleina przytomniej, zmitygował się. Napełnił tym razem dwa kieliszki i jeden z nich wręczył gościowi. Dopiero wtedy May wrócił na swoje miejsce i zgasił papierosa, który tlił się w popielniczce.

– Ma pan rację – odezwał się w końcu Klein. – Chciałem zadać panu pytanie dotyczące pieniędzy. W tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku dysponował pan sporym kapitałem zdeponowanym w Banku Rzeszy. Nie zainwestował go pan, nie przepuścił, nie pożyczył nikomu... Ogromna suma, zapewne pana wszystkie oszczędności, została jednak przez pana podjęta.

May zaśmiał się ochryple.

– Już pan wie, co się z nią stało... Z tym samym pytaniem zgłosił się do mnie niedawno wachmistrz Franz Koschella.

– Stracił pan te pieniądze, panie May, mimo że przeznaczone były na wykup browaru. Zaraz potem na bardzo podobną sumę musiał pan wyprosić pożyczkę u Rabego, żeby to swoje marzenie zrealizować, ale już za cudzy kapitał...

– Oddałem niemal wszystkie swoje pieniądze za uwolnienie mojego wnuka, panie Klein. W tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku oddałem porywaczom co do grosza oszczędności całej mojej rodziny. Pieniądze, które miały zostać przeznaczone na inwestycję... Wnuk zniknął pewnego ranka. Nie dotarł do szkoły. Otrzymałem list, w którym zagrożono jego śmiercią, jeśli nie dostarczę określonej sumy w wyznaczone miejsce.

– Nie powiadomił pan policji, zdecydował się spełnić żądania porywaczy.

– Komu niby miałem zaufać? – May we wzburzeniu uniósł rękę. – Po tym, co stało się z Sabine Hunfeld, miałem podjąć to ryzyko? Dziewczyna zniknęła, a sprawie ukrecono łeb. Tak, zaryzykowałem. I dziękuję Bogu, że tak postąpiłem. Wnuk wrócił do domu, cały i zdrowy...

– Pan za to stał się uboższy o dwadzieścia tysięcy marek...

– Cóż byłoby mi po pieniądzach, gdybym na sumieniu miał dziecko?

Klein przytaknął.

– Bastian Rabe wiedział o pana zamiarze kupna browaru...

– Najprawdopodobniej. – May zacisnął pięści, uderzył nimi w blat biurka. – Tak jak wielu innych. W Kłodzku wiedziano o moim zainteresowaniu tym miejscem. Wiedziano, jaką kwotę chcę przeznaczyć na wykup. Kwotę, której zażądał porywacz...

– Był więc pewny, że ją pan posiada.

Przedsiębiorca skinął głową. Upił kolejny łyk koniaku. Klein z uprzejmości poszedł w jego ślady, choć jedynie zamoczył usta w alkoholu.

– Kilka miesięcy później powrócił pan do planów wykupienia browaru...

– Zgadza się. Bank Rzeszy w obliczu powojennego kryzysu ocenił mój projekt jako zbyt ryzykowny. Odmówiono mi pożyczki. Zaoferował ją Bastian Rabe.

– Dlaczego po uwolnieniu wnuka nie zgłosił się pan na policję?

– Pan żartuje? – May wybuchnął śmiechem. – Było dla mnie oczywiste, że porywacze są związani z Kłodzkiem. Wiedziałem, że mnie obserwują, gdybym pisnął choć słówko...

May sięgnął do szuflady. Wyciągnął z niej dwie kartki papieru i położył przed Kleinem.

– Niech pan przeczyta. Wachmistrz Koschella chciał je ode mnie, ale słusznie uznałem, że będą bezpieczniejsze w mojej szufladzie.

Kapitan sięgnął po listy. Oba zawierały krótkie wiadomości. Wyraży wycięto z gazet.

W pierwszym liście pojawiły się instrukcje dla Maya i kwota okupu za uwolnienie wnuka. Drugi, wysłany zapewne już po uwolnieniu chłopaka, zawierał ostrzeżenie.

– „Obserwujemy cię”.

– Tak. To wystarczyło. Czulem na sobie ich wzrok każdego dnia... Jak widać, miałem rację. – May zaśmiał się gorzko, z impetem

odstawił szkło na blat.

– Dlaczego zmienił pan zdanie? Dlaczego powiedział pan o wszystkim Koschelli, a teraz mnie?

Przemysłowiec pokiwał głową w uznaniu dla zasadności pytania.

– Robiłem wszystko, żeby zabezpieczyć rodzinę. Ta wytwórnia pozwoliła mi zapewnić przyszłość synowi i wnukowi. Są już daleko stąd, daleko od tego miejsca. Żona umarła rok temu. – May uniósł dłoń, dając do zrozumienia, że nie życzy sobie kondolencji. – Wiele życia mi już nie zostało... Panie Klein, nie ma dnia, żebym się nie zastanawiał, czy postąpiłem jak należy. Dręczyłem się myślą, że Sabine i Johann, mój wnuk, nie byli jedynymi, których porwano. Nic mi nie wiadomo o innych przypadkach uprowadzeń, ale kto wie, jak było? Ci, których dotknęło podobne nieszczęście, mogli postąpić tak jak ja. I mieli rację, pieniądze nie są najważniejsze... – Wziął głębszy oddech, kolejne słowa wypowiedział wolniej i wyraźniej. – Czy kiedykolwiek podejrzewałem Rabego? Nie, był świetnym aktorem... A może jednak tak? Ludzki umysł jest niepojęty, zapewne ma jakieś bezpieczniki, które nie pozwalają nam zwariować. Później odsuwałem od siebie każdą myśl, która przypominałaby tamtą sytuację sprzed lat. Nie chciałem żyć w strachu, że pewnego dnia znów otrzymam list...

Klein zobaczył w Mayu człowieka wewnątrz rozdartego, który mimo wcześniejszej deklaracji wciąż rozpamiętuje przeszłość.

– Rabe nie żyje... – ciągnął May. – Ale nie on jeden dopuścił się tamtych czynów. Tylko pan może rozbić ten układ, który tu panuje, zniszczyć znowu milczenia. To, że Rabe tak długo czuł się bezkarny, o czymś świadczy. Nie wierzę, że nikt nie wiedział o jego ciemnych sprawkach...

– Sugeruje pan coś? Ma pan wiedzę świadcząca, że Rabemu ktoś pomagał?

– Już panu powiedziałem: ja nie ufam nikomu. Pan zapewne kieruje się w życiu podobną zasadą. Prawda, panie Klein? – Najwyraźniej nie oczekując odpowiedzi, Hermann May dopił koniak

i odetchnął głęboko. – Wachmistrz Koschella. – Przemysłowiec spojrzał swemu gościowi prosto w oczy. – Wciąż się zastanawiam, dlaczego postąpił w taki sposób, jak postąpił. Nie wierzę, że uznał, że sprawę zakończy wymierzenie sprawiedliwości Bastianowi Rabemu. Był bezsilny? Wiedział, że Rabe ma zbyt mocne powiązania, by można go było oskarżyć? Pan zna Franza Koschellę. Czy wachmistrz popełnił błąd? Przeliczył się? Czy raczej była to część jakiegoś szerszej zakrojonego planu?

Klein zapatrzył się w kieliszek. Pytania Hermanna Maya były bardzo trafne.

\*

– Kolejne zabójstwo w Dusznikach! Pianista uduszony fortepianową struną! Policja bezradna. Nikt nie może czuć się bezpieczny!

Wilhelm Klein z trudem wydostał się z tłumu otaczającego gazeciarza. Popołudniówkę, którą cudem wyłuskał z dłoni sprzedawcy, od razu rozłożył na pierwszej stronie. Podobnie czynili inni przechodnie. Do zapoznania się z treścią niektórych egzemplarzy zebrało się kilka osób.

Klein wolnym krokiem oddalił się od zbiegowiska i oparł się plecami o ścianę kamienicy przy Rossmarkt. Przebiegł wzrokiem tekst.

Dziennikarz miał sporą wiedzę na temat zabójstwa. Zapewne znalazł się konkretny informator wśród pracowników hotelu Germania. Kapitan nie zdziwiłby się, gdyby było ich nawet kilku.

Ofiarą był Wiktor Prumow, czego Klein się domyślił, gdy tylko do jego uszu dobiegły okrzyki sprzedawcy. Sylwetkę nauczyciela gry na fortepianie przedstawiono w zaskakująco pozytywnym świetle. Prumow znany był nie tylko w Dusznikach, ale i Kłodzku, wielu mieszkańców hrabstwa, przyjeżdżając na wycieczki do uzdrowiska, odwiedzało hotel i uczestniczyło w koncertach muzyka.

Klein popatrzył po zaaferowanych czytelnikach nadzwyczajnego dodatku „Grafschaft Glatz”. Zdaje się, że śmierć Prumowa znacząco

wpłynęła na postrzeganie ostatnich wydarzeń. Dochodzące do kapitana strzępki rozmów świadczyły o dużej dezorientacji odbiorców najświeższych wiadomości. Odnalezienie zwłok Sabine Hunfeld i zemsta Franza Koschelli na jej oprawcy miały wydźwięk sensacyjny, ale wydawały się konsekwencją następujących po sobie wydarzeń. Śmierć Prumowa, zwłaszcza sposób jej zadania, wzbudziły szok i grozę. To wykrzyczane przez gazeciarza ostrzeżenie, że nikt nie może czuć się bezpieczny, zakiełkowało gdzieś w umysłach. Widoczna była wzrastająca nerwowość, tłum gromadził się coraz liczniej. Jakiś pulchny jegomość wyrażał swoje oburzenie, nawołując komisarza Richtera do złożenia publicznych wyjaśnień i zdecydowanego działania.

Klein zdecydował się opuścić zbiegowisko, które powoli tarasowało ruch uliczny. Odgłosy klaksonów, zamiast powodować rozejście się tłumowi, pobudzały go jeszcze bardziej. Kapitan nie spodziewał się, by trwało to długo, ale postanowił zniknąć ciekawskim z oczu.

Do układanki doszedł właśnie kolejny element. Bez wątplenia istniało tu powiązanie ze śmiercią Sabine Hunfeld. Klein miał wrażenie, że znacznie się spóźnił z przyjazdem. Franz Koschella natomiast w swoich działaniach znacznie się pospieszył. Zapewne wielu się przeliczyło, sądząc, że wraz ze śmiercią Rabego sprawa sprzed lat zostanie zamknięta. Po śmierci głównego podejrzanego o porwanie Sabine działało się tu stanowczo zbyt wiele.

\*

Klaus Bausch skierował kroki do magazynu policyjnego. Miejsce to było jednocześnie archiwum komisariatu i składnicą dowodów rzeczowych. Zawiadywał nim jeden z urzędników dusznickiego ratusza, Walter Hahn. Asystent policyjny w przeciwieństwie do swoich kolegów lubił tego wiekowego, mocno steranego życiem mężczyznę. Walter był człowiekiem starej daty, pedantyczna dokładność, z jaką zarządzał swoim królestwem, niejednego

z policjantów doprowadzała do apopleksji. Każdy z formularzy musiał być dokładnie wypełniony i opatrzony odpowiednimi pieczętkami. Nie zdarzyło się jeszcze, by Hahn wydał jakąkolwiek część wyposażenia lub przyjął do składnicy dowód rzeczowy bez dopełnienia wszystkich formalności. Wiedział o komisariacie wszystko, widział niejedno i przeżył jeszcze więcej. Z jego wiedzy nikt jednak nie robił użytku, traktowano go jako zło konieczne, chociaż Bausch mógł się założyć, że bez tego służbisty komisariat rozlazłby się w szwach.

– Przyszedł pan, asystencie Bausch, o czasie. – Hahn spojrział na naścienny zegar. – To w panu zawsze cenilem. Nigdy z panem nie miałem problemów, wie pan, co należy do obowiązków.

– Otrzymałem wiadomość. – Bausch zdecydował się nie wyjawiać, że karteczka, którą odnalazł w szufladzie biurka, wprawiła go w zdumienie. Wiedział, że Hahn zaraz wyłoży mu przyczynę swojego konspiracyjnego działania.

– Proszę poczekać. – Hahn sięgnął po zawieszkę, którą trzymał na kontuarze, i podszedł do drzwi. Otworzył je, przewiesił kartonik przez klamkę i na powrót zamknął.

Bausch dziwił się coraz bardziej temu nietypowemu zachowaniu, lecz przezornie milczał. Taką wywieszkę widział na drzwiach kilkukrotnie, oznaczała, że w tej chwili Hahnowi nie należy przeszkadzać, bo robi porządki w składzie, segreguje dokumenty lub też opieczętowuje podania i formularze.

– Proszę za mną – polecił archiwista.

Przeszli z niewielkiego pokoju za kontuar niczym falochron odgradzający petentów od wnętrza składu dowodów rzeczowych i archiwum. Bausch przez kilka lat pracy w duszniczej policji nigdy nie przekroczył tej swoistej linii demarkacyjnej. Nie słyszał zresztą, by którykolwiek z jego kolegów uczynił to i wrócił ze składu żywy. Czuł się niepewnie zapraszany do królestwa Hahna, choć jednocześnie mocno zaintrygowany.



Znaleźli się w sporym pomieszczeniu, którego ściany od podłogi po sufit zabudowane były regałami. Na nich, w idealnie równych rzędach, stały skoroszyty. Pośrodku zamontowano głębokie półki, na których piętrzyły się pudła i pudełka. Były równie pieczołowicie poukładane i oznaczone wyraźnymi sygnaturami.

– Prowadzi pan sprawę Sabine Hunfeld...

Bausch spojrział na archiwistę. Mężczyzna oddychał ciężko z powodu astmy. Praca pośród łapaczy kurzu wyraźnie mu nie służyła.

– Nie prowadzę tej sprawy, przejęło ją Kłodzko, znowu...

– Prowadzi pan. – Hahn uśmiechnął się i pokręcił głową. – Myślę, że prowadzi ją pan dalej tu. – Hahn dotknął długim, kościstym palcem czoła Bauscha. – I tu...

Tym razem asystent poczuł nacisk opuszki na klatce piersiowej.

– Dlatego chce pan za mną rozmawiać?

Hahn nie odpowiedział. Sięgnął w stronę jednego z pudełek i przeniósł je na niewielki stolik. Niespiesznie zdjął i odłożył wieczko.

– Nikt się tym nie interesuje – wysapał. Jego płuca i oskrzela wydawały dźwięk podobny do kowalskiego miecha. – Pan jest jedynym, który może zrobić z tego użytek.

Bausch sięgnął ostrożnie do wnętrza pudła. Pociemniało mu w oczach. Wyciągnął zeszyt, na którym odczytał napis: „Mój pamiętnik. Własność Sabine Hunfeld. Nie waż się zaglądać! Znalazłeś, oddaj!”. W pudle znajdowało się jeszcze kilka odręcznie napisanych raportów i zeznań.

– Jak to tutaj przetrwało? Przecież sprawę przejął Berlin. Mieli zabrać wszystkie dokumenty z Dusznik i Kłodzka.

– Berlin. – Hahn wzruszył ramionami. – Ja tam sobie takich nie przypominam...

Bausch zaniemówił. Pokręcił głową z niedowierzaniem. Archiwista nie wydawał się ani trochę zmieszany.

– A Kłodzko? – Asystent w końcu odzyskał głos. – Dlaczego nikt od nich się tym nie zainteresował?

– Ależ interesował. – Hahn uśmiechnął się tajemniczo. – Był tu prowadzący dochodzenie policjant z Kłodzka.

– Nie rozumiem.

– To może wyjaśnię od początku. Pojawił się tu jeden policjant, machał legitymacją na lewo i prawo. Żądał wydania wszelkich dowodów, ale...

– ...ale nie wypełnił wszystkich formularzy jak należy...

Hahn znów wzruszył ramionami.

– Mam uwierzyć, że nie wydał pan dowodów komisarzowi Richterowi? – Bauschowi wydawało się to niewiarygodne.

– Nie, to nie Richter wtedy żądał wydania dowodów. Był zajęty swoimi sprawami, w tamtych dniach awansował na komisarza policji w Kłodzku. Przysłał tu swojego wachmistrza.

– Jak nazywał się ten wachmistrz?

– Jeśli dobrze pamiętam, Seipelt. Ten wachmistrz nazywał się Paul Seipelt.

\*

– Ma pan jakieś nowe informacje w sprawie, doktorze? – Wachmistrz Paul Seipelt usiadł ciężko naprzeciw biurka policyjnego lekarza Augusta Kuhnasta. Nie krył irytacji, nie był mu na rękę przyjazd do szpitala, wolałby, by doktor przekazał mu informacje telefonicznie. Wiedział jednak, że Kuhnast lubi być w centrum uwagi i robi wszystko, by doceniano jego rolę w każdej ze spraw. – Co było tak niecierpiące zwłoki, że musiał mi pan to przekazać osobiście?

Kuhnast milczał przez dłuższą chwilę. Paul pożałował, że nie zdobył się na odrobinę rozsądku i szczyptę dyplomacji. Ten irytujący pierdziel zdolny był teraz przeciągać sprawę w nieskończoność.

– Kilka miesięcy. Nie zostało panu dużo życia, wachmistrzu.

Seipelt niemal się roześmiał. Tak bardzo pomylił się co do tego skurwiela w kitlu.

– Rak?

Kuhnast potwierdził skinieniem głowy.

– Trzustka, tam się wszystko zaczęło. Przerzuty ma pan zbyt liczne, by podejmować się jakiegokolwiek interwencji chirurgicznej. Ponadto pański organizm osłabiony jest przez alkoholizm. Z wątrobą miał pan problemy już wcześniej, teraz ten organ radzi sobie coraz gorzej...

– Kilka miesięcy? – Wachmistrz wypowiedział te słowa tonem pełnym niedowierzania.

Kuhnast zwykł na tego typu zapytania odpowiadać szorstko. Nie dopuszczał, by ktoś podważał jego ustalenia. Teraz jednak doktor milczał, patrzył na Seipelta wyczekująco, jakby spodziewał się bardziej rzeczowych pytań. Pod wpływem tego spojrzenia wachmistrz odczuł mrowienie w całym ciele.

Przeszło mu przez myśl, że Kuhnast musiał się pomylić. Ostatnio czuł się dobrze, niemal nic go nie bolało. Przestał rzygać jak kot, może dlatego że niemal nic nie jadł. Karcił się nawet w myślach za to, że wcześniej uległ żonie i zgłosił się z dolegliwościami do doktora.

Nie wiedział gdzie, ale był pewny, że ten konował gdzieś popełnił błąd. Może prześwietlenia były do dupy? A może staruch się pomylił i wziął do analizy zdjęcia kogoś innego? Franz ostatnio miał problemy z bebechami.

– Dzisiejsza medycyna nie jest w stanie panu pomóc. W tego typu sytuacjach zalecam pacjentom załatwienie wszystkich wymagających tego spraw. Niedługo nie będzie miał pan na to siły...

Kurwa. Seipelt zaczął wreszcie oddychać. Czuł się tak, jakby ktoś uderzył go pięścią prosto w żołądek. Czy kiedykolwiek myślał o śmierci? Zawsze zdawała mu się czymś nierzeczywistym, odległym.

– Ma mi pan do przekazania coś jeszcze? – zapytał głucho.

– Podam panu adres mojego przyjaciela, doktora Kerna. Udzieli panu wszelkich informacji. – Kuhnast sięgnął po niewielki kartonik, na którym widniały dane kontaktowe lekarza. – Jest tu też recepta. Proszę wybrać leki i przyjmować je według zapisanych zaleceń. Pozwolą panu funkcjonować przez najbliższy czas...

– Pytałem raczej o sprawy związane ze śledztwem – powiedział oschle Seipelt, omijając wzrokiem wizytówkę i receptę.

– Cóż. – Lekarz znów prześwidrował go wzrokiem. W jego spojrzeniu było coś, co Seipeltowi się nie spodobało. Patrzył jak na dziecko, które nic sobie nie robi z napomnień opiekuna. Jak na żywego trupa stojącego nad własną trumną. – W tej chwili nie mam nic nowego...

Seipelt wyczuł w głosie Kuhnasta nutę, która wzbudziła jego czujność, nie miał jednak siły na kontynuowanie rozmowy. Woń unosząca się w pomieszczeniu przyprawiała go o mdłości. Chciał się jedynie wydostać na świeże powietrze.

– Jeśli będzie pan miał ważne informacje... proszę o natychmiastowy kontakt.

Seipelt podniósł się z krzesła, nie czekając na odpowiedź. Skinął doktorowi głową i opuścił gabinet.

Gdy szedł korytarzem do wyjścia, słowa Kuhnasta nie dawały mu spokoju. Miał załatwić swoje sprawy. Niby jak? Nie potrafił zrobić tego przez całe życie, a miało mu wystarczyć kilka miesięcy?

Asta zostanie sama, bez grosza przy duszy. Nic jej nie zostawi, bo nic nie miał, żadnych oszczędności. Przez niego skończy pod mostem. Wszyscy będą jej przypominać, że sama jest sobie winna. Ostrzegali ją przed tym pijakiem, hazardzistą i... damskim bokserem.

Seipelt stanął przed głównym wejściem szpitala. Odetchnął głęboko, ale nie przyniosło mu to ulgi.

Zawsze wydawało mu się, że jest krok od przełomu w życiu. Miał wizję bogactwa, szybkich pieniędzy, których planował się dorobić. Kilkakrotnie niemal się spełniło. Leżały przed nim na stole tysiące,

dziesiątki tysięcy marek. Nie potrafił jednak powiedzieć dość. Jeden zakład więcej i zostawał z pustymi kieszeniami albo tak jak ostatnio z długami. Zawsze myślał, że ma czas. Łatwo przyszło, łatwo poszło.

Długi spłacał w różny sposób, przemykając oko lub sprzedając informacje. Paru chłopaków uratował przed wyrokiem, parę dowodów rzeczowych zniknęło, paru świadków nie złożyło zeznań. Jakoś to szło... Ostatnio dopuścił się prawdziwego skurwysyństwa, by uniknąć przetrącenia karku.

Seipelt nie zdążył wsiąść do samochodu, targnęło nim od środka, zwymiotował na trawnik. Szarpały nim torsje, choć nie miał czego zwrócić.

W końcu otarł usta i wyciągnął paczkę papierosów z kieszeni. Zaklął. Była pusta.

Wsiadając do policyjnego auta, poczuł wdzięczność do Kuhnasta. Ten stary konował miał rację, przyszedł najwyższy czas na załatwienie spraw. Kilka miesięcy – czasu było aż nadto. Paul Seipelt wiedział już, co zrobić, by dokonać w swoim życiu prawdziwego przełomu.

\*

Klein wracał do hotelu spokojnym krokiem. Wyglądał na odprężonego i tak czuł się w rzeczywistości. Trudno było mu przyznać przed samym sobą, że łaknął adrenaliny. W ciągu ostatnich miesięcy wszedł w stan dziwnego otępienia, jego umysł był jak silnik na jałowym biegu. Jakaś siła pozwalała na funkcjonowanie wszystkich procesów życiowych, impulsy docierały do mózgu, tam były przetwarzane, jednak w sposób, który miał powodować utratę jak najmniejszej ilości energii. To niewątpliwie sprawiało, że zmysły Kleina uległy przytępieniu. Fizycznie czuł się dobrze, zapewne za sprawą górskich wędrówek z Müllerem, jednak umysł nie dostawał bodźców, do których był przyzwyczajony, nie pobudzały go żadne wyzwania. Teraz kapitan odczuwał głód ze wzmożoną siłą. Wyrzut adrenaliny do krwi sprawił, że swędziała go cała skóra, odczuwał

wewnętrzne roztrzęsienie, a przez to nie był w stanie się skupić. Liczba docierających do niego informacji wydawała się zbyt duża, przytłaczała go, zapychała, sprawiając, że nie potrafił ukierunkować myśli. Ten ostentacyjnie wręcz wolny spacer miał mu pomóc w oczyszczeniu, w powrocie na właściwe tory. Służył jednak i innemu celowi.

Klein dostrzegł tajniaka przy Gerbergasse, gdy wyminął zajazd Pod Żłotym Lwem. Przyciągnięty przez zapach dochodzący ze sklepu mięsnego Alfonsa Wolfa zatrzymał się przy witrynie, by spojrzeć na wiszące pęta wędzonki, a jednocześnie przypatrzeć się przemyskającemu za jego plecami wywiadowcy.

Wilhelm wszedł na chwilę do sklepu, dając czas śledzącym go mężczyznom na przegrupowanie szyków. Zakupił pętko suchej kiełbasy, którą zapakowano mu w gazetę. Uległ pokusie po wyjściu z mięsnego. Zajadał się wędliną, stojąc na Końskim Moście spinającym wyspę Piasek z południową częścią miasta.

W końcu gazetę wyrzucił do kosza i ruszył na Sellgittplatz, do hotelu. W lobby przywitał się z recepcjonistą i od niechcienia spojrzął w stronę restauracji. Tu także dostrzegł jednego z tajniaków. Uznał, że wachmistrz Paul Seipelt mocno osłabił stan osobowy kłodzkiej policji, wyznaczając tak dużą liczbę ludzi do pilnowania niechcianego przybysza.

Znalazłszy się w swoim pokoju, Klein zapalił światło na biurku i szeroko otworzył okno. Wykonał telefon, korzystając z książki adresowej leżącej na stoliku, potem przez chwilę krążył po apartamencie. Gdy uznał, że przedstawienie dobiegło końca, zamienił marynarkę na płaszcz. Wyszedł na korytarz, a że znał już dość dobrze rozkład hotelu, wymknął się tylnym wyjściem.

Na Końskim Moście znalazł się w porę. Dostrzegł, jak jeden ze śledzących go wcześniej wywiadowców znika przy końcu Rossmarkt. Poszedł jego śladem i wkrótce skręcił w Ross Strasse. Kilka minut później znalazł się pośród bywalców gospody Czerwony Rak. Zajrzał przelotnie do środka. Przeczucie go nie myliło. Widział,

jak policjant siada naprzeciw przełożonego. Wachmistrz Paul Seipelt z niecierpliwością wysłuchiwał raportu.

Klein wsiadł do stojącej nieopodal knajpy dorożki i kazał się zawieźć w stronę Wilhelmstrasse. Tam, mijając rondo przy Wilhelmsplatz, opłacił przejazd i wyskoczył na chodnik, po czym zagłębił się w cieniu skweru przy Parkstrasse.

\*

Josef Ziegel, recepcjonista w miejskiej łaźni, przywitał się z Kleinem bardzo uprzejmie. Oczekiwał tego mężczyzny od kilkunastu minut. Znał go nie tyle z widzenia, ile z opowieści, którymi klienci raczyli go przez ostatni rok. Śledził też na bieżąco doniesienia, które swego czasu krzyczały wytłuszczoną czcionką ze szpałt miejscowej prasy. Pojawienie się Kleina w miejskiej łaźni przyjął jako coś zupełnie naturalnego, a swoją pomoc uznał za obowiązek.

– Wolfgang, staniesz w recepcji – poinstruował młodego zastępcę i dał znak kapitanowi, by ruszył jego śladem.

Zatrzymali się na drugim piętrze, przed drzwiami oddzielającymi część ogólnodostępną od tej znanej jedynie nielicznym wtajemniczonym. Ziegel rozejrzał się, sięgnął po klucz ukryty w kamizelce i wsunął go w zamek. Zapalił światło i wpuścił Kleina do przedsionka. W powietrzu unosił się odór spalenizny. Ziegel odczuł mdłości, ale zwalczył je, uznając, że wpływ na jego samopoczucie ma jedynie wyobraźnia i nastrój, któremu łatwo ulegał.

Poprowadził Kleina przez kilka pomieszczeń do osobnej salki, w której wachmistrz Franz Koschella usmażył Bastiana Rabego. Wyminął drzwi z wciąż widoczną policyjną pieczęcią i powiódł gościa na miejsce zbrodni bocznym przejściem.

Klein ociągał się z wejściem do środka. Ziegel miał wrażenie, że powodem tego wahania jest nieprzyjemna woń, która tutaj nabierała szczególnej intensywności, po chwili jednak uznał, że

zachowanie gościa ma inną przyczynę, ten zajęty był bowiem lustrowaniem korytarzyka i bocznej klatki schodowej.

– Dokąd prowadzą schody? Często są używane?

– Nie są używane. Z tego, co wiem, klatka schodowa została zamknięta kilka lat temu. Prowadziła kiedyś na sam dół, do piwnicy. Wyłączono ją z użytkowania. Główne i jedyne wejście to to, którym przyszliśmy.

Odpowiedź ta nie spowodowała żadnej reakcji Kleina. Ziegel pierwszy wszedł więc do ciemnego pomieszczenia. Nerwowo odszukał włącznik elektryczny. Mdłe światło rozmazało się na ścianach i sprzętach, nadając im trupioblada poświatę.

Wilhelm Klein nagle się ożywił, jakby i jemu przywrócono zasilanie. Podszedł do ławy, której widok sprawiał, że Ziegel czuł gorzkawy posmak w ustach. Przykucnął przy niej, przez chwilę tkwił w bezruchu, w końcu odwrócił się powoli, wciąż pozostając w tej samej pozycji, jakby przypatrywał się otoczeniu z perspektywy denata.

Jego wzrok zatrzymał się na kabinie skrywającej aparaturę sterującą. Klein wyprostował się i wszedł do pomieszczenia.

Ziegel z ciekawości zajrzał do środka. Spodziewał się, że śledczy będzie uważnie badał urządzenie, ten jednak lustrował panel z potencjometrem ledwie przez kilka sekund. Sprawdził za to dokładnie okablowanie i bezpieczniki. Dokonawszy tych czynności, wyszedł z kabiny i zwrócił się do Ziegela:

– Nikt nie ruszał urządzeń?

– No, badali tylko, ale zostawili tak, jak były.

– Widział pan wtedy Koschellę?

– Tak – potwierdził recepcjonista. – Byłem wtedy na miejscu.

– Czy po tym wszystkim wachmistrz coś mówił? Próbował ucieczki?

– Nie... – Ziegel zmarszczył brwi. – Gdy już było po wszystkim, zszedł na dół i usiadł na krześle, naprzeciw recepcji. Wyglądało na to, że czeka na policję.



– Długo czekał?

Ziegel wciągnął powietrze w płuca i przez dłuższy czas go nie wypuszczał.

– Jak o tym pomyślę – recepcjonista odetchnął w końcu i podrapał się w głowę – to przybyli szybko, nawet bardzo...

– A kto ich wezwał? Pan, panie Ziegel?

– Skądże! – Recepcjonista się zaczerwienił. – Ja nawet nie wiedziałem, że coś się stało. W budynku przygasły kilkakrotnie światła, ale tak się często zdarza. Dopiero co kable położyli w mieście, nowa elektrownia chwilami nawala i... nie pomyślałbym, że w tym momencie wachmistrz kogoś podsmaża.

– Kto więc mógł wezwać policję?

– Ktoś na górze... na pewno. Tam także są telefony.

– A Bastian Rabe, ten, którego, jak pan to ujął, wachmistrz Koschella podsmażył. Często się pojawiał w Mariannenbad, w tej części dla wybranych?

– Często. – Ziegel energicznie pokiwał głową. – I nie ma się co dziwić, bo te imprezy to w sumie nie kto inny organizował jak on...

\*

Magda Ross lubiła patrzeć, jak Haim się bawi. Teraz też się uśmiechała widząc, jak wraz z kolegami brodzi w wodzie. Radził sobie doskonale, przeskakując z kamienia na kamień. W pościgach i ucieczkach był najszybszy, trudno było go dogonić. Popisywał się chyba przed nią, bo chwilami zerkał w stronę mostu, na którym stała oparta o barierkę.

Był sprawniejszy od rówieśników, potrafił się rozpędzić i wbiec na kamienną ścianę kanału, którym płynęła rzeczka. Łapał się górnej krawędzi, podciągał niczym małpka i w ułamku sekundy stawał na barierce, grając na nosie tym, którzy nie potrafili pójść jego śladem.

Miała ochotę bić mu brawo, ale nie chciała go krępować.

Widziała sąsiadki piorące na kamieniach ubrania i prześcieradła. Trzymały się od niej z daleka, a miała świadomość, że często o niej

rozmawiają. Wiedziały, czym się zajmuje, i traktowały niczym zadżumioną. Na szczęście żadna z nich nie próbowała się odgrywać za grzechy matki na Haimie. Gdyby tak było, każdej z nich wydrapałaby oczy.

Nad twierdzą zaczęło zachodzić słońce. Złote promienie były intensywne. Wydała się sobie w ich świetle wyjątkowa. Domy, drzewa, struga rzeki tonęły w coraz głębszym cieniu, przekomarzania ptaków stawały się coraz odleglejsze. Przymknąwszy powieki, czuła na policzkach delikatne łaskotanie wiatru.

Nagle doszedł do niej jakiś inny dźwięk, echo odległego, nawołującego ją głosu. W pierwszej chwili wzięła go za omam słuchowy, jednak nagle przeraziła się, że woła ją Haim, gdzieś z daleka, niczym spod ziemi.

Otworzyła oczy, wirujące plamy przysłoniły jej widok. Znów usłyszała syna. Tuż pod stopami, pod mostkiem, na którym stała. Jego głos odbijał się echem od ścian. Towarzyszył mu chichot kolegów.

Z ulgą odsunęła się od barierki. Otarła pot z czoła i ruszyła w stronę domu. Nie zdążyła jednak wejść do środka, gdy usłyszała za plecami kobiecy głos.

– Pani Ross, przyszedłam zapytać panią o decyzję...

Skinęła głową. Wiedziała, że ta chwila nadejdzie. Lecz czy była na nią gotowa? Jak zwykle wszystko odkładała na później, jakby dysponowała nieograniczonym czasem.

– Moja decyzja...

Miała plan, trzymała się go kurczowo od wielu miesięcy. Odkładała każdy grosz, zbierała pieniądze, by móc stąd wyjechać, zostawić wszystko za sobą i zabrać Haima gdzieś daleko. Tam zacząć od nowa. Gdzie jednak było to „tam”? Tej kwestii też nie potrafiła rozstrzygnąć.

A gdyby przyjęła propozycję Gabriele von Magnis? Zostanie sprzątaczką. Czy to oznaczałoby rezygnację z planów i konieczność

pozostania tu, gdzie nigdy nie byłoby bezpieczni?

– Chciałabym... chcę pracować w szkole, o której pani mówiła. Chcę dla Haima. Ale... nie wiem, czy będę mogła. To jest skomplikowane.

– Co jest skomplikowane?

Popatrzyła na Gabriele. Dziewczyna budziła zaufanie, spokój na jej twarzy udzielał się innym. Roztaczała dobrą aurę, przy niej człowiek miał wrażenie, że ostatecznie wszystko się ułoży.

– To skomplikowane – powtórzyła Magda.

Jak niby miała to wyjaśnić? Jak wyjaśnić, że nie jest już człowiekiem, lecz rzeczą. Przedmiotem, który do kogoś należy? Została przywłaszczona, znalazła się w spisie żywego inwentarza i nie tak łatwo jest się wykreślić z tej listy własności.

– Nie pozwolą mi odejść... Jeśli spróbuję, ukarzą mnie tak, żeby żadnej innej dziewczynie nie przyszedł do głowy podobny pomysł. Stanę się przykładem. Oszpecą mnie, odetną palec, a może nawet zabiją. Mogą też zrobić krzywdę Haimowi.

– Kto?

Pytanie było krótkie, ale wydawało się, że Gabriele liczyła się z tym. Być może wiedziała o życiu więcej, niż mogło się wydawać.

– Po co to pani? Nic pani w tej sprawie nie robi.

– Proszę powiedzieć.

Magda pokręciła głową z niedowierzaniem. Determinacja i pewność siebie tej kobiety zupełnie ją zaskoczyły. Wcześniej Gabriele von Magnis wydawała jej się słabą, naiwną dziewczyną, która choć ma w planach zbawienie świata, potyka się na pierwszej przeszkodzie.

– Dlaczego pani to robi? – odpowiedziała pytaniem na pytanie. – Nikt się nami nie interesuje, nikogo nie obchodzi, czy żyjemy! Mam uwierzyć, że pani jest inna? – Ross nie dała Gabriele się odezwać. Pozwoliła sobie na kpiarski ton. – A może coś się wydarzyło w pani życiu i dlatego pani tak się angażuje? Przecież wie pani, kim jestem... Lubi się pani bratać z biednymi?

Wyraz twarzy Gabriele nie zmienił się nawet na jotę. W jej oczach Magda widziała jeszcze większą determinację niż wcześniej. Siłę, której nie potrafiła znaleźć sama w sobie. Dowiedziała się trochę o hrabiance. Wypytała o nią koleżanki. Ta przemiana, która dotknęła dziewczynę, nie była związana z jednym konkretnym wydarzeniem. Nastąpił cały ich szereg rozłożony w czasie. Śmierć rodzeństwa, z którym była zżyta, zaginięcie przyjaciółki. To, że poświęcała się dla innych, nie miało związku z poczuciem winy. Gabriele von Magnis pomagała z wewnętrznej potrzeby. I wyglądało na to, że nie ma takiej przeszkody, która sprawiłaby, że się podda.

– Nie wiem, kto teraz trzyma to wszystko w garści. – Magda zdziwiła się, słysząc swój własny głos i wypowiedane słowa. – Jeszcze niedawno z dużym prawdopodobieństwem wskazałabym pani osobę, która za tym stoi, z imienia i nazwiska. Po jej śmierci w mieście walczy ze sobą kilku oprychów, którzy wcześniej się nami zajmowali. To zwykli bandyci, byli jedynie pomocnikami, odwalali całą czarną robotę, a teraz wydaje im się, że mogą skorzystać z okazji i przejąć interesy. Nie wiem, komu z nich się uda. Mam nadzieję, że się po prostu wytłuką...

– Ten mężczyzna, który wcześniej kontrolował wszystko. Mówiła pani, że jest w stanie z dużym prawdopodobieństwem podać jego imię i nazwisko?

– No bo ja wiem, kto to był. Trzymał się zawsze z tyłu, wyřęcał się swoimi ludźmi. Ale nie da się wszystkiego utrzymać w tajemnicy... A jak umarł, to tylko nabrałam pewności. Jeszcze dobrze nie ostygł, a oprychy zaczęły się bić między sobą o to, kto teraz będzie rządził w mieście.

– Kto to taki?

– Rabe... Wszyscy to wiedzą, to był Bastian Rabe.

## KŁODZKO, 23 MAJA 1921 ROKU

*Pogubiłam się. Zabrnęłam w to wszystko zbyt daleko. Chyba nigdy nie wiedziałam, kiedy się zatrzymać. Może dlatego że nie potrafię. Ojciec ma rację, mówiąc, że tak naprawdę mnie nie zna. Sama mam problem, by poznać siebie. Jest we mnie egoizm i okrucieństwo. Zdaję sobie z tego sprawę i chyba to jest najgorsze, bo... dobrze mi z tym.*

*Wiktor Prumow jest zabawny. Poci się przy mnie, zerka w moją stronę, prawi komplementy. Prowokuję go, bo mogę, bo chcę. Dziś podczas lekcji gry pozwoliłam mu na dużo, może nawet zbyt dużo, ale chciałam widzieć, jak błaga o kolejny pocałunek.*

*Zakochał się? Być może, bo otworzył się przede mną i zdradził najskrytszą tajemnicę. Jego matka na łożu śmierci wyznała mu prawdę o ojcu, którego nie znał. Wiktor był owocem burzliwego romansu, który matka przeżyła podczas swojej wizyty w Dusznikach dwie dekady temu. Po jej śmierci opuścił ojczyznę bez grosza przy duszy i bez żalu, przyjechał do hrabstwa kłodzkiego, by poznać ojca, ale także po to, by wyciągnąć od niego pieniądze. Czy Prumow jest szantażystą? Dostrzegam w nim pierwiastek zła, który jest także we mnie. Może dlatego tak mnie pociąga?*

*Kim jest jego ojciec? Dowiem się, wydobędę z niego tę tajemnicę, nawet teraz płoną mi policzki z ciekawości. Zdradził, że jego papa pełni jakąś ważną funkcję w hrabstwie. To dzięki niemu, mimo wojny, Wiktor mógł pozostać w kraju i dzięki jego protekcji otrzymał tu pracę. Mam wrażenie, że Wiktor jednak nienawidzi ojca...*

*Jest i Bastian Rabe. Wydaje mu się, że pod maską pogardy, którą mi okazuje, ukrywa prawdziwe uczucia. Ostentacyjnie interesuje się Gabriele. Robi to tylko po to, by wzbudzić we mnie zazdrość. Przyznaję, jest inteligentny, intryguje mnie. Te jego gierki... zaczynają odnosić skutek. Wydaje mi się, że też skrywa jakąś tajemnicę, gdy patrzę w jego oczy, widzę w nich okrucieństwo. Ten chłopak odpycha i przyciąga... przyprawia mnie o dreszcze...*

*Jutro jedziemy do Zieleńca. Ja, Gabriele i Bastian. Będzie zabawnie. Wiktor jest zazdrosny, prosi, żebym nie jechała. Zaklina mnie, bym została z nim. Biedny Wik, za dużo sobie wyobraża. Ukoję jednak jego ból, odwiedzę go rano, zanim wyruszymy...*

Tego fragmentu pamiętnika Sabine Hunfeld asystent policyjny Bausch nauczył się niemal na pamięć. Czytał go w nocy wielokrotnie, próbując dostrzec w słowach dziewczyny jakieś drugie dno. Bastian Rabe i Wiktor Prumow. Wedle zapisków obaj odgrywali w ostatnich dniach życia dziewczyny znaczącą rolę. Co więcej, obaj już nie żyli. Jeden i drugi mogli być w jakiś sposób zamieszani w sprawę zaginięcia.

Asystent policyjny Bausch odkrył w dokumentach przekazanych mu przez archiwistę jeszcze jeden ważny dokument: fragment zeznań Gabriele von Magnis, przyjaciółki Sabine. Gabriele informowała, że w dniu, w którym planowano wyjazd do Zieleńca, zobaczyła Sabine wychodzącą z pokoju Prumowa. Ich pożegnanie świadczyło o dosyć dużej zażyłości. Wedle zacytowanych przez von Magnis słów Wiktor starał się wymusić na jej przyjaciółce obietnicę, że nie opuści hotelu. Ta jednak nie zamierzała niczego obiecywać.

Dlaczego pamiętnikiem Sabine i fragmentem zeznań hrabianki nikt tak naprawdę się nie interesował? Czy był to przypadek, że śledczym akurat te dowody przeszły koło nosa? Dziwnym trafem to one wyparowały na wiele lat. A może ktoś próbował je ukryć w przepastnych archiwach Hahna, by chronić Prumowa? Przecież inne dokumenty Koschella odnalazł w aktach zgromadzonych w Kłodzku. Przywiózł mu je osobiście komisarz Richter.

To nie ma sensu, powtarzał w myślach Bausch. Dlaczego po prostu nie zniszczono dowodów, jeśli mogły się okazać ważne dla śledztwa? Czy naprawdę zwykły przypadek sprawił, że nie trafiły w ręce kłodzkiej policji? Stary archiwista Hahn, nie wiedząc o tym, ocalił bardzo ważne dokumenty. A może ocalił je intencjonalnie?

Bausch był pewny, że natrafił na nowy, ważny element układanki. Miał też wrażenie, że związany jest on z ojcem Wiktora Prumowa,

który według Sabine miał pełnić jakąś ważną funkcję w hrabstwie. Czy funkcję tak znaczącą, by pozwalała mu mieć wpływ na śledztwo?

Klaus poczuł, że jest blisko uchwycenia kluczowej kwestii. Prumow musiał być wmieszany w sprawę zaginięcia Sabine. Ta prośba, by dziewczyna nie jechała, nie była podyktowana jedynie zazdrością kochanka. Być może były to wyrzuty sumienia, Prumow był uwikłany w coś, z czym nie potrafił sobie poradzić. W świetle ostatnich wydarzeń kontekst podsłuchanej przez von Magnis rozmowy mógł być właśnie taki... Prumow jednak został zabity. Czyżby ojciec nie był już w stanie dłużej go ochronić?

– Możesz wejść, Bausch!

Drzwi do gabinetu komisarza Motta się otworzyły, przełożony zapraszająco przywołał do siebie asystenta. Ten z ociąganiem przekroczył próg.

Komisarz ziewnął szeroko, nie zakrywając ust.

– Z czym przychodzisz? – zapytał, rozglądając się za paczką papierosów. Nie znalazł jej jednak i z niezadowoleniem pokręcił głową. – Masz coś w sprawie grajka?

Bausch czuł, jak trzymany w rękach pamiętnik parzy go w dłoniach. Wahał się.

– No mów, nie mam całego dnia, Bausch!

– Znalazłem pamiętnik Sabine Hunfeld, komisarzu, i fragment zeznań jej przyjaciółki, hrabianki Gabriele von Magnis.

– Jak to znalazłeś? – Mott uniósł brwi w zdumieniu.

– Sprawdzalem, czy mamy cokolwiek w naszym archiwum na temat tej sprawy... Natrafilem na pudlo. W nim znalazlem pamietnik i karte z zeznan.

– To niemożliwe. Sprawę prowadziło wtedy Kłodzko... u nas nic nie zostało.

Zamiast odpowiedzieć Bausch położył pamiętnik przed Mottem. Kartę zeznań, którą w nim trzymał, umieścił obok. Nie miał zamiaru

informować Motta, że dowody pozostały w archiwum, bo śledczy z Kłodzka nie dopełnił wszystkich formalności.

Mott patrzył z niedowierzaniem na przedmioty leżące na blacie. Nachylił się nad kartą zeznań i przebiegł po niej wzrokiem. Po chwili sięgnął po pamiętnik. Przekartkował go pobieżnie. Gdy natrafił na zakładkę pozostawioną przez Bauscha, przeczytał także fragment zapisków Sabine. Nagle cofnął dłonie i spojrzał na podwładnego.

– Rabe i Prumow... obaj nie żyją, obaj byli blisko Sabine.

Bausch skinął głową.

– Być może Prumow rzeczywiście się w niej zakochał. Znaczące jest to, że ją namawiał, by nie jechała do Zieleńca. Może wiedział, co ją tam spotka?

– Zabito dwóch ludzi, którzy mogli być podejrzanymi w tej sprawie.

– Tak, komisarzu. W przypadku Rabego wydaje się, że wachmistrz Koschella dokonał swego rodzaju samosądu. Pozostaje pytanie, kto zabił Prumowa. Zapewne ten mógł komuś zaszkodzić. Wygląda mi to na zacieranie śladów. Wcześniej byłem zdania, że to Bastian Rabe był głową całej operacji. Teraz wydaje mi się, że mógł być ktoś jeszcze...

– Jakieś podejrzenia?

– Ojciec Prumowa, co może wynikać z pamiętnika dziewczyny. Nie wiem, kim jest, ale powinniśmy to sprawdzić.

– Tak, powinniśmy. Ale naszym obowiązkiem jest przekazanie tych dowodów i informacji do Kłodzka – powiedział Mott, patrząc uważnie na Bauscha. – To oni prowadzą śledztwo. Znając życie, po samosądzie Koschelli dochodzenie znów stanęło w miejscu, jednak dzięki tym dokumentom nie uda się tak łatwo zamieść sprawy pod dywan. Dobra robota, Bausch, ale uprzedzam: Kłodzko spije całą śmietankę z twojego odkrycia, nawet nie zająkną się o naszym udziale.



Bausch wyczuł na sobie uważny wzrok przełożonego. Wiedział, że przyszedł czas, by wyjawić to, co sobie umyślił.

– Proszę o czterdzieści osiem godzin, komisarzu – powiedział. – Jeśli da mi pan szansę, postaram się ustalić, kim jest ojciec Prumowa. Wtedy trudno będzie tym w Kłodzku przypisać sobie wszystkie... nasze zasługi.

Mott z namysłem pokiwał głową. W jego oczach Bausch chciał się doszukać uznania dla inicjatywy i ambicji, które przejawiał, ale miał wrażenie, że Mott jest raczej rozbawiony jego deklaracją. Jakby nie wierzył w jego umiejętności. Tym bardziej zaskakujące były słowa, które usłyszał po chwili:

– Dwadzieścia cztery godziny. Nie dam ci więcej, ale wierzę, że znajdziesz tego człowieka. Nie zawieź mnie. Jeśli wyjdzie na jaw, że odkryliśmy nowe dowody w sprawie, a ja pozwoliłem na ich przetrzymanie, Richter będzie się mścił. Nie potrzebuję teraz zatargów. Niech to pozostanie między nami, jasne?

– Tak jest – potwierdził asystent, zgarniając dowody z biurka.

Wychodząc z komisariatu, Bausch miał poczucie osobistego triumfu. Jednocześnie towarzyszyło mu wrażenie, że porwał się na coś, do czego w ogóle nie jest przygotowany.

\*

Wilhelm Klein jadł późne śniadanie w hotelowej restauracji. Sala była pusta, większość gości zapewne postanowiła skorzystać z pięknej pogody i udała się do miasta. Kapitan w spokoju posilał się jajecznicą i chrupkim pieczywem. Docierały do niego skrzeczące dźwięki patefonu ustawionego w jednym z dalszych pomieszczeń. Muzyka była skoczna i radosna. Irytowała go.

W nocy długo nie mógł zasnąć z przemęczenia. W ostatnich dniach nieustannie był na nogach, teraz odczuwał bolesność ścięgien i stawów. Różnice wzniesień nadawały Kłodzku uroczy wygląd, jednak na dłuższą metę były wymagające kondycyjnie.

Zapewne gdyby nie częste wycieczki po strzelińskich wzgórzach, dziś Klein nie byłby w stanie podnieść się z łóżka.

We śnie także nie zaznał spokoju. Śniła mu się Agnes. Ten moment, w którym po powrocie do domu zorientował się, że spakowała rzeczy i wyjechała. Mógł się tego spodziewać. Im szybciej zdrowiał, tym szybciej nadchodził czas, w którym ich drogi miały się rozejść. Był tego świadom, jednak gdy zobaczył pustą szafę, trudno było mu w to uwierzyć.

Dzień, w którym rok temu oboje opuścili Kłodzko, wydawał mu się odległy o dekady. Siedzieli w wagonie naprzeciw siebie, a gdy pociąg w końcu wjechał na strzeliński peron, Klein wstał, podniósł walizkę i ruszył do wyjścia. Odwrócił się wtedy do niej na krótką chwilę. Tego chyba oczekiwała, bo gdy zeskoczył na peron, uderzenie serca później ona poszła w jego ślady.

Milczeli, idąc w stronę miasta. W pewnym momencie zdał sobie sprawę, że trzymają się za ręce. Było to tak naturalne, jakby więź między nimi istniała już od dawna, a miała przetrwać wieczność.

Nie przetrwała. Potrzebowali się wzajemnie przez chwilę, by wyleczyć własne rany. Klein rany fizyczne, Agnes – rany duszy. Wszystko zaczęło się w Kłodzku, skończyło kilkadziesiąt kilometrów dalej i pół roku później. Dlaczego jednak wciąż odczuwał tak ogromną pustkę?

– Wiedziałem, że cię tu zastanę, Wilhelmie...

Klein przeniósł wzrok znad dymiącej filiżanki na dobroduszną twarz swojego wuja, Franza Ludwiga. Burmistrz skarcił go wzrokiem i wyciągnął dłoń na przywitanie. Wilhelm uścisnął ją i zaprosił krewnego do stołu. Ludwig zdjął melonik i usiadł, kładąc go sobie na kolanach.

Przez dobre pół minuty patrzyli na siebie. Klein z uśmiechem, Franz Ludwig z wyraźnym wyrzutem.

– Mahomet nie przyszedł do góry, to góra przyszła do Mahometa!

– Nie jestem prorokiem, wuju, a ty znacznie schudłeś i góry nie przypominasz.

Ludwig się roześmiał. Odkłonił się kelnerowi, który pojawił się przy nim, by przyjąć zamówienie.

– Woda, wystarczy szklanka wody.

Widać było, że nawet jeśli burmistrz z rozpędu chciał czynić wyrzuty Wilhelmowi, to rozpęd ten stracił. Był zbyt dobroduszny na słowne przepychanki i uszczypliwe uwagi. Wilhelm zastanawiał się, jak człowiek o takim charakterze jest w stanie przetrwać na tym stanowisku. By rządzić miastem i użerać się z tabunem wiecznie niezadowolonych intrygantów, trzeba było mieć albo twardą dupę, albo język ostry jak brzytwa. Najlepiej jedno i drugie.

– Dlaczego mnie nie odwiedziłeś? Wszyscy trąbią o twoim przyjeździe, w ratuszu wrze jak w ulu, a ty nawet nie przyszedłeś się przywitać.

– Nie miałem czasu, ale z takim zamiarem się nosiłem. Dziś pewnie bym cię odwiedził.

Ludwig poważnie skinął głową. Patrzył na kelnera, który otwarty butelkę gorzanowskiej złotej kaczki, nalewał wodę do szklanki.

– Przyjechałeś w sprawie Koschelli.

Kapitan przytaknął.

– Co zamierzasz w tej sprawie? Dowiedziałeś się już czegoś?

Klein sięgnął po filiżankę i zanim odpowiedział, upił spory łyk herbaty.

– Zamierzam się dowiedzieć, co się wydarzyło w Mariannenbad.

Tym razem to Ludwig skłonił głowę.

– Chyba każdy podejrzewał, że przyjedziesz. Od razu o tym pomyślałem, gdy wachmistrz Franz został aresztowany.

– Nie wszystkich zapewne to ucieszyło...

– Masz rację. – Ludwig wypił duszkiem wodę i otarł usta chusteczką. – Sam wiesz, że paru osobom nadepnąłeś na odcisk...

– Czego ode mnie oczekujesz, wuju? – Klein uznał, że najwyższy czas przejść do meritum.

– Oficjalnie... chcę, żebyś pamiętał, że nie mogę udzielić ci poparcia takiego jak do tej pory. Nie jesteś czynnym śledczym, nie możesz prowadzić tej sprawy. Komisarz Richter cię aresztuje, jeśli uzna, że działasz na własną rękę i utrudniasz dochodzenie.

– A nieoficjalnie?

Ludwig wzruszył ramionami, dopełnił szklanek resztką wody z butelki.

– Cenię wachmistrza Koschellę. Uważam, że jesteśmy mu winni obiektywne śledztwo...

– Tej obiektywności nie zapewni mu komisarz Richter?

– Wilhelmie – Ludwig pokręcił głową – w Dusznikach, w hotelu Germania, odnaleziono zwłoki Wiktora Prumowa. Być może już wiesz, że to osoba powiązana z wydarzeniami z tysiąc dziewięćset szesnastego roku. Nie mam wątpliwości co do obiektywności komisarza Richtera, jednak siłą rzeczy w jego śledztwie sprawa Koschelli zejdzie teraz na drugi plan. Ty jesteś jedyną szansą wachmistrza...

– Mówisz to tak, jakbyś był pewny jego winy i jednocześnie miał nadzieję, że znajdę dla niego jakieś okoliczności łagodzące.

– Ty sądzisz inaczej? Koschella nie byłby zdolny do zabicia Rabego?

– Jak najbardziej byłby do tego zdolny – potwierdził Klein. – Jednak tylko wówczas, gdyby nie miał innego wyjścia.

Ludwig zamilkł. Rozwagał słowa Kleina.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Morderstwo na Rabem nie było zwykłym samosądem? Ktoś do tego Koschellę zmusił?

– Ktoś się nim wyręczył. Może ta sama osoba, która zajęła się Prumowem? Jak widzisz, wuju, błędnym jest założenie, że przy kolejnej ofierze odkrytej w Dusznikach sprawa Koschelli powinna zejść na drugi plan...

Ludwig opadł ciężko na oparcie krzesła i opróżnił szklankę. Machnął na kelnera, wskazując butelkę złotej kaczki.

– Kto? – zapytał. – Kto to robi? I dlaczego wciąż przebywa w Kłodzku? Przecież, na Boga, miał dość czasu, by stąd uciec! Tak wiele ryzykuje? Po co?

– I to, mój drogi wuju, jest kluczowe pytanie w tej sprawie. – Klein się uśmiechnął. Przejął od kelnera nową butelkę wody i wlał jej zawartość do szklanki Ludwiga. – Albo za bardzo jest zżyty z tym miastem i ma nadzieję, że nigdy jego tożsamości nie poznamy, albo... ma tu jeszcze coś do załatwienia i tylko kupuje sobie więcej czasu.

\*

Asystent policyjny Bausch przez długie godziny wiercił się na krześle przy swoim biurku, zanim doszedł do wniosku, że próby uporządkowania wszystkich spraw nie przynoszą żadnego skutku. Otworzył okno, by pozbyć się zaduchu panującego w gabinecie, ale i to nie pomogło. W końcu zdecydował się na spacer.

Bolała go głowa, miał zresztą wrażenie, że każde zakończenie nerwowe jego skóry uległo podrażnieniu. Był podirytowany i bliski wybuchu, wydawało mu się, że patrzy na świat przez grube przydymione szkło. Przez cały ten czas pod czaszką rozbrzmiewały mu słowa i urywki zdań z pamiętnika Sabine Hunfeld. Chwilami miał wrażenie, że odbywa się to bez jego udziału, jakby gdzieś w czaszce umieszczono mu aparaturę odtwarzającą przypadkowo ułożone monologi wyjęte ze wspomnień tej dziewczyny. Nad ranem był niemal pewny, że słyszy jej głos przedostający się z jakiegoś innego, niepojętego świata.

Wreszcie postanowił wyjść z kamienicy przy Schlosserstrasse. Wyminął bez słowa dozorcę zajętego zamiataniem chodnika i ruszył w stronę Glatzer Strasse. Tutaj zatrzymał się na chwilę, by popatrzeć na Maxa Neumanna stojącego przed swoim sklepem usytuowanym *vis-à-vis* kościoła katolickiego, po czym ruszył w kierunku rynku.

Kilku przechodniów uchyliło mu kapelusza, odpowiedział im bezwiednie skinieniem głowy. Każdy, nawet najdrobniejszy ruch szyją wydawał mu się torturą, jakby w potylicy umiejscowiła mu się

łowiana kula i tylko czekała, by zacząć siać spustoszenie we wnętrzu jego czaszki.

Przysiadł w rynku przy fontannie i zasłuchał się w szum wody tryskającej z ust wyrzeźbionych na cokole twarzy. Oblicza budziły niepokój i zarazem przypominały Bauschowi wizerunek słowiańskiego bóstwa z twarzami zwróconymi w cztery strony świata. Brak jednej z rzeźbionych masek wcale nie umniejszał tego wrażenia.

Okiennice hotelu Pod Czarnym Niedźwiedziem głośno szczęknęły, płosząc stado gołębi siedzących na balustradzie dachu. Drzwi narożnej kamienicy, w której mieściła się cukiernia, otworzyły się zachęcająco, Bausch miał jednak wrażenie, że przejście prowadzi wprost w ciemną otchłań, przelyk prastarego bóstwa. Wydało mu się, że oto odnalazł czwartą twarz Światowida i to ona teraz rozwarła się, zionąc w stronę przechodniów piwnicznym oddechem.

Zaśmiał się, ale śmiech jego był nerwowy i suchy, rwał się niczym sparciwały materiał.

Sabine Hunfeld. Może została pożarta przez kryjące się w tym mieście demony? Przetrwały niemal zapomniane przez świat, budziły się jednak, gdy ktoś taki jak ona czy Bausch dostrzegali je na granicy rzeczywistości i ułudy.

Asystent policyjny sięgnął dłonią w stronę fontanny. Woda była lodowato zimna. Nabral jej w dłoń i przetarł twarz i czoło. Powtórzył tę czynność kilka razy.

Chłód przeniknął szpileczkami gdzieś w głąb skóry i mięśni, zmroził pulsujący ból i zamknął go w lodowej okowicie. Klaus odetchnął głębiej po raz pierwszy tego dnia. Popatrzył na ramię, chciał podnieść się i wrócić do pracy, lecz coś wciąż trzymało go w miejscu.

Czas, który dał mu Mott, mijał, przeciekał między palcami zupełnie jak woda z fontanny. Klaus przestudiował pamiętnik, przeczytał go kilkakrotnie, próbował łączyć fakty, wydarzenia i osoby z życia Sabine. Wyrobił sobie całkiem jasny obraz jej relacji

rodzinnych i apodyktycznego ojca, który myślał jedynie o swoich interesach, pomnażaniu pieniędzy i ekspansji królestwa cygar. Wydało mu się, że zna jej matkę, zamkniętą w sobie, nieszczęśliwą kobietę, której świat toczył się jedynie wokół niej samej.

Sabine wydała mu się inteligentną, lecz zagubioną osobą. Była zbuntowana, a jednocześnie w buncie niekonsekwentna. To dziecko nie zaznało miłości w domu, choć bardzo jej potrzebowało. Sabine była bardzo samotna. Czy Bausch poczuł do niej sympatię dlatego, że wiedział, czym jest samotność? Czy gdyby los zdecydował inaczej i dane im było się spotkać, wyczuliby, jak bardzo są do siebie podobni?

Klaus odrzucił od siebie tę myśl. Skupił się na innej. Pieniądze. One odgrywały w życiu Hunfeldów największą rolę, wpływały na każdego członka rodziny, wsączając truciznę we wzajemne relacje. Bausch był pewny, że stały się przyczyną ich nieszczęść, także tego ostatniego.

Asystent policyjny po raz kolejny przetarł czoło i policzki wilgotną ręką. Otrzeźwiał, zupełnie jakby zmył z twarzy niewidzialną błonę, przez którą z trudem oddychał. Rozjaśniło mu się w głowie. Bastian Rabe i Prumow – obaj mogli stać za porwaniem Sabine. Rabe znalazł sposób na szybkie wzbogacenie się i skaptował pianistę, którego moralność oscylowała na poziomie dylematów karalucha. Wiktor dawał sobą sterować, Rabe ze swoją ponadprzeciętną inteligencją i wyrachowaniem mógł uczynić z niego marionetkę spełniającą rozkazy dla pieniędzy, a może i przyjemności. Czyżby to, że nalegał, by tamtego feralnego dnia Sabine pozostała w Dusznikach, oznaczało, że miał wobec niej własne plany? Pewny siebie i swojego uroku chciał wkupić się w łaski rodziny Hunfeldów.

Był jeszcze Thomas Zuber, przyjaciel Rabego z dzieciństwa. On też został omotany przez tego człowieka. Wspólnie zacisnęli się wokół Sabine. I wszyscy trzej już nie żyli. W sprawę wplątany był więc ktoś jeszcze.

Bausch przez cały czas miał wrażenie, że odpowiedź znajduje się na wyciągnięcie ręki. By ją odnaleźć, brakowało mu impulsu, słowa, skojarzenia.

Spojrzał na pamiętnik. Wydało mu się, że strony pod okładką puchną, starają się wydostać na zewnątrz, z siłą napierając na palce.

Wstrzymał oddech. Znow popatrzył na ratusz, a potem południowo-wschodni narożnik rynku. Poczłł ciarki na plecach, w jednej chwili mieszanka różnych emocji przyprawiła go o zawrót głowy. Wstał chwiejnie, jakby wciąż niezdecydowany, w którą stronę iść. Wyczuł na sobie wzrok starej kobiety, która rozłożyła się z kwiatami przy fontannie. Znał ją, dorabiała w tym miejscu od lat, sprzedając to, co była w stanie znaleźć w polu czy w lesie. Uniósł dłoń w uspokajającym geście i się uśmiechnął. Odpowiedziała uśmiechem i skinieniem głowy, on zaś ruszył w kierunku hotelu Pod Czarnym Niedźwiedziem. Z każdym krokiem przyspieszał, wydawało mu się, że zaraz uniesie się nad ziemią. Powstrzymał się, by nie biec.

Kilka chwil później znalazł się w recepcji i poprosił o możliwość skorzystania z telefonu. Gorączkowo szukał w książce adresowej berlińskiego numeru. Gdy go odnalazł, z trudem zapanował nad drżeniem dłoni, próbując wykręcić odpowiednie cyfry.

Był tak pochłonięty tą czynnością, że nie zauważył, że do hotelu wszedł pewien mężczyzna. Ten zwalisty osobnik towarzyszył policjantowi od dłuższego czasu. Teraz, gdy znalazł się przy recepcji, stał się świadkiem pierwszych słów, które asystent policyjny drżącym głosem wypowiadał do słuchawki. Widać zupełnie mu wystarczyły, bo po chwili okręcił się na pięcie i wyszedł z hotelu, jakby zawitał do budynku jedynie przez pomyłkę.

\*

– Wpuść Schulza, to na pewno on. – Paul Seipelt mówił z pełnymi ustami. Nie wstawał od stołu, jedynie wskazał drzwi. Asta nie dosłyszała nieśmiałego pukania Lothara, bo trudno było je usłyszeć.



Ten, wchodząc do mieszkania swojego policyjnego kolegi, zawsze tracił rozpęd. Toporny osiłek stawał się potulnym, zagubionym niedźwiedziem, który w towarzystwie żony Seipelta zapominał języka w gębie.

Paul zdawał sobie sprawę, skąd brała się ta przemiana. Widział, jak jego partner patrzy na Astę. Biedny Schulz myślał, że tego nie widać – tego zauroczenia, które zamieniało go w bezmyślną, śliniącą się kukłę.

Seipelt dobrze się bawił kosztem partnera, nawet nie przeszkadzało mu to smalić cholewek. Wiedział, że Asta nigdy nie spojrzałaby na Schulza w podobny sposób. Brzydziła się nim, denerwowała ją jego nieporadność i toporność. Był też pewny, że Lothar nigdy nie kombinowałby za jego plecami, a na pewno nie zdobyłby się na żaden nieostrożny krok czy wyznanie. Najpewniej wieczorami zabawiał się sam ze sobą, mając przed oczami rozchylone uda rudowłosej żony kolegi.

– Daj mu zupy...

Seipelt stał się tak hojny, bo wiedział, że Asta zaproponuje mu zaraz dokładkę, na którą nie miał ochoty. To, co teraz przeżuwał, ledwo przechodziło mu przez gardło. Ból w trzewiach nasilał się za każdym razem, gdy coś przełknął. Czuł już teraz, jak w jego bebeczach podsycą się ogień.

– Nie, dziękuję, nie jestem głodny...

Seipelt słuchał Schulza jednym uchem. Myślał o dochodzeniu, które prowadził, o Kleinie i Koschelli. Wszystko się popieprzyło już dawno temu, nie musiał być przed laty jasnowidzem, by wiedzieć, że kiedyś te wszystkie zaniedbania w sprawie Sabine odbiją się czkawką.

Przełknął większy kawałek gorącego ziemniaka. Miał wrażenie, że przepala sobie drogę do żołądka. Skrzywił się z bólu. Ani Schulz, ani Asta nie zwrócili na niego uwagi.

Przypatrzył się koledze i dostrzegł w nim jakąś przemianę. Gadał do Asty, otwierał tę parchatą gębę i próbował żartować. Rozbawił ją

nawet. Asta odruchowo poprawiła rude pukle, jakby go kokietowała. Widać było, że Schulz pochłania ją wzrokiem.

– Jak nie żresz, to poczekaj na dole, Lothar. Ruszaj dupę, zaraz do ciebie zejdę.

Asta odwróciła się do kuchni, знаła ten ton. Lothar nie oponował, pobladł, wstał od stołu i ruszył do drzwi. Pożegnał się.

Seipelt otarł usta rękawem, odsunął od siebie talerz.

– Co, zainteresowałaś się Schulzem? – wychrypiął, wstając od stołu. – Podoba ci się ten byczek? Jesteś ciekawa, co nosi w spodniach?

– Zgłupiałaś?

Wyczuł jej strach.

– Ma małego fiuta, zanim się wyszcza, próbuje go pół godziny znaleźć w portkach.

– Nie chcę tego słuchać, Paul!

Podszedł do niej, pchnął ją na stół.

– A może lubisz małe fiutki? – powiedział to, wyciągając pasek ze spodni.

– Nie rób tego. – Jej głos był płaczący, ale stała wyprostowana i dumna.

– Nie rób czego?

Seipelt przekrzywił głowę. Patrzył na żonę jak na wystraszone, zaszczute zwierzątko. Miał nad nią kompletną władzę. Ta myśl zawsze go podniecała.

– Będiesz... będziesz żałował.

Jej piersi unosiły się i opadały spazmatycznie. Zapewne Schulz nieraz sobie wyobrażał, jak uwalniają się spod sukienki. Wyobrażał sobie jej różowe sutki.

Paul wiedział, że Lothar stoi za drzwiami, słucha ich kłótni i walczy ze sobą. No wejdź tu, chujku, zachęcał go w myślach. Wejdź, to zrobię z ciebie krwawą miazgę.

Odrzucił pasek, popchnął brutalnie Astę na stół i podciągnął jej spódnice. Walczyła chwilę, ale poddała się, wiedziała, że nie ma

sensu stawiać oporu. Sama opuściła majtki i usiadła na blacie. To podnieciło go jeszcze bardziej.

– Jęcz! Chcę słyszeć, jak ci jest dobrze! – wyszeptał, rozchylając jej uda i wdzierając się w nią nabrzmiętym członkiem.

Jednocześnie znów przywoływał w myślach Schulza. Wejdz, Lothar, zobacz tę scenę. Będziesz miał powód, by w nocy walić konia.

Ogień z trzewi przedostał się do krwiobiegu. Seipelt miał wrażenie, że w żyłach krąży mu płynna magma. Asta zadrżała, przygryzała wargi, starając się nie wydobyć najmniejszego dźwięku. Wyrzut nasienia był bolesny, nie sprawił mu ulgi, jakiej się spodziewał.

– Nigdy. Nigdy już nikt ci tak dobrze nie zrobi, nawet Schulz... – wychrypiał Seipelt, odsuwając się od żony.

Nie wiedział, dlaczego to powiedział. Zobaczył w jej oczach nieme pytanie. Jego jedyną odpowiedzią było podciągnięcie spodni i podniesienie z podłogi paska.

– Nikt, nigdy – powtórzył już do siebie.

Zatoczył się w kierunku drzwi i szarpnął za klamkę. Znalazł się na korytarzu. Schulza nigdzie nie było.

Seipelt zbiegł, wyszedł na chodnik, a potem przeciął Schwedeldorfer Strasse. Wkroczył do sklepu Augusta Schimmela, słynącego w hrabstwie z wyrobów koszykarskich. Miejsce przy witrynie stanowiło dobry punkt obserwacyjny.

Tak jak się spodziewał, Schulz wyszedł na zewnątrz po kilku minutach. Rozejrzał się w poszukiwaniu Seipelta, potem stanął na ulicy i popatrzył w okna na poddaszu. Zapewne miał nadzieję dostrzec w nich Astę.

Paul poczekał, aż wachmistrz ruszy w stronę ratusza, po czym opuścił sklep i także spojrzął w okna swojego mieszkania. Przez chwilę chciał tam wrócić, odczuwał ogromną potrzebę rozmowy z Astą, słuchania jej głosu. Chciał się kajać, szeptać jej te słowa, które

zawsze działały i potrafiły wszystko naprawić. Nie zrobił tego jednak.

Znów popatrzył za Schulzem. Dlaczego przed chwilą zareagował tak brutalnie? Wiedział przecież, że ten osiłek nie może się z nim równać, że jest odeń gorszy w każdym aspekcie. W prawie każdym... Lothar w przeciwieństwie do niego nigdy nie podniósłby na Astę ręki. Chyba dlatego zrezygnował z wciągnięcia go w swój plan.

– Szlag... – Paul Seipelt oparł się dłonią o ścianę, ostre pieczenie w trzewiach niemal zgięło go wpół. Musiał się skoncentrować na zadaniu, miał jeszcze czas, by rozegrać wszystko po swojemu. Dziś Richter kazał mu się zawieźć do Dusznik. Po tym wypadku odwiedzi kilka adresów, przypomni parę spraw właściwym ludziom i zaproponuje swoje milczenie za gotówkę. Zacznie od płotek, a skończy na grubej rybie. Sprawę Sabine Hunfeld mógł wreszcie obrócić na swoją korzyść. Plan, który rodził się w jego głowie, miał jednak kilka słabych punktów i jednym z nich niewątpliwie był kapitan Wilhelm Klein. Ale Paulowi Seipeltowi nie zostało już nic do stracenia. Po tym, co zrobił, nie było odwrotu.

\*

Strażnik więzienny Leon Czosek miał jeszcze dwie godziny do zakończenia służby. Był zmęczony, zapewne za sprawą towarzyszącego mu nieustannie napięcia. Pilnował się na każdym kroku, wiedział, że wciąż podlega ocenie nie tylko naczelnika więzienia, ale przede wszystkim innych strażników. Stanowili zgrany zespół, przy tym dosyć hermetyczny.

Czosek miał świadomość, że dowiódł swojej lojalności i bezkompromisowości w czasie akcji z wachmistrzem Koschellą. Wreszcie koledzy przestali ściszać głos, gdy pojawiał się w ich towarzystwie, powoli odsłaniały się przed nim tajniki służby więziennej. Poznawał zupełnie obcy świat, który zarówno fascynował go, jak i przyprawiał o dreszcze.

Zbyt dużo działo się naraz, wydarzenia następowały zbyt szybko po sobie. Owo towarzyszące mu nieustannie zmęczenie było przede wszystkim zmęczeniem psychicznym. Bolał go kark, odczuwał klucie w szyi, gdy próbował odwracać głowę. Miał nadzieję, że wkrótce będzie w stanie się rozluźnić, nie wyobrażał sobie, by takie napięcie miało mu towarzyszyć przez kolejne lata pracy w służbie więziennej.

Było coś jeszcze. Coś niemal nieuchwytnego, co gnieździło się gdzieś w środku. Nie potrafił określić niepokoju, który mu towarzyszył, nie był też w stanie zdiagnozować jego przyczyny. To psuło mu humor i nie pozwalało cieszyć się niewątpliwym postępem w relacjach z kolegami.

– Młody, pójdiesz ze mną po Koschellę. Pielęgniarka zmieniła mu opatrunek, chyba już siedzi u siebie w celi. Mamy go przetransportować do kaznodziei.

– Chce się pomodlić?

Pytanie musiało być naiwne, bo w wartowni zapanowała wesołość. Kilku strażników spojrzało na siebie znacząco. Czosek zaczerwienił się, pożałował, że wyrwał się z pytaniem. Stracił czujność.

– Nie sądzę, żeby Koschella padł krzyżem w kaplicy. – Wachmistrz Stempel poprawił mundur i pas. Przywołał do siebie Czoska. – A prawdę mówiąc, powinien. Ten skurwysyn ma za dużo za uszami i zbyt wielu wrogów tutaj. Jeśli się nie ułoży dzisiaj z chłopakami, to mu nie wróżę, że dożyje przyszłego tygodnia...

Znów gardłowe śmiechy. Przynajmniej uwaga skoncentrowała się na wachmistrzu Stempelu, a nie na Leonie.

– Idziemy, młody.

Znaleźli się na korytarzu. Pachniało farbą, naczelnik zarządził na wiosnę odnowienie górnego piętra. Czosek lubił zapach farby olejnej, działała na niego niczym sole trzeźwiące.

– Młody, muszę przyznać, że dajesz radę. Rozmawialiśmy z chłopakami o tobie. Wydajesz się równy gość. Pamiętaj, lojalność

jest najważniejsza. Tu każdy może liczyć na każdego. Jeśli ktoś się wyłamuje... zostaje sam jak palec. Coś jak wachmistrz Koschella.

Leon skinął głową. Miał na tyle rozsądku, by nie komentować tych słów.

Znaleźli się przy celi więźnia. Stempel otworzył drzwi i przywołał do siebie Koschellę. Twarz wachmistrza wyglądała fatalnie. Już wcześniej miał duże limo pod okiem, teraz doszła do tego opuchlizna na kości policzkowej. Czosek wiedział, że do tej ostatniej kontuzji aresztanta sam się przyczynił. W tym samym momencie zdał sobie sprawę, co jest przyczyną niepokoju, który odczuwał. Określił jego źródło i ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że to uczucie jest niczym innym jak wstydem.

Koschella nie spojrział na strażników nawet przelotnie. Najprawdopodobniej spodziewał się tej wizyty, bo szybko wstał z łóżka i stanął pośrodku celi. Stempel podszedł do niego i obszukał, po chwili wyprowadzili wachmistrza na korytarz.

Ruszyli do skrzydła C. Leona znów ogarnął niepokój. Coś się zmieniło, dezorientujące uczucie stawało się nie do zniesienia.

Szedł za Koschellą, wpatrywał się w jego szerokie plecy. Cisza dzwoniła mu w uszach.

Cisza. To była ta zmiana. Wcześniej ilekroć wyprowadzali wachmistrza, słyszał zza drzwi celi i izolatek okrzyki i złorzeczenia kierowane w jego stronę. Tym razem nie dochodził do niego nawet najmniejszy szmer. Więzienie wydawało się wymarłe, ta grobowa cisza przyprawiała o ciarki.

Skęcili w lewo przy końcu korytarza. W skrzydle C mieściły się cztery izolatki, klatka schodowa i pokój kapłana. A także sala modlitewna, do której Czosek zajrzał do tej pory tylko raz, z ciekawości.

Przy wejściu do sali wachmistrz Stempel zatrzymał się, obrzucił spojrzeniem Koschellę, a potem wskazał mu drzwi. Leon patrzył na to ze zdumieniem. Chciał podążyć za policjantem do wnętrza kaplicy, ale kolega powstrzymał go zdecydowanym ruchem ręki.

Zdążył zobaczyć rzędy ławek, a na tle okna kontur wysokiego mężczyzny najwyraźniej czekającego na Koschellę.

W pierwszej chwili Czosek pomyślał, że w sali modlitewnej czeka na policjanta kapłan, jednak uniform, który miał na sobie mężczyzna, świadczył o czymś zupełnie innym. W tej chwili informacja, którą usłyszał w wartowni – że Koschella musi się ułożyć z chłopakami – nabierała innego znaczenia. Franz Koschella musiał się ułożyć z jednym człowiekiem, tym, który miał największy posłuch w więzieniu i nie był wcale naczelnikiem tego przybytku.

– Czekamy na korytarzu, młody.

Czosek musiał mieć głupią minę. Wachmistrz Stempel mrugnął do niego i wskazał drzwi. Wyszli. Leon przez szparę dojrzał, jak mężczyzna stojący przy oknie odwrócił się do Koschelli, który zatrzymał się pomiędzy ławkami. Młody wachmistrz był pewny, że dostrzegł w sali modlitewnej jeszcze dwóch innych ludzi. Wcześniej stali pod ścianą niczym dwie topornie ociosane kolumny, teraz ożyli, jakby ktoś tchnął w nich życie. Wielkie jak bochny łapy zaczęły obszukiwać Koschellę, który przy tych olbrzymach wyglądał niczym kukielka.

– Coś taki blady? – Wachmistrz zaśmiał się, spoglądając kpiąco na młodszego kolegę. Z hukiem domknął drzwi.

– Nie będziemy mieć kłopotów, jak coś się stanie?

– A co się ma stać? – Stempel oparł się ramieniem o ścianę i ziewnął, odsłaniając braki w uzębieniu. – Tutaj tego drania nie tkną. Nawet najgorsze skurwiele mają zasady...

Czosek skinął głową, popatrzył w stronę sali modlitewnej. Mógł się domyślić, że w więzieniach to jedyne miejsce, w którym nie dopuszczano się agresji wobec współwięźniów. Większość z osadzonych nie miała skrupułów, by okraść matkę czy zabić brata, ale modlili się gorliwie, jakby byli ostoją wszelakich cnót.

– Co tam robią?

Stempel popatrzył uważnie na młodego wachmistrza, rozważał powód, dla którego ten zadał to pytanie. Uznawszy, że może

zaspokoić ciekawość kolegi, odparł mentorskim tonem:

– Koschella negocjuje swoją przyszłość. Wydawało mi się, że prosi się o guza, trafił tu na własne życzenie. Ale im dłużej o tym myślę, tym bardziej muszę przyznać, że ten skurczybyk nie jest głupi. Zna swoją sytuację, nie wywinie się od wyroku. I tak trafiłby wtedy tutaj albo, co gorsza, do jakiegoś innego pierdła. W takim Wrocławiu nie przetrwałby nawet dnia, jeszcze przed osadzeniem wiedzieliby, że był mundurowym. Jakby go dorwali, nie zostałyby po nim nawet ochłap. Tutaj może mu się wydawać, że będzie miał większe szanse i wpasuje się w jakiś układ. Jeśli chcesz znać moje zdanie... ni chuja. Liczy na łut szczęścia i srogo się zawiedzie.

Leon skinął głową, jakby w uznaniu dla mądrości starszego kolegi. Takiego mniej więcej scenariusza sam się spodziewał.

W tym momencie drzwi od sali modlitw otworzyły się i na korytarzu pojawiło się dwóch olbrzymów. Zamknęli za sobą drzwi i stanęli pod ścianą naprzeciw strażników.

Zapanowało krępujące milczenie. Czosek spojrzął na starszego wachmistrza. Ten minę miał niewyraźną. Chyba wtedy Leonowi przyszło na myśl, że Stempel nie docenił Koschelli. Pomyślał, że tego człowieka nie tak łatwo złamać i nic, co robi, nie jest dziełem przypadku, a już na pewno nie liczy na łut szczęścia.

\*

– Chciałeś ze mną rozmawiać, Koschella...

Koschella w milczeniu przypatrywał się potężnemu mężczyźnie. Armand miał nie więcej niż trzydzieści lat. Połowę życia spędził w więzieniu. Na koncie zapisano mu kilkanaście wyroków. Był, zdaje się, niechlubnym rekordzistą w hrabstwie. Koschella zastanawiał się, czy Armand jest tak tępy, że dawał się złapać, czy też traktuje więzienie jako swój drugi dom.

Intuicja podpowiadała Franzowi, że stojący przed nim przestępca wcale tępy nie jest, a powód ostatniego osadzenia teraz wydał mu się jasny jak słońce: Armand tylko tutaj, w swoim królestwie, mógł



zapewnić sobie bezpieczeństwo. Nawet on czegoś się bał – a właściwie kogoś...

– Zdaje się, że tracę czas – powiedział Armand. – Obaj wiemy, że to nasza pierwsza i najprawdopodobniej ostatnia rozmowa. Milczeniem nie kupi pan sobie zbyt dużo czasu...

– Nie kupuję go tylko sobie.

– A komu jeszcze? – Armand uśmiechnął się, ale widać było, że pozostał czujny. Przesunął prawą stopę do tyłu i nieco ugiął kolana. Koschella z uznaniem pomyślał o jego formie. Pod więziennym uniformem odznaczało się sprężyste, pozbawione tłuszczu ciało. Gdyby stanęli naprzeciw siebie z gołymi pięściami, Koschella nie miałby w tej konfrontacji najmniejszych szans.

– Tobie – odpowiedział krótko. – Twój były przyjaciel, Bastian Rabe, już dawno wydał na ciebie wyrok.

Przestępca się zaśmiał. Przechylił głowę, odsłaniając tatuaż, kolczasty drut owinięty wokół szyi. Koschella zauważył, że barwnik wnikał po obu stronach szerokiej szramy, zapewne powstałej po zranieniu nożem.

– Jesteś aż nazbyt uprzejmy, ostrzegając mnie w ten sposób. Nie zapominaj, że to ja jestem tutaj władcą czasu. Czasu i ludzi. To ja decyduję, kiedy idą srać, kiedy będą żreć i spać. Nie pierdną bez mojego pozwolenia, a jeśli uznam, że ktoś jest tu zbędny, to się go pozbywam...

– Coś o tym wiem. – Koschella dotknął bolącego boku, wsunął dłoń pod koszulę. – Chociaż mnie tak łatwo nie można się pozbyć, a pierdę, kiedy mam ochotę.

Armand skinął głową.

– Przyznaję, Koschella, nie doceniłem cię. Wysłałem dwóch zbyt pewnych siebie tępaków. To już się nie powtórzy.

W oczach przestępcy Franz dostrzegł błysk, który kogoś innego mógłby zmrozić.

– To prawda, to już się nie powtórzy – Koschella wytrzymał spojrzenie stalowych oczu – przynajmniej do czasu, aż zadam ci

jedno pytanie.

– Jedno pytanie? – Armand uniósł brwi. – Fatygowałeś mnie, żeby zadać mi jedno pytanie?

– Nie inaczej. – Koschella skrzywił się, mocniej przycisnął dłoń do bolącego boku. Poprawił bandaż i odetchnął głośniej, jakby z ulgą. – Jak to zrobiłeś?

– Niby co? – Armand zamrugał. Patrzył na Koschellę z coraz większym osłupieniem, jakby miał do czynienia z obłąkanym.

– W jaki sposób byłeś w dwóch miejscach jednocześnie, wtedy, w lutym tysiąc dziewięćset szesnastego roku? W areszcie i tam, w Zieleńcu, gdy porwałeś Sabine Hunfeld? A może rozegrałeś to inaczej? Chyba tak, skoro Rabe robi wszystko, żeby cię dorwać i ukarać za nielojalność.

– Jesteś wariatem, Koschella. – Armand pokręcił głową, szczerząc zęby. – Sam się prosisz o wyrok. Zakończyliśmy rozmowę.

Koschella patrzył, jak olbrzym rusza w stronę drzwi. Wyciągnął dłoń spod koszuli i się wyprostował. Nie tylko dwóch zbyt pewnych tępaków popełniło błąd, nie doceniając go. Wystarczyło kilka szybkich kroków, by znaleźć się za plecami Armanda. Mężczyzna był czujny, odchylił się, balans ciała miał mu pomóc wyprowadzić cios na szczękę Koschelli, ale zaciśnięta dłoń pozostała w bezruchu.

Armand stał naprzeciw Franza z szeroko otwartymi ustami. Jego grdyka znieruchomiała, gdy wyczuł na niej ostrze noża.

\*

Czosek widział coraz większe zniecierpliwienie osiłków. Popatrywali na siebie spode łba. Z każdą upływającą minutą tracili pewność siebie. Wachmistrz Stempel także zdawał się pobudzony. Pół godziny – Leon był pewny, że co najmniej tyle przebywają w sali modlitw Armand i Koschella. Zaczynał się zastanawiać, czy właśnie dziś po raz pierwszy nie została złamana zasada mówiąca o neutralności tego miejsca. Oczami wyobraźni widział, jak drzwi się otwierają,

ukazując leżące pomiędzy ławkami zmasakrowane ciało. Wyobraźni Czoska nie starczyło na tyle, by zwizualizować twarz trupa.

Klamka poruszyła się, drzwi stanęły otworem. Leon zmrużył oczy odruchowo, patrząc pomiędzy rzędy ław. Zaraz jednak podniósł wzrok na wychodzącą postać. Armand wydawał mu się trupio blady. Bez słowa przekroczył próg i ruszył korytarzem do swojego bloku. Osiłki popatrzyły na siebie i wciąż osłupiałe ruszyły za szefem.

Wachmistrz Stempel zajrzał niepewnie do środka, zaraz się wycofał i zwrócił do Czoska:

– Pozamiatane. Wyrok zapadł, Koschella za wiele nie wynegocjował. To chodzący trup, jutro będzie po nim – zarechotał. – Zajmij się nim, ja odprowadzę tamtych na miejsce.

Leon skinął niepewnie głową. Przekroczył próg i wszedł do salki. Wachmistrz siedział na jednej z ław plecami do niego. Poprawiał bandaż wokół żeber. Czošek stanął naprzeciw więźnia i zlustrował go od stóp do głów. Zastanawiał się, co tak naprawdę wydarzyło się w tym miejscu. W przeciwieństwie do Armanda, który wyglądał, jakby zobaczył ducha, Koschella prezentował się kwitnąco. Leon kazał mu wstać. Gdy osadzony wykonał polecenie, ruszyli do bloku więziennego.

Młody wachmistrz zastanawiał się usilnie, jak przebiegły negocjacje. Nie wyglądało jednak na to, by Koschella robił sobie coś z wyroku, który podobno wydał na niego Armand. To ten drugi zachowywał się tak, jakby jego dni były policzone.

\*

Podjęła decyzję. Musiała ją podjąć dla Haima i siebie. Odzyskała energię i zapał, wierzyła, że będzie w stanie zacząć wszystko od nowa.

Naraz zdała sobie sprawę, że chłopiec odłożył książkę i przypatruje się jej od dłuższego czasu. Być może zauważył w niej tę przemianę. Uśmiechał się, gdy paliła w piecu i stawiała na nim garnek. Ugotowała zupę, po raz pierwszy od dawna, taką, jak uczyła

ją matka. W delikatesach Drosdatiusa przy Grüne Strasse kupiła nawet kawałek ładnego mięsa z kością. Zapach dochodzący z garnka przyprawiał o zawrót głowy.

– Ładnie wyglądasz, mammo.

Zarumieniła się. Odgarnęła kosmyk opadający na oczy. Miała zaczerwienione policzki i spocone czoło. Na pewno nie wyglądała teraz jak gwiazda filmowa, ale chyba nie o tego rodzaju pięknie myślał jej syn.

– Zaraz zjemy, umyj ręce...

Powiedziała to po to, by nie dostrzegł jej zmieszania. Do oczu napłynęły jej łzy, odetchnęła głęboko i posmakowała zupy. Zabrakło trochę soli, ale i tak wywar był nieziemsko mocny, prawie taki jak ten matki.

Haim szybko się uwinął. Zbyt szybko, kazała mu więc domyc dłonie. Skrzywił się, ale wykonał polecenie.

Nalała zupę do dwóch wyszczerbionych talerzy i przeniosła na chybotliwy stół. Po chwili oboje jedli z apetytem. Patrzyła w milczeniu na syna, który siorbał i mlaskał, i nie potrafiła ukryć uśmiechu. Po chwili oboje zaczęli wydawać podobne dźwięki, zaśmiewając się przy tym do łez.

Pukanie do drzwi było natarczywe. Czoło Haima pokryła chmura, ten cień przeniknął izbę i wszystkie sprzęty. Magdzie ścisnął się żołądek. Odłożyła łyżkę, dotknęła uspokajająco ramienia syna i wstała ciężko od stołu. Gdy naciskała klamkę, serce biło jej jak oszalałe.

Chłopak, kilkunastoletni wyrostek w przykrótkich spodniach i przekrzywioną zawadiacko czapką z daszkiem. Wyciągnął dłoń w jej stronę. Przejmując karteczkę, ze zdumieniem zanotowała, że Haim w porównaniu z tym obdartusem ma niebiańsko czyste ręce.

Przejęła skrawek papieru i wcisnęła w kieszeń fartucha, głęboko, jakby nie chciała, by kiedykolwiek się odnalazł.

Zamknęła drzwi i wróciła do stołu. Sięgnęła po łyżkę i zaczęła jeść. Haim, wydawało się, stracił apetyt.

– No coś ty – powiedziała. – Ja myślałam, że poprosisz o dokładkę. Nie smakuje ci? Zupa jak ambrozja!

Siorbnęła rosółu i głośno cmoknęła. Haim zaśmiał się, nie wiedziała, czy z odgłosu, który wydała, czy ze słowa, które posłyszała, gdy czytał o jakichś greckich bogach.

Znów zaczął jeść. Cień wycofał się z kuchni, a w zasadzie skrył w jednym miejscu: głęboko w kieszeni fartucha, obok kartki, na której napisany był jedynie adres – nazwa ulicy i numer domu. To właśnie tam miała się pojawić dziś wieczorem.

\*

– Kilkukrotnie próbował skontaktować się z panem jakiś dżentelmen, panie Klein. Dzwonił z Dusznik.

Wilhelm podszedł do lady przywołany przez recepcjonistę uprzejmym uniesieniem dłoni. Starzec wyjął z przegródki z numerem pokoju kopertę i podał ją kapitanowi.

– Proszę wybaczyć, ale nie chciał się przedstawić. Przy kolejnej próbie poprosiłem, by zostawił panu wiadomość, którą też natychmiast zapisałem.

– Dziękuję. – Klein przejął kopertę, otworzył ją od razu.

Recepcjonista powrócił do wertowania księgi gości, Klein tymczasem spojrzął na zapisane pochyłym pismem zdanie.

– Panie Krupski?

Starzec spojrzął na kapitana i uśmiechnął się, zgadując, czego oczekuje od niego gość.

– Odjazd za dwadzieścia minut, panie kapitanie – oznajmił. – O tej porze najlepiej pociągiem.

Klein skinął głową w podziękowaniu. Nałożył kapelusz i ruszył do wyjścia z hotelu. Przy zapisanym zdaniu widniały inicjały K.B. Prośba o przyjazd do Dusznik wskazywała, że nadawcą tej wiadomości był asystent policyjny Bausch. Klein nie miał wątpliwości, że powód tej prośby jest ważny. Do odjazdu

pozostawało jednak sporo czasu i zamierzał go dobrze wykorzystać. Miał do załatwienia jeszcze jedną sprawę.

\*

Klein przeciął rynek od południowej strony. Przystanął na kilka chwil przy kolumnie maryjnej, by się upewnić, że nikt za nim nie podąża. Wydawało się, że Seipelt przynajmniej na razie mu odpuścił. Promienie słońca oświetlające pierzeje rynku nabrały delikatnej, złotej barwy. Wystarczyło jednak wejść w wąską Böhmische Strasse, by cień wysokich kamienic wyssał z otoczenia całe światło.

Tę ulicę Klein zdążył już poznać. Odróżniała się znacząco od innych w Kłodzku. Był to najstarszy trakt w mieście położony u stóp Góry Fortecznej i wydawało się, że rządził się swoimi prawami. Miał własny rytm dnia, który od wieków pozostawał niezmienny. Rano kamienice budziły się do życia wraz z właścicielami sklepików i punktów usługowych. Powietrze włączano w arterię uliczki wraz z otwarciem drzwi piekarni i warsztatów, jakby Böhmische Strasse brała głęboki oddech po dusznej nocy pełnej kloacznych wyziewów. Wózki z towarami terkotały na granitowej kostce. Z otwartych składzików dochodziły odgłosy piłowania, stukania i pukania. Rozchodził się gwar rozmów i przekomarzań. Tupot butów dzieciarni, rumor beczek wystawianych na ulicę, mieszanina zapachów, które początkowo nieśmiało rozchodziły się od okien, brały w posiadanie zaułki i boczne uliczki.

Teraz właśnie zaczął się kolejny oddech. Wraz z nim na rynek i Böhmische Strasse zdążyła ciżba, ludzie spieszyli do pracy i za sprawunkami. W tę przestrzeń wąskiej ulicy zanurzali się także przybysze z innych rejonów Kłodzka, zwabieni rozprzestrzeniającymi się woniami. Wraz z pierwszym krokiem postawionym na linii brukowanej drogi czas zwalniał, zatrzymywał się, a może nawet wręcz cofał. Przychodziło się tu w konkretnym celu, bo ulica ta była przeciwieństwem tych reprezentacyjnych,

pełnych modnych domów handlowych, restauracji i kawiarni. Przychodziło się do Gallwitza, by naprawić buty, do Paula Franckego, by zreperować stół czy krzesło. Niektórzy zmierzali wprost do sklepu z akcesoriami medycznymi lub po najlepszą kawę w mieście, do sklepu kolonialnego Josepha Gottschalka. Późnym popołudniem Böhmische Strasse zwężała się jeszcze bardziej, gdy wyroby wiklinowe ze sklepu narożnego z Domgasse, rozstawione od szczytu po wylot ulicy, zagarniały przestrzeń dla siebie.

Klein wymijał wózki z towarem, skrzynie, pakunki oraz liczne wystawki. Przeciskał się wśród ludzi, którzy szli noga za nogą i okupowali wejścia do sklepów.

Kolejny wdech. Cień ogarnął ściany kamienic, słońce powędrowało gdzieś poza dachy. Klein został wciągnięty w głąb ulicy, przez chwilę wydawało mu się, że utknie tu na zawsze. Wreszcie odbił w bok, w kierunku schodów i podcieni.

Drobinki kurzu zawirowały w powietrzu, gdy zamykał za sobą bramę. Odgłosy budynku otoczyły go ze wszystkich stron. Dobiegły do niego skrzypnięcie drzwi i kaszel suchotnika.

Znalazł się na pierwszym piętrze, potem drugim. Zatrzymał się w tej wędrownicy, gdy dobiegł go śmiech dziecka. Popatrzył w bok na odrapane drzwi z plamą białej farby. Podszedł do nich i nacisnął kłamkę.

Nowe mieszkanie Koschelli. Wciąż czekające na lepsze czasy i powrót właściciela. Klein wsunął się do środka.

W przedsionku przejechał dłonią po ścianie. Ktoś nieudolnie przykrywał zaprawą ubytki. Więcej materiału wylądowało na podłodze niż w miejscu przeznaczenia.

W pokoju nie było lepiej. Klein odniósł wrażenie, że rozmazano tu farbę, zupełnie jakby fachowiec zapomniał o użyciu pędzla. Żeby uzyskać taki efekt, równie dobrze można było wyrzygać na owe ściany owsiankę.

W rogu izby leżało kilka gazet, nikt jednak nie miał zamiaru używać ich do zabezpieczenia okien czy podłóg. Klein podszedł do

sterty i ją przejrzał. Dzienniki sprzed tygodnia, obok wygodny fotel, w którym ktoś przesiadywał całymi dniami, racząc się lekturą. Próby malowania były raczej podejmowane nie tyle z obowiązku, ile z nudów.

Kapitan wycofał się z mieszkania i ruszył w górę, w stronę poddasza. Przystanął przy drzwiach izby Koschellów. Zawahał się. Wydało mu się, że słyszy skrzypienie krzesła przy kuchennym stole. Wyczuwał obecność Barbary. Czy miał jej jednak coś do powiedzenia? Czy to był ten moment, w którym miał zadać jej to pytanie?

Nie, było na to za wcześnie.

Klein zbiegł po schodach i po chwili znów znalazł się na Böhmische Strasse. Szybkim krokiem ruszył w kierunku hotelu. Przy Banku Rzeszy na chwilę się zatrzymał. Część chodnika przy gmachu była odgradzona. Zdjęto płyty chodnikowe, a w ziemi ziała głęboka dziura. Od dłuższej chwili czuł mrowienie na karku, a to był niewątpliwy sygnał, że ktoś go obserwuje.

Miał rację. Znów przyczepili mu ogon. Był jednak pewny, że tym razem śledzący go człowiek nie został wysłany przez wachmistrza Seipelta.

Klein wyciągnął zegarek z kieszeni i sprawdził godzinę. Usilnie rozważał, co powinien zrobić. Kusiło go, by sprawdzić, kto za nim podąża, mimo to zdecydował się odłożyć konfrontację na później. Klaus Bausch. Nie mógł zignorować jego prośby, był pewny, że asystent policyjny wpadł na jakiś trop. Mogło się okazać, że to ten element układanki, którego Kleinowi brakuje, by złożyć całą tę sprawę do kupy.

Popatrzył na imponujący budynek Banku Rzeszy. Coś jeszcze nie dawało mu spokoju, nie był jednak w stanie sprecyzować swojego przeczucia. W końcu ruszył w stronę dworca.

\*



Bausch przeciął ulicę i znalazł się na podwórzu swojego domu. Z trudem łapał oddech, wbiegając na drugie piętro. Gdy tylko wszedł do mieszkania, zamknął za sobą drzwi na klucz, jakby w ten sposób mógł się odgrodzić od całego świata.

Spanikował. Porwał się na coś, na co nie powinien. Przecenił swoje siły. Miał nadzieję, że Wilhelm Klein odbierze wiadomość. Był absolutnie pewny, że z nikim innym nie może się podzielić informacjami, które udało mu się zdobyć. Tak naprawdę wciąż nie był w stanie pojąć implikacji swojego odkrycia.

Początkowo chciał poinformować o wszystkim komisarza Motta, jednak pojawił się naprzeciw komisariatu w momencie, w którym pod gmach podjechał automobil kłodzkiej policji. Bausch zdążył ustawić się za słupem ogłoszeniowym, gdy z pojazdu wysiadł komisarz Heinrich Richter i towarzyszący mu wachmistrz Paul Seipelt.

Wtedy właśnie po raz pierwszy adrenalina się ulotniła, a on znalazł się w jakimś parszywym paranoicznym dołku. Ugięły się pod nim kolana, a zwieracze niemal puściły. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było wbiegnięcie do restauracji i skorzystanie z toalety, drugą – telefon do Hotelu Dworcowego i próba kontaktu z kapitanem Wilhelmem Kleinem. W restauracji Bausch spędził dłuższą chwilę. Z jej okien miał dobry widok na komisariat, a co ważniejsze, zaledwie kilka kroków do klopa. Rozwolnienie wciąż nie dawało mu spokoju.

W końcu Bausch stracił nadzieję na złapanie Kleina i zdecydował się skorzystać z rady recepcjonisty dworcowego, by zostawić kapitanowi wiadomość. W tym momencie nie wiedział już, co ze sobą począć. Widział Paula Seipelta, który po jakimś czasie opuścił komisariat i stanął przy swoim samochodzie. Wydawało się, że podejrzanie często zerka w stronę restauracji, w której przesiadywał Bausch. Zerkał też w okna komisariatu, jakby się zastanawiał, czy ma wystarczająco dużo czasu na piwo.

Gdy asystentowi wydało się, że wachmistrz w końcu zdecydował się zajrzeć do lokalu, poderwał się z krzesła, rzucił banknot na stół i pobiegł na zaplecze.

Zanim opuścił restaurację tylnym wejściem, zdążył zobaczyć, jak wachmistrz podchodzi do jego stolika. Poczował, że robi mu się gorąco. Był pewny, że Seipelt dostrzegł go wcześniej przez okno, a teraz się upewniał, że asystent rzeczywiście tu był. Szukał go...

Bausch działał jak w malignie. Wydostawszy się z restauracji tylnym wyjściem i nie oglądając się za siebie, ruszył do domu.

Teraz siedział przy stole w salonie. Ocierał drżącą ręką pot z czoła. Nie myślał nawet o zrzuconiu marynarki, chociaż miał wrażenie, że topi się pod nieprzepuszczającym powietrza materiałem. Przymknął oczy i policzył do dziesięciu.

Starał się za wszelką cenę uspokoić. Uległ panice, przestał myśleć racjonalnie. Na pewno? Czy rzeczywiście ktoś mu zagrażał?

Odsunął krzesło i oparł czoło na blacie stołu. Zaśmiał się, ale śmiech zabrzmiał upiornie, jakby zaskrzeczał człowiek niespełna rozumu.

Co on sobie wyobrażał? Wdepnął w gówno po uszy. Chorobliwa ambicja niejednego zgubiła.

Bausch sięgnął do kieszeni płaszcza. Wyczuł pod materiałem twardą okładkę pamiętnika. Wyciągnął go, wyprostował się i położył na stole. Delikatnie otworzył go i nachylił się, wciągając w nozdrza ledwie wyczuwalny zapach perfum. Wyobrażał sobie, że tak właśnie pachniała Sabine. Przyglądał stroną dłonią i przeczytał kilka zdań. Za każdym razem, gdy to robił, miał wrażenie, że dziewczyna zagląda gdzieś w głąb jego duszy. Odczuwał niezrozumiały żal, że nie spotkał jej wcześniej i że nie spotka już nigdy.

Studiował jej drobne, pochyle pismo, literkę „r” z niespotykanym zawijasem. Bastian Rabe... interesowała się nim, zupełnie jakby coś przeczuwała, jakby chciała poznać swojego wroga. Wiktor Prumow, kochanek dziewczyny, opowiedział jej o nim dużo, z jego relacji jasno wynikało, że nie darzy Rabego sympatią. Niechęć brała się

zapewne stąd, że łączyły ich różne sprawy, a w tej relacji nauczyciel gry odgrywał poślednią rolę, na czym cierpiała jego ambicja. Ojciec Prumowa – czy Sabine odkryła, kim był?

Młody policjant przewertował pamiętnik jeszcze raz, kartka po kartce. Drgnął, gdy na niezapisanej części notatnika znalazł grubszą stronę. Zbadał ją palcami, odszukał brzegi. Poczuł, jak na czoło występuje mu pot. Dwie strony były sklezione, wcześniej nie zwrócił na to uwagi. Ostrożnie spróbował je rozdzielić. Po chwili przeczytał skreślone niestarannie litery. Te zdania Sabine musiała zapisać w pośpiechu, zapewne tuż przed wyjazdem do Zieleńca. Bausch wahał się, w pierwszym odruchu chciał wyrwać stronę i ją ukryć. Zrobił jednak coś innego. Poślinił brzegi kartek i je złożył. Był pewny, że ten zabieg pozwoli mu znów skleić cieniutki papier.

Stukot za drzwiami. Bausch odwrócił głowę w kierunku korytarza. Zamarł. Wydało mu się, że coś usłyszał. Tkwił w bezruchu, wstrzymując oddech i nasłuchując. Nie było to łatwe, bo krew huczała mu w uszach.

Chciał powrócić do lektury pamiętnika, ale nie mógł się uspokoić. Zamknął notes i wstał z krzesła, drewniane nogi mebla zaszurały na podłodze. Asystent przyklęknął i uniósł jedną z klepek drewnianej boazerii. Pamiętnik wpasował się w skrytkę idealnie. Klaus starannie odłożył deskę na miejsce i znów zasiadł za stołem.

Pomyślał jeszcze o Kleinie. Zastanawiał się, czy ten odebrał już wiadomość i czy jest w drodze do Dusznik. Chciał spojrzeć na ścienny zegar, ale jakiś cień zasłonił mu widok. Nie zdążył się zdziwić, poczuł, jak głowę rozsada mu ostry ból, a potem zaczął się zapadać w nicość. Przez ułamek sekundy pomyślał, że Sabine odczuła swoją śmierć w bardzo podobny sposób.

\*

Klein spóźnił się niewiele ponad godzinę. Bausch siedział przy stole z głową opartą na blacie. Gdyby nie kałuża krwi pod krzesłem, można byłoby pomyśleć, że śpi. Zabójca musiał mieć wprawę

w posługiwaniu się nożem. Z tyłu głowy denata widoczny był otwór, ostrze wniknęło w potylicę. Podcięcie gardła było już formalnością.

Drzwi otwarto wytrychem. Zrobiono to z dużą wprawą, skoro Bausch nic nie usłyszał. Do ostatniej chwili siedział na krześle, nie zdążył się podnieść nawet w momencie, gdy zabójca znalazł się tuż za jego plecami.

Klein po raz kolejny zlustrował salon. Miał coraz mniej czasu. Chwilę wcześniej wyszedł z mieszkania i zadzwonił na komisariat, korzystając z telefonu właściciela pobliskiego sklepu. Za kilka minut pojawią się tutaj policjanci.

Wciąż coś nie dawało mu spokoju. Mieszkanie zostało przetrząśnięte w sposób chaotyczny – przynajmniej tak mogło się wydawać na pierwszy rzut oka. Ktoś chciał pozostawić wrażenie, że morderstwo miało cel rabunkowy. Trudno było się jednak spodziewać, by Bausch z marnej policyjnej pensji był w stanie ukryć w swoim mieszkaniu jakiś większy depozyt. Zabójca musiał naprawdę czegoś szukać. Pytanie pozostawało jedno: czy znalazł?

Klein stanął u boku Klause, ugiął kolana i z tej pozycji popatrzył w stronę, w którą zwrócona była głowa zamordowanego.

Szafka, obok ścienny zegar. Przetrażnięte i wybebeszone dokładnie, metodycznie. Gdyby policjant rzeczywiście coś w nich ukrył, morderca miałby już to w rękach. Intruz poszukiwań jednak nie przerwał.

Łóżko, rozpruty materac. Szuflada wyciągnięta ze stołu.

Wydawało się, że zabójca popełnił kilka błędów. Jeśli zależało mu na czymś, co Bausch ukrył w mieszkaniu, nie powinien był zabijać policjanta tak szybko. Mógł spróbować wyciągnąć z niego potrzebną informację. Zadana śmierć była jednak natychmiastowa.

Klein przykucnął przy krześle, na którym siedział młody asystent. Przyjrzał się podłodze. Obok kałuży krwi widniało kilka wyraźnych śladów pozostawionych przez nogi stołu. Nierówność na deskach podłogi.

Kapitan przesunął stół z donośnym szuraniem. W tym momencie od strony ulicy dobiegł Kleina odgłos hamujących na bruku samochodów, a zaraz potem tupot nóg na klatce schodowej.

\*

– Co pan tutaj robi? Co pan robi w mieszkaniu Bauscha? Komisarz Mott kipiał ze złości. Stojący naprzeciw niego mężczyzna był od niego wyższy o głowę, a Mott nie lubił, gdy ktoś patrzył na niego z góry.

– Odpowie pan teraz albo na komendzie! Pana wybór!

– Już mówiłem. Przyszedłem do niego w odwiedzin.

– Byliście dobrymi znajomymi, jak mniemam. Znacie się od dawna?

– Od niedawna.

– O proszę! I ta krótka znajomość wystarczyła, by wszedł pan do mieszkania policjanta bez zaproszenia? Znajomość, która, jak widzę, nie przysłużyła się naszemu człowiekowi.

Mott zamrużył, gdy nieopatrznie skierował wzrok na policyjnego fotografa. Błysk magnezji na moment go oślepił.

– Jest pan zatrzymany do momentu złożenia wszelkich wyjaśnień.

– Zatrzymany? Pod jakim zarzutem?

Mott popatrzył z rosnącą irytacją na stojącego przed nim mężczyznę. Bładoniebieskie refleksy tańczące mu przed oczami sprawiały, że głowa Kleina zaczęła mu się jawić jako sinoblady balon.

– Panie Klein, radzę panu zamilknąć. Doszło tu do morderstwa policjanta. Pan był ostatnią osobą, która miała z nim styczność.

– Klaus Bausch nie żyje od ponad godziny, co zapewne stwierdzi lekarz. Przyjechałem do Dusznik pociągiem zaledwie dwa kwadransy temu, na co znajdzie się sporo świadków. Nie mogłem więc widzieć go żywego ani nie mogłem mieć cokolwiek wspólnego z jego śmiercią. Tak jak pan powiedział, wszedłem bez zaproszenia, ale drzwi były otwarte.

Mott spojrział na lekarza, który poddawał zwłoki oględzinom. Starszy mężczyzna skinął głową, widząc pytające uniesienie brwi komisarza. Ten wydawał się zupełnie nieporuszony potwierdzeniem czasu śmierci policjanta.

– Jaki był powód pańskiego przyjazdu? – zapytał, rozglądając się po mieszkaniu. – Czego pan od niego chciał?

– To policjant Bausch poprosił mnie o przyjazd. Czego chciał, nie wiem. – Klein wyciągnął z kieszeni wiadomość otrzymaną od recepcjonisty w Hotelu Dworcowym. – Nie zdążyłem z nim porozmawiać.

– Ale poznaliście się wcześniej? Gdzie się spotkaliście i o czym wtedy rozmawialiście?

Mott odwrócił się w stronę drzwi i głośno wypuścił powietrze z płuc. Do mieszkania Bauscha wszedł komisarz Richter i towarzyszący mu niczym cień wachmistrz Paul Seipelt. Obaj popatrzyli na Kleina, jakby jego obecność tutaj nie wywołała u nich żadnego zdziwienia.

– Dzień dobry, panie kapitanie! – Richter uśmiechnął się półgębkiem. – Zdawało mi się, że mówił pan, że z Kłodzka nigdzie się nie wybiera?

Klein milczał. Wiedział, że Mott uważnie mu się przypatruje, zignorował go, podobnie jak natarczywe spojrzenie Paula Seipelta.

– Kolejne zabójstwo w Dusznikach? – Tym razem Richter zwrócił się do Motta.

Ten pod wpływem słów komisarza wyraźnie drgnął i poruszył sumiastym wąsem. Szybko jednak zebrał się w sobie.

– Zamordowano tu mojego człowieka, komisarzu Richter. Z tego, co wiem, to wy prowadzicie sprawę Sabine Hunfeld, więc chyba to ja mogę oczekiwać większej wiedzy od pana?

– A skąd przypuszczenie, że śmierć tego policjanta ma związek z prowadzonym przez nas dochodzeniem? Nie chce mi pan chyba powiedzieć, że mimo wyraźnych instrukcji asystent Klaus Bausch prowadził jakieś działania w tej sprawie na własną rękę?

Mott zatrzęsł się, tym razem z oburzenia aż poczerwieniał. Widać było, że nie potrafi panować nad emocjami i często daje im upust. Było pewne, że powstrzymanie tego wybuchu przypłaci co najmniej wrzodem na żołądku.

– I pan, panie Klein – Richter zwrócił się do kapitana – czyżby i pan zdecydował się na samowolne działania?

Klein odpowiedzi nie udzielił, a i Richter, wydawało się, wcale jej nie oczekiwał.

– Cóż, zacznijmy inaczej. Grzechem byłoby niewykorzystanie obecności tutaj tak znakomitego... byłego śledczego. – Komisarz obszedł stół i zwłoki Bauscha. Zlustrował też niewielki pokój. – Proszę podzielić się z nami swoimi obserwacjami. Śmiało...

Mott nieco się uspokoił, zaskoczyła go relacja Richtera i Kleina. Wyczuwał w powietrzu elektryzujące napięcie i na chwilę zapomniał o swoim nadszarpniętym ego.

– Jak pan zauważył, jestem byłym śledczym...

– Skąd ta ostrożność, panie Klein? Znany jest pan z mówienia wszystkiego prosto z mostu. Proszę nie psuć swojej reputacji...

Kąśliwość Richtera wzbudziła wesołość Paula Seipelta.

– Cóż – kłudzki komisarz skwitował milczenie kapitana pogardliwym ruchem głowy – może ja zacznę. Wygląda na to, że Bausch stał się niewygodny. Prawdopodobnie trafił na znaczący trop w sprawie... Dowiedział się czegoś ważnego, choć zapewne nie zdawał sobie sprawy z wagi tego odkrycia. Ten, który pojawił się w jego mieszkaniu, miał za zadanie zlikwidować zagrożenie, czyli asystenta policyjnego. Czy uważa pan, panie Klein, że Bausch był jedynym celem zabójcy?

Richter uśmiechnął się, widząc, że Klein nie kwapi się do odpowiedzi, i ponownie rozejrzał się po pokoju. Zlustrował denata, a potem równie obojętnym wzrokiem sylwetkę Kleina. Na ułamek sekundy jego spojrzenie zatrzymało się na kieszeniach marynarki kapitana.

– Kto to zrobił? – Mott, którego wcześniej stać było za ledwie na bezsilne zaciskanie pięści i nieme otwarcie ust, nie wytrzymał przedłużającej się ciszy. – Komisarzu? Przecież to Bastian Rabe miał stać za tym wszystkim. To on miał być głową całej afery z Sabine Hunfeld. Rabego zabił Koschella, wydawało się, że to zakończy sprawę. Dlaczego więc dochodzi do kolejnych zabójstw? Ktoś tu sprząta, nie bacząc na konsekwencje. Prumow, który, wygląda na to, był współnikiem Rabego, także zginął, teraz zamordowano Bauscha. Kto za tym, do jasnej cholery, stoi?

– Dowie się pan w swoim czasie, komisarzu Mott – odrzekł oschle Richter.

Mott znów poczerwieniał. Jego ludzie przezornie unikali jego wzroku. Komisarz tymczasem ruszył do wyjścia.

– Idzie pan, panie Klein? – rzucił za siebie Richter.

– Ten człowiek został zatrzymany, ma złożyć wyjaśnienia... – Mott poruszył się gwałtownie. Wypluwał z siebie słowa z taką siłą, że oślinił sobie całą brodę.

– Ja decyduję, kto jest zatrzymany w tej sprawie. Proszę się nie zapominać – rzucił Richter. – Zaraz będą tu moi ludzie, do ich przybycia proszę niczego nie ruszać!

Mott patrzył oniemiały jak kłódzcy policjanci, a za nimi Klein, wychodzą na korytarz. Potem przeniósł wzrok na martwego Bauscha. Był pewny, że nie jest to ostatnia ofiara afery z Sabine Hunfeld. Przymknął oczy i policzył do dziesięciu. Równowagę przywróciło mu dopiero wykrzykiwanie poleceń do podwładnych.

\*

– Zapewne, jeśli pan tam coś znalazł, nie podzieli się pan ze mną tą informacją?

Zatrzymali się przy aucie. Seipelt oparł się o maskę i obojętnie przysłuchiwał się rozmowie, paląc papierosa.

– Może mnie pan kazać obszukać, komisarzu.



Richter zaśmiał się, choć wydawało się, że ma ochotę wydać takie polecenie Seipeltowi.

– Jeśli by pan coś znalazł, zapewne ukryłby pan to gdzieś w korytarzu, a nawet wyrzucił przez okno na daszek, o tam...

Klein podążył wzrokiem za palcem komisarza. Pokiwał głową, jakby z tymi teoretycznymi rozważaniami w pełni się zgadzał.

– Ten dureń Mott ma rację... – Richter wzruszył ramionami. – Czyta pan gazety, więc pewnie wie o Prumowie. Ktoś pozbywa się wszystkich osób zamieszanych w sprawę Sabine Hunfeld. Wszystkich, którzy mogą poznać jego tożsamość. Czy Bausch tę tożsamość poznał? Wątpię. Inaczej pozostawiłby panu jakąś wskazówkę.

– Zapewne tak by zrobił – potwierdził Klein.

– A zrobił? – zapytał Richter, sięgając po papierosa.

– Nie.

Komisarz obszukał marynarkę w poszukiwaniu zapalniczki, jednak jej nie odnalazł. Seipelt użyczył mu ognia ze swojej.

– Nie oszukujmy się – Richter zaciągnął się dymem – nie odpuści pan. Nie ma sensu zabranianie panu prowadzenia prywatnego śledztwa. Nie zrobię więc tego...

Poruszenie Seipelta było aż nazbyt wyraźne. Richter spiorunował go wzrokiem.

– Przyjdzie pan do mnie. – Richterowi nagle przestał smakować papieros, zrzucił go na chodnik, przydeptał czubkiem podeszwy. – Jeśli odkryje pan, kim jest ten, który za tym wszystkim stoi... Po prostu niech pan do mnie przyjdzie. Zrobię tak samo, jeśli wpadnę na to wcześniej niż pan, panie Klein.

Kapitan skinął głową.

– Wraca pan z nami?

Klein zaprzeczył.

– Tak myślałem. – Richter otworzył drzwi i wsiadł do wnętrza samochodu.

– Niech pan uważa, na siebie, kapitanie. – Seipelt, zanim usiadł na miejscu kierowcy, prześwidrował wzrokiem Kleina. – Gazety kłamią. Wbrew reklamom pobyt w tym miasteczku ostatnio nie wychodzi nikomu na zdrowie...

\*

– Wstawaj, Koschella, już czas.

Tym razem obyło się bez docinków, Franz widział jednak na twarzy strażnika kpiący uśmieszek. Coś wisiało w powietrzu, młodszy z więziennych wachmistrzów był wyraźnie zdenerwowany.

Koschella odetchnął. Najgorsze było czekanie, czas rozciągał się w nieskończoność, a jemu coraz trudniej było zachować spokój. Teraz wszystko miało się rozstrzygnąć. Był przygotowany.

– Wstawaj, ogłuchłeś?

Franz zeskoczył z górnej pryczy i ustawił się pod ścianą. Nawet nie przyszło im do głowy, żeby go przeszukać. Widać było, że strażnicy także w napięciu czekają na to, co ma nastąpić.

Na korytarzu znów uderzyła Koschellę niemal absolutna cisza. Szczęknięcie drzwi za plecami poniosło się echem gdzieś w głąb budynku.

Prowadzili go tą samą drogą, wyminęli jednak salę modlitw i ruszyli do skrzydła A. Koschella zdawał sobie sprawę, że w tym miejscu nie może liczyć na niczyją ochronę.

– Czosek, zostań tu...

Przystanęli. Młody wachmistrz się zawahał. Popatrzył na Koschellę. Ten nie dał po sobie poznać zdenerwowania.

– Może jednak...

– Powiedziałem: zostań – powtórzył z naciskiem starszy strażnik.

Czosek bez przekonania skinął głową. Dokładnie wiedział, co się święci. Koschella uznał, że niedługo się okaże, z jakiej gliny ulepiony jest chłopak. Jeśli przychodził do tej roboty z jakimś moralnym kręgosłupem, to dziś zostanie mu złamany w kilku miejscach. Od

niego będzie zależało, jak szybko nauczy się znów chodzić i jakim człowiekiem się stanie.

Tych z przetrąconym kręgosłupem Franz widział wielu. Jednym z nich był Stempel. Stał teraz przed Franzem, krzywiąc się w jakimś zwierzęcym grymasie. Jego górna część ciała była chwiejna, jakby z trudem utrzymywał ją w pionie. Zresztą całe ciało strażnika zdawało się rozlażle, niczym nasiąkłe wodą ciasto.

– Idziemy, Franz.

Ruszyli w głąb bloku. Gdzieś z oddali dobiegło ich dudnienie. Początkowo przypominało przytłumiony stukot kół pokonujących łączenia torów, lecz wkrótce łomot się nasilił, wydostał spod ziemi w urywanym, pulsującym rytmie. Temu głębokiemu dudnieniu towarzyszyły teraz wrzaski i nieludzkie okrzyki.

– Nie jest mi cię szkoda, Koschella – rzekł strażnik, gdy zatrzymali się przed drzwiami izolatki. – To ty mnie wtedy uwalileś, skurwielu, wiem to.

Franz wyszczerzył zęby do wachmistrza. Nie odpowiedział.

– Podpierdoliłeś mnie u Richtera, złamasie. Za co? Za to, że wzięłem to, co mi się należało?

– Byłeś zwykłym złodziejem, a nie policjantem, Stempel. Za te wszystkie łapówki i haracze, które wymusiłeś, powinni cię w pierdłu posadzić... Nie wiem, jakim cudem dostałeś tu ciepłą posadkę...

Koschella zgiał się wpół, gdy pięść strażnika wbiła mu się w żołądek. Odkasznął i splunął wachmistrzowi pod nogi. Żebra znów dały o sobie znać, wyprostował się z niemałym trudem.

– Wypatroszą cię tutaj, a ja będę na to patrzył... – Stempel wyszeptał te słowa niemal czule. – Tacy jak ty są na wymarcu, Franz. Może na nagrobku ci napiszą, że tu leży ostatni sprawiedliwy, ale tą sprawiedliwością nie wykarmisz rodziny... Twoja Barbara choćby... Daje na mieście dupy, żeby mieć co do garnka włożyć...

Koschella zarzucił głową. Szczeka Stempela kłapnęła, zęby zadzwoniły o siebie, a on sam uderzył plecami o ścianę.

Strażnik zaklął, sięgnął po pałkę i uniósł ją, celując we Franza. Przez chwilę wydawało się, że spuści mu łomot, lecz tylko uśmiechnął się mściwie, ocierając wierzchem dłoni krew z przeciętej wargi.

– Nie zasłużyłeś na szybką śmierć, Franz – powiedział, przełykając ślinę o metalicznym posmaku. – Oni już się postarają, żebyś długo cierpiał.

Sięgnął po klucze i otworzył drzwi celi, po czym pchnął Franza do środka, wbijając mu czubek pałki w kręgosłup. Zaraz za nim zamknął, jakby bał się, że przez przypadek wypuści trzymaną w klatce bestię.

Stempel zaśmiał się cicho do swoich myśli. Pomachał dłonią w stronę młodego wachmistrza, który patrzył na niego. Chłopak, blady i wyraźnie roztrzęsiony, stał niczym słup soli. Stempel skrzywił się kwaśno. W przeciwieństwie do kolegów miał co do nowego duże wątpliwości. Przypomniawszy sobie własne słowa, które chwilę wcześniej wygłosił do Koschelli. Wybryki natury powinny iść do piachu, a tu zawsze po jednym sprawiedliwym znajdował się kolejny pomyleniec. Zupełnie jakby to kurewstwo było jakąś przenoszoną niewiadomym sposobem zarazą.

\*

Przemierzając dusznicke ulice, Klein nie dostrzegał wiele wokół siebie. Wydawało mu się, że zobojętniał na śmierć, jednak odnalezienie martwego Bauscha nim wstrząsnęło. Czy powinien był przewidzieć, że może do tego dojść? A może sam sprowokował taki rozwój sytuacji?

Przecież miał nadzieję, że młody policjant będzie drążył, dociekał prawdy. Zachęcał go do tego. Tak właśnie działał: wprawiał w ruch ludzi i sprawy, nadawał im bieg, nie dawał szansy zatrzymać się wydarzeniom. Niczym demiurg kreował rzeczywistość, przynajmniej ten wycinek, który był dla niego istotny. Robił to jednak, nie zważając na konsekwencje. Przeciwwstawiał sobie siły,

doprowadzając do ich kolizji. Jakby wierzył, że tylko w ten sposób może naruszyć niewidzialny mur skrywający przed nim istotę sprawy.

W Bauschu dostrzegł to, czego szukał, iskrę. Iskrę, która mogła się okazać właściwym zapalnikiem. Rozbłysk trwał jednak krótko, zapoczątkowując reakcję łańcuchową kolejnych wydarzeń.

Klein zatrzymał się przy fontannie na dusznickim rynku. Jednostajny szum wody sprawiał, że i jego myśli zdawały się płynąć odpowiednim rytmem. Wilhelm zlustrował budynki, wpatrzył się w okiennice malowniczych kamienic.

Zegar na budynku ratusza wskazywał godzinę osiemnastą. Klein odnotował ten fakt ze zdziwieniem. Opuściwszy kłódzkich policjantów, przemierzył kilka dusznickich uliczek nie do końca wiedząc, gdzie i w którym kierunku powinien się udać. Ta wędrówka wydawała się odbywać poza, a może ponad jego zmysłami. Za każdym razem kończyła się właśnie tutaj, przy fontannie, w narożniku rynku.

Przez szum wody zaczął się przebijać gwar miasta. Wcześniej Klein jej nie słyszał, jakby potrafił nieświadomie przefiltrować zbędne treści. Teraz dobiegł go śmiech dzieci, nawoływania mężczyzny ciągnącego wózek wypełniony workami z ziemniakami, głos kobiety sprzedającej kwiaty.

Klein spojrział na starowinkę. Siedziała kilka metrów dalej, na stołeczku, który ledwie wystawał spod kwiecistej spódnicy. Przycupnęła w cieniu drzewka, wyglądała żałośnie z chustą na głowie i grubym swetrem zarzuconym na zgarbione plecy.

Wiaderko z kwiatami było niemal puste. Elegancko ubrana kobieta właśnie kupiła mały bukietik narcyzów.

Przed oczami Kleina znów pojawił się Bausch. Głowa oparta na zakrwawionym blacie biurka.

Czego dowiedział się młody policjant? W jaki sposób i gdzie posiadał informację, która okazała się dla niego wyrokiem śmierci?

Klein podszedł do kwiaciarki i przykucnął przy niej. Widział, jak ta przypatruje mu się uważnie. Robiła to już od jakiegoś czasu, kilkakrotnie, gdy przystawał w tym samym miejscu. Czekał na pytanie.

– Pan tutaj kogoś szuka? Czeką na kogoś?

– Miałem się spotkać ze znajomym...

– A to dla niego chce pan kwiaty kupić? – Roześmiała się rubasznie. – Ja tam dużo widziałam już w życiu, to się niczemu nie dziwię.

– Nie, nie dla niego. Zna pani młodego policjanta, Bauscha?

Pokiwała poważnie głową.

– Kręcił się tu wcześniej – powiedziała. – Byłam pewna, że też na kogoś czeka.

Klein pozwolił, by kobieta dokończyła myśl, która gdzieś jej uciekła.

– Stał tak jak pan, patrzył w tym samym kierunku i myślał. Zupełnie nieobecny. Potem poszedł do hotelu. – Wskazała kciukiem za siebie. – Na chwilę tylko. Widziałam go potem jeszcze raz, jak wchodził do restauracji, ale już z niej nie wyszedł, przynajmniej nie wtedy...

Klein podążył wzrokiem za palcem kobiety w stronę kamienicy i szyldu restauracji.

– Jakby się czegoś bał i co złego przeczuwał. Ja takie rzeczy widzę od razu, złą aurę.

– Wierzę pani.

– Coś mu się stało, prawda?

– Nie żyje – potwierdził Klein.

Kobieta skinęła głową.

– Pan też niech na siebie uważa – powiedziała. – Pana aura jest nie lepsza.

– I tu ma pani rację – rzekł Klein, prostując się.

Popatrzył w stronę hotelu Pod Czarnym Niedźwiedziem. Włożył dłoń do kieszeni marynarki i dotknął skórzanej oprawy pamiętnika

Sabine Hunfeld. W końcu ruszył w stronę budynku.

\*

Krzyk i znów cisza. Głuche dudnienie, które wstrząsnęło całym skrzydłem A. Wachmistrz Czosek przełykał ślinę coraz bardziej nerwowo. Starszy strażnik początkowo udawał obojętność, ale z każdą upływającą minutą i on zaczynał się niepokoić. Pot spływał mu spod czapki grubymi, tłustymi kroplami.

Pod drzwiami warsztatów pojawiło się dwóch kolejnych funkcjonariuszy i teraz wszyscy czterej popatrywali po sobie niepewnie. Zapewne spodziewali się, że sprawa odbędzie się szybko.

Kolejne uderzenie, metaliczny dźwięk, jakby ktoś uderzył młotem w kowadło. Wtedy dopiero wszystko ucichło.

– Twardy, skurwiel.

Czosek usłyszał w głosie jednego z wachmistrzów nutę podziwu. Kręciło mu się w głowie, w jakiejś gorączkowej wizji wyobraził sobie, że jest jednym z tych umundurowanych sępów, które czekają, aż ktoś wyrzuci przed drzwi padlinę. Tą padliną miał być Koschella.

Ściany zdawały się zwęzać. Całe więzienie zastygło w bezruchu oblane tężejącą substancją. Na to, co się stanie, wyczekiwali wszyscy, ci w celach, ci w wartowniach, ci na korytarzu. Do tych ostatnich zaliczał się Czosek. Tak, był taki sam jak oni, jak sępy w mundurach.

– Wchodzimy – zdecydował Stempel, który nagle stracił cierpliwość.

– Mielśmy czekać na sygnał – zaoponował nieśmiało Wencke.

– Chuj z sygnałem! – Stempel skrzywił się w strasznym grymasie. – Przygotować się.

Jeden z wachmistrzów szarpnął zasuwę i pociągnął drzwi. Mężczyźni wpadli do środka. Czoscowi widok zasłaniały plecy opasłych kolegów. Wyczuł ich konsternację, gdy nagle się zatrzymali. Odbił się od pleców tego, który stał przed nim. Stał na palcach, żeby zobaczyć, co wprowadziło w osłupienie pozostałych.

Armand leżał na podłodze z szeroko rozpostartymi ramionami. W zmasakrowanej twarzy trudno było rozpoznać ludzkie oblicze. Czoskowi wydało się, że więzień nie żyje. Obok, we wcale nie lepszym stanie, pólleżał oparty o roztrzaskany mebel Franz Koschella. Wciąż oddychał, choć wydawało się, że i jego koniec jest bliski.

Młody wachmistrz patrzył na to wszystko z szeroko rozwartymi oczami, nie był w stanie wydobyć z siebie nawet słowa. Zresztą jego koledzy wyglądali na równie oszołomionych.

To Stempel otrząsnął się z szoku pierwszy. Uniósł pałkę i zamachnął się w stronę Koschelli. Źle wymierzył, uderzył w podłogę obok więźnia. Franz nie miał nawet siły zareagować. Osunął się na ziemię. To ośmieliło strażników, rzucili się na leżącego. Koschella zdążył jedynie osłonić głowę, gdy spadły na niego liczne ciosy.

Czosek stał jak zaczarowany. Dopiero po chwili zrozumiał, że Stempel i reszta chcą wykończyć Koschellę. Wina i tak spadłaby na Armanda. Stał się świadkiem linczu. Świadomość tego pozbawiła go tchu.

Nagle poczuł, jak ktoś go odpycha i krzyczy na katujących więźnia strażników.

Tę kobietę widział już kilka razy w skrzydle szpitalnym. Pomagała lekarzom przy pacjentach. Teraz roztrącała mężczyzn, którzy w swojej zapalczywości postanowili zmasakrować Koschellę. Czosek odzyskał w końcu władzę w nogach. Uchronił dziewczynę przed przypadkowym ciosem jednego z wachmistrzów, który biorąc zamach, niemal uderzył pielęgniarkę w głowę.

Zapał Stempela i pozostałych ostudził dopiero okrzyk naczelnika.

– Rozejść się – padła krótka komenda. – Poszkodowanych przenieść do szpitala.

Stempel i jego kompani stali pod ścianą niczym krnąbrne dzieci. Naczelnik zmierzył ich chłodnym wzrokiem, dłużej spoglądał na Czoska, który pod tym spojrzeniem zdawał się kurczyć. Leon widział



naczelnika zaledwie kilkakrotnie. Nie wzbudził jego sympatii. W więzieniu panowała opinia, że nic, co dzieje się w tym miejscu, nie ma prawa zaistnieć bez jego wiedzy.

Naczelnik wyszedł z warsztatów tak szybko, jak się w nich pojawił. Do pomieszczenia wparowało dwóch sanitariuszy z noszami. To także zdumiało Czoska. Zupełnie jakby czekali gdzieś za rogiem, by wkroczyć do akcji w odpowiednim momencie.

– Młody, pomożesz zebrać te trupy z podłogi. – Stempel splunął na podłogę obok nieprzytomnego Koschelli i odwrócił się na pięcie. W ślad za nim wyszli pozostali strażnicy.

Leon poczuł ulgę, że nie musi iść z nimi. Pielęgniarka dokonała szybkich oględzin nieprzytomnych mężczyzn i dała sygnał sanitariuszom. Ci ułożyli nosze przy nieruchomych ciałach. Czosek pomógł przenieść Armanda. Więzień był zupełnie bezwładny, wydawało się, że na pomoc dla niego jest już za późno.

Zdziwił się, widząc, jak dziewczyna radzi sobie z noszami. Nie mógł uwierzyć, że w tym kruchym ciele może być tyle siły.

Wkrótce ruszyli pospiesznie do szpitalnego skrzydła.

\*

Czosek siedział na krześle w korytarzu naprzeciw sali. Obserwował, jak pielęgniarki sprawnie uwijają się wokół pacjentów. Brakowało lekarza. Słyszał, że po niego dzwonią, najwyraźniej jednak wcale nie kwapił się z przyjazdem.

– Czasem człowiek się nadaje do tej roboty, a czasem nie...

Leon spojrzał na towarzyszącego mu Wenckiego. Widział już to wcześniej w jego twarzy. Ten patrzył na niego jak na insekta.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Wiesz, wiesz... – Strażnik cmoknął, jakby przeżuwał resztki posiłku. Pewnie tak było, bo w powietrzu dało się wyczuć woń czosnkowej kiełbasy. – Lepiej, żebyś wziął sobie do serca to, co mówię, Czosek. Dla swojego dobra, póki nie jest za późno. Ta robota

nie jest dla ciebie. Jak się uprzesz i będziesz próbował tu zostać, nic dobrego cię tu nie czeka.

Leon wyprostował się w krześle. Te słowa niby do niego docierały, jednak wydawało mu się, że wcale go nie dotyczą.

– Widzisz, młody, wszyscy powinni na sobie polegać, stać murem jeden za drugim, a jak ktoś jest miętki, kijem robiony... Napiszesz jutro do naczelnika z prośbą o zwolnienie.

Leon wciąż milczał, zapatrzonej w ścianę, w łuszczącą się warstwę farby olejnej. Ona też nie zespoliła się ze strukturą muru. Jakaś bariera sprawiła, że stała się niepotrzebna, odrzucona niczym ciało obce. Jednak to właśnie na ten fragment patrzył, nie na metry identycznej sraczkowatej powierzchni.

– Słyszysz mnie?

– Słyszę – potwierdził Czosek. Spojrzał na współpracownika. Ten mlasnął zadowolony i uśmiechnął się dobrotliwie.

– Idź zapalić. Zaraz zmieni cię Stempel. A my tu już sobie... trochę posiedzimy.

Czosek poczuł ciarki na plecach. Spojrzał przez uchylone drzwi na leżącego na łóżku Koschellę. Zakrwawione opatrunki zsuwały się na podłogę. Leon wiedział, co ma na myśli Wencke. Chcieli ze Stemplem dokończyć to, co zaczęli w warsztatach.

– Konowała nie ma, idzie za to ta stara...

Rzeczywiście na tle klatki schodowej widać było wchodzącą na piętro siostrę przełożoną. Miała zaciętą minę, nie budziła sympatii i trzymała wszystkich na dystans. Jej fizjonomia odrzucała, a szorstka osobowość sprawiała, że strażnicy nie wchodzili jej w drogę. Teraz nawet Czosek zapatrzył się w linoleum, żeby tylko nie przyciągnąć wzroku zakonnicy.

Kobieta wyminęła ich bez słowa. Leon popatrzył w głąb sali. Napotkał wzrok pielęgniarki. Ta podeszła do drzwi i zamknęła je za zakonnicą, odcinając się od natarczywego spojrzenia strażników.

– To rzeczywiście pójdę zapalić – oznajmił Czosek. Chciał jak najszybciej opuścić duszny korytarz.

W tym momencie z pokoju wyszła młoda pielęgniarka z miską pełną zużytych opatrunków. Zapewne przełożona wysłała ją po nowe zapasy.

– No nie stój tak – ponaglił Wencke. – I przemyśl to, co ci powiedziałem. Świat na tej robocie się nie kończy, młody. Poradzisz sobie w życiu... Skoro tak dużo myślisz, to może zostaniesz jakimś, kurwa, myślicielem?

Śmiech strażnika towarzyszył Leonowi jeszcze długo. W końcu Czosek wyszedł przed budynek. Odnalazł w kieszeni kurtki pomietą paczkę papierosów. Zapalił jednego i zaciągnął się dymem. Ze zdziwieniem zauważył, jak bardzo trzęsą mu się dłonie. Niemal poparzył się zapałką, której nie był w stanie zgasić.

Reflektory oświetlały placyk i ściany więzienia oraz spaceriak. Przed bramą wyjazdową stała dorożka zapewne czekająca na zakonnice. Fiaker niecierpliwie patrzył na zegarek.

Czosek pokręcił głową z niedowierzaniem. Musiał się przejść. Ruszył wzdłuż budynku, obok niewysokich klombów. Zatrzymał się w miejscu, które upodobał sobie już kiedyś. Reflektory go nie sięgały, przez co nie czuł się jak na tarczy strzelniczej. Papieros mu nie smakował, jednak postanowił wypalić go do końca, być może po to, żeby zyskać trochę czasu. Wbrew temu, co mówił Wencke, nie należał do myślicieli. Nie był też jednak głupi, zdawał sobie sprawę, że z tym miejscem nie może wiązać przyszłości. Czuł, jak coś dławi go w gardle. Strach, to strach go dławił, strach przed tym, co będzie dalej.

Popatrzył w górę, ale w poświacie otaczającej więzienie niczym mglista bańka nie był w stanie dostrzec gwiazd. Jego wzrok przykuło jednak coś innego: sylwetka zakonnicy stojącej w oknie oddziału. Czoskowi wydało się, że ta stara daje mu jakieś znaki.

Przypatrzył się kobiecie uważniej. Otwierała właśnie okno, a po chwili wylazła na parapet. Strażnik po raz kolejny tego dnia oniemiał. W tym pokoju nie było krat zewnętrznych, powinien być zamknięty na czas remontu. Wszyscy o tym zapomnieli. Zakonnica

sprawnie ześliznęła się po rynnie i w ułamku sekundy stanęła na daszku wartowni. Czołek dopiero teraz był w stanie dostrzec jej twarz. Przez krótką chwilę patrzyli sobie w oczy.

Strażnik zakrztusił się, już otwierał usta, żeby podnieść alarm, lecz zamiast tego wpakował w nie papierosa. Odwrócił się plecami od uciekającego mężczyzny i mocno się zaciągnął.

Stukot dorożki przejeżdżającej przez otwartą bramę zagłuszył jego śmiech. Pomyślał, że stojący na warcie chłopcy jak zwykle gorączkowo unikali wzroku siostry Greta. Rzucił papierosa pod nogi i ruszył w stronę wartowni. Właśnie skończył służbę. Wyobraził sobie, że w tym samym czasie farba w korytarzu szpitalnym po kilku latach wahania odpadła od ściany.

\*

Klein zasiadł przy stoliku. Kelner zaproponował mu bogaty wybór win reńskich i piw z niemal każdego zakątka Prus, on jednak zamówił tylko wodę mineralną. Wcześniej wykonał kilka połączeń, korzystając z hotelowego telefonu, i teraz czekał na informację zwrotną. Odbiorcom wiadomości przekazywał numer telefoniczny hotelu, który ograniczał się do cyfry 1.

Teraz, popijając drobnymi łykami wodę mineralną, przeglądał pamiętnik Sabine. Najpierw przyjrzał się charakterowi jej pisma i przerzucił pobieżnie kilkanaście zapisanych stron. Pierwsze notatki były krótkie, ograniczały się do jednego, góra dwóch zdań, kreślone jakby w pośpiechu, pismem niewyrobionym i chaotycznym. Z czasem zapisywane informacje stawały się bogatsze w treść i spostrzeżenia, a pismo – bardziej wyrobione. W ostatnich miesiącach życia dziewczyny było mniejsze i bardziej zwarte.

Klein zagłębił się w tekst pamiętnika. Skupił się na ostatnich tygodniach. Obraz Sabine, który wyłonił mu się z tych zapisków, nie był jednoznaczny. W towarzystwie mogła jawić się jako osoba śmiała, wesoła i bezkompromisowa, z drugiej strony dało się

wyczuć, że zachodziła w niej jakaś przemiana, coraz częściej oddawała się refleksji nad życiem swoim i innych.

Klein skupił się na jednym z fragmentów pamiętnika. Adnotacja na marginesie obcym charakterem pisma świadczyła o tym, że także Bausch zwrócił uwagę na ten opis.

*Bastian znów znika na długie godziny. Wydawało mi się, że robi to specjalnie, nie tyle z potrzeby samotności, ile z chęci budowania wokół siebie aury tajemnicy.*

*Dziś wymówię się od spaceru z Gabriele migreną. Zamierzam obserwować Bastiana, jestem gotowa pójść za nim. Wiem, że wymyka się ze swojego pokoju i znika w lesie. Z kimś się spotyka. Pomyślałabym, że ma jakąś kochankę, gdyby nie to, że po tych spotkaniach wraca jeszcze bardziej zdenerwowany i poruszony.*

*Boże, zrobiłam to. Nie wiem, co myśleć. Zobaczyłam Bastiana z okna. Przegapiłam moment, w którym wyszedł z pokoju. Wymknęłam się rodzicom, mówiąc, że jednak skorzystam ze spaceru, bo na migrenę pomoc może mi tylko świeże powietrze. Z hotelu wybiegłam, niemal potrącając panią Wiener, słyszałam, jak przeklęła mnie pod nosem. Nie lubię tej starej krowy...*

*Byłam pewna, że się spóźniłam. Bastian zniknął między drzewami. Okrążyłam hotel i przystanąłam obok kościoła. Tam pomyślałam, żeby ruszyć w stronę Mchowej Chaty. Ściemniło się, więc miałam wątpliwości, ale do chatki było zaledwie kilkaset metrów, a przeczucie mówiło mi, że właśnie tam udał się Bastian.*

*Nie myliłam się. W ostatniej chwili usłyszałam ściszone głosy. Mało brakowało, a wyszłabym wprost na nich. Schowałam się za drzewem. W pierwszej chwili niemal nic nie widziałam i nie słyszałam. Serce waliło mi, jakby miało wyskoczyć z piersi.*

*Szpieg. Nie wiem, dlaczego to mi przyszło do głowy w pierwszej chwili. Może ta tajemniczość Bastiana i jego usposobienie? Tak łatwo go sobie wyobrazić jako zdrajcę na rzecz Rosjan czy Francuzów. Kilka słów, które do mnie dotarły, nie miały jednak sensu. Bastian wręczył temu człowiekowi pieniądze, dużo pieniędzy. Wtedy przeszło mi przez*

*myśl, że może jest szantażowany, ale w jego głosie nie słychać było strachu, to on wydawał jakieś polecenia.*

*Ten mężczyzna... Zobaczyłam jego twarz przez kilka sekund. Widziałam ją już wcześniej. To nie jest dobry człowiek. Ma tatuaże na szyi... Nie wiem, w co Bastian się wplątał. I chyba nie chcę wiedzieć...*

Dopisek Bauscha. Imię, zapewne należące do owego nieznanego, z którym Rabe miał się spotkać.

– Armand – wyszeptał Klein.

– Połączenie do pana...

Klein zamrugał, patrząc na kelnera jak na jakiegoś dziwoląga. Skinął głową. Pamiętnik powędrował na powrót do kieszeni, a sam Klein wstał od stołu i podszedł do telefonu.

– Halo?

– Chciał pan ze mną rozmawiać. – Głos w słuchawce zdradzał zniecierpliwienie mężczyzny. – Komisarz Hans Zober z berlińskiej policji.

– Tak – potwierdził Klein. – Dziękuję, że pan oddzwonił. Moje nazwisko Wilhelm Klein. Poprosiłem centralę telefoniczną o numer, na który dzwonił mój znajomy, policjant Klaus Bausch. Rozmawiał pan z nim dziś?

– Rozmawiałem. – Głos Zobera stał się ostrożniejszy. – Rozmawiałem z panem Bauschem zaledwie kilka godzin temu.

– Czy mogę zapytać o temat panów rozmowy?

– Skąd pańskie zainteresowanie tą prywatną konwersacją? Proszę zapytać swojego znajomego.

– Nie mogę. Klaus Bausch został zamordowany.

Przez chwilę ze słuchawki dobiegał jedynie odległy trzask przypominający wyładowanie atmosferyczne.

– Proszę przypomnieć swoje imię i nazwisko – odezwał się w końcu Zober. – Wilhelm Klein?

– Tak jest – potwierdził kapitan. Wiedział, że policjant wymówił jego personalia głośno i wyraźnie, by przebywający z nim w pokoju współpracownicy mogli sprawdzić, z kim ma do czynienia.

– Przykro mi, ale nie jestem upoważniony do przekazywania tematu rozmowy, jaką odbyłem z panem Bauschem.

– Rozumiem. – Klein spodziewał się takiej odpowiedzi, dodał więc: – Mam jedynie prośbę, żeby potwierdził pan moje przypuszczenie lub mu zaprzeczył...

– Nie wiem, czy chcę uczestniczyć w takich gierkach. – Zober nie ukrywał zniecierpliwienia. – Proszę wysłać oficjalne zapytanie do naszego biura.

– Informacja, o którą zapytam, nie jest tajna, proszę więc o pana dobrą wolę.

Zober zamilkł. W tle dało się słyszeć przytłumioną wymianę zdań.

– Niech pan pyta, kapitanie Klein.

Wilhelm skłonił głowę. W Berlinie działali szybko.

– Sprawa Sabine Hunfeld. Czy z Berlina w tysiąc dziewięćset szesnastym roku przysłano do Dusznik śledczych, którzy przejęli dochodzenie i materiały dowodowe z miejscowego komisariatu?

– Odpowiem w ten sam sposób co temu młodemu policjantowi, panie Klein. Nie wysyłaliśmy nikogo do Dusznik ani wtedy, ani wcześniej czy później.

\*

Wilhelm Klein skorzystał z rady recepcjonisty i aby dostać się do Kłodzka, postanowił skorzystać z usług Stalowego Ferdynanda. W pierwszej chwili był pewny, że mężczyzna mówi o połączeniu kolejowym i jakiejś specjalnej lokomotywie, która miała pokonywać w zawrotnym tempie trasę Duszniki–Kłodzko, ale wkrótce miał się przekonać, że chodzi o człowieka z krwi i kości. Recepcjonista zadzwonił do niejakiego Ferdynanda Ochmanna, który zaparkował swój automobil przed hotelem zaledwie kilka minut później.

Historię tego mężczyzny i jego szalonych przedsięwzięć kapitan miał okazję poznać podczas podróży. Ochmann prowadził wprawna ręką, nie oszczędzając silnika. Na co dzień był dorożkarzem i wydawałoby się, że jako człowiek leciwy będzie pałać niechęcią do

nowych cywilizacyjnych wynalazków, zwłaszcza że dorożkarze często ze wstrętem patrzyli na smrodzące i kopące auta poruszające się po drogach. Stalowy Ferdynand jednak mimo zaawansowanego wieku nie gardził najnowszymi zdobyczami techniki.

Podczas podróży Klein dowiedział się, że Ochmann, istny szaleniec, ma zamiar ustanowić połączenie konnymi powozami z Rzymem przez Pragę i Wiedeń. Podróż miała trwać pięć dni, podczas których Stalowy Ferdynand zapewniał między innymi swoje niezrównane towarzystwo.

Dojeżdżając do Kłodzka, Klein musiał przyznać, że pięć dni podróży do Rzymu istotnie nie byłoby w takim towarzystwie czasem straconym. Jednocześnie przekonał się, że Ochmann jest nieocenioną skarbnicą wiedzy na temat mieszkańców Dusznik – między innymi Franza Armanda.

\*

– Spóźnił się pan, panie Klein, na to całe przedstawienie. Miał pan szansę, żeby jechać do Kłodzka z nami.

Seipelt splunął pod nogi, patrząc na bramę więzienia, przy której ustawiło się kilkunastu policjantów i strażników. Tłum kłodzyczan na Gartenstrasse stawał się coraz większy. Już do wszystkich, zdaje się, dotarła wieść o kolejnym wyczynie Koschelli. Franz miał coraz większe grono oddanych wielbicieli. Seipelt był pewny, że wielu z nich, nawet jeśli zobaczy Mściciela z Kłodzka gdzieś w mieście, to prędzej udzieli mu schronienia, niż doniesie na niego policji.

– Dał nogę, jak babcię Kocham. Wyrzucił fiakra z dorożki pod miastem i dał nogę. Pewnie już jest w Czechosłowacji. Komisarz Richter wściekł się jak cholera.

– Ile czasu minęło od ucieczki?

Seipelt przeniósł wzrok na Kleina, jakby to on był winien ostatnich wydarzeń. Wydawało się, że znowu splunie, tym razem pod nogi kapitana, ale przemielił coś w paszczy i przełknął ślinę.



– Godzina.

– Armand żyje czy nie?

Seipelt pokręcił głową z niedowierzaniem. Odepchnął jakiegoś mężczyznę, który napał na niego ramieniem.

– Jest pan jakimś, kurwa, jasnowidzem? Skąd pan wiedział, że chodziło o Armanda?

Klein wzruszył ramionami.

– Dlatego wachmistrz Koschella nalegał na areszt tutaj. Armand był jego celem od początku.

– Kolejna część układanki? – Wachmistrz popatrzył w nocne niebo, jakby tam miał znaleźć odpowiedzi na nurtujące go pytania. – Nie doceniłem Franza. Jemu naprawdę coś się popieprzyło we łbie. Wszystko zaplanował.

– Armand żyje czy nie?

Wydawało się, że Seipelt nie zareaguje na powtórzone natarczywie pytanie, w końcu jednak się odezwał:

– Nieprzytomny, strażnicy mówią, że zdechnie, ale tym tępakom trudno w cokolwiek wierzyć. Opiekuje się nim siostra Greta. Została na miejscu, mimo że Koschella ją poturbował. Zabrał jej habit, kurwa, i uciekł... – Seipelt zaśmiał się ochryple. – Zostawił ją w samej bieliźnie. Wyglądała jak biały kurczak. Mam nadzieję, że nie będzie mi się to śniło po nocach.

Klein skinął głową, ta odpowiedź mu wystarczyła. Obserwował osoby przechodzące przez więzienną bramę. Jedną z nich zdążył poznać, a jej obecność tutaj wcale go nie zdziwiła. Pielęgniarka z oddziału szpitalnego więzienia przecisnęła się przez tłum i ruszyła w stronę centrum miasta.

Seipelt tymczasem obserwował kapitana, zastanawiając się, jakie znaczenie miała dla niego odpowiedź, której mu przed chwilą udzielił. Zdążył się domyślić, że Klein wiele zdążył się dowiedzieć i teraz znów wyprzedza wszystkich o krok, a może i całą długość boiska.

– To kto będzie następny, panie kapitanie, co? Kogo Franz dorwie w następnej kolejności? W Kłodzku ktoś powinien trząść portkami?

– Powiedział pan przecież, że Franz wyjechał z miasta. Kto miałby się więc go bać?

Popatrzyli sobie w oczy. Seipelt parsknął kpiąco.

– Niech mnie pan nie rozśmiesza. Obaj wiemy, że Franz nigdzie się stąd nie ruszy. Ten skurwiel ma coś jeszcze w rękawie. W tym mieście szczury mają gdzie się ukryć...

– Więc chyba jest tak, jak pan mówi, wachmistrzu. – Klein skinął z namysłem głową. – W Kłodzku jest ktoś, kto powinien trząść portkami.

Seipelta zastanowiły słowa Kleina. Chciał mu jakoś dopiec, nagadać, żeby mu w pięty poszło, ale kapitan ruszył już Gartenstrasse w stronę miasta. Wachmistrz splunął pod nogi. Palilo go w bebeczach, to, co się tam zagnieździło, próbowało wydostać się na zewnątrz. On też miał jeszcze kilka rzeczy do załatwienia. Musiał się spieszyć, uprzedzić Franza, zanim ten przejdzie do kolejnego punktu swego poronionego planu.

\*

Nie było jej. Gabriele von Magnis się spóźniała.

Magda Ross zapatrzyła się w zegar, w dużą wskazówkę przemieszczającą się szybciej niż zwykle. Wysłała wiadomość do hrabianki przez Haima. Poprosiła ją, by ta przyszła wieczorem. Uwierzyła, że autorytet Magnisów wystarczy, by tamci dali jej spokój. Wierzyła, że nie będą mieli odwagi wystąpić przeciw wpływowej rodzinie z Bożkowa.

Coś ścisnęło ją w środku. Strach, a może bardziej żal. Była też zła na siebie za to, że znów pozwoliła sobie zaufać komuś obcemu. Ten zawód był jeszcze bardziej bolesny.

Popatrzyła na Haima. Chłopak już spał, odwrócony do niej plecami. To dobrze, gdyby teraz zobaczyła jego twarz, mogłoby w niej coś pęknąć.

Wstała z krzesła i podeszła do łóżka. Poprawiła koc, który zsunął się na ziemię. Haim rozkopywał się, jakby walczył z jakimś niewidzialnym przeciwnikiem. Zupełnie jak ona...

Zamarła, poczuła, jak koc wysuwa jej się z dłoni. Jedna myśl pozbawiła ją oddechu. Wraz z wysuwającym się spomiędzy palców szorstkim materiałem traciła coś jeszcze, coś nieuchwytnego. Ogarnęło ją uczucie, że ta chwila już się nie powtórzy, jakby każdą z wykonywanych dziś czynności robiła po raz ostatni.

Odpędziła tę myśl. Zepchnęła ją gdzieś głęboko, zamknęła na klucz, tak jak wiele dni ze swojego życia, których nie mogła pamiętać, wiele zdarzeń i ludzi, których pamiętać nie chciała. Teraz w tym sekretnym miejscu znalazła się także Gabriele von Magnis.

Nie miała wyboru, drżącymi dłońmi sięgnęła po płaszcz. Narzuciła go na siebie. Znów popatrzyła na śpiącego syna. Zapragnęła go przytulić, mocno, zamknąć w objęciach, otoczyć jakimś nieprzeniknionym ochronnym kręgiem. Od dawna zwalczała te matczyne, egoistyczne odruchy. Chciała, żeby był twardy, żeby mógł poradzić sobie w życiu sam. Modliła się, by gdy przyjdzie czas, zdołał pójść dalej w życie bez ciężaru, jakim mogła się dla niego stać.

Ścisnęło ją w gardle. Szybko opuściła izbę. Uspokoila się dopiero na dworze. Pachniało wilgocią potoku i bzami.

Ruszyła przed siebie. Ciężko, jakby szła pod prąd rwącej rzeki. Coś trzymało ją w miejscu, niczym podczepiona do ciała kotwica. Musiała to zwalczyć, inaczej przyjdą po nią w nocy. Skończyłoby się na siniakach, złamanym palcu, a może nawet potrzaskanych żebrach. Najgorsze, że świadkiem ich okrucieństwa byłby Haim.

Nie mogła się zatrzymać.

Znów znalazła się nad Nysą. Königshainer Brücke. Ten most jawił się jej jako granica, po której przekroczeniu musiała pozostawić na jednym z brzegów swoją duszę. Szła niczym lalka, bezwolny manekin poruszany jakimś wewnętrznym nakazem. Było tak zawsze: po jednej stronie Nysy zostawiała Haima i swoje życie, by po drugiej stać się zupełnie kimś innym. Kimś, kogo nienawidziła.

Gdy wracała do domu, na tym samym moście znów ulegała przemianie. Odbierała swoją duszę niczym z przechowalni, choć za każdym razem wydawało się, że jest jej mniej, że dusza staje się węższa i bardziej przezroczysta i niedługo już jej nie starczy.

Teraz jednak szła tam, na drugą stronę. Myśli o Haimie uleciały. Nie mogło go tu być, nie mógł jej teraz w żaden sposób towarzyszyć.

Uchylona brama prowadziła na zachwaszczony dziedziniec. Magda weszła w nią, zanurzając się w ciemność i wilgoć. Małe okienka pralni garnizonowej wydały się jej oczami wielookiej istoty. Nieco sennej, choć uważnej i czulej na każdy, nawet najmniejszy ruch.

Wyczuwała jego obecność. Napięcie i niecierpliwość elektryzowały powietrze. Wkroczyła do wnętrza budynku i szła niemal po omacku, wiedząc, że zaraz dostrzeże w ciemności bladą plamę odległego światła.

Z sufitu kapnęła woda i Magda odruchowo otarła policzek. Znów owionął ją znajomy zapach, aż zakręciło jej się w głowie.

Był tu, krążył wokół niej, jakby polował na zagubioną zwierzynę. Dotknął chłodną dłonią jej karku. Miała wrażenie, że przeszywają ją drobne sople lodu.

Otarł się o nią, popychając biodrami. Niemal straciła równowagę, zdążył ją jednak ująć pod ramię i pociągnąć ku sobie.

Poczuła za plecami chłód ściany. Przyłgął do niej całym ciałem. Dotknął policzkiem jej szyi, delikatnie niemal pieszczotliwie. Wtapiał się w nią całą twarzą, jakby wchłaniał w siebie ciepło i dotyk jej skóry.

Palce zaciskały się na jej ramionach coraz mocniej. Jęknęła z bólu, ale rozpoznał ten dźwięk jako oznakę rozkoszy. Brutalnie zdarł z niej bluzkę i zaczął kasać piersi, sprawiając większy ból.

Ten zapach, jego zapach obezwładniał ją i nie dawał spokoju. W momencie gdy wpił się w jej usta i rozszerzył językiem wargi, poczuła to. Jego smak... Zesztywniała, mimowolnie spięła mięśnie. Wyczuł to. Nagle się wycofał. Była pewna, że w ciemności przygląda

się jej twarzy. Sięgnęła dłonią w stronę krocza mężczyzny, próbując odwrócić jego uwagę. Poczwała, że to go podnieca. Odwrócił ją gwałtownie do ściany i zadarł spódnice.

Jego palce znów paliły jej skórę. Zadrżała. Chyba to sprawiło, że nagle się od niej odsunął. Przeszło jej przez myśl, że ją uderzy, czekała na moment, w którym poczuje ból z tyłu głowy, ale nic takiego nie nastąpiło.

Uklękła przy ścianie. Była sama. Rozpłynął się w ciemnościach niczym duch. Może był duchem?

Założyła bieliznę i poprawiła ubranie. Pod stopami wyczuła zwitek banknotów. Podniosła je z mocno bijącym sercem.

Zrozumiał, że go rozpoznała?

Nie. Gdyby tak było, nie pozwoliłby jej odejść.

Ruszyła do wyjścia, trzymając się blisko ściany. Potknęła się na kupce gruzu i upadła na kolana, poczuła bolesne pieczenie. Wstała i w końcu znalazła się na zewnątrz budynku, na dziedzińcu.

Wielooka istota zasnęła, Magda nie czuła już na sobie jej wzroku. Odetchnęła głęboko i ruszyła w stronę mostu. Wkrótce wkroczyła w Uferstrasse. Idąc w dół ulicy, odczuwała coraz większą ulgę. Szum wody w kanale uspokajał, dusza znalazła drogę powrotną do ciała.

Usłyszała stukot kół za plecami. Dorożka wyminęła ją i zatrzymała się kilkadziesiąt metrów dalej. Był to widok niezwykły, bo fiakrzy rzadko przyjmowali kursy w ten rejon miasta. Magdę przeszedł dreszcz. Zwolniła, bo miała wrażenie nadejścia czegoś nieuchronnego. Gdy w końcu stanęła przed swoim domem, do woni rzeki i bzów doszedł ten nieokreślony zapach, który przyprawiał ją o paniczny lęk. Weszła w ciemność sieni. Spodziewała się, że będzie tutaj na nią czekał. Chciała krzyknąć, ale zamiast krzyku z jej gardła wydobył się jedynie bulgoczący świst, gdy jego palce zacisnęły się na jej szyi. Poczwała chluśnięcie ciepłej cieczy na klatkę piersiową. Zobaczyła też, jak drzwi przed nią się otwierają, a ciemna postać zmierza do środka. Idzie po jej Haima.

Gabriele nie udało się wcześniej skontaktować z Magdą Ross i poinformować ją o spóźnieniu. Nie mogła jednak postąpić inaczej. Nie przewidziała, że wszystko wydarzy się już dzisiaj. Musiała odpowiedzieć jeszcze na kilka natarczywych pytań naczelnika. Ten był wściekły, ale kazał jej natychmiast opuścić oddział szpitalny. Zapewne nie chciał, żeby przesłuchiwała ją policja. Całą winę za ucieczkę więźnia wzięła na siebie siostra Greta. Gabriele taki obrót sprawy był na rękę, przebrała się w świeże rzeczy i zaraz poszła na Uferstrasse, by porozmawiać z matką Haima. Była pewna, że w sprawie tej kobiety dojdzie dziś do kolejnego przełomu.

Napięcie, które towarzyszyło jej w ostatnich dniach, wydawało się nie do zniesienia. Wierzyła, że postąpiła słusznie, pomagając siostrze Grecie i wachmistrzowi Koschelli. Jednocześnie miała wyrzuty, że trzymała wszystko w tajemnicy przed Kleinem.

Te ostatnie dni wywróciły jej życie do góry nogami. Skłoniły do przemyśleń. Dzień wyjazdu do Wrocławia zbliżał się nieubłaganie. Nie chciała się sprzeciwiać woli rodziców, ale najwyraźniej wszystko do tego zmierzało.

Gabriele podeszła do budynku, otworzyła drzwi wejściowe. Znalazła się w wąskim, ciemnym korytarzyku. Zastukała w odrzwia izby zajmowanej przez Magdę. Nikt nie odpowiadał, nie słychać było żadnego poruszenia.

Jej wzrok prześlizgnął się po odrapanej framudze. Dostrzegła na niej podłużne brunatne smugi. Podeszwy butów kleiły się do czegoś lepkiego.

Drżąc na całym ciele, nacisnęła klamkę. Drzwi otworzyły się bez oporu. Już z progu dostrzegła leżącą na podłodze Magdę Ross. Miała szeroko rozwarte oczy, leżała w kałuży krwi. Haima nigdzie nie było.

\*

Wilhelm Klein siedział w restauracji Hotelu Dworcowego przy późnej kolacji. Trzymał w rękach „Grafenschaft Glatz”. Na głównej stronie krzyczały wytłuszczone litery sensacyjnej informacji:

„Ucieczka z więzienia wachmistrza Franza Koschelli. Kolejna ofiara Mściciela z Kłodzka!”.

Autor artykułu przypominał czytelnikom sylwetkę Sabine Hunfeld, prezentując ją jako młodą, utalentowaną i pełną życia osobę. Finał sprawy sprzed kilku lat rozgrywał się właśnie dziś na oczach mieszkańców miasta. Pisząc o Franzu Koschelli, dziennikarz unikał jednoznacznej oceny jego działań, choć wyczuwalna była jego sympatia do wachmistrza. Policjanta przedstawiono jako osobę postawioną pod ścianą, zmuszoną do działań w momencie, w którym ujawniła się indolencja i impotencja organów ścigania. Fascynacja dziennikarza trudnymi wyrazami na „i” była godna podziwu.

W artykule pojawiło się kilka wykluczających się wzajemnie teorii, jednak wydźwięk przekazu sugerował bliżej nieokreślony układ, który przed laty przyczynił się do zatuszowania sprawy uprowadzenia Sabine. Franz Koschella miał zdawać sobie sprawę, że legalne środki nie dadzą mu szansy na ujęcie przestępcy. Żle rozumiane poczucie sprawiedliwości, a przede wszystkim bezsilność popchnęły go do rozprawienia się z Bastianem Rabem. To on miał być głównym podejrzanym w sprawie porwania dziewczyny. Kolejne ofiary w Dusznikach i w kłodzkim więzieniu świadczyły jednak o tym, że także współnicy owego przestępcy nie mogli czuć się bezpiecznie.

Klein powrócił myślami do rozmowy, którą podczas podróży do Kłodzka odbył ze Stalowym Ferdynandem. Franz Armand na żadnym etapie śledztwa nie był wiązany z porwaniem Sabine. Tuż przed zaginięciem Hunfeld został prewencyjnie aresztowany pod podejrzeniem włamania do siedziby inspektora zdrojowego Hauslera, który prowadził na zlecenie rządu skup złota na potrzeby wojenne. Z aresztu wyszedł zadziwiająco szybko, miał żelazne alibi na ten dzień, wkrótce jednak trafił tam za inne przestępstwa, co zaowocowało kilkoma latami odsiadki. W zakładzie Armand wydłużył swój pobyt. Ktoś najwyraźniej próbował go uciszyć,

dwukrotnie ledwo uszedł z życiem, jednego z zamachowców odesłał do kostnicy z przetrąconym karkiem. Przez ten czas Armand stał się królem w budynku penitencjarnym przy Gartenstrasse. Wyglądało na to, że nie spieszy mu się do opuszczenia placówki, jakby tylko tam czuł się bezpieczny.

Klein zachodził w głowę, dlaczego ten człowiek znalazł się na celowniku Koschelli. Na jakie dowody wpadł Franz? Czego zdążył się dowiedzieć przez dwa tygodnie prowadzonego śledztwa?

– Panie Klein...

Wilhelm odwrócił się do kobiety, która stanęła tuż przy nim i chwyciła go za łokieć. Gabriele von Magnis była blada, drżały jej usta, a głos wydawał się słaby jak szelest liści.

– Co się stało, źle się pani czuje?

Dziewczyna oparła się drugą dłonią o stół. Klein wciąż czuł jej palce wpijające się w jego skórę.

– Chłopiec został porwany, jego matka nie żyje. Staralam się im pomóc... ja...

– Wezwała pani policję?

– Tak. – Gabriele spojrzała na Kleina przytomniejszym wzrokiem.

– Powinni już kogoś tam wysłać. Ale ja chciałam rozmawiać z panem...

– To sprawa policji, na pewno będą szukali chłopca.

Gabriele pokręciła głową.

– Wszyscy chcą znaleźć teraz wachmistrza Koschellę. Przecież pan wie, że tutaj liczy się czas. Jeśli nie będziemy działać szybko, chłopca możemy już nie odnaleźć.

Klein zamknął gazetę, którą wciąż trzymał w dłoniach, i odłożył na stół. Dzięki temu udało mu się uwolnić od zaciskających się kurczowo palców Gabriele.

– Chodźmy więc – zdecydował.



Wachmistrz Ernst Puder na widok Wilhelma Kleina uśmiechnął się szeroko. Pomyślał, że gdyby miał ogon jak jego czworonożna podopieczna Flora, pewnie teraz także uderzałby nim o ziemię.

Kapitan przywitał się z nim, nie pominął też suki. Ta, nazywana czasem przez Pudera Księżniczką, zapomniała o swojej codziennej powściągliwości. Puder patrzył oniemiały, jak stara Flora popiskuje niczym szczeniak, witając się z Kleinem. Tę więź pomiędzy obojgiem widział już rok wcześniej. Pies i kapitan przeszli w swoim życiu wiele, oboje doznali rozległych poparzeń, ale to ich porozumienie musiało istnieć jeszcze na jakimś innym, niedostrzegalnym poziomie.

– Doktor Kuhnast już jedzie. Technik zrobił zdjęcia... – poinformował Puder. – Myślę, że nie ma co czekać, kapitanie. Sprawdziliśmy ślady na zewnątrz budynku, wydaje się, że w piachu są odbite świeże koła dorożki.

– Wezmę ubrania Haima... – Gabriele popatrzyła w stronę wejścia budynku. – Dla Flory.

– Tak, proszę przynieść coś, co należy do chłopca, może być czapka – poradził Puder. – Mam nadzieję, że Flora da sobie radę.

Gabriele skinęła głową. Zacisnęła usta i weszła w wąski korytarz, wymijając młodego technika z aparatem. Ten usunął się z drogi, wciąż popatrując na kapitana.

– Czy przepuści mnie pan? – Klein zwrócił się do nieznanego mu policjanta, który zagradzał wejście.

– No... – Młody mężczyzna się zawahał. Pytanie kapitana wyraźnie go speszyło. – Niech pan wejdzie. Myślę, że nie doczekamy się teraz komisarza czy wachmistrza Seipelta. Jeśli może pan pomóc w tej sprawie, proszę działać. Jakby co, ja pana tutaj nie widziałem.

– Szybciej, pogoda się psuje – zawołał od ulicy Puder.

Klein popatrzył w stronę twierdzy. Rozgwieżdżone niebo przysłoniły nadciągające od północy ciemne chmury. Powiał silniejszy wiatr. Deszcz wisiał w powietrzu.

Wilhelm nie zwlekał. Wszedł do wnętrza budynku, a potem izby. Stał w progu i tu uważnie się rozejrzył.

– Napastnik nie planował tego zabójstwa – odezwał się do Gabriele, która zdążyła już odnaleźć kilka rzeczy należących do Haima. – Decyzję o zabiciu podjął w ostatniej chwili. Szedł za nią, ale zorientował się, że w domu jest ktoś jeszcze. Dlatego zabił ją przed drzwiami.

– Magda, nazywała się Magda Ross...

Klein skinął głową. Popatrzył na leżące na podłodze ciało. Podeszedł do martwej kobiety i przy niej przykucnął. Gabriele miała wrażenie, że mężczyzna zapamiętuje każdy szczegół. Długo patrzył na buty Magdy.

– Mógł zabić chłopca, ale tego nie zrobił. – Tym razem spojrzął na łóżko, w którym spał chłopak. – Haim żyje. Odnajdziemy go.

Ugięły się pod nią kolana, ale zapanowała nad emocjami. Popatrzyła na kapitana z wdzięcznością. Klein dał jej sygnał, żeby wyszła na zewnątrz. Chwilę później Flora wsadziła nos w czapkę chłopca. Szarpnęła Pudrem, który niemal stracił równowagę.

– Podjęła trop – oznajmił wachmistrz z dumą. – Dawno nie widziałem, żeby ta staruszka była tak zdeterminowana.

Ruszyli w stronę głównej ulicy. Przecięli ją przy gospodzie Pod Trzema Karpiami i wkrótce znaleźli się na Königshainer Strasse. Tutaj Flora przystanąła. Zwróciła łeb w kierunku kilku mężczyzn zmierzających do pracy na nocną zmianę w gazowni.

– Spiesz się, mała. – Puder ponownie podsunął suce pod nos ubranie chłopaka. Pierwsze krople deszczu uderzyły o brukowany chodnik. Z oddali dobiegł ich donośny grzmot.

Flora znów pociągnęła za sobą wachmistrza. Zanim jednak dotarli za nią na Königshainer Brücke, nad Kłodzkiem doszło do prawdziwego oberwania chmury, z nieba runęła na ziemię ściana wody. Ulice w jednej chwili zamieniły się w rwącą rzekę.

Flora mimo to ciągnęła Pudera dalej, jakby wilgoć wyostrzyła zapachy. Niestety zaraz po przekroczeniu Nysy suka zaczęła kręcić

się w kółko.

– Jasny gwint, nie rób mi tego – powiedział błagalnie Puder, ocierając mokrą twarz. Woda chlupotała mu w butach, a po plecach spływał potok wody. – Panie kapitanie, ta ulica to jedno wielkie bagno.

Rzeczywiście, Ross Strasse zamieniła się w rwący potok. Studzienki kanalizacyjne nie nadążały z przyjmowaniem wody, rzygacze rynien wypływały z siebie hektolitry deszczówki, która przetaczała się przez chodniki i podchodziła pod progi sklepów.

Jacyś zabłąkani przechodnie kryli się w bramach kamienic. Trójka przemokniętych ludzi z psem na smyczy musiała wyglądać żałośnie.

– Może tam dalej coś wyczuje? – Puder bez przekonania wskazał część ulicy, która znajdowała się wyżej.

Klein skinął głową. Gabriele z wachmistrzem Puderem ruszyli w górę Ross Strasse, sam kapitan jednak wciąż stał w miejscu. Patrzył w bok, na dziedziniec pralni garnizonowej. Puder przystanął i po chwili zawrócił z Florą do kapitana.

– Coś pan tam widzi? – zapytał.

– Jeszcze nie wiem. – Klein pchnął zardzewiałą bramkę. Ustępowała z trudem, nie otworzyła się do końca, mimo to kapitan zdołał precyzyjnie się przez szparę. Puderowi przyszło to z większym trudem. Naderwał kieszeń spodni i pomyślał, że Rita nie będzie z tego zadowolona. Wciąż wyrzucała mu, że całe życie musi mu gotować obiady i cerować portki. Uznał jednak, że tym razem się wyłga od wymówek i opowieścią o wieczornych wydarzeniach nieco ją ułagodzi.

Gabriele także weszła na wąski dziedziniec. Była roztrzęsiona. Wciąż robiła sobie wyrzuty. Gdyby pojawiła się w domu Magdy o wyznaczonej godzinie, wszystko potoczyłoby się inaczej. Nie darowałyby sobie, gdyby Haima spotkało to, co jego matkę.

Przez cały czas w napięciu obserwowała Kleina. Mężczyzna przystanął po raz kolejny, zapatrzył się w ziemię, korzystając z latarni Pudera. Zupełnie nie rozumiała czego szuka pośród

niezliczonych kałuż. Chciała, żeby się pospieszył, włączył ten swój szósty zmysł, o posiadanie którego wszyscy go podejrzewali.

Zamarła. Teraz i ona dostrzegła to w świetle latarenki. Strużki wody wyłobiły wąskie korytka pośród drobnych kamyczków. Gabriele była sobie w stanie wyobrazić, że wcześniej ten pył przy najmniejszym powiewie wiatru unosił się w powietrzu i osadzał na oknach, ścianach budynków i ubraniach ludzi. Wystarczyło przejść po nim, by przyłgnął do butów. W taki sposób, w jaki przyłgnął do butów Magdy Ross.

– Była tutaj, prawda?

Klein spojrział na Gabriele. Wydało jej się, że zupełnie zapomniał o obecności innych. Jego ciemne tęczaówki były nieruchome, przyprawiały o ciarki.

– Flora. – Kapitan przykucnął przy suce. – Szukaj.

Owczarek węszył chwilę, po czym ruszył w stronę budynku.

W serce Gabriele wstąpiła nadzieja, a jednocześnie ogarnął ją strach. Bała się tego, co może odkryć czworonożna podopieczna wachmistrza Pudera.

Weszli za Florą do starej pralni garnizonowej. Panowała tu niemal kompletna cisza, to przede wszystkim uderzyło Gabriele. Deszcz bębnił w dachówki i okna coraz słabiej, można było dosłyszeć jedynie szum strumyczków wody łączących się w większe strugi spływające po dachu na powierzchnię dziedzińca. Światło ulicznych latarni przedostawało się tu przez okna pozbawione okiennic. Z cienia wyłaniały się zniszczone meble tarasujące przejście. Sprzęty walające się na podłodze były zniszczone i pokryte kurzem.

Gabriele poczuła wilgoć i coś jeszcze, woń, która paraliżowała zmysły.

Flora także przez chwilę wydawała się zagubiona pośród piwnicznych wyziewów. Gdy znów szarpnęła smyczą, podobnie szarpnęło się serce w piersi Gabriele.

– Szkło! – Puder chciał powstrzymać Florę przed nadeptaniem na okruchy butelek, ale jedynie pogorszył sytuację. Suka pisnęła,

podkurczając łapę, parła jednak naprzód.

Weszli do kolejnego pomieszczenia. Pod jedną ze ścian zgromadzono połamane kosze i drewniane skrzynie. Podłogę pokrywały szmaty i brudne prześcieradła.

Flora pociągnęła ich właśnie w tę stronę. Zaczęła rozgrzebywać nosem stertę łachmanów. Chwyciła jeden z nich w zęby i pociągnęła do siebie.

Puder pomógł jej wydobyć prześcieradło.

– Owinięto w nie chłopaka. Tutaj go przyniesiono...

Otoczenie zdawało się pochłaniać głos Kleina. Gabriele spojrzała na materiał, dostrzegła na nim ślady krwi. Pociemniało jej w oczach, ale przypomniała sobie o skaleczeniu Flory.

– Szukamy dalej. – Wachmistrz Puder powiedział to takim tonem, jakby spodziewał się zaraz dokonać makabrycznego odkrycia. Gabriele spojrzała na kapitana, w nim także dostrzegła napięcie. Była jednak pewna, że wciąż ma zamiar odnaleźć Haima żywego.

– Tędy!

Flora długo węszyła wokół stosu prześcieradeł, w końcu pociągnęła Pudera w stronę korytarza, a potem w kierunku schodów prowadzących do podpiwniczonej części pralni.

Wkrótce stanęli w podziemnym pomieszczeniu, po kostki w wodzie. Klein odebrał latarnię od wachmistrza. Nie istniało stąd żadne inne wyjście.

Puder brodził w mętnej brei. Gabriele wiedziała, czego szuka, wydawało jej się, że pod powierzchnią wody widzi drobną twarzyczkę Haima, na szczęście tak działała tylko jej wyobraźnia.

Wkrótce wycofali się z piwnicy i sprawdzili resztę budynku. Pies nie podjął już tropu.

## KŁODZKO, 24 MAJA 1921 ROKU

Gabriele zatrzymała się z Kleinem w podcieniach galerii, przez którą przechodził trakt Am Zwinger. Dotarła tu z północnego przyczółku gotyckiego mostu. Lubiła to miejsce, bo położone było z daleka od gwaru miasta. Siedem metrów poniżej widać było Młynówkę i ścieżkę nad kanałem. Galeria wspinała się na szczycie obronnego muru, a nad półkolistymi podcieniami wznosiły się jeszcze dwie kondygnacje mieszkalne.

Czas płynął tutaj inaczej, a teraz wiele by dała, by móc go cofnąć albo chociaż zatrzymać w miejscu.

– Chyba już czas, pani Magnis, powiedziec mi wszystko tak, jak było...

– Powiedziałam panu wszystko. Mogę powtórzyć, ale wydaje mi się, że nie pominęłam żadnego szczegółu.

Klein uśmiechnął się uprzejmie. Wychylił się nieco poza murek i wystawił twarz do wschodzącego słońca, przymykając oczy. Gabriele zdała sobie sprawę, że nie pytał o to, o czym pomyślała.

– Porozmawiajmy więc o pani Magdzie Ross...

Teraz i ona poczuła chłód, który panował w wąskiej galeryjce. Dostrzegła, że kapitan wycofał się ze swojego wcześniejszego pytania. Przyjrzała mu się uważnie, wykorzystując fakt, że wciąż ma zamknięte oczy.

– Jej śmierć nie jest przypadkowa... – powiedział.

Drgnęła. Klein uniósł nagle powieki i popatrzył wprost na nią. Domyślił się, że mu się przyglądała.

– Ale mówił pan, że morderca tego zabójstwa nie planował...

– Jedno nie wyklucza drugiego. Jego oczy znów znieruchomiały.

– Spieszył się. Rozważył konsekwencje swojego czynu, uznał jednak, że natychmiastowe zabicie kobiety jest konieczne. Pozostaje pytanie: dlaczego.

– Dlaczego? – powtórzyła automatycznie.

– Morderca uznał, że Magda Ross jest dla niego niebezpieczna. A dokładniej: zapewne wiedza, którą nabyła o nim samym lub dotyczącej go sprawie. Skoro działał w takim pośpiechu, musiała osiąść te informacje na krótko przed śmiercią. A to oznacza, że doszło do jakiegoś wydarzenia z udziałem pani Ross i mordercy. Zmieniły się jakieś okoliczności, które sprawiły, że wyrok na nią zapadł i został przypieczętowany.

– Znała mordercę?

– Odkryła coś, czego nie powinna, coś, co mogło mordercy zaszkodzić. Ta informacja była cenniejsza niż jej życie.

– Poznał pan historię Magdy, wie pan... czym się zajmowała, w jakich kręgach się obracała. Wykluczył pan jednak zabójstwo w afekcie, na tle seksualnym...

– Haim. Morderca nie musiał porywać dziecka – przerwał jej.

Oparła się o murek. Poczuli, że na dźwięk imienia chłopaka znów uginają się pod nią nogi. Popatrzyła w nurt Młynówki. Dwie kaczki poderwały się do lotu spłoszone przez przechodnia.

– Dlaczego go porwał?

– Może traktuje go jako zabezpieczenie? Gwarancję czyjegoś milczenia?

Pobladła, popatrzyła na Kleina. Była pewna, że ten na coś czeka. Tak naprawdę wiedziała na co.

– Ja... obiecałam wachmistrzowi Koschelli, że dochowam tajemnicy. Musiałam mu pomóc w ucieczce.

– Wiem – powiedział. – Wiem też, czym się pani kierowała. Porwania dzieci zdarzają się tutaj zbyt często, pani Gabriele.

Znów wydało jej się, że gdzieś odpłynął myślami. Blizny na jego twarzy zrobiły się szkarłatne.

– Odnajdzie pan... ich?

– Mam taką nadzieję, liczę też na pani pomoc.

– Zrobię wszystko...

– Chciałbym, żeby się pani dowiedziała, dla kogo pracowała ostatnio Magda, kto wysyłał ją na Ross Strasse. Proszę wykorzystać

wszystkie swoje kontakty. Może uda się pani wskazać miejsce, w którym przebywa ten człowiek.

Skinęła głową. Klein uklonił się jej i ruszył w stronę kamiennego mostu.

– Dziś jeszcze porozmawiamy – powiedział, zanim straciła go z oczu.

\*

Barbara Koschella musiała wyjść z domu, choćby po to, by zrobić zakupy. Zaszła do piekarni i sklepu kolonialnego na swojej ulicy. Nie zawitała od kilku dni na targ, nie była w stanie wyjść poza Böhmische Strasse. Jakby spodziewała się, że cień, który przez większą część dnia spowijał tę ulicę, uchroni ją od ciekawskich spojrzeń.

Pytali o Franza, współczuli jej. Jednocześnie byli pewni jego winy. Część uznawała wachmistrza Koschellę, jej męża, za bohatera, część zawsze miała go za nieobliczalnego. To, co się wydarzyło, potwierdzało ich pewność, że Franz musiał tak skończyć. Byli i tacy, którzy nagle przestali się do niej odzywać. Chyba to ich postawa odpowiadała jej najbardziej, przynajmniej trzymali się z daleka, nie musiała słuchać ich rad, słów pocieszenia i niesprawiedliwie ferowanych wyroków. Właśnie stanęła w kolejce po chleb. Pełne zdumienia spojrzenia klientów uświadomiły jej, że coś się stało. Nie zdążyła wydusić z siebie nawet słowa, gdy usłużna sąsiadka o wszystkim ją poinformowała:

– Pani mąż uciekł z więzienia, znów kogoś zabił...

Nie pamiętała, jak wyszła z piekarni. Ulica nagle zastygła, nawet dzieci przerwały zabawę i wpatrywały się w nią w milczeniu. Gdzieś ponad jej głową stuknęła okiennica.

Przystanęła na piętrze, próbując złapać oddech. Serce łomotało w piersiach boleśnie. Spojrzała na drzwi mieszkania, w którym mieli zacząć nowe życie. Teraz tamto pragnienie stało się odległe.



Miała ruszyć w górę do ich starej izby na poddaszu, ale zdała sobie sprawę, że drzwi remontowanego mieszkania są uchylone. Odstawiła pod ścianę torbę z zakupami i delikatnie je popchnęła.

– Dzień dobry, pani Barbaro...

Wilhelm Klein stał przy oknie, spoglądał na ulicę. Dopiero po chwili uśmiechnął się i zachęcił ją gestem dłoni, by weszła do środka.

– Szukał mnie pan?

– Tak... postanowiłem tutaj poczekać, mam nadzieję, że nie ma mi pani tego za złe.

– Nie, oczywiście, że nie – odzyskała władzę nad głosem. Poczowała się nieswojo. Stanęła naprzeciw Kleina przy oknie. – Może jednak pójdziemy na górę, zrobię jakieś śniadanie albo chociaż coś do picia...

– Nie trzeba, dziękuję...

Klein znów popatrzył na ulicę. Odruchowo także wyjrzała na zewnątrz. Przez brudną szybę niewiele była w stanie dostrzec; pomyślała, że jeszcze dziś zejdzie tu i wymyje okna. Dzięki pracy mogła zająć czymś myśli.

– Przyszedł pan z powodu Franza...

Popatrzył na nią, czekał w milczeniu na to, co ma do powiedzenia.

– Nie wiem. – Starła się zapanować nad drzeniem głosu i uciskiem w gardle. – Naprawdę nie wiem, gdzie jest.

– Wierzę – powiedział. – Myślę, że wachmistrz nie podzielił się z panią swoimi planami dla pani bezpieczeństwa.

Skinęła głową. Właśnie takich słów użył jej mąż na kilka godzin przed tym, jak został aresztowany.

– Przyszedłem panią zapytać o coś innego...

Barbara znów spojrzała na szybę. Mucha próbowała wydostać się na zewnątrz, opadła jednak na parapet, jakby nie miała siły znów zerwać się do lotu. Barbara pomyślała, że czuje się zupełnie jak ten owad.

– Gdzie jest wasz syn, pani Barbaro? Gdzie jest Opitz?

\*

Komisarz Richter był pewny, że Paul Seipelt przeczesuje teraz Kłodzko w poszukiwaniu Koschelli. Seipelt miał jednak w dupie i swojego przełożonego, i Franza. Nie wrócił na noc do domu. Zrobił obchód po melinach starych znajomych. Tych, którzy się burzyli, przywracał do porządku brutalnymi uderzeniami drewnianej pałki. Płacili, przeklinali go, ale płacili. Każdy miał coś za uszami, żaden nie chciał, by jego sprawy wyszły na jaw. Zgromadził pewien kapitał, ale nie wiedział, czy wystarczający.

Po tej ciężkiej robocie schlał się w restauracji Pod Czarnym Niedźwiedziem. Wyrzucili go stamtąd, gdy rozbił dwa kufle na wiszących na ścianach porożach jeleni, potem przeniósł się na Rossmarkt do gospody Ferdinanda Wolffsa, którą nazywał Pod Wilkiem. Kilku gościom nie spodobało się, gdy zaczął wyć do księżyca, ale doskonale wiedzieli, z kim mają do czynienia, i nikt nie zwrócił mu uwagi, mógł wobec tego w pełni oddać się swoim zwierzęcym instynktom. Wtedy też chyba dopracował swój plan.

Seipelt czuł, że śmierdzi. Ciuchy miał przepocone, mieszanka dymu i alkoholu wniknęła w materiał i skórę. Przespał się może kwadrans na ławce miejskiej promenady. Teraz wrócił do picia, choć zmienił lokal, przeniósł się Pod Niebieską Gwiazdę. Kieliszek wódki utopił w kuflu piwa i tak wzmocniony trunek popijał małymi łykami.

Paliło go w gardle. Zapewne miało to związek z nocnym nadwyrażaniem strun głosowych. Paul zaśmiał się na to wspomnienie. Zwilżył bibułkę językiem i zawinął tytoń. Zaciągnął się dymem.

Pieprzony Koschella. Musiał przyznać, że ten drań mu zaimponował. Paul miał się za twardziela i zawadiakę, ale na taki numer, jaki wywinął Franz, nie byłby w stanie się zdobyć. Cała ta zaszrana sprawa Sabine Hunfeld przestawała go jednak zajmować. Bez względu na to, jak się to wszystko zakończy, i tak nie zmieni to

jego sytuacji. No może trochę, zwłaszcza jeśli sprawy przyspieszą i ktoś zacznie węszyć wokół samego Seipelta.

Miał teraz co innego na głowie. Plan, musiał trzymać się planu. Zabezpieczyć Astę. Trwała przy nim przez te wszystkie lata, mimo tego, co jej robił... Równie znaczące było to, że mógł zagrać na nosie kilku tym, którzy się spodziewali, że będzie potulny jak baranek.

Seipelt ścisnął papierosa, pieczenie w gardle i bebeczach się nasiliło. Znow pomyślał o Aście. Rozklejał się, pijackie wyrzuty sumienia przyszły trochę zbyt późno. Nie mógł dopuścić do sytuacji, gdy po jego śmierci wszyscy będą patrzeć na Astę jak na zadżumioną. Zostawi ją z niczym... Nie, właściwie, to zostawi ją z długami, wyrzucą ją na bruk. Wielu będzie się nad nią litować, ale nikt jej nie pomoże. Będą się usprawiedliwiać, że jest sama sobie winna, bo wybrała na męża skurwiela. Robi to więc dla niej czy samego siebie?

– Kurwa...

Ten plan przecież był po to, by zabezpieczyć Astę. Wiedział, jak to zrobić.

– Tutaj jesteś... Szukam cię, do cholery, po najgorszych spelunach.

– Czego chcesz, Schulz?

Seipelt odwrócił się do kolegi. Ten popatrzył na niego z urazą. Kiedyś byli nierozłączni, osiłek Schulz dawał sobą łatwo sterować, nie lubił myśleć i zostawiał to Seipeltowi. W rzeczywistości nie był tak głupi, za jakiego chciał, by wszyscy go brali. Czasem zdobywał się na jakąś bystrą uwagę, ale zaraz się z niej wycofywał, jakby się bał, że ktoś zauważy, że można od niego wymagać więcej. Schulz dobrze się czuł, gdy przywalał jakiemuś frajerowi, któremu wydawało się, że jest nowym królem miasta. Więcej mu do szczęścia nie było potrzebne. Może dlatego że był samotnikiem i nie musiał się nikim i niczym przejmować.

– Klein zawitał właśnie w szpitalu. – Schulz wyszczerzył zęby, pewny, co właśnie pomyślał sobie Seipelt. – Pojechał do Kuhnasta,

pewnie zobaczyć tę kurwę, co ją dziś zabili... – Znów się wyszczerzył. Zorientował się, że Paul nie wie nic o porannym odkryciu.

– Jaką kurwę?

– Ktoś zarznął Magdę Ross jak świnie. Zabrał też jej syna, kilkulatek...

Seipelt się skrzywił. Sięgnął po piwo, upił spory łyk.

– Richter o ciebie pytał...

– Powiedz mu, że depczę Koschelli po piętach. – Seipelt przypomniał sobie o papierosie. Nieco za późno, bo niemal poparzył sobie opuszki. Zaklął i wrzucił skręta do kufla.

– To Franz jest gdzieś w pobliżu? – Schulz zarechotał, rozglądając się po wnętrzu gospody.

Głupie żarty Schulza niegdyś bawiły Seipelta. Teraz zupełnie go zignorował.

– Pomóc ci jakoś, Paul? – Schulz spoważniał, widząc, że nie jest w stanie rozśmieszyć kolegi. – Wiesz, jakby co, wal jak w dym.

Seipelt się zawahał. Już postanowił, że Schulza nie będzie w to mieszał. Cały plan musiał zrealizować sam, był pewny, że sobie poradzi. Widział wszystko wyraźnie, poukładał jak trzeba. A dla kolegi miał inne zadanie...

– Dam ci znać, Lothar. Na pewno dam ci znać. Ale teraz po prostu się odwal.

– W porządku. – Schulz badawczo lustrował Seipelta. – Przekażę staremu, że depczesz Franzowi po piętach.

– I świetnie. – Seipelt zaśmiał się słabo. – Ale tak między nami, to muszę ci się do czegoś przyznać, Schulz. Skłamałem. Jeśli ktoś komuś depcze po piętach, to Koschella. Jest blisko, prędzej czy później sam wylezie z nory, w której się schował. Ale to już będzie wasza sprawa. Twoja też, frajerze.

Osiłek wyszedł z gospody, trzaskając drzwiami tak mocno, że niemal wypadły z framugi. Seipelt wyłowił niedopałek z kufla i dopił duszkiem alkohol. Rzucił na blat banknot, jakiś czas wcześniej

zgarnięty w restauracji w Dusznikach ze stołu frajera, który zostawił napiwek. Piwo wymieszane z wódką rozjaśniło jego myśli.

\*

– Jakbym zobaczył ducha. – Na widok wchodzącego do prosektorium Wilhelma Kleina doktor August Kuhnast pokręcił głową z udawanym oburzeniem. – Dał pan na siebie długo czekać, drogi kapitanie. Ale muszę przyznać, że wycucie czasu ma pan znakomite.

Klein się uśmiechnął. Ta sympatia patologa nie była tak oczywista, jak mogło się wydawać – podczas ich pierwszego spotkania wydawało się, że trudno będzie się przebić przez szczelną zasłonę, którą wokół siebie utworzył. Znany był z opryskliwości, trzymał ludzi na dystans, ale nieobca była mu również próżność. Tę ostatnią w umiejętny sposób wykorzystał Klein. Wiedział, w jaki sposób polechtać ego lekarza. Kuhnast na tej dalekiej prowincji czuł się niedoceniany, wiedza kapitana na temat jego osiągnięć w dziedzinie medycyny bardzo mu schlebiała. W oczach patologa Klein jawił się jako bratnia dusza, jedyny wtajemniczony w kręgu nieuków i troglodytów.

– Świetnie widzieć pana w dobrej formie, doktorze. – Klein mówił szczerze. Trudno było odmówić patologowi wiedzy i poświęcenia. Ta jego impulsywność i szorstkość były przejawem mechanizmu obronnego. Nauczył się, że w ten sposób najłatwiej się ustrzec przed wejściem sobie na głowę.

– Dziękuję, ale to chyba jedynie zasługa dobrego światła. Cienie lubią uwydatniać moje zmarszczki. – Kuhnast wskazał od niechcienia lampy porozmieszczane w równych rzędach na ścianie i suficie. – Dodatkowe źródła zasilania są dla mnie zbawieniem. Miejska elektrownia wreszcie działa pełną parą. Wcześniejsze przerwy w dostawie prądu były uciążliwe.

Klein skinął głową. Pamiętał, że podczas pierwszych odwiedzin prosektorium zdziwiło go, że Kuhnast otacza się niezliczonymi

lampami karbidowymi.

– Komfort pracy ma pan teraz na pewno większy.

– Nie o komforcie pracy przyszedł pan ze mną rozmawiać, prawda, kapitanie?

Klein potwierdził znaczącym półuśmiechem.

– Chciałem skorzystać z pańskiej uprzejmości...

Kuhnast uniósł dłoń, jakby doskonale rozumiał sytuację swojego gościa.

– Możemy rozmawiać szczerze i otwarcie. Proszę pytać o cokolwiek pan chce, postaram się udzielić odpowiedzi. Słyszałem, że dziś rano był pan na miejscu morderstwa tej kobiety. – Kuhnast wskazał stół i leżące na nim okryte płótnem ciało. – Przyszedł pan zapytać o wyniki sekcji?

– Będę wdzięczny, jeśli podzieli się pan ze mną swoimi spostrzeżeniami.

Patolog kiwnął głową, wyraźnie zadowolony.

– Zgon nastąpił wczoraj przed północą. Bliżej godziny dwudziestej trzeciej. Kobieta zmarła w wyniku upływu krwi. Napastnik przeciął tętnicę szyjną. Zrobił to z dużą wprawą. Po sposobie zadania obrażenia jestem pewny, że był to mężczyzna leworęczny, bardzo silny, wysoki, wyższy od ofiary przynajmniej o dwadzieścia centymetrów. Powiedzmy, podobnego wzrostu co pan...

– To zapewne nie wszystko? – Klein wiedział, że patolog trzyma w zanadrzu kolejną informację.

– Zaiste. Tuż przed śmiercią ofiara odbyła stosunek. Bez ejakulacji. Mężczyzna był brutalny, świadczą o tym siniaki i otarcia na skórze denatki.

– Czy był to gwałt?

– Wydaje się, że nie. Uprzedzając jednak kolejne pytanie... W tej chwili nie stwierdzę tego z całą pewnością, ale mordercą mógł być ten sam mężczyzna, z którym kobieta spółkowała. Ślady na ciele powstałe w czasie stosunku – Kuhnast odciągnął prześcieradło

i wskazał niewielkie okrągłe odciski palców na żebrach kobiety – porównałem z tymi na szyi, powstałymi tuż przed śmiercią denatki.

Klein zbliżył się do stołu, na którym leżała zamordowana. Popatrzył na ciemne siniaki.

– Po czym pan wnosi, że w obu przypadkach ślady zostawił ten sam mężczyzna?

Kuhnast się uśmiechnął. Skinął głową, jakby gotów był wykonać jakąś cyrkową sztuczkę.

– Proszę spojrzeć. Mężczyzna wbijał palce w ciało z dużą siłą, jakby chciał sprawić kobiecie ból. Zapewne sprawił... Ślady są bardzo wyraźne, choć osoba ta miała założone rękawiczki. Co ciekawe, te spotkania kochanków musiały się odbywać już kilka razy wcześniej. Świadczą o tym identyczne zasinienia sprzed kilku dni, a nawet tygodni. Najświeższe ślady odnajdziemy na szyi i policzku. Morderca zasłonił kobiecie usta tuż przed poderżnięciem jej gardła. Chciałbym, żeby przyjrzał się pan właśnie im. Czy dostrzega pan coś nietypowego?

– Odcisk palca środkowego nie jest tak wyraźny jak pozostałych palców... poza tym...

– Tak? – Kuhnast spojrział z zainteresowaniem na Kleina.

– Ten odcisk powinien być wysunięty nieco w przód. Takie jest naturalne ułożenie opuszek, jednak ślad widnieje poniżej tego zostawionego przez palec wskazujący i serdeczny...

– Brawo. – Kuhnast z uznaniem skinął głową. – Większość osób dostrzegłaby, że ślad jest mniej wyraźny, niewielu zapytanych skonstatowałoby, że odcisk środkowego palca nie powinien się znajdować w miejscu, w którym widnieje.

– Czy możemy stwierdzić na podstawie tych obserwacji, że jest to jakaś wada? Palec tego mężczyzny jest... krótszy?

– Oczywiście – przytaknął Kuhnast. – Mordercy powinien pan szukać wśród tych, którym brakuje części palca środkowego w prawej dłoni.

– Doktorze... stopniuje pan napięcie w sposób mistrzowski. – Klein z szacunkiem spojrział na Kuhnasta.

Ten skinął głową z udawaną skromnością.

– Dziękuję, kapitanie. Przypuszczam jednak, że to nie koniec pańskich pytań. Przyjechał pan do Kłodzka w sprawie Franza Koschelli. Po pana wyjeździe kilkakrotnie rozmawiałem z wachmistrzem. Muszę panu powiedzieć, że zmieniłem o nim zdanie. Wcześniej miałem go za... gburą i półgłówką. Cóż, obaj wiemy, jaki jest Franz Koschella. I wydaje mi się, że i ja dostrzegłem w nim ostatnio to, co pan. Przyznaję, że nabrałem do niego szacunku. Nie dziwi mnie, że zdecydował się pan przyjechać, by mu pomóc.

Klein pozostawił tę uwagę bez komentarza.

– Odwiedziłem mieszkanie wachmistrza – rzekł. – Znalazłem tam broszurę, z której wynikało, że Franz tuż przed wydarzeniami w Mariannenbad interesował się zagadnieniem identyfikacji zwłok.

– To prawda – przyznał z powagą Kuhnast. – Ze mną także odbył rozmowę na ten temat. Byłem wtedy zaskoczony poziomem jego wiedzy. Zadał kilka zaskakujących pytań, choć widać było, że musiał się sam doksztalać. Doceniłem jego wysiłek, bo po raz pierwszy spotkałem się z sytuacją, w której kłodzki policjant dążyłby tak wyraźnie do samodoskonalenia. Wtedy nie zdawałem sobie sprawy, do czego ta wiedza była mu potrzebna... Po wydarzeniach w miejskiej łaźni poczułem się oszukany. Wydawało mi się, że wachmistrz chciał wszystkich przechytrzyć, dokonać zabójstwa Rabego i zbecześcić zwłoki do tego stopnia, by identyfikacja ofiary była niemożliwa.

– Zmienił pan zdanie?

– Cóż – Kuhnast zmarszczył brwi – Koschella był pilnym słuchaczem mojego krótkiego wykładu. Mówiłem mu o podejmowanych przez patologów metodach, które zresztą zastosowałem przy identyfikacji zwłok z Mariannenbad. Wiedział o nich, nie posądzam go o brak inteligencji lub słabą pamięć...



Traktując Rabego prądem, a potem podpalając zwłoki, utrudnił mi pracę, ale jej nie uniemożliwił...

– W jaki sposób zidentyfikował pan Bastiana Rabego?

– Dochodzimy do sedna, panie kapitanie. – Kuhnast odetchnął głośno. – Szczątki były zwęglone. Do identyfikacji posłużyła mi karta dentystyczna pacjenta użyczona przez jego osobistego dentystę. Doszedł do tego jeden dość charakterystyczny znak szczególny ofiary... Wiemy obaj, o co pan chce zapytać, panie Klein...

– Proszę więc udzielić na to pytanie odpowiedzi – zaproponował kapitan.

– Bastian Rabe nie miał czubka palca środkowego prawej dłoni. – Kuhnast zaśmiał się nerwowo. – Przez chwilę, zanim pan tu przyszedł, miałem niemiłe wrażenie, że trup wyszedł z lodówki i grasuje po mieście. Mam jednak nadzieję, że będzie miał pan inne zdanie na ten temat.

– Czy porażenie prądem było przyczyną śmierci osoby, którą odnaleziono w Mariannenbad?

– Nie. – Kuhnast poprawił okulary, które zsunęły mu się z nosa. Chyba poczuł się urażony, że kapitan zignorował jego słowa. – Chciałem podzielić się z panem moim dzisiejszym odkryciem. Mówiłem panu, że identyfikacja ofiary była trudna do ustalenia ze względu na zwęglenie szczątków, jednak odkryłem obrażenia, których mężczyzna musiał doznać nieco wcześniej. Nie wykluczam, że jedno z nich mogło się przyczynić do jego śmierci. Mogę za to z niemal całkowitą pewnością powiedzieć, że mężczyzna, o którego morderstwo oskarża się wachmistrza Koschellę, nie żył już przed potraktowaniem jego ciała prądem elektrycznym.

Te rewelacje nie zrobiły na Kleinie takiego wrażenia, jakiego spodziewał się patolog.

– Czy do tych obrażeń, które powstały, jak pan to ujął, nieco wcześniej, możemy dołączyć obcięty palec?

Kuhnast skinął głową jakby wbrew sobie. Widać było, że z każdą chwilą czuje się coraz bardziej nieswojo.

– Panie Klein, spójrzmy prawdzie w oczy... Myśli pan, że w Mariannenbad odkryliśmy zwłoki kogoś innego? Że to nie Bastian Rabe leży w naszym prosektorium?

– Czy jest taka możliwość, doktorze?

Kuhnast zacisnął usta, po chwili rozchylił je z głośnym pyknięciem.

– Wzrost i budowa ciała odpowiadają wymiarom Bastiana Rabego. Jak pan wie, nie zapomniano o charakterystycznym znaku szczególnym, uciętym palcu. Nie mam jednak pojęcia, w jaki sposób dano by sobie radę z uzębieniem. Sprawdziłem to dokładnie, wszystko zgadzało się z odpisem z karty dentystycznej z gabinetu doktora Emila Weissa...

– Bastian Rabe ma udziały w wielu przedsięwzięciach prowadzonych w tym mieście. Jest bardzo prawdopodobne, że należy do nich także gabinet dentystyczny. Karty pacjenta mogły zostać podmienione, odpowiednio spreparowane. Sądzę, że wystarczy dokładnie wypytać o to dentystę...

Kuhnast pobladł. Być może dopiero teraz dotarło do niego, że istnieje taka możliwość.

– Kogo więc trzymam tutaj, w lodówce prosektorium, jeśli nie Rabego?

– Nie jestem jasnowidzem, doktorze. Jedyne, co można powiedzieć z całą pewnością, to, że była to osoba fizycznie do Rabego podobna.

– Nic z tego nie rozumiem. – Kuhnast oparł się ciężko o stół, potrząsnął głową, jakby miał nadzieję, że uda mu się wybudzić z koszmaru.

– Osobnik, którego podsmażył Franz Koschella w Mariannenbad, nie żył już w chwili, gdy doszło do całego przedstawienia z porażeniem prądem i spaleniem zwłok. Nie był nim, jak wszyscy sądzili, Bastian Rabe. To pan już, doktorze, ustalili. – Klein zawiesił głos, czekając, aż Kuhnast skinie głową i oswoi się z nową sytuacją. – Możemy za to uznać, że ów Rabe, podejrzany o uprowadzenie Sabine Hunfeld, wciąż żyje. Czy sądzi pan, że gdyby nie przypadek

śmierci Magdy Ross, przyszłoby panu do głowy zakwestionować tożsamość zwłok Bastiana Rabego?

– Myślę, że było to kwestią czasu. – Kuhnast się zasepił. – Wykonałem kilka dodatkowych badań, na ich wyniki wciąż jednak czekam. One najpewniej zakwestionowałyby wcześniejsze ustalenia. Zwłaszcza przyczynę śmierci. Przyznaję jednak, że do dziś nie przeszło mi nawet przez myśl, że na stole sekcyjnym jest ktoś inny niż Bastian Rabe... Nie kwestionowałem tego, zwłaszcza że...

– Tak, doktorze?

– Wachmistrz Koschella. Myślę, że on w pewien sposób uwiarygodnił tę historię z zabiciem Bastiana... Poza tym wielu świadków z łaźni potwierdzało, że w pomieszczeniu, w którym doszło do zabójstwa, był Rabe. Wszystko idealnie do siebie pasowało. Mimo że, jak pomyślę, ani razu – urywany śmiech Kuhnasta zabrzmiał obco w pomieszczeniu prosektorium – ani razu nie przyznał, że podsmażył właśnie jego. Nawet nie wiem, czy ktokolwiek go o to zapytał.

– Ma pan rację – przyznał Klein. – Wachmistrz uwiarygodnił śmierć Rabego. Od początku to było celem.

– A ta sprawa w więzieniu wczoraj – patolog spojrzał pytająco na Kleina – to dalsza część tej gry?

– Na to wygląda.

– Dlaczego? Dlaczego wachmistrz włączył się w tę hucpę? – Kuhnast uniósł ręce, jakby się poddawał. Pokręcił głową na znak, że nie jest w stanie objąć wszystkiego rozumem. – Nie chce mi pan chyba powiedzieć, że wachmistrz współpracuje z Rabem? Że pomógł mu w tej mistyfikacji, a teraz pozbywa się jego dawnych współników. Oszalał? Czyżbyśmy się jednak w ocenie wachmistrza pomylili?

– Nie sądzę – zaprzeczył Klein. – Franz Koschella bierze w tej grze udział, bo nie ma wyboru. Dla pocieszenia jednak dodam, doktorze, że wydaje mi się, że wachmistrz prowadzi ją teraz na własnych warunkach.

\*

– Popatrz na siebie, Paul. Wyglądasz jak siedem nieszczęść. Śmierdzisz, jesteś wrakiem człowieka!

Seipelt spojrział krzywo na żonę. Prosiła się o lanie, nie był jednak zdolny do żadnej reakcji. To chyba podziało na nią gorzej niż uderzenie. Zobaczył to w jej oczach – strach. Spodziewała się ciosu w twarz, popchnięcia, szarpaniny, tymczasem Paul stał nieruchomo, patrzył w lustro, jakby zobaczył w nim trupa.

Bo tak właśnie jest, pomyślał Seipelt. Patrzył na chodzącego trupa, ten smród, o którym wspomniała Asta, był trupim odorem. Cmentarną wonią rozkładającego się ciała. Tliły się w nim jeszcze resztki życia, ale tymi resztkami nie najadłby się nawet kundel.

– Paul? Widzę, że coś się dzieje. Co ty chcesz zrobić? Mów do mnie, Paul!

– Wychodzę. – Z gardła Seipelta wyrwało się jedynie krótkie szcęknięcie. Przez chwilę wydawało mu się, że dotyk Asty mu pomoże, że dzięki niemu przestanie chwiać się nad przepaścią, która go przyzywa, ale nie. Nawet Asta nie miała takiej mocy.

Gdy stanęła mu na drodze, odepchnął ją. Uderzyła głową o ścianę, osunęła się na podłogę, zaczęła szlochać. To też się zmieniło – przecież zawsze płakała dopiero wtedy, gdy było po wszystkim, gdy po gwałtownym wyładowaniu ją przepraszał. Albo gdy zaspokoił się i w łóżku odwracał do niej plecami, udawał, że śpi. Wtedy dopiero...

Zatrzymał się. Popatrzył na nią. Wydawało mu się, że odczuwa pożądanie, ale to nie była chuć, to było coś innego, palącego, ten niecierpliwy robak w trzewiach.

– Muszę – powiedział. Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

W korytarzu zatoczył się, zrzucając z wieszaka palta i kurtki. W końcu wybiegł z kamienicy. Miał wrażenie, że z trudem wypłynął na powierzchnię, odbiwszy się od mulistego, martwego dna.

Poślinił dłoń i przyglądał włosy, odruchowo sprawdził kieszeń. Tkwił w niej gruby zwitek pieniędzy.

\*

Gabriele von Magnis wciąż nie dotarła do informacji, których oczekiwał Wilhelm Klein. Trudno było jej przełamać nieufność ludzi. Owszem, znali ją, coraz częściej z nią rozmawiali, ona także poznawała ich i ich historie, jednak pewne sprawy wciąż pozostawały w sferze tabu. Gdy nierozważnie naciskała, zamykali się w sobie, odwracali od niej i po prostu odchodzili.

Powoli traciła nadzieję. Łudziła się, że wieść o śmierci Magdy Ross coś zmieni, sprawi, że inni się otworzą. Nic bardziej mylnego. Uciekali przed nią wzrokiem, jakby to jej powinni się obawiać. Może uznali, że sprowadziła na Magdę i Haima nieszczęście? Co, jeśli rzeczywiście tak było?

Wydała ostatni posiłek i usiadła naprzeciw pani Grüner. W jadalni lazaretu było chłodno i cicho. Ta cisza dzwoniła w uszach.

Staruszka jadła w milczeniu, przeżuwała skórkę chleba i patrzyła w blat. Zachowywała się inaczej niż zwykle. Nawet ona. To było zupełnie do tej kobiety niepodobne, powinna już przynajmniej kilka razy wspomnieć o synu.

– Czy wszystko dobrze, pani Grüner? Dobrze się pani czuje?

Kobieta skinęła głową. Szybko, jakby nawet tej formy kontaktu starała się unikać.

Gabriele zapatrzyła się w ten sam punkt na blacie. Co ma teraz zrobić? W jaki sposób pomóc Haimowi? Skąd wyciągnąć informacje, których potrzebował Klein? Może powinna była raczej porozmawiać o Magdzie z policjantami? Kto, jeśli nie oni mógł mieć informacje z kłodzkiego półświatka?

Przecucie mówiło jej, że to byłby błąd. I tutaj zapewne panowała zmowa milczenia. Ktoś przecież pozwalał na ten cały proceder, na wykorzystywanie kobiet, bicie i zastraszanie. Nawet jeśli obecnie w tutejszym podziemiu panował chaos, to policja stała z boku, nie robiła zupełnie nic, żeby temu zapobiec. Jakby czekała na jakieś rozstrzygnięcie. Na to, aż znów wszystko wróci do normy...

– Haima nie ma?

W pierwszej chwili nie zrozumiała słów wypowiedzianych przez panią Grüner.

– Nie ma Haima – potwierdziła.

Przełknęła ślinę i zacisnęła dłonie. Rozejrzała się po sali. Wszyscy, których wcześniej wypytywała, ulotnili się z lazaretu, jakby nad Gabriele unosiło się morowe powietrze. Uciekali przed nią czy przed własnym sumieniem? Nie powinna być dla nich tak delikatna, prosiła o informację, zamiast jej zażądać. Zabrakło jej stanowczości.

– Mój syn także zaginął...

Zamarła. Spojrzała na starowinkę. Kobieta przeniosła wzrok ze stołu na nią. Błękitne oczy wydawały się niemal przezroczyste.

– Pani Grüner. Pani syn na pewno...

Kobieta nie dała jej dokończyć. Uniosła drżącą, pomarszczoną dłoń i wyprostowanym palcem dała znać Gabriele, by milczała.

– Synowi już nie pomogę. Haim... on musi się znaleźć.

Gabriele poczuła ucisk w gardle, skinęła głową.

– Próbuję, ale nie wiem, co robić.

– Niech pani pójdzie ze mną...

Pani Grüner wsparła się na blacie, z trudem uniosła z ławy. Gabriele także wstała, pomogła staruszce wyjść z za stołu. Uścisk drobnych palców na dłoni parzył. Skóra kobiety podobna była w dotyku do chłodnego, zgniecionego papieru.

– Chodź, dziecko.

Gabriele poczuła, jak pani Grüner ciągnie ją za sobą z siłą, o którą trudno było ją podejrzewać. Wydawała się tak krucha, że byle podmuch wiatru zdawał się dla niej śmiertelnym zagrożeniem.

– Gdzie mnie pani prowadzi? – zapytała Gabriele.

Wiedziała, że właśnie dzieje się coś ważnego. W tej ścianie, z którą się zderzyła, w zmowie milczenia, powstała rysa. W miejscu, w którym spodziewała się tego najmniej. Nie musiała uderzać głową w twardą przeszkodę, by ją nadkruszyć. Ten proces zaczął się dawno temu, wystarczyło się upomnieć, by przyspieszył.

Opuściły Minoritenkirche i wkrótce pięły się w górę rynku. Pani Grüner szła w milczeniu, trzymając Gabriele pod ramię. Noga za nogą, jednostajnym tempem, które pozwalało jej nie zatrzymywać się po drodze.

Mimo wszystko Gabriele i tak miała wrażenie, że w tej podróży czas stanął w miejscu, a nawet że one same znalazły się poza czasem. Mijający ich przechodnie stali się ledwie dostrzegalnym elementem dekoracji. Nawoływania i okrzyki sprzedawców, gwar rozmów i stukot końskich kopyt dochodziły do niej spłaszczone, blakły w rozpraszającym się, urywanym echu.

Wkroczyły na Frankensteiner Strasse. Gabriele w cieniu kamienic nie była w stanie dostrzec górującej nad miastem twierdzy, wyczuła jednak jej milczącą obecność. Zupełnie jakby donżon budowli skrywał w sobie uśpionego giganta, jakąś zbiorową świadomość wypełniającą korytarze i pomieszczenia.

Wkrótce w tej wędrówce u boku pani Grüner Gabriele odnalazła swój rytm. Po raz pierwszy spojrzała inaczej na świat, bez pośpiechu, bez rozedrganych powidoków, które odbijały się na siatkówce przez ledwie ułamek sekundy. Dostrzegła detale bram, figurę Matki Boskiej u szczytu kamienicy i naruszoną zębem czasu figurę jakiegoś świętego. Patrzyła na wystawę sklepu z cygarami Pfaffa, witrynę pralni i składzik rodzinnej fabryczki kielbasy. W tej części ulicy dominował zapach kawy i chleba bijący od królestwa mistrza piekarskiego Schwarzera. Miła odmiana po wdychaniu kłocznych wyziewów wąskich uliczek centrum.

Gabriele zastanawiała się, czy pani Grüner zwraca uwagę na owe wonie podczas swojej codziennej wędrówki. Popatrzyła na towarzyszkę. Ta niewzruszenie szła przed siebie, jakby zupełnie nieczuła na bodźce zewnętrzne.

Wkrótce zatrzymały się przed jedną z kamienic. Gabriele zwróciła uwagę na wmurowaną obok portalu płaskorzeźbę. Pamiętała, że nazywano ją chustą świętej Weroniki. Oblicze Jezusa, na które teraz patrzyła, było przejmujące. Artysta uchwycił szczególną chwilę,

w której na twarzy Bożego syna widać było śmiertelne znużenie. Gabriele pamiętała, jak jeden z zakonników opowiadał jej historię ocalenia tej rzeźby. Początkowo wmurowana była w ścianę klasztoru augustianów, jednak gdy budynki zakonników rozebrano, dzieło ocalił jeden z mieszkańców Kłodzka. W końcu płaskorzeźba znalazła się w tym nieoczywistym miejscu.

– Chodź, dziecko, chodź...

Gabriele pchnęła skrzydło bramy. Znalazły się w korytarzu, starsza kobieta od razu skierowała się w stronę wyjścia na niewielkie podwórze. Mieściło się tam kilka dobudówek, które zamieniono na komórki i niewielkie składziki. Skierowały się do jednej z nich.

Pani Grüner pociągnęła drzwiczki i weszła do ciemnego wnętrza. Gabriele z wahaniem podążyła za nią.

Uderzył ją w nozdrza zapach wilgoci i niemytego ciała. Zwalczyła mdłości. Przyzwyczała wzrok do półmroku i wtedy zobaczyła siedzącego na posłaniu chudego, brudnego mężczyznę.

Patrzył na nią, jakby zobaczył ducha. Pomyślała, że w tej chwili oboje są równie przerażeni.

Grüner podeszła do starca, pogłaskała go po burych strąkach włosów. Wyszeptała coś do niego, ale słowa, które miały zapewne go uspokoić, przyniosły odwrotny skutek. Starzec zamachał rękami, wydawało się, że chce uderzyć kobietę. Gabriele już miała pospieszyć jej z pomocą, ale wzrok znajomej kazał jej pozostać w miejscu.

– Powiedz jej, powiedz!

Teraz usłyszała jej słowa. Bardziej natarczywe. Wyrzuciła mu je wprost do ucha, powodując, że zatrzęsł się, jakby odwykł od takiego natężenia dźwięku.

– Czego chcesz? – wychrypiał.

Zdała sobie sprawę, że mówi do niej.

– Szukam... szukam chłopca, Haima. – Skinienie głową pani Grüner utwierdziło ją w przekonaniu, że właśnie o to miała zapytać.



– Zniknął. Porwali go, a jego matkę, Magdę Ross, zabito.

Starzec potrząsnął głową. Zatkał sobie uszy, ale pani Grüner złapała go za nadgarstki i szarpnęła. Patrząc na tę niemą walkę, Gabriele czuła narastające przerażenie.

– Muszę znaleźć Haima. – Ledwie opanowała drżenie głosu. – Proszę mi pomóc. Jeśli jest jeszcze gdzieś w tym mieście...

Zaśmiał się. Wydało jej się, że doznał pomieszania zmysłów, lecz zaraz zrozumiała, że śmiech wzbudziły jej słowa.

– Jest wciąż tutaj? Pan coś wie?

Wymamrotał coś, czego nie rozumiała. Była pewna, że sama także zaraz oszaleje.

– Nie, nie jest w mieście, nie... – wychrypiał. – Nie jest w mieście. Jest już pod ziemią...

Gabriele spojrzała w ciemną jamę bezzębnych ust, zakręciło jej się w głowie. Oparła się o ciemną pokrytą liszajem ścianę.

– Co pan mówi! – podniosła głos. Zobaczyła lęk na twarzy mężczyzny, twarz pani Grüner pozostała za to niewzruszona. – Haim nie żyje? To mi pan chce powiedzieć?!

– Nie. – Znów zasłonił uszy dłońmi i zaczął nucić i buczeć jak dziecko, które chce zagłuszyć słowa rodziców.

Gabriele nie zastanawiała się nad tym, co robi. W kilku krokach znalazła się przy mężczyźnie. Chwyciła go za nadgarstki, podobnie jak wcześniej jego opiekunka, i pociągnęła je z większą siłą, niż zamierzała.

Dostrzegła strach w oczach starca, jednak nie zwolniła uścisku.

– Haim. Czy Haim żyje?

Skinął głową, skrzywił się, w jego oczach pojawiły się łzy. Wyglądał jak skarcone dziecko.

Gabriele popatrzyła na swoje dłonie, jakby należały do obcej osoby, jakby wyłącznie ta obca osoba była zdolna do sprawienia bólu drugiemu człowiekowi.

– Gdzie jest... – wyszeptała. – Gdzie Haim?

Patrzyła, jak wskazuje kciukiem w dół i porusza nim kilkukrotnie. Znów szeroko rozwarł usta i wystawił język.

– Pod ziemią. Nie w tym mieście, głupia, w tym drugim... Tym, co pod nami.

\*

Po wyjściu na ulicę Gabriele musiała się oprzeć o framugę bramy. Drżała na całym ciele. Rozmowa ze starcem pozbawiła ją sił. Powiedział jej wszystko, co chciała. Wyciągnęła to z niego, choć znów próbował zamknąć się w sobie. Nie poznawała własnych reakcji. Była zdolna sprawić mu ból, byle tylko wyszarpać z niego wszystkie informacje. Kim się stała?

Odetchnęła głęboko, raz, potem drugi, ale wciąż brakowało jej powietrza. Wiedziała, że to atak paniki. Była bliska omdlenia. Wyobraziła sobie, że jej serce zaciska się z ogromną siłą i w tym uścisku już pozostaje.

Znów popatrzyła na rzeźbę, na twarz cierpiącego Jezusa i chustę, pod którą skrywał się zapisany pergamin. Wiedziała już, dlaczego przeniesiono posąg w to miejsce. Był niczym wyrzut sumienia, niczym symbol zadżumionego miasta.

Wyprostowała się, przyglądała suknię i ruszyła chodnikiem w stronę rynku. Ponad dachami budynków dostrzegła zarys twierdzy. Myliła się – ta mityczna jaźń, którą sobie wyobrażała, nie drążyła tunelu w głąb zamkowej góry. Ona rozprzestrzeniała się niczym zaraza w trzewiach tego miasta, chroniła się w nim, tworząc nowe królestwo.

\*

Klein wszedł do lazaretu przy Minoritenkirche i z miejsca zaczął walczyć z napierającymi obrazami z przeszłości. Jego zmysły pobudzone były przez zapachy, którymi przesiąkły ściany korytarzy i zajmowanych przez chorych niewielkich pokoików. Te wonie

mieszały się i kłębiły w płucach, przedostawały się do krwiobiegu, jakby wraz z każdym oddechem kapitan wchłaniał gorączkę tego miejsca. Był pewny, że w ostatnim roku to wszystko przepracował, że udało mu się na powrót osiągnąć równowagę, jednak chwile takie jak ta, utwierdzały go w przekonaniu, że się mylił. Stał na krawędzi, chwiejny, pełen słabości. Poniżej czekała otchłań, którą znał i w której wielokrotnie się zanurzał. Była ciepła, wilgotna i przyzywała go coraz mocniej.

Jedna z zakonnice wskazała mu drogę do gabinetu siostry Grety. Gdy stanął wreszcie przed jej drzwiami, całe jego ciało oblał zimny, lepki pot. Wstrząsały nim dreszcze, nad którymi nie panował. Wiedział, co złagodziłoby te przykre doznania.

Zapukał w drzwi, a gdy usłyszał kobiecy głos, nacisnął klamkę.

Stanął naprzeciw wysokiej, trzymającej się przesadnie prosto kobiety. Na jej pomarszczonej twarzy nie dostrzegł cienia emocji. Usiadła za biurkiem, a swojemu gościowi wskazała miejsce naprzeciw.

– Czego pan chce, kapitanie Klein?

– Przecież pani wie, siostrze...

– Będzie pan moim wyrzutem sumienia?

Wilhelm Klein nie odpowiedział. Czekał na to, co kobieta ma mu jeszcze do powiedzenia. Przymknął powieki, starając się nie poddawać trawiącej ciało gorączce. Gdy znów je uniósł, powidoki przeszłości wyblakły, zamiast twarzy, które dawno odeszły, spoglądał teraz na te z portretów wiszących na ścianach gabinetu.

– Wie pan, że nigdy go nie lubiłam? – odezwała się zakonnica. – Nie powinnam żywić takich uczuć, zwłaszcza wobec dzieci, a Franz, kiedy go poznałam, był przecież dzieckiem. Widziałam w nim jednak coś, czego nienawidziłam z całego serca. Upór i krnąbrność. Brak pokory...

Klein patrzył, jak kobieta kładzie dłonie na blacie. Jej blada twarz i ciemne obwódki wokół oczu zdradzały zmęczenie. Zmarszczki na czole ułożyły się w proste, głębokie kreski nadające twarzy surowy

wyraz. Wydawało się, że ta kobieta nie potrafi się uśmiechać, mięśnie jej twarzy nie pozwalają na uniesienie kącików ust. Jej oblicze to maska, pomyślał Klein, taka jak teraz jego własna.

– Mimo to wczoraj pani mu pomogła... – wychrypiał. Więcej słów z siebie nie wydobył.

– Powiedział mi o swoim synu. – Siostra Greta przyglądała mu się uważnie. Z tej obserwacji musiała wynieść jakieś spostrzeżenia, bo przez jej oblicze przemknął cień. – O tym, że został porwany i teraz on sam jest szantażowany przez porywacza. Uwierzyłam mu. Bo mimo owego uporczywości... Koschella był zawsze prawdomówny. Wiedziałam, że nie kłamie.

– Słyszała siostra o wydarzeniach w Mariannenbad. Mimo to nie zmieniła zdania. – Klein rejestrował każde wypowiedziane przez zakonnicę słowo, choć czuł, że ich znaczenie mu się wymyka. Próbował skoncentrować wzrok na twarzy jakiegoś świętego. Odniósł wrażenie, że ten ucieka spojrzeniem i próbuje się odwrócić od niego plecami.

– Wie pan, kapitanie... – Zakonnica sięgnęła do szuflady biurka i wyciągnęła z niego paczkę papierosów. Uniosła ją w stronę Kleina, ale ten odmówił. Zapaliła i dopiero po chwili, gdy zaciągnęła się głęboko, zaczęła mówić dalej. Szary tłusty obłok przesunął się w kierunku Kleina, o dziwo oczyszczając jego myśli. – Franz miał pięć lat, kiedy trafił do sierocińca. Dostawał po łapach równie często co inni, ale jednym się wyróżniał: nawet jeśli mógł ocalić skórę jakimś drobnym kłamstwem, nigdy tego nie zrobił. Mówił prawdę prosto w oczy. Wtedy wydawało mi się, że to przejaw jego zepsucia, brak skruchy i godna potępienia pewność siebie. Proszę mi wierzyć, trudno było nauczyć go pokory.

– Wierzę.

W odpowiedzi na to wtrącenie siostra Greta wypuściła w stronę Kleina nowy kłęb dymu.

– Po kilku latach, o dziwo, chłopak znalazł dom – ciągnęła. – Przygarnęła go rodzina szewca mieszkająca przy Böhmische Strasse.

Do dziś nie wiem, dlaczego wybrali tę krnąbrną cholere. Może dostrzegli w nim coś, czego ja nie widziałam, a może po prostu Franz tak bardzo różnił się od dziecka, które stracili. Dbali o Koschellę, muszę to przyznać. Chcieli, żeby umiał pisać i czytać, mieli też nadzieję, że z czasem przejmie warsztat. Ale na to się nie zanosilo, widać bylo, że Franz nie nadaje się do roboty, w której trzeba przysięść na dupie. Z czasem to zaakceptowali.

Klein się uśmiechnął. Siostra Greta także nie należała do pokornych, widać było, że lubi mieć swoje zdanie. Zapewne nie cofała się przed mówieniem prawdy prosto w oczy, choć raczej nie przyszłoby jej do głowy, by uznać to za oznakę zepsucia.

– Szewc z żoną, gdy przygarnęli Franza, byli już starcami – mówiła dalej – i wkrótce to on musiał zajmować się nimi. Myślałam, że ucieknie, zostawi ich. Nie doceniłam go. Oboje zmarli, gdy chłopak miał szesnaście lat. Znow został sam. Pamiętam, że odwiedziłam go wtedy.

Przez twarz siostry Grety po raz kolejny przemknął jakiś cień, jakby tym razem niechętnie wracała do przeszłości.

– Wie pan, kapitanie... Nasze hrabstwo nazywa się krajem Pana Boga. I ja, przyznam, często przypominałam podopiecznym, żeby pamiętali, że w owym kraju Pana Boga żyją. Wtedy, podczas rozmowy z Franzem, gdy znow o tym wspomniałam, usłyszałam w odpowiedzi kilka słów. Wie pan jakich?

– Nie.

– Powiedział: „Siostro Greto, Bóg tę swoją krainę ma w dupie, już dawno tu nie mieszka”. – Zakonnica zaciągnęła się dymem. Przytrzymała go w płucach, po czym gwałtownie wypuściła nosem. – To zdanie... uświadomiłam sobie, że dobrze je znałam. Za każdym razem przychodziło mi na myśl, gdy mówiłam tę swoją regułkę. Nigdy jednak nie wypowiedziałam go na głos. Wypowiedział je za mnie Koschella...

Klein w milczeniu pokiwał głową.

– Chwile zwątpienia pojawiają się często, zwłaszcza gdy człowiek widzi wokół siebie tyle nieszczęścia i wie, że sam nie podoła, nie pomoże wszystkim potrzebującym. Wtedy obwinia o wszystko Boga. Bo gdzie był ten Wszechmocny, kiedy matkę i dziecko zatłukł pijany ojciec, gdzie się schował, kiedy dopadła mnie śmiertelna choroba albo kiedy okaleczyła mnie wojna? Ale patrząc wtedy na tego chłopaka, zdałam sobie sprawę z jeszcze jednej rzeczy. Bóg tu mieszka. Naprawdę, panie Klein. Wie pan gdzie? W ludziach. Może nie takich jak pan czy Franz, nie takich jak ja... ale on nigdzie nie uciekł, jest i nas prowadzi.

Zgasła papierosa i wstała, Klein poszedł jej śladem. Po chwili przekroczył próg gabinetu zakonnicy, zaraz jednak odwrócił się do niej, nie pozwalając, by zamknęła za nim drzwi.

– Gdzie Bóg poprowadził Koschellę teraz? Wie siostra, gdzie go znajdę?

Kobieta potrząsnęła głową.

– Zapewne wciąż w krainie Pana Boga – powiedziała oschle. – Jestem pewna, że nigdzie nie wyjechał.

W głębi korytarza rozległo się echo donośnych kroków. Klein podążył za wzrokiem zakonnicy.

– Nie powiedział tego ani mnie, ani Gabriele. Myślę jednak, że jest tam, gdzie czuje się bezpiecznie.

Wilhelm poczuł na policzku podmuch wiatru, a po chwili usłyszał trzask zamykanych drzwi.

Siostra Greta zniknęła w swoim gabinecie. W jego stronę nerwowym krokiem zmierzała Gabriele von Magnis. Był pewny, że udało jej się wykonać powierzone jej zadanie.

\*

Stary z trudem przeżuwał skórkę chleba, raz po raz sięgał po kubek z wodą i upijał łyk. Zapewne szósty zmysł sprawił, że w jednej chwili przestał poruszać szczęką i zapatrzył się w ciemność podwórza.

– Kto tam? – wymemlał niewyraźnie.

Klein zbliżył się do otwartych drzwi. Zaduch panujący w komórcie zdawał się wżerać w skórę, oblepiać ją gęstą zawieszoną wyziewów ciała, smrodu nadpsutego jedzenia i nagromadzonych śmieci. Kapitan wkroczył do środka niechętnie, to miejsce przywoływało wspomnienia, które ukrył gdzieś na dnie świadomości.

– Poprowadzisz mnie tam – powiedział. – W miejsce, o którym mówiłeś Gabriele.

Stary wypluł na dłoń rozmemłany chleb, uformował z niego kulkę i odłożył na stół.

– Wiedziałem, że przyjdiesz. Czekałem. Zawsze widzę cię w ciemności...

Mężczyzna zaniósł się śmiechem. W jego oskrzelach zaświszczało, jakby hulał w nich wiatr. Okryty był jakimś prześcieradłem, które teraz zsunęło mu się z ramion, odsłaniając bladospine ciało. Worek kości nakryty skórą. Jeszcze niedawno patrząc w lustro, Klein widział podobny wrak człowieka. Jego własne oczy miały równie chorobliwy blask.

– Poprowadzisz mnie, teraz.

Stary skinął głową, choć z wahaniem. Jakby jeszcze na coś czekał. Kleinowi przeszło przez myśl, że zaraz poprosi o obola, zażąda zapłaty za przewiezienie ciała – a może tylko duszy – przez mityczną rzekę.

– Idźmy.

Wiatr w płucach starego ucichł, jakby nawałnica zbierała siły do kolejnego uderzenia.

Mężczyzna podniósł się z siennika, zrobił to energicznie. Może przez cały czas spędzony w tej zatęchłej norze kumulował w sobie energię na ten moment?

Klein odsunął się od wejścia, ze zdziwieniem przyjął powiew świeżego powietrza. W ciemnościach panujących w komórcie dostrzegł błyski, których dostrzegać nie powinien. Jakby na siatkówce oka pozostały ślady minionych wydarzeń. One tam były, wciąż tkwiły niczym zadra wrośnięta w jaźń. Ten stary poruszył

taflę wody, którą Wilhelm tak usilnie starał się pozostawić niezmaconą.

Trup, żywa chodząca śmierć.

– Za mną, za mną...

Ciało starego zdawało się dziwnie klekotać. Kości wrzucone do tego ludzkiego worka uderzały i ocierały się o siebie. Dźwięk był radosny i rytmiczny – prawdziwie upiorny.

Podwórze zalane było intensywnym jasnym światłem. Słońce przesuwalo się nad twierdzą, tworząc cienie tam, gdzie być ich nie powinno. Klein miał wrażenie, że ta poświata drży, wprawia w ruch budynki, rozmywa kontury.

Przewodnik rozplynał się nagle w ciemnym otworze prowadzącym do piwnic kamienicy. Rozpuścił się w nim, wychodząc ze słońca w martwy cień. Zaraz jednak patykowata ręka wysunęła się ze szczeliny i uchwyciła Kleina za nadgarstek.

Wilhelm ruszył przed siebie, a właściwie w dół, nisko pochylony, jakby napierał na niewidzialną błonę. Przez chwilę przytrzymała go w miejscu, w końcu jednak puściła, a on poczuł się lżej, gdy namacał chropowaty tynk, a stopy natrafiły na kamienne schody.

– Tego wejścia nie znają.

Klein odczuwał chłód starych murów zawilgoconej kamienicy. Ten spadek temperatury był kojący, pozwalał trzeźwiej myśleć i nie dać się ponieść wyobraźni i ceniom przeszłości.

– Pomóż, odsuń.

Ręka starego naprowadziła go na zasuwę i piwniczne drzwi. Pociągnął ją, szarpnął drewnianą bramką. Stała otworem.

Weszli w ciemność. Stary poruszał się jak ślepiec znający każdy zakamarek swojego domu, Klein podążał za nim powoli, opuszczając stopy w nieprzenikniony mrok. Znow poczuł na nadgarstku kościste palce.

– To też odsuń. Tunel.

Stary pociągnął go w dół i kapitan rzeczywiście musiał się nachylić, by wymacać ciężką, żeliwną pokrywę. Była przechylona,



więc mógł złapać za jej krawędź. Przesunięcie jej kosztowało go sporo wysiłku, lecz jeszcze rok temu nie poruszyłby jej nawet na milimetr.

– Za mną idź.

Przewodnik bezszelestnie wsunął się w otwór. Klein wykonał polecenie, opuścił się w dół, a potem na czworakach podążył w jedynym możliwym kierunku.

– Nasłuchuj, masz lepszy słuch.

Do Kleina docierał jedynie szum krwi w skroniach, łomot serca i świst oskrzeli starego. Było też echo podziemnego strumienia. Po chwili dotarł do niego jakiś odległy pomruk, jakby gdzieś w trzewiach podziemi leżała uśpiona bestia. Był pewny, że nie jest tak odległa, jak mu się wydaje. Wciąż tkwiła w nim samym. Schodząc w tę ciemną otchłań, znów ją zobaczył, jej przymrużone ślepia pełne szaleństwa. Czekala na niego, była cierpliwa. Wiedziała o nim wszystko, obserwowała.

– Upomni się o ciebie...

Słowa szaleńca do szaleńca. Klein nie potrafił na nie odpowiedzieć.

– Możesz zapalić światło, mnie niepotrzebne, tobie tak...

Wilhelm poczuł, jak stary wciska mu lampę w dłoń.

Otworzył pokrywkę. Ze środka wypadło pudełko zapalek. Nie zamokły, udało mu się odpalić już pierwszą z nich.

Pierwsze, co dostrzegł w świetle, to usta starego. Były otwartą jamą, zdawały się kolejnym tunelem wiodącym w nicość. Klein poczuł, że gdyby nie światło lampy, wystarczyłby jeden krok, by ten bezzębny tunel go pochłoniął.

Stary przechylił głowę, przypatrując się Kleinowi. Skinął jak na powitanie dawno niewidzianego znajomego i dopiero wtedy opuścił się w dół.

Wilhelm poszedł jego śladem. Znaleźli się w tunelu wydrążonym w skale. Buty zanurzyły się w wodzie wypływającej z wyżej położonych podziemi.

– Pokażę ci jego królestwo. Zobacysz, co robi. Jeśli ostrzegę, schowaj lub zgaś światło...

Charon znów wyskoczył ku przodowi. Jego bose stopy nie wydawały żadnego odgłosu. Woda obmywała go wręcz pieśczośliwie. Klein starał się podążać za przewodnikiem równie cicho, ale strumień pod jego podeszwami nie był dla niego tak łaskawy.

Kilka wyrytych ostrym narzędziem napisów na ścianach, trudne do rozszyfrowania znaki. Wnęki ze starymi skrzyniami. Worki pływające w zatechłej brei. Trwało chwilę, zanim postawili nogę w suchej części tunelu.

Kluczyli. Klein od czasu do czasu unosił latarenkę, by zajrzeć w głąb jakiegoś pomieszczenia, widział przemykające cienie. Dosłyszał piskliwe odgłosy, z wody wyskakiwały szczury, leniwie, jakby intruzi stanowili jedynie element tła.

– Wciąż drążą, wciąż kopią... mało mu.

Klein zauważył kilka kupek gruzu. Musiały zostać tu przetransportowane z innych miejsc. Wciąż starał się utrzymać orientację, w pamięci układał mapę Kłodzka, kierunki świata, lecz wkrótce w jego głowie zapanował mętlik. Widział przed sobą jedynie plecy starego i jego opięty skórą kręgosłup.

Przystanęli. Klein przygasił światło, teraz ledwie się żarzyło. Ukrył latarenkę pod płaszczem i zaczął nasłuchiwać.

Znów odezwała się bestia. Od miarowego dudnienia wibrowało powietrze. Klein dotknął ściany – przez nią też przechodził impuls, ledwie wyczuwalny, jak echo odległego wspomnienia.

– Słyszysz?

Chlupot wody. Gruz wysypywany na kamieniste podłoże.

Klein zobaczył przy zakręcie korytarza rozedrgane światło, ruszył ostrożnie w tamtym kierunku. Przykucnął przy zakręcie i spojrzał w głąb tunelu. Widział, jak ogień pochodni trzymanej przez jednego z mężczyzn liże strop. Drugi z nieznajomych opróżniał taczkę. Po jakimś czasie rozplłynęli się w ciemnościach, a dudnienie powróciło.

Klein wysunął latarnię spod płaszcza. Zgasła. Nie był w stanie nic dostrzec w ciemnościach, nie wyczuwał też obecności starca. Być może Charon poszedł swoją drogą.

Kapitan wyprostował się, oparł o ścianę. Ciemność napierała ze wszystkich stron. Musiał podjąć decyzję. Ruszył za tamtymi.

Gruz. Starał się stąpać ostrożnie. Wystawił przed siebie dłonie, mając nadzieję, że nie wpadnie w jakąś dziurę. Po raz kolejny mignęło mu z daleka światło pochodni. Przyspieszył. Wiedział, że ryzykuje, ale przyszło mu do głowy, że może sprawy rozstrzygnie szybciej, niż zakładał.

Znów ciemność. Zakręt, powiew z kilku stron naraz, jakby otoczyło go kilkanaście uchylonych drzwi.

Usłyszał męski śmiech, przytłumione głosy zza jednej ze ścian. Muzyka, odgłos przesuwania sprzętów. Dźwięki podziemnego królestwa.

– Tam się spotykają. Tam szukaj Haima. Ale jeszcze nie teraz. Bestia w tobie jeszcze śpi.

Palce starca zacisnęły się kurczowo na jego nadgarstku. Klein poddał się tej sile, dotknął wychudłego ramienia i jak ślepiec podążył za tym, który wiedział lepiej i widział więcej niż on sam.

\*

Oskar Müller odebrał telefon od Wilhelma Kleina w swoim sklepie z artykułami żelaznymi i sportowymi, w narożnym budynku mieszczącym się przy strzelińskim rynku. W milczeniu wysłuchał tego, co przyjaciel ma mu do powiedzenia. Rozwagał jego słowa ledwie przez chwilę, bo Klein nie dał mu czasu do namysłu, lecz o dziwo myślał całkiem trzeźwo. Ową chwilę wykorzystał nie po to, by zastanowić się nad tym, czy jest w stanie spełnić prośbę Wilhelma, a na niezbędne obliczenia.

Po kilku sekundach oznajmił rzeczowo:

– Będę na miejscu o wpół do szóstej.

Odłożywszy słuchawkę, wypuścił ostatniego klienta, po czym, pamiętając o przesyłce, którą zostawił u niego listonosz, wyszedł na rynek. Słońce przygrzewało mocno, przechodnie poszukiwali cienia pod markizami licznych sklepów. Przy redakcji „Strehlener Kreis- und Stadtblatt” zaczepił Müllera Paul Schwarzer, z którym miał omówić druk nowego przewodnika po powiecie. Oskar zbył go dosyć szorstko, obiecując spotkanie w kolejnych dniach.

Nie dosłyszał odpowiedzi, bo znalazł się już po zachodniej stronie rynku, przy narożnej kamienicy, w której narodził się strzeliński noblista Paul Ehrlich. Dziś parter nieruchomości należącej niegdyś do rodziny Ehrlichów zajmował sklep z tekstyliami Alfreda Puffa. Oskar cieszył się, że władze miasta uhonorowały jednego z najwybitniejszych naukowców przynajmniej tablicą pamiątkową na budynku.

Wkrótce wkroczył w zacienioną Polnischegasse. Tu przystanął, szukając odrobiny chłodu, i ponownie rozważył instrukcje Wilhelma Kleina. Gdy uznał, że ze wszystkim sobie poradzi, rozejrzał się wokół. Lubił to gwarne miejsce, w którym niegdyś znajdowała się zajezdnia omnibusów zapewniających stałe kursy do Wrocławia. Woźnice i kupcy upodobali sobie zaułek nawet dziś, po obu stronach wąskiej uliczki stały szkapy zaprzężone do wozów wypełnionych różnym towarem. Mężczyźni pozdrowili Müllera energicznym uniesieniem dłoni.

Niedługo później Oskar znalazł się w swoim mieszkaniu. Do torby spakował najpotrzebniejsze rzeczy, ubrał się też w swój najlepszy garnitur. Żeby sprawiać wrażenie dystyngowanego, choć nieco zblazowanego dżentelmena, odnalazł w szafie należącą do dziadka laskę, którą zdobiła gałka wysadzana masą perłową. Po chwili wahania dołączył do tego zestawu monokl. Teraz wystarczyło tylko przygładzić wąsy, spryskać się obficie wodą kolońską i ruszyć w stronę dworca.

Starał się nie spieszyć, podążać spokojnym krokiem, ale i tak czuł, że po plecach spływa mu strużka potu. Szeroka Münsterberger

Strasse urosła do miana jednej z najbardziej reprezentacyjnych ulic w Strzelinie. Miało na to wpływ wybudowanie linii kolejowej – miasto naturalnie zaczęło się rozrastać w kierunku dworca. Müller lubił odbierać stamtąd odwiedzających go znajomych i proponować im krótki spacer w stronę miasta. Gdy było równie ciepło jak dziś, zatrzymywali się na kawę i ciastko w Hotelu Centralnym lub w knajpie Biały Rumak. Dopiero wtedy wchodzili na rynek, gdzie przyjezdni ulegali jego urokowi, dziwiąc się, że wielkością niemal dorównuje wrocławskiemu.

Müller znalazł nieco cienia na Bahnhofstrasse. Podążył wzdłuż alei kasztanowców i wkrótce dotarł do dworca, gdzie kupił bilet. Z tutejszej restauracji dochodziły go smakowite zapachy. Zdał sobie sprawę, że w swoim planie nie uwzględnił posiłku i głód będzie mu się dawał we znaki. Na razie myśli zajął wpatrywaniem się w wagony towarowe wypełnione strzelińskim granitem. Kiedyś jako dziecko codziennie obserwował długie składy wysyłane w stronę Wrocławia.

Już z daleka dobiegł go przeciągły gwizd zbliżającej się lokomotywy. Wkrótce kłęby pary położyły się na peronie, a Oskar wszedł do jednego z przedziałów. Przez szybę dostrzegł chłopca z kanapkami, który wyskoczył właśnie z restauracji dworcowej w poszukiwaniu klientów, otworzył więc okno i przywołał malca do siebie. Zakupiwszy butelkę wody mineralnej i dwie ociekające majonezem podłużne buły z szynką i serem, zajął wolne miejsce i położył zdobycz przed sobą na wysuwanym stoliku.

Dwóch mężczyzn siedzących w przedziale przypatrywało mu się przez chwilę. Müller uśmiechnął się do nich uprzejmie, założył nogę na nogę. Rozsiadł się niczym brytyjski lord, jednocześnie starając się, by laska wysadzana perłową masą była wystarczająco widoczna. Na jego oko znalazła ona uznanie wśród współpodróżnych. Müller pogratulował sobie nosa. Wybierając ten przedział, nie pomylił się. Coś mu mówiło, że owi dżentelmeni mają podobny cel podróży.

Zamierzał nawiązać z nimi przyjacielską pogawędkę, spożywanie kanapek bez żalu odłożył na czas nieokreślony.

\*

Niecałe dwie godziny później Wilhelm Klein obserwował z okien swojego apartamentu w Hotelu Dworcowym, jak pociąg z Wrocławia wjeżdża na kłodzki peron. Z oddali dostrzegł wychodzącego z wagonu przyjaciela. Oskar wyskoczył na peron z gracją i zaraz pomógł z bagażem jakiejś dystyngowanej starszej damie. Chwilę później dołączył do dwóch dżentelmenów, którzy przyjacielsko pokleпали go po plecach.

Kapitan uśmiechnął się do swoich myśli. Oskar szybko zjednywał sobie ludzi. Miał dar opowieści, niepoślednią rolę w zdobywaniu zaufania towarzystwa odgrywał zapewne także jego inny talent: Müller był niespełnionym aktorem, często zanudzał Kleina wspomnieniami swoich szkolnych występów teatralnych. Teraz Wilhelm postanowił dać mu okazję do szerszego zaprezentowania swoich umiejętności.

Zadanie, które czekało Oskara, nie należało do łatwych, Klein wierzył jednak, że przyjaciel sobie poradzi. Miał nadzieję, że uda mu się ograniczyć ryzyko do minimum.

Müller wraz z towarzyszami zeszli po schodkach z peronu i znaleźli się przy rondzie na Sellgittplatz. Żaden z tych dżentelmenów nie kwapił się do rozprostowania kości i krótkiego spaceru w stronę rynku. Jeden zagwizdał przeciągle, przywołując dorożkę, i wkrótce wszyscy zapakowali się na dryndę. Ich gromkie śmiechy dobiegały aż do okna, przy którym stał Klein.

Müller spisał się lepiej, niż kapitan mógł się spodziewać. Widać było, że ci panowie wyrwali się z dużego miasta na prowincję w jednym celu, zamierzali się dobrze bawić. Oskar wybrał towarzystwo doskonale.

– Dziś wszystko się rozstrzygnie, pani Gabriele... – Wilhelm odwrócił się od okna i popatrzył na siedzącą w milczeniu drobną

dziewczynę.

Jej wiek szacował na dwadzieścia kilka lat. Szlachetność rysów zdradzała jej pochodzenie. Trzymała się prosto, zapewne pamiętając napomnienia rodziców i nauczycieli, że hrabianka nie może się garbić. Tej sztywności na szczęście nie dostrzegał w jej charakterze. Początkowo mogło się wydawać, że trzyma innych na dystans, ale to wrażenie szybko zniknęło. Klein dobrze się przy niej czuł. Było w Gabriele von Magnis coś, czego szukał i cenił w innych ludziach: siła charakteru, choć ten zapewne wciąż dopiero się w tej osobie kształtował. Dostrzegał w niej coś jeszcze, jakiś wewnętrzny konflikt, który stawał się przyczynkiem do wewnętrznej przemiany. Przemiana ta następowała gwałtownie i nie był pewny, czy dziewczyna zdaje sobie z niej sprawę. O tym, kim ostatecznie się stanie, miały zdecydować ostateczne wydarzenia, a przede wszystkim ich finał.

– Odnajdziemy chłopców?

Gabriele wydała się Kleinowi dziwnie spokojna, jakby to pytanie było jedynie dopełnieniem jakiejś formalności.

– To jest naszym głównym celem.

Skinęła głową na tę skąpą odpowiedź.

– Nie wszystko jednak zależy od nas – dodał. – Wiele wciąż pozostaje w rękach wachmistrza Koschelli.

– I pana przyjaciela, który właśnie przyjechał?

– Tak.

– Czy wachmistrz... czy wachmistrz się nie przeliczył? Wciąż nie wiemy, jaki jest jego plan, sami działamy po omacku.

– Ależ wiemy, jaki jest jego plan. Nie odbiega właściwie od naszego.

– Jest pan pewny, kapitanie? Utrzymawał w tajemnicy porwanie Opitza, także dzięki mnie. – Zacerwieniła się. – Wciąż się obawiam, że ucieczką z więzienia wachmistrz naraził swojego syna.

– Nie – zapewnił Klein i znów wyjrzał przez okno na Sellgittplatz. – Dopóki Bastian Rabe jest pewny, że jego plan działa, Opitz jest

bezpieczny. Proszę pamiętać, że Koschella wypełnił kolejny punkt w planie Rabego. I rzeczywiście odbyło się to dzięki pani pomocy... Pierwszym zadaniem wachmistrza było przekonanie wszystkich, że zamordował z zimną krwią Rabego. Przede wszystkim uwiarygodnienie jego śmierci. Punkt drugi dotyczył Armanda. Rabe od dawna chciał się pozbyć swojego byłego współpracownika. Armand z więzienia przy Gartenstrasse uczynił swoją twierdzą. Rabe wpuścił tam ogara, który miał przegryźć Armandowi gardło. Słusznie uznał, że tylko zdesperowany Koschella będzie w stanie zrobić wszystko, by się go pozbyć. A nawet gdyby mu się nie udało... Rabe zapewne nie miałby nic przeciwko, gdyby Koschella stracił życie, próbując wypełnić to straceńcze zadanie...

Klein przerwał. Doznał dziwnego uczucia, patrząc w oczy Gabriele. Z trudem powrócił do wcześniejszej myśli.

– Życie Opitza jest dla wachmistrza zbyt cenne, tylko szantaż mógł sprawić, że przystał na warunki Rabego. Ten zapewne teraz triumfuje. Wierzy, że jego plan się powiódł. Wedle doniesień prasowych Rabe wciąż jest wśród martwych, a teraz także Armand jest bliski śmierci. W gazetach pisano, że leży nieprzytomny na oddziale szpitalnym kłodzkiego więzienia. Ucieczka Koschelli z więzienia zapewne nie jest po myśli Rabego, ale ma pewność, że Franz nie piśnie o niczym słowa, dopóki Opitz jest w jego rękach. Bastian nie docenił w swoim życiu kolejnej osoby i to się na nim zemści...

– Mam nadzieję... Oby Rabe nie dowiedział się prawdy o Armandzie.

– Kto go pilnuje?

– Na zmianę siostry Greta i Klara.

– Możemy więc być pewni, że nie dopuszczą, by ktokolwiek się dowiedział, że jest cały i zdrowy. Armand także nie wycofa się z układu z Koschellą. Pomógł mu w ucieczce, bo wierzy, że wachmistrz dostanie w łapy Rabego i w ten sposób usunie z drogi jego najgorszego wroga. Pani znajomości w prasie zapewne pomogły



utrzymać wersję, że Armand jest w stanie śpiączki i długo nie pociągnie.

– Nie wiem, jak długo uda się wszystkim zwodzić.

– To już jutro nie będzie miało znaczenia – zauważył kapitan. – Ani dla nas, ani dla Rabego...

– Dlaczego on zwleka? – Gabriele podniosła się z krzesła i stanęła u boku Kleina. – Dlaczego wciąż tu jest, w Kłodzku? Mógł przecież uciec dawno temu. Musiał wiedzieć, że ta mistyfikacja związana z jego śmiercią i podstawionymi zwłokami prędzej czy później wyjdzie na jaw.

– Ryzykuje, bo wciąż ma tu coś do załatwienia. – Klein spojrział Gabriele prosto w oczy. Znowu doznał tej dziwnej wizji. Rok wcześniej w tym samym pokoju, w tym samym miejscu, stała przed nim Agnes. Ten obraz przedziwnym sposobem zlał mu się teraz w jedno z obrazem hrabianki von Magnis. – To dla nas dobra wiadomość – podjął. – Gdyby było inaczej, nie moglibyśmy liczyć na odnalezienie Haima i Opitza żywych. Stanowią dla niego zabezpieczenie w przypadku nieprzewidzianych komplikacji. To, że Koschella zniknął, ma dla Rabego największe znaczenie. Bastian wie, że Franz nie odpuści i będzie szukał syna. Opitz będzie jego jedyną kartą przetargową w przypadku bezpośredniej konfrontacji z wachmistrzem. A do tej dojdzie na pewno.

– A Haim? Przecież oboje wiemy, że on... że nie będzie żadną kartą przetargową.

Klein wyczuł drzenie w głosie Gabriele. Uznał, że jej obawy nie są bezpodstawne.

– Nie zabił go do tej pory, choć mógł to zrobić – powiedział ostrożnie. – Widać nawet Rabe ma jakieś granice bestialstwa. Miejmy nadzieję, że Opitz i Haim są przetrzymywani razem.

– Jednego nie rozumiem. – Gabriele spojrzała czujnie na Kleina. – Dlaczego Rabemu aż tak zależało, żeby Koschella zabił Armanda? Przecież on nie mógł mu w żaden sposób zagrozić. Nie wiedział

o ostatnich planach Bastiana i sfingowaniu swojej śmierci w Mariannenbad.

Wilhelm skinął głową.

– Bastian przez lata działał pod czyjąś protekcją. Ktoś nad wszystkim trzymał pieczę i gdy trzeba było, zacierał ślady. Armand mógł być więc niebezpieczny nie tylko dla Rabego, ale i dla kogoś, z kim Rabe wciąż jest w układzie.

– Armand może wiedzieć, kim jest ten człowiek?

Klein się uśmiechnął. Grymas jego okaleczonej twarzy nie przeraził Gabriele. Dostrzegł w jej oczach coś, co niemal popchnęło go do błędu. Zwalczył pokusę, by sprawdzić, co to jest i dokąd go zaprowadzi.

– Jeśli tak, to wierzę, że Franz Koschella z niego to wyciągnął. Mieli dużo czasu na rozmowy, prawda?

Gabriele wyczuła nagłą zmianę w kapitanie, gdy zwrócił się do niej zaskakująco szorstkim tonem.

– Armand jest przebiegły – powiedziała. – Mógł zostawić tę informację dla siebie jako kartę przetargową.

– Muszę więc odnaleźć Koschellę i sprawdzić, co wie.

– Wie pan, gdzie go szukać?

– Siostra Greta mogła mieć rację. Jest tam, gdzie czuje się bezpieczny.

Skinęła głową. Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę w milczeniu. Klein czuł, że coś, co mogło się między nimi narodzić, właśnie umarło. Wiedział, że nie miałyby to sensu – w myślach nazywałby tę kobietę Agnes, a nie Gabriele.

– Gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, byłam pewna, że także mnie pan podejrzewa... że miałam coś wspólnego z porwaniem Sabine.

– Niczego nie wykluczałem.

Skinęła głową z wahaniem.

– Pani jednak nie udawała przyjaciółki Sabine – odezwał się Klein, nie pozwalając, by niezręczna sytuacja trwała zbyt długo. Sięgnął do

kieszeni płaszcz i wyciągnął z niej niewielki zeszyt. Otworzył go na jednej ze stron i podał hrabinie.

– Proszę przeczytać. To jej pamiętnik. Dopiero dziś odkryłem ostatni zapis. Musiała skleić strony.

Gabriele przejęła zeszyt. Drżącymi palcami rozprostowała naderwaną, zatłuszczoną stronę. Rozpoznała charakter pisma przyjaciółki. Ta musiała kreślić zdania w pośpiechu.

– Boże – wyszeptała von Magnis. – O kim... kogo Sabine...

– Myślę, że pani wie – oznajmił krótko i beznamiętnie Klein.

Gabriele czytała po raz kolejny to samo zdanie, próbując zebrać myśli.

– Co teraz? Co zrobimy?

Klein nie odpowiedział. Podszedł do biurka, podniósł słuchawkę i poprosił o połączenie z doktorem Kuhnastem. Gdy to nastąpiło, przemawiał krótko i konkretnie. Przez chwilę po drugiej stronie panowała cisza. W końcu do Gabriele dotarł ochrypły, przytłumiony głos:

– Jest pan pewny? To znaczy pewnie tak, skoro pan nalega. Stawia mnie pan jednak, Wilhelmie, w bardzo trudnej i niezręcznej sytuacji. Zezwolenia na ekshumacje nie wydaje się ot tak...

– Panie profesorze. Tylko pan może załatwić tę sprawę.

Teraz Gabriele słyszała jedynie przyspieszony oddech patologa.

– Zrobię to w imię prawdy. – Głos patologa drżał. – Wiem jak. Sabine została pochowana w rodzinnym grobowcu. To ułatwia nam sprawę.

– Dziękuję, profesorze.

Gabriele rozluźniła się dopiero, gdy mężczyźni się pożegnali. Ścisnęła w palcach pamiętnik przyjaciółki. Wierzyła, że owa prawda, o której wspomniał doktor, ujrzy światło dzienne. Byli to winni Sabine.

Upewnił się, że nikt nie obserwuje budynku, zlustrował też okna naprzeciw. Być może nie docenił obserwatorów?

Nie. Nikt nie pilnował budynku przy Böhmische Strasse. Tak jak się spodziewał, Paul Seipelt nie przykładał się do swojej roboty. Nikt nie szukał Franza Koschelli.

Klein znalazł się pod podcieniami i wszedł na klatkę schodową. Zza drzwi na parterze dochodził go stukot maszyny do szycia, zza innych płacz dziecka. Schody skrzypiały same z siebie, jakby z ulgą witając koniec dnia. Wspinał się w górę w ciemnościach. Na półpiętrze na tle okna dostrzegł kontury rachitycznego kwiatka. Poręcz drżała wprawiana w wibrację przez dudnienie dochodzące z trzewi budynku.

Kolejne piętro. Kapitan stanął przed drzwiami, dotknął ciepłego drewna otwartą dłonią jak lekarz badający pacjenta. W końcu uchwycił klamkę i nacisnął.

Postać siedzącego na krześle mężczyzny wydawała się wycięta z arkusza papieru. Płaska, nieruchoma, o kanciastych brzegach.

Klein stanął w progu, z dala od okien, choć zapewne nie musiał zachowywać aż takiej ostrożności.

– Schudłeś jak pies, Franz.

Wachmistrz skinął głową, odwrócił się do przybysza.

– Podłe żarcie na Gartenstrasse.

Kapitan sięgnął po krzesło stojące pod ścianą. Przetawił je i usiadł naprzeciw wachmistrza.

– Ryzykujesz, ktoś mógł zobaczyć, jak wchodzisz do budynku.

– Życie na krawędzi ostatnimi czasy weszło mi w krew, kapitanie.

Klein zaśmiał się cicho.

– Nie masz wiele czasu, Franz.

Wachmistrz zeszywniał.

– Rabe wciąż gdzieś tu jest – wycedził. – Muszę go odnaleźć, zanim mój syn przestanie mu być potrzebny.

– Co zamierzasz?

– Bastian musi mieć przynajmniej kilku ludzi, których wprowadził w swoje plany. Będę przyciskał ich po kolei. Jego prawa ręka, Andre Weiber, musi coś wiedzieć. To mój plan na dziś.

– Nie masz na to czasu, Franz. Obaj wiemy, że jest ktoś jeszcze. Ktoś, kto odegrał w tej sprawie rolę demiurga już w tysiąc dziewięćset szesnastym roku, a teraz zaciera wszystkie tropy. Bastian był jego protegowanym. Miał wystarczającą władzę, by ukręcić łeb sprawie Sabine Hunfeld. Potem wspierał Rabego przez kolejne lata.

Koschella wyprostował się i spojrzał uważnie na Kleina.

– Wiesz, kim on jest, Franz? Czy wyciągnąłeś z Armanda informację, która jest tak cenna, że wysłano cię tylko po to, żeby na zawsze zamknąć mu jadaczkę?

Wachmistrz uciekł wzrokiem.

– Nie wyciągnąłem nic z tego skurwiela. Powie, jak mu przyniosę głowę Rabego na tacy.

– To mamy problem, Franz. Musimy się sami dowiedzieć, kto pociąga za sznurki. Coś jednak musiałeś wyciągnąć z Armanda, a wcześniej z tego grajka Prumowa...

Koschella odchylił się w krześle.

– Zapewne już kapitan wie o tamtych wydarzeniach z lutego tysiąc dziewięćset szesnastego roku. Nie tylko o porwaniu Sabine, ale także o kradzieży depozytu złota z domu inspektora zdrojowego. Armand był pierwszym podejrzanym w sprawie kradzieży, nie dziw, że go wzięli na dołek, bo już wtedy miał bogatą kartotekę. Miał alibi na czas porwania, a później okazało się, że i na czas włamania u inspektora znalazło się kilku świadków. Każdy zaklinał się na wszystkie świętości, że Armand był wtedy gdzie indziej. Te dwie sprawy były jednak ze sobą powiązane, od początku stanowiły część szerzej zakrojonego planu. Rzeczywiście, Armand ukradł ten depozyt, porwania Sabine dokonał Wiktor Prumow i zaufany człowiek Armanda... Wkrótce układy pomiędzy współnikami się zagmatwały. Armand wymigał się od dalszego udziału

w przetrzymywaniu dziewczyny, uznał, że odwalił już swoją część roboty, a większość depozytu ukrył. Kiedy Bastian zażądał zwrotu złota, zaczął go szantażować. Powiedział, że podzieli się wiedzą o porwaniu Sabine z policją. Odtąd mieli ze sobą na pieńku, punktem honoru było dla Rabego dorwanie Armanda, ale ten zabunkrował się na Gartenstrasse. Zdaje się, że opłacał z dusznickiego złota naszego naczelnika...

Klein podszedł do okna, wyjrzał na zewnątrz.

– Wciąż nie znamy odpowiedzi na podstawowe pytanie. Kto stał wyżej od Rabego, kto pociągał za sznurki?

– To musi być ktoś od nas, z policji. – Koschella zrobił pauzę, a potem wypalił: – Richter dostał wtedy nieoczekiwany awans, choć początkowo miał go otrzymać Mott z Dusznik, nawet go mianowali komisarzem, ale w końcu pozostawili na starych śmieciach. Jeśli patrzeć, kto w tamtym czasie zyskał najwięcej...

Klein zapatrzył się w drgające światło lampy ulicznej.

– Dobrze więc. Sprawdźmy to, by mieć pewność. Dziś... – Kapitan odczekał chwilę, dając szansę Koschelli, by ten przetrawił informację. – Chcę, żebyś mi zaufał, Franz. Odnalezienie Opitza pozostawisz mnie. Ty będziesz miał inne zadanie.

– Ale to mój syn. – Koschella zacisnął pięści. – Nie, to ja muszę go szukać!

– Zrobimy to według mojego planu – mówił spokojnym tonem Klein, nie dając czasu Franzowi na reakcję. – Dam ci na tacy Rabego. Wiem, gdzie go znajdziesz.

Koschella zacisnął pięści, walczył ze sobą dłuższą chwilę, w końcu wychrypiał:

– Co mam zrobić?

Klein skinął głową z uznaniem. Ten metaliczny głos, który wydobył się z gardła wachmistrza, nie wróżył Rabemu najlepiej.

– Odwiedzisz dziś dyrektora Wintera. Wyciągniesz go z łóżka i obaj udacie się do Banku Rzeszy.

Koschella drgnął.

- A co z tym kretem od nas?
- Myślę, że wspólnie poznamy jego tożsamość, Franz. Nie mam nic przeciwko, żebyś zajął się nim w pierwszej kolejności.

\*

To miasto było zdecydowanie zbyt małe. Do takiego wniosku doszedł Paul Seipelt, sącząc piwo w restauracji hotelu Nowy Wrocław. Siedział za dyskretnym przepierzeniem ułatwiającym mu swobodne obserwowanie głównej sali. Było co oglądać. W ciągu dnia zameldowało się w hotelu kilkunastu dżentelmenów – większość z Wrocławia, kilku przyjechało na specjalne zaproszenie. Chwilę spędzali w swoich pokojach, doprowadzając się do porządku po podróży, potem schodzili do restauracji na kolację. O dobry humor przyjezdnych dbali kelnerzy oferujący mocne trunki.

Gości restauracyjnych obserwował nie tylko Paul Seipelt. Młody mężczyzna, którego wachmistrz znał doskonale, siedział przy barze, popijając wodę mineralną. Wydawał się pogrążony we własnych myślach, lecz w rzeczywistości uważnie przyglądał się klientom, notując w pamięci, który z nich nie stroni od alkoholu, a który zachowuje w picciu umiar. Obserwował ich ruchy, zachowanie, analizował mowę ciała, zapewne wzbogacając i tak już bogate portfolio większości ze znanych sobie przyjezdnych.

To, co działo się tutaj, było zaledwie wstępem do atrakcji czekających owych dżentelmenów. W ciągu najbliższych kilkunastu minut do jednego ze stolików przysiadzie się kolejny gość. W sposób zupełnie naturalny zgromadzi wokół siebie tę, wydawałoby się, zupełnie sobie obcą grupę ludzi. Postawi im kolejkę likieru Róża Kłodzka i wzniesie toast na powitanie. Nastrój oczekiwania sięgnie zenitu i w końcu wszyscy podniosą się i ruszą za liderem do wyjścia.

O wilku mowa, pomyślał Paul Seipelt, patrząc na wchodzącego do restauracji Andre Weibera. Mężczyzna zdjął melonik i odwiesił go na wieszak. Prążkowany garnitur i buty z białymi wszywkami przyciągały wzrok. Weiber dbał o szczegóły, o wypomadowany wąs

i ułożenie włosów, którego nie burzyło nawet nakrycie głowy. Opromienił uśmiechem wszystkich zebranych i każdego z osobna. Przywitał się z kilkoma znajomymi i dosiadł do stolika, przy którym zgromadziła się największa grupa mężczyzn. Gwar w pomieszczeniu wzmógł się, jakby ktoś podkręcił fonię.

Dwóch, może trzech mężczyzn było tutaj nowych. Obserwowali innych uważnie, uśmiechali się zdawkowo i wyraźnie nie potrafili się rozluźnić. Przyciągali wzrok Weibera. Ten zapewne zdążył ich już ocenić, także dzięki swojemu pomocnikowi, który szepnął mu coś na ucho.

Róża Kłodzka wypełniła kieliszki. Szkło powędrowało do ust, radosny nastrój wypełnił piersi dżentelmenów, pęczniał w pomieszczeniu, zdawał się szukać ujścia przez otwarte okna.

Weiber uniósł dłoń, dając znajomy sygnał. Zaszurały krzesła, gwar rozmów nieco ucichł, jakby wszyscy ulegli uroczystemu nastrojowi chwili.

Seipelt dostrzegł porozumiewawcze spojrzenia Andre i chłopaka przy barze. Obserwator skinął głową i podszedł do jednego z samotnych dżentelmenów. Szepnął mu coś na ucho. Mężczyzna wyglądał na zawiedzionego, nie zdecydował się jednak na żaden komentarz, wzruszył jedynie ramionami, jakby chciał strząsnąć z siebie jakiś ciężar, i zastukał szpicem laski w podłogę. Chłopak skinął na kelnera, ten pojawił się przy stoliku. Dżentelmen, który z jakichś przyczyn nie przeszedł selekcji, złożył zamówienie i zapatrzył się w stół. Nie próbował dyskusji, wiedział, że nic nie wskóra, pozostało mu jedynie zapisać smutki w trunkach z destylatorni Louisa Schotta.

Teraz także wachmistrz wstał ze swojego miejsca i dołączył do wychodzących mężczyzn. W progu Weiber powstrzymał go ruchem ręki. Pokręcił głową, na jego twarzy pojawił się nieprzyjemny uśmiech.

– Nic z tego, Seipelt. Wiesz, że masz zakaz.



– A ja słyszałem, że wiele się zmieniło. Interes się kręci, jak widzę, nawet po śmierci – Paul strącił dłoń, która ujęła go za łokieć, i palcami wskazującymi ujął ostatnie słowo w cudzysłów – Rabego. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby pomyśleć o nowym otwarciu...

– Dług to dług. Nie znika równie łatwo jak ludzie.

– To chyba jesteś niedoinformowany. Dług ostatnio spłaciłem z nawiązką.

– Coś tam słyszałem, wachmistrzu. – Weiber wyszczerzył zęby. – Nie spodziewałem się, że jest pan aż tak pozbawionym skrupułów draniem.

– I kto to mówi? – zakpił Seipelt, choć w głębi ducha zgrzytał zębami. – Chronię wam dupę od lat, Weiber, także to wasze nowe, jak widzę, intratne, przedsięwzięcie. Zapewniam, że lepiej ze mną żyć w zgodzie. Rabe wyznaczył cię do dopilnowania tego burdelu, ale bez mojej ochrony długo nie pociągniesz...

Mężczyzna obejrzał się w stronę swoich podopiecznych, którzy spokojnie czekali przed hotelem pogrążeni w wesołej rozmowie.

– Za dużo i za głośno gadasz, Seipelt. Niemal zapomniałem, że tak dużo wiesz. Nic jednak nie poradzę na to, że trzeba mieć za co wejść do gry. A z tego, co wiem, świecisz gołą dupą.

Teraz to Paul się wyszczerzył. Rozchylił połę marynarki i pokazał wypchaną kieszeń.

– No, no, wachmistrzu! A wydawało mi się, że przepuściłeś u nas już wszystko, co miałeś. Czyżby jakieś podwyżki w policji? Może powinienem pomyśleć o zmianie zawodu?

– Na pewno byś się nadawał, Weiber. Kto wie, czy nie uczyniliby cię od razu komisarzem.

Weiber się zaśmiał, spojrzął na zegarek.

– Dobra, dziś wyjątkowo wchodzisz. Ale pamiętaj, jeśli chcesz nowego otwarcia, na koniec dnia rozliczasz się z długu. Znając twoje szczęście, na pewno jakiś będzie.

Seipelt niechętnie skinął głową.

Weiber zaśmiał się, zakręcił i zaraz dołączył do dżentelmenów. Ci przywitani go wesołymi okrzykami.

Seipelt poczuł uderzenie adrenaliny. Ruszył za wszystkimi na miękkich nogach. Podążyli wzdłuż południowej pierzei rynku niczym chmara skrzeczących ochryple wron. Wachmistrz wmieszał się w ten tłumek, stał się jego częścią, na twarzach mężczyzn widział to samo co na swojej, gdy patrzył w lustro: obłęd, a może wiarę w to, że dziś będzie ten wyjątkowy dzień, który odmieni wszystko.

\*

Znów było ciemno, ale chłopiec nie bał się ciemności. Teraz była jego sprzymierzeńcem. Już wcześniej rozejrzał się po celi, zbadał każdy kąt, obmacał i ostukał każdą cegłę. Zdziwiło go, że tak szybko otrząsnął się z tego, co go spotkało. Pierwszy dzień był straszny. Krzyczał, krzyczał tak głośno, że zdarł gardło, uderzał pięściami w drzwi, próbował je wyważyć krzesłem, ale te nawet nie drgnęły.

Potem przyszło zwątpienie, wydało mu się, że umarł i pochowali jego zwłoki w ciemnej piwnicy. Czasem wydawało mu się, że dochodzą do niego jakieś odległe dźwięki, jakby z innego świata. Był nawet pewny, że ktoś szepcze przy jego uchu, ale to musiało być złudzenie. Zaczął działać w momencie, w którym upewnił się, że żyje i że powinien zrobić wszystko, by się stąd wydostać. Ojciec zawsze mu powtarzał, że nie można się poddawać, nawet w beznadziejnej sytuacji.

Gdy przynieśli mu jedzenie, postanowił, że go nie tknie, jednak szybko przyszła właściwa refleksja. Musiał zachować siły. To, że odmówi posiłku, nie zmieni jego sytuacji na lepsze, wręcz ją pogorszy. Powinien wykorzystać wszystko, co mogło choć w minimalnym stopniu ją poprawić. Nawet żelazną łyżkę, którą mu przyniesiono wraz z posiłkiem.

Jedna z płyt podłogowych wydawała pusty odgłos. Głuche echo podróżowało gdzieś w głąb, rozpraszało się jednak, a potem niknęło w kątach. Najpierw sprawdził mocowanie płyty, wymacał ostre

krawędzie i brzegi. Palce wchodziły w szczeliny, był w nich piach i krusząca się zaprawa. Trzonek łyżki radził sobie z nią doskonale.

Chyba wtedy nabrał nadziei, że uda mu się stąd wydostać. Matka często opowiadała mu o tunelach pod miastem, o systemie piwnic i korytarzy tworzących sieć pod rynkiem, sięgających odnogami pod twierdzę i biegnących pod rzeką w stronę Owczej Góry. Gdyby udało mu się przedostać do takiego korytarza, być może miałyby szansę na ucieczkę.

Ciemności nie byłyby problemem. Przy każdym posiłku przynosili mu do celi świeczkę. Starczała na kilka godzin. Każdą gasił zaraz po ocenie stanu swoich prac i chował pod siennikiem. Porywaczom nie przyszło do głowy, by to sprawdzić, i w tej chwili miał już kilka świeczek na czarną godzinę. Potrzebował ich sporo, nie mógł ryzykować. Przemyślał to. Uznał, że podczas ucieczki będzie musiał na wszelki wypadek mieć zapalone jednocześnie dwie, istniało bowiem większe prawdopodobieństwo, że przy jakimś nieoczekiwanym podmuchu powietrza ocali przynajmniej jedną. Gdyby znalazł się w korytarzu bez źródła światła, podziemny labirynt stałby się jego grobowcem.

Ostatnio stało się coś nieoczekiwanego. Oprócz posiłku i świeczki do celi wepchnięto drugiego chłopaka. Poznał go, widział już go wcześniej, ale nie zamienili nigdy nawet słowa, bo każdy z nich należał do innej paczki. Regularnie toczono bitwy na kamienie w formie na Owczej Górze kończyły się sińcami, rozbitymi głowami i przysięgami dozgonnej nienawiści. Ten chłopak był szybki i zwinny, chyba najmłodszy w grupie. Wspinał się po forcie jak mała, nawet jemu imponował.

– Moja kolej, Opitz, teraz ty nasłuchuj, czy nie idą.

Młody Koschella skinął głową, choć Haim nie miał prawa tego zauważyć w ciemnościach. Bolały go nadgarstki, a palce miał całe zakrwawione. Próbował je ukrywać przed strażnikiem, ten jednak zupełnie nie interesował się małymi więźniami. Nie doceniał ich. Opitz uznał, że takich błędów się nie wybacza.

Siedział oparty plecami o drzwi i wydawało mu się, że dostrzega w mroku ciemniejszą ruchliwą plamę na tle ściany. Było to niemożliwe, ale tak podpowiadała mu wyobraźnia. Zapytał Haima, jak tu trafił. Ten nie chciał lub nie potrafił odpowiedzieć. W jego oczach jednak, gdy jedli posiłek przy zapalonej świeczce, Opitz dostrzegł coś strasznego. Jakby patrzył w otchłań. Początkowo sądził, że chłopak nie przystanie na próbę ucieczki albo będzie mu to zupełnie obojętne. W jego ruchach i wypowiedzanych słowach było coś niepokojącego, jakby do chłopca wciąż nie dochodziło, co się z nim tak naprawdę stało. Być może był w szoku. Na jego ubraniu widniały ślady krwi, nie wydawał się jednak ranny.

– Łyżka głębiej nie wchodzi...

Tego się obawiał. Spodziewał się, że Haim wkrótce mu to zakomunikuje. Płyta była o wiele grubsza, niż się wydawało. Nie byli w stanie wydobyć więcej spoiwa.

– Czekaj. – Opitz na klęczkach zbliżył się do towarzysza. – Może się ruszy.

Próbował wsunąć palce między płyty. Teraz wchodziły z trudem, spuchły, obdarł je do żywego mięsa. Połamane paznokcie zahaczały o krawędzie, ale nie zważał na ból. Czyżby cała ich praca miała pójść na marne?

Nie, Opitz postanowił przecież, że nie może się poddać. Znajdą inny sposób na wydostanie się z celi. Ten strażnik nie wyglądał na rozgarniętego, może we dwóch będą sobie w stanie z nim poradzić?

– Pomogę ci.

Opitz miał już powiedzieć, by Haim dał sobie spokój, ale wydało mu się, że płyta drgnęła.

– Dalej – zachęcił. – Włóż tam palce i próbuj ciągnąć.

Tym razem nic się nie wydarzyło. Opitz był pewny, że wcześniej uległ złudzeniu, tak bardzo chciał, żeby płyta się poruszyła, że jedynie wyobraził sobie ten ruch.

– Podważę łyżką. Weźmiesz drugą?

– Dobry pomysł. – W Opitza znów wstąpiła nadzieja, zaraz jednak nie został po niej nawet ślad, gdy usłyszał słowa Haima:

– Moja się zgięła...

Nie powiedział, że jego własna łyżka doznała jeszcze większego uszczerbku, nadwyreżona kopaniem i dłubaniem złamała się jak zapalka.

– Co teraz?

– Daj mi pomyśleć.

Przesunął się w stronę łóżka, namacał jedną z nóg. Była żelazna, stała na szerokiej stopce. Rant był gruby i płaski.

– Pomóż mi, Haim. Przeniesiemy to...

Zderzyli się głowami w ciemnościach. Opitz parsknął śmiechem, słyszał, jak Haim rozmasowuje czoło.

– Do wesela się zagoi – pocieszył go. Tak powtarzała mu mama. Zawsze jej odpowiadał, że nie ma zamiaru się żenić i woli odrapane kolana i guzy na łbie niż, jak to mówił ojciec, kierat do końca życia i rwanie z głowy siwych włosów.

Ciężkie łóżko drgnęło. Unieśli je z trudem i sapiąc głośno, postawili tuż przy płycie.

– Jaki masz plan, Opitz?

– Zobaczysz.

Młody Koschella wciąż nie był pewny, czy uda mu się to, co zamierzał. Nie mieli nic do stracenia, dlaczego więc nie spróbować?

– Złap z tyłu za nogę i unieś – zakomenderował.

Tylna część łóżka powędrowała w górę. Opitz przesunął całą ramę w przód, starając się trafić rantami przednich nóg w szczelinę.

– Jeszcze wyżej. Wytrzymaj!

Gdy poczuł, że żelazne okucia wsunęły się w szpary, niemal krzyknął z radości. Łóżko zawisło nad ziemią prawie pod kątem prostym.

– Teraz ciągniemy z całych sił!

Coś zgrzytnęło. Opitz był pewny, że żelazne ranty nóg pękły, jednak stłumiony okrzyk Haima mógł oznaczać tylko jedno – ciężka

kamienna płyta uniosła się i przesunęła.

– Mamy mało czasu, Haim. Zaraz przyjdą z jedzeniem. Musimy to zakryć.

– Ale czym?

Opitz myślał gorączkowo. Nie mogli uciekać teraz, gdy nie mieli ze sobą światła. Być może nieco pospieszyli się z przesuwaniem płyty, ale już nie było odwrotu. Obaj opadli z sił i ponowna próba jej uniesienia mogłaby się nie powieść.

– Łóżko. Przesstawimy łóżko tak, żeby zasłaniało otwór. Te bydlaki i tak tu przecież nie wchodzi.

Ustawili łóżko w pośpiechu. Opitz był pewny, że słyszy dźwięk kroków.

Zamki w drzwiach szcęknęły i po chwili pojawiła się w nich brodata postać. Chłopcy musieli zmrużyć oczy, bo światło wydawało się wwiercać w mózg. Jedzenie z chlupotem wylądowało na podłodze. Przez chwilę Opitz bał się, że mężczyzna zapomni zostawić świeczkę, ale ten nakapał woskiem na podłogę i umieścił pośrodku płamy kopcający ogryzek.

Od niechcenia obrzucił spojrzeniem wewnątrz celi. Zawahał się. Gdy młody Koschella drgnął, zamierzając sięgnąć po miskę, brodacze wycofał się i zamknął drzwi. Dopiero wtedy Opitz odetchnął z ulgą.

– Jak długo czekamy?

Opitz uniósł palec do ust, nakazując Haimowi milczenie. Gdy usłyszał oddalające się kroki, wskazał dłonią na miejsce ukrycia pozostałych świec. Haim domyślnie je wyciągnął, część schował w kieszeniach, jedną odpalił od kopcającego się ogryzka.

Opitz zbliżył się do łóżka i z pomocą Haima przestawili je na miejsce. Opadł na kolana obok szpary w podłodze. Zdawała się spora, jednak musieli przesunąć kamień jeszcze przynajmniej o kilka centymetrów. Młody Koschella włożył głowę w otwór i wciągnął w nozdrza powietrze. Było zatechłe, co nie wróżyło najlepiej. Pachniało wilgocią i czymś, co przypominało trupi odór.

Poprosił Haima o jedną ze świec, zbliżył ją do otworu i wsunął rękę w ciemność. Podłoże dostrzegł ponad dwa metry niżej. Pokrywała je warstwa wody.

Ostrożnie odłożył świeczkę i skinął na towarzysza, by ten pomógł mu jeszcze bardziej odsunąć kamień. Teraz poszło łatwiej, chociaż skrzywili się obaj, gdy przeraźliwy zgrzyt odbił się od sklepienia celi.

– Ja pierwszy – powiedział Haim.

Opitz zamierzał zaprotestować, ale widząc determinację na twarzy chłopca, zrezygnował. Znów spojrzał w dół. Podłoga była nisko, skok mógł się zakończyć zwichnięciem, a nawet złamaniem nogi, tym bardziej że nie widać było dokładnie, jak głęboka jest woda i co pod nią się kryje.

– Załóż moje buty – powiedział. Gdy wrzucili Haima do celi, był boso. – Przytrzymam cię i opuszczę.

Chłopak postąpił zgodnie z poleceniem, a potem wsadził nogi w szczelinę i zaczął opuszczać się w ciemność. Opitz położył się na brzuchu i złapał go za ręce.

– Wszystko w porządku?

– Jasne, opuszczaj.

Opitz oparł się barkiem o kamienną płytę, znajdując w niej przeciwwagę dla ciężaru ciała Haima. Na szczęście dzieciak był lekki jak piórko.

– Już!

Opitz rozluźnił uchwyt. Haim opadał całą wieczność, zaraz jednak usłyszał plusk wody i dudniący echem głos małego:

– W porządku! Teraz ty!

– Najpierw świeczki – zdecydował młody Koschella.

Podniósł się i odruchowo otrzepał spodnie. Myślał intensywnie, w jaki sposób bezpiecznie przetransportować zapaloną świeczkę. Nie mieli pościeli ani materacy, jedynie zbite wiechy słomy. Podszedł do łóżka i wyszukał kilka najdłuższych źdźbeł. Wrócił z nimi do otworu, poświecił sobie świeczką, żeby zobaczyć pogrążonego w ciemnościach Haima. Chłopak był blady jak kreda.

– Szczury – wyszeptał.

– To dobry znak – zauważył Opitz. – Znaczy się, musi być gdzieś wyjście. Teraz się skup. Wyciągnij świeczkę, spróbuję ci rzucić podpaloną słomę. Złap ją i odpal od niej knot.

Młody Koschella odpalił od swojej świeczki słomkę i ostrożnie upuścił ją w stronę Haima. Ten złapał ją jeszcze, gdy była nad jego głową. Wszystko poszło sprawniej, niż Opitz mógł przypuszczać.

– Zapal jeszcze jedną na wszelki wypadek – polecił. – Teraz ja skaczę.

Gdy się upewnił, że Haim zabezpieczył świeczki, zgasił swoje i wepchnął w kieszenie, po czym wsunął nogi w dziurę i zaczął się opuszczać na rękach. Zdał sobie sprawę, że będzie miał problem, by precyzyjnie przejść przez otwór klatkę piersiową i ramiona.

Gdy próbował zmienić ułożenie ciała, zgrzytnęły drzwi celi. Opitza strach ścisnął za gardło. Stalowe odrzwia drgnęły, wpuszczając do celi światło, gdy Opitz odruchowo uniósł ręce nad głowę, poczuł, jak spada.

Woda rozbryznęła się pod jego nogami, stopa niebezpiecznie wygięła się, gdy spadł na jakąś nierówność. Ból był silny, ale go zignorował.

– Chodu!

Wybrali kierunek bez namysłu. Haim na szczęście nie zwlekał. Na górze ktoś zaklął głośno i Opitz pomyślał, że otwór w podłodze jest zbyt mały, żeby precyzyjnie przejść przez niego mężczyzną posturą strażnika. Wtedy jednak usłyszeli rumor i donośny zgrzyt, które przebiły się ponad plusk wody.

Młody Koschella odwrócił się na ułamek sekundy. Wysoko przy sklepieniu dojrzał światło i brodatą twarz. Wtedy wpadł na Haima, przewrócił go i obaj wylądowali w głębokiej wodzie.

– Opitz? Opitz!

– Tutaj!

Starszy z chłopców podniósł się i złapał Haima za rękę.

– Biegniemy dalej – zdecydował.



Starał się, by jego głos brzmiał zdecydowanie, w rzeczywistości trząsł się ze strachu jak osika. Na szczęście Haim nie był w stanie tego dostrzec.

\*

Postronnym obserwatorom mogło się wydawać, że grupka rozbawionych mężczyzn zmienia lokal. Takie wędrówki pomiędzy knajpami były ostatnio w modzie. Rezygnowano z przesiadywania od wieczora do rana w jednym ulubionym browarze czy restauracji i po piwie czy dwóch albo wódeczce i zakąsce zmieniano lokal. Chwila na świeżym powietrzu pomagała oczyścić głowę, dawała też możliwość pogawędki. Po kilkunastu minutach takiej pieszej wędrówki ekipa zazwyczaj zaczynała oblężenie baru i stolików w kolejnej knajpie. To najczęściej spotykało się z niechęcią stałych bywalców, którzy trzymali się swoich starych przyzwyczajzeń i opuszczali barowe stołki, jedynie gdy nie byli w stanie utrzymać się na nich o własnych siłach.

Paul Seipelt wsiąkł w ten rozochocony tłumek. Uśmiechał się w reakcji na żarty towarzyszy, lecz w rzeczywistości wciąż pozostawał czujnym obserwatorem. On także wyrabiał sobie opinię o każdym z tych mężczyzn, potrafił ich trafnie sklasyfikować. Część była tu wyłącznie dla zabawy, kieszenie mieli wypchane pieniędzmi, wiedział, że nazajutrz nie zasmuci ich niespodziewana lekkość marynarek, płaszczy i saszetek. Inni pozostawali bardziej zdystansowani, pewni swego, a jednocześnie skoncentrowani. Z ich badawczym spojrzeniem Seipelt także się spotykał, widać było jednak, że żaden z nich go nie docenia. Byli też tacy jak on sam. Zdradzały ich nerwowe ruchy i spojrzenia. Odruchowo sięgali w głąb kieszeni, jakby chcąc się upewnić, że wszystko jest na swoim miejscu, i zaczynali jakiś dziwny rytuał pełen przesądów i zaklęć. Powoli opanowywała ich gorączka, strach wyzwalał adrenalinę. Seipelt znał ten stan – nadejdzie moment, w którym każdy z nich uzna, że fortuna jest mu przyjacielem i pozwoli przenosić góry.

Seipelt zdał sobie sprawę, że mimowolnie gładzi banknoty w kieszeni marynarki. Zwalczył ten odruch, starając się zachowywać swobodnie. Nachodzące go myśli stawały się jednak paraliżujące, przyszło zwątpienie.

Skreśli w Baderberg i ruszyli w dół ulicy. Wesołe okrzyki kilku z towarzyszy upodabniały ich do dzieci, które wyrwały się na wagary. Minęli dawny browar Müllera i obrali azymut na browar Zimmermana. Budynek przeszedł gruntowny remont, po tym jak w jednym z pokoi został wysadzony w powietrze major Kurt Schneider.

Znów zmienili kierunek marszu. Na placu kościelnym wesoła gromada ściszyła głosy, Seipelt dla odmiany niemal wybuchnął śmiechem. Ta bogobojność na pokaz była symptomatyczna.

Dokąd tym razem prowadził ich Weiber? Miejsca spotkań zmieniały się co jakiś czas. Atmosfera tajemnicy i smak zakazanego owocu były częścią gry, przedstawienia fundowanego umiejętnie przez organizatorów. W pobliskich miastach kłodzkie atrakcje stawały się coraz bardziej popularne. Bastian Rabe wiedział, w jaki sposób należy przejąć we władanie tutejsze podziemie.

Seipelt popatrzył na gmach katolickiej szkoły. Przez chwilę myślał, że to on stał się celem ich wędrówki. Ale nie, przeszli tuż obok, kierując się w stronę dawnych koszar. Tu Weiber zatrzymał się i pomachał komuś, kto wyglądał w ich stronę przez okno. Sygnał został poprawnie odczytany, bo jedne z drzwi stanęły przed przybyszami otworem.

– Świetnie, świetnie!

Mężczyzna u boku Seipelta zatarł dłonie, nie ukrywając podniecenia. Paul przepuścił towarzyszy, którzy przekraczali próg koszar i znikali w zaciemnionym korytarzu. Sam obejrzał się przez ramię. Już wcześniej wydawało mu się, że ktoś podąża za nimi w sporej odległości, i również teraz poza obrębem ulicznej latarni dostrzegł cień. Mężczyzna wspierał się na laseczce. Seipelt był pewny, że to ten odrzucony w hotelu Nowy Wrocław nie daje za

wygraną – być może wciąż tliła się w nim nadzieja, że Weiber zmieni zdanie. Wachmistrz uśmiechnął się pod nosem. Nie miał zamiaru zawracać sobie tym głowy. To nie była jego sprawa. Jednego był pewny: skoro facet szukał guza, na pewno go znajdzie. Tutejsza ochrona znała się na swojej robocie.

W głąb budynku poprowadził ich młody asystent Weibera. Atmosfera zgęstniała, jeśli ktoś wymieniał jakieś uwagi, to tylko przytłumionym głosem. Seipelt zastanawiał się, czy właśnie to miejsce jest celem ich wędrówki, czy czeka ich kolejne kluczenie, tym razem wśród piwnic i składzików. Rozglądał się wokół nieufnie. Ściany były niemiłosiernie odrapane, budynek wydawał się opuszczony. Obstawiał, że Weiber wymyślił coś szczególnego.

Nie pomylił się. Zeszli do piwnic, a ich wędrówka wydawała się nie mieć końca. Światło w wąskim ceglany korytarzu zapewniało kilka pochodni. Jedną z takich miał też przewodyr całego przedsięwzięcia i jego asystent. Zamknęli w kleszczach ten żalobny, wydawałoby się, kondukt.

– Zeszliście już całkiem do podziemi? – Seipelt zwrócił się do zamykającego pochod Weibera.

– Zobaczysz na miejscu. Spodoba ci się.

Andre zaśmiał się i zamilkł. Paul wiedział, że nie wyciągnie z niego nic więcej.

Przeszli przez masywne drzwi i znów skręcili. Seipelt nie stracił poczucia kierunku, domyślił się, że kluczą piwnicami pod Kirchplatz. Odruchowo zaczął liczyć kroki.

Łukowe sklepienia były osmolone, podziemny korytarz musiał być więc swego czasu często używany. Paul przyglądał się uważnie otoczeniu. Kilka z pomieszczeń, przez które przechodzili, służyło niegdyś za magazyny. Pełno tu było zniszczonych skrzyń i beczek, wszędzie wałała się słoma. Przez cały ten czas wachmistrz miał w głowie plan Kłodzka i teraz, gdy zatrzymali się w dużej oświetlonej sali, był pewny, że znaleźli się pod kamienicami na rogu Schwedeldorfer Strasse i Domgasse.

Seipelt wypuścił powietrze z płuc i z uznaniem spojrzał na Weibera. Ten skromnie skłonił głowę, widać było, że w walce o zajęcie miejsca po Rabem na rynku szulerni nie szczędzi wysiłków. Miejsce adaptowane na dom gry robiło wrażenie. Krupierzy stali przy stolikach, uśmiechając się do gości, kilku kelnerów przywitało wchodzących kieliszkiem wina. Seipelt odmówił poczęstunku. Wiedział, że jeśli teraz się napije, później nie oprze się pokusie. Postanowił zachować trzeźwość umysłu.

Towarzystwo znów się ożywiło. Każdy z przybyłych odnalazł się w tym miejscu bez trudu, każdy może z wyjątkiem Seipelta, który stał jak ciele pomiędzy stolikami karcianymi a ruletką.

– Mówiłem, że ci się spodoba – powiedział Weiber.

Seipelt odwrócił się i zapytał:

– Kto to wszystko zaaranżował?

– Wiesz kto, Seipelt.

– No popatrz, taki zdolny człowiek z ciebie. Żebyś tylko nie poczuł się za pewnie. – Wachmistrz cmoknął z udawaną troską. – Nie wszyscy wiedzą, co naprawdę się stało z Bastianem Rabem. Jedni pewnie mają chęć na przejęcie dziewczynek, drudzy kontrabandy. Chyba że wszystko jest już w twoich łapach?

Weiber błysnął zębami. Najwyraźniej nie miał zamiaru wdawać się w dyskusję, ale Seipelt powstrzymał go ruchem ręki.

– Chcę zagrać o wyższą stawkę...

– Prosisz się o guza, Paul. Odradzam ci, po przyjacielsku...

– Nie mam przyjaciół. Chcę zagrać o pełną pulę.

Weiber pokręcił głową.

– Zaczynaj od tych drobniaków, co je wyskrobałeś i kiesz w kieszeni. Dla ciebie za wysokie progi.

– Weiber, skurwielu, pamiętaj, kto ci uratował dupę. Gniłbyś dalej w pierdłu i służył za dziwkę Armanda. A tak wyszedłeś, znalazłeś opiekę u Rabego...

Weiber mlasnął z niesmakiem.

– To prawda – potwierdził. – Twoje przyjacielskie stosunki z Rabem zawsze mnie zastanawiały. Dziwiłem się, że nie pozbył się ciebie przez tyle lat. Widać jednak interesy były ważniejsze od zdrowego rozsądku. Ale nie jestem pewny, czy Bastian nie przejechał się na tej komitywie z tobą. Postawił na złego wachmistrza. Mógł przez te lata urabiać Franza Koschellę, nie ciebie. Pamiętaj, że ja też wiem, co zrobiłeś. Tak *à propos* twojego przełożonego. Niefortunne byłoby, gdyby Franz się dowiedział o twoim ostatnim zleceniu dla Rabego, nie sądzisz?

Weiber uznał, że jego słowa wywarły oczekiwane wrażenie, dodał więc zaraz:

– A co do naszych układów, Seipelt: wyciągałeś z pierdła tych, którzy stanowili dla Bastiana dobry narybek. Podpisałem dzięki tobie cyrograf. Na pewno ci tego nie zapomnę.

Ta dwuznaczna pointa rozbawiła Seipelta. Patrzył na Weibera, jak ten okręca się na pięcie i lawirując pomiędzy stolikami, wypytuje swoich gości, czy nic im nie brakuje.

Wachmistrz zdał sobie sprawę, że trzyma dłoń w kieszeni spodni. Zupełnie jakby szukał tych drobniaków, o których wspominał Andre. Zaklął pod nosem i w końcu podszedł do najbliższego stołu. Obstawiał swoją ulubioną cyfrę i czerwone. Miał fart, drobniaki obróciły się w całkiem przyzwoitą sumkę.

\*

Skręcili w jedną z odnóg korytarza. Opitz szedł pierwszy, pochylony, z rękami rozstawionymi na boki. Cały czas dotykał ściany. Umyślił sobie, że będzie wybierał jeden kierunek, na lewo. W ten sposób łatwiej wróci do punktu wyjścia, jeśli będzie do tego zmuszony.

Obiecał sobie, że nie odda się w ręce tych bandytów, nawet gdyby miał tu szcznąć. Szcznąć. Ten wyraz powtarzany przez matkę utkwiał mu w pamięci, teraz nabrał innego, bardziej realnego znaczenia. Czy rzeczywiście wolałby śmierć w tym labiryncie niż powrót do celi? Nie łudził się. Nikt nie gwarantował, że u porywaczy

pożyłby dłużej. Opitz przemyślał sobie wszystko, obserwował ojca przez ostatnie tygodnie. Jego porwania nie zorganizowano dla okupu. Łatwo doszedł do wniosku, że wpadł w łapy tych ludzi z powodu sprawy, którą prowadził tato. Na pewno był im potrzebny do szantażu.

Ucieczkę od początku traktował jak obowiązek. Ojciec na pewno by to zrozumiał, a może i go pochwalił. Gdyby się powiodła, nie mieliby już na tatę żadnego haka. Opitz kilkakrotnie widział oczyma wyobraźni ten moment, w którym jego plan się udaje. Uśmiechnął się do swoich myśli. Widział siebie jako bohatera. Wiedział też, co stałoby się później: ojciec wzięłby sprawy w swoje ręce i ci tchórze modliliby się, żeby skończyć w więzieniu. Byłoby dla nich wybawieniem przed zemstą Franza Koschelli.

Ryzykował, nie miał pewności, że znajdzie wyjście z labiryntu. Spodziewał się nawet, że lada chwila trafi na ślepy zaułek i będzie musiał zawrócić. Czy postępował lekkomyślnie? Nie był tu przecież sam, czuł się odpowiedzialny za młodszego kolegę. Być może nie powinien tak dysponować życiem Haima.

– Słyszysz?

Opitz przystanął. Rzeczywiście, teraz i do jego uszu dotarł przyciszony gwar rozmów. Jakby gdzieś za grubą ścianą ktoś urządził przyjęcie.

– Może krzyknijmy? Ktoś z nich nas usłyszy.

– Nie – zaprotestował Opitz. – Ściągniemy na siebie pogoń. Nie ryzykujemy.

Haim, nawet jeśli nie podobała mu się ta decyzja, nic nie powiedział. Młody Koschella na wszelki wypadek obmacał dokładniej pobliskie ściany, przejścia jednak nie znalazł. Ruszyli w dalszą drogę, blisko siebie. Głosy tych ludzi dodały Opitzowi otuchy, choć wciąż nie był pewny, czy postąpił właściwie. Co gorsza korytarz zaczął się obniżać, woda płynęła wartkim strumieniem i gdyby teraz któryś z nich się pośliznął, zjechałoby w ciemność jak po rynnie.

– Stać!

Zmartwieli. Wydawało im się, że ktoś ryknął tuż nad ich głowami. Opitz odwrócił się, daleko za sobą dostrzegł drżącą jaśniejszą poświatę. Pociągnął za sobą Haima. Znów zaczęli biec. I wtedy stało się to, czego się obawiał: trafił stopą w pustą przestrzeń i stracił grunt pod nogami. Runęli w dół z hukiem szumiącej w uszach wody.

\*

– Odłóż to, Koschella, pogrążysz się całkowicie.

Komisarz Heinrich Richter siedział za biurkiem, w gabinecie własnego domu, wpatrując się w wylot lufy skierowanej w swoją głowę. Zostawił na noc uchylone drzwi na taras. Panująca w pomieszczeniach duchota nie dawała mu spać. Próbował stanąć na drodze przeciągu, który stałby się kompresem na jego wewnętrzną gorączkę. Musiał przyznać, że mu się to udało, choć w inny sposób, niż planował. Koschella, który wyłonił się z ciemności, a dokładniej broń w jego ręku, zmroziła go skuteczniej niż lód przewożony na wozach przez dostawców.

– Proszę wziąć kartkę i coś do pisania, komisarzu.

Richter zaśmiał się, patrząc z niedowierzaniem na wachmistrza.

– Straciłeś rozum, Franz? Czego ty ode mnie chcesz?

– Kartka i coś do pisania.

Koschella mówił cicho, ale stanowczo. Komisarz zastanawiał się, czy ktoś z domowników dosłyszy tę wymianę zdań. Żona i dzieci spały na parterze, nie chciał, żeby były świadkami tej sceny. Nie miał zamiaru wzywać pomocy, nie mógł narażać bliskich. Koschella rzeczywiście wyglądał, jakby był niespełna rozumu.

Richter sięgnął do stosu kartek i przysunął jedną z nich do siebie. Po chwili w jego dłoni znalazło się pióro. Ze zdziwieniem spostrzegł, że drżą mu ręce.

– Ja, komisarz Heinrich Richter, oświadczam, że przyznaję się...

Heinrich patrzył na byłego podwładnego niczym na zjawę.

– Pisz pan, komisarzu, przecież pan wie, że nie mam nic do stracenia.

Richter ocenił swoje szanse. Nie trwało to długo. Zacisnął palce na piórze i zaczął stawiać na papierze pierwsze litery.

– Jak sobie to wyobrażasz, Franz? Przecież to wymuszone zeznanie, nikt go nie uzna, a ja powiem o twojej nocnej wizycie. Chyba że... – Komisarz poczuł kolejny dreszcz na plecach. – Chyba że chcesz mnie w coś zrobić, a potem upozorować samobójstwo?

Richter nabrał pewności, że Koschella ściska w dłoni jego własną broń służbową.

– Przyznaję się do ochraniać działalności Bastiana Rabego... – kontynuował wachmistrz, ignorując słowa zwierzchnika. – Byłem świadom jego udziału w porwaniu Sabine Hunfeld, jednak sprawę tę zatuszowałem, wykorzystując...

– Gównno! – Richter odrzucił pióro, zmiął kartkę w dłoniach i cisnął ją w stronę Koschelli. Trafiła go w pierś. – Zastrzel mnie, Franz, nie wiem, co sobie uroiłeś w tej zakutej pale, ale lepiej mnie zastrzel tu na miejscu, bo nic nie podpiszę! Nie wiem, co planujesz. Jeśli myślisz, że się z tego wywiniesz...

Richter zapowietrzył się. Zdał sobie sprawę, że Koschella się uśmiecha. Wachmistrz wyszedł z cienia, zrobił krok w stronę Richtera. Lufa obrała za cel jego czoło.

Komisarz zamknął oczy. Nigdy nie przeczuwał, że ostatnim obrazem, który wyryje mu się na siatkówce, będzie gęba Franza Koschelli.

– Tak, chciałem, żebyś go załatwił, Franz, gdy przedstawiałeś mi wszystkie tropy prowadzące do tego skurwiela... – wyszeptał. – Wiedziałem, że znów wydarzy się coś, co pozwoli mi się wywinąć. Jeśli gdzieś szukać mojej winy, to tu. Ale nigdy Rabego nie chronilem, byłem pewny jego winy dopiero w momencie, w którym wzięłeś go na celownik...

– Kto więc go chronił?



Richter, zaskoczony, uniósł brwi. Broń, którą trzymał Koschella, była teraz opuszczona, a on sam wyraźnie czekał na odpowiedź.

– Kto potrafił wtedy zatuszować sprawę i przez lata chronił Rabego, komisarzu? Domyśla się pan? Kto zrezygnował z osobistych przywilejów na rzecz pana, byle ochronić tego skurwiela? Ta nominacja na komisarza przed pięciu laty... naprawdę nie była dla pana zaskoczeniem?

Richter poczuł, jak krew uderza mu do głowy.

– Został pan komisarzem, czekał pan na to. Nominacja przyszła w trudnym momencie, sprawa zaginięcia Sabine Hunfeld mogła się okazać testem dla nowego kłodzkiego komisarza, porażki ktoś tak ambitny jak pan mógłby nie przełknąć. A ta sprawa śmierdziała na kilometr. Dochodzenie się skomplikowało i wtedy niczym wybawienie pojawił się Berlin. Przejął gorącego kartofla, a pan za bardzo nie protestował.

Koschella zawiesił głos, jakby dawał szansę Richterowi na przedstawienie obiekcji. Ten jednak nie skorzystał z okazji.

– Sabine porwał Bastian Rabe, a nie jakaś szajka handlarzy żywym towarem. Rzeczywiście, Berlin dowiedział się o porwaniu zadziwiająco szybko. Komuś zależało, by zainteresowała się nim centrala, ale nie na tyle, by coś w sprawie zaginięcia zrobić. Nikogo nie zamierzali tu przysyłać. Później wielka wojna zrzuciła los Sabine na plan dalszy. Szukał jej jedynie ojciec. A Bastian Rabe działał dalej, pod ochroną... Ochroną tej samej osoby, która okazała się dla pana tak hojna, która wykorzystwała pana próżność, komisarzu...

– Dosyć! – warknął Richter. Odchylił się na oparciu fotela. Popatrzył w głąb ciemnego korytarza w obawie, że tym okrzykiem ściągnął do gabinetu domowników.

– Pan wie, o kim mówię...

Komisarz przymknął powieki, przesunął dłonią po blacie biurka, zostawiając mokry ślad na politurze.

– Czego ode mnie chcesz, Franz? Mam się zemścić tak jak ty na Bastianie? Chcesz towarzysza w celi?

– Powrót do pierdła mi nie grozi, komisarzu. Bastian Rabe ma się dobrze, niestety...

– O czym ty...?

– Nie zabiłem go. Choć sprawiłem, że wszyscy tak sądzili.

– Pomogłeś w sfingowaniu jego śmierci?

– Nie miałem wyboru. Ma mojego syna.

Richter wypuścił powietrze z płuc.

– Każdy z nas zdaje się ma powód do zemsty.

– Ta zemsta przed nami, komisarzu. Możemy jej dokonać obaj i żaden z nas nie musi za to siedzieć.

Richter pochylił się w stronę wachmistrza. Nie wiedział, co wywołało u niego większą ulgę: to, że wreszcie pozbędzie się demonów przeszłości, czy to, że ostatnim obrazem przed śmiercią nie będzie jednak gęba podwładnego.

– Zamieniam się w słuch, Koschella. Mów, bo mamy mało czasu.

– Mniej, niż pan myśli. Wszystko musimy załatwić w najbliższych godzinach.

\*

Tak, to był jego dzień. Wiedział, że kiedyś nadejdzie. Los dawał mu szansę, którą musiał wykorzystać. Drugi raz już tak się nie zdarzy. Gwiazdy, planety, może jakaś pieprzona kometa ustawiły się w rzędzie, w karnym szeregu specjalnie dla niego. Musiał to wykorzystać za wszelką cenę. Większość banknotów wymienił już na żetony.

Obserwował wszystko jak przez mgłę. Z łbów graczy parowało ciepło, kieliszki nie pozostawały puste nawet na chwilę. Gama emocji na twarzach. Niektóre rozpalone do czerwoności, inne trupioblade, pozbawione choćby mililitra krwi. Grzechot żetonów, stukot wprowadzonej w ruch kulki przeskakującej kolejne przegródki, zataczającej po raz enty szatańskie koło. Gra z diabłem decydująca o losie tych, którzy powierzyli jej całe swoje życie. Suma obecnych w niej liczb nie mogła być przypadkowa...

Seipelt przyciągnął wzrok Weibera, ten jednak pokręcił głową. Paul zacisnął pięści. Widział, jak kilku z wybranych przechodzi obok dwóch zwalistych, pozbawionych mózgow górn mięsa i znika w osobnym pokoiku.

Poker. Przy tamtym stole z rąk do rąk przechodziły fortuny. Samo wejście do gry wymagało niemałego wkładu.

Dziś był jego dzień. Popatrzył na swoje palce i płynnie przesunął w nich kilka krążków z wyrytymi złotymi cyferkami oznaczającymi ich wartość. Wydawało mu się, że wypadły mu z dłoni, jednak to on postawił je wszystkie na jednej cyfrze. Trzy krążki, na szóstce.

– *Rien ne va plus...*

Słowa zabrzmiały obco, choć wiedział, co oznaczają. Odliczał okrążenia bieżni, które miała do pokonania kulka.

– Trzy, dwa, jeden...

Przed oczami zatańczyły mu świetliste kręgi. Uśmiechał się, choć nie wiedział dlaczego. Czas płynął inaczej, zgęstniał, jakby w podziemnym mieście rządził się własnymi prawami.

Rozległy się brawa. Skinął głową. Doceniono jego brawurę. Brawa za odwagę, Seipelt... Brawa dla przegranego, kurwa. Zatoczył się, nogi zostały w miejscu, gdy górna część ciała zamierzała ruszyć w stronę wyjścia. Wsparł się na ramieniu jakiegoś jegomościa – a może to ten człowiek wyczuł jego słabość i pomógł utrzymać się w pionie?

– A jednak pan wszedł?

Facet w zdziwieniu uniósł brwi. Nie, pomylił się, to nie był ten człowiek, którego Weiber odrzucił w hotelu Nowy Wrocław. Laska ściskana w dłoni była inna, tamta nie miała perłowej gałki. Dlaczego jednak wciąż myślał o tamtym facecie? Może dlatego że wydawał mu się znajomy – jego postura, pociągła twarz skryta pod rondem kapelusza.

– Pomóc panu?

– Odpierdol się. – Seipelt otrząsnął się, wyprostował, jakby dzięki temu jego głowa miała się wynurzyć ponad powierzchnię jakiejś

mętnej substancji. – Zajmij się, kurwa, sam sobą, człowieku!

Ochrona miała go już na celowniku. Wiedział, że jeśli zacznie się awanturować, zaraz wyrzucą go na zbity pysk. Musiał zachować pozory, że przegrana nie zrobiła na nim większego wrażenia, choć przecież za jednym zamachem pozbył się niemal całego zabezpieczenia Asty.

Palilo go w bebeczach. Chwycił kieliszek z tacy niesionej przez kelnera i wypił zawartość duszkiem. Drzwi. Te drzwi, za którymi chciał tak bardzo się znaleźć, które miały być przepustką do lepszego życia, właśnie się uchyliły.

Wystarczyła wymiana spojrzeń, ułamek sekundy. Seipelt stał jeszcze przez uderzenie serca jak sparaliżowany, patrząc na skrzydło zamykającego się przepierzenia. To był impuls, ta myśl przyszła w jednej chwili. Był tam, ten skurwiel tam był, nie musi więc go szukać, obmyślać, jak przycisnąć do ściany. Plan po prostu przyspieszył, sam z siebie.

Wachmistrz zdał sobie sprawę, że wstrzymał oddech. Pospiesznie wycofał się znad przepaści, w którą właśnie miał runąć. Myśli i emocje wróciły na właściwe tory. Nie mylił się, za tymi drzwiami wciąż znajdowała się jego szansa, wystarczyło zastosować tę samą metodę, którą stosowali oni. Nie miał nic do stracenia.

Wyszukał w kieszeni resztę banknotów, wymienił je na kilka żetonów o najmniejszym nominale. Zmienił stół, obstawił kolor, czarne. Dobry znak. Powtórzył czarne. Szczęście znów było po jego stronie.

Emocje wypełniły Seipelta po brzegi. Gorejący w trzewiach ogień zdawał się niczym wobec tego żaru, który rozpalał mu umysł. Był przygotowany. Na tę rozgrywkę, która miała nastąpić, szykował się całe życie.

Drzwi sali znów się otworzyły, a mężczyzna, którego wcześniej rozpoznał, pożegnał się z Weiberem i ruszył do wyjścia. Walizeczka w jego dłoni wyglądała na ciężką. Wachmistrz ściągnął ze stołu wygraną i schował do kieszeni. Usłyszał kilka zawiedzionych głosów

– widać zebrani docenili jego szaleństwo i mieli ochotę na więcej. Podążył w ślad za opuszczającym towarzystwo graczem.

Znalazł się w korytarzu. Tu wydłużył krok, żeby w labiryncie tuneli nie zgubić swojego celu.

– Panie komisarzu? Mamy chyba do pogadania! – zawołał.

Dłoń Motta powędrowała pod płaszcz, szczęki zacisnęły się, jakby zablokował je niecodzienny impuls myślowy. Seipelt uniósł dłonie w uspokajającym geście i się uśmiechnął.

– Komisarzu, muszę zamienić z panem kilka słów. Sprawa ważna, niecierpiąca zwłoki...

– Czego chcesz, Seipelt?

– Chodzi o Koschellę i tego całego Kleina. Myślę, że na coś trafili. Mówię to tylko dlatego, żeby komisarza uprzedzić. Po co komisarz ma mieć kłopoty?

W korytarzu trzasnęły drzwi, kolejna grupka rozradowanych amatorów hazardu zmierzała w stronę podziemnego kasyna. Parsknęli śmiechem, gdy wyminęli stojących naprzeciw siebie nieruchomych mężczyzn.

– Może porozmawiamy na spokojnie? – Seipelt wskazał boczne drzwi.

Niechętnie skinęciem głową. Mott sięgnął po pochodnię stojącą w stojaku przy ścianie, pchnął odrzwia i dał sygnał Seipeltowi, by ten przekroczył próg jako pierwszy. Wachmistrz bez ociągania wszedł do ciemnego pomieszczenia. Mott ruszył za nim, oświetlając ścianę i sprzęty. W nozdrza wwiercał się zapach wilgoci i zgnilizny. Dawniej była to jedna z tych piwnic, które służyły mieszkańcom kamienic za skład i spiżarnię.

– Niech pan tu czegoś nie spali, komisarzu.

Mott z obrzydzeniem zlustrował słomę pod nogami, uniósł but, jakby sprawdzając, czy nie wdepnął w jakieś gówno. Włożył pochodnię w uchwyt przy ścianie.

– Czego chcesz, Seipelt? Przechodź do rzeczy...

– Gorąco w mieście. Ta sprawa z Rabem nie przycichnie, na światło dzienne wyjdą stare sprawy. Komisarz wie, o czym mówię...

– Nie, nie wiem.

Gardłowy śmiech Seipelta odbił się od ścian.

– Rabe... przez te wszystkie lata nie można było na niego nic znaleźć. Zrywał się z haczyka w cudowny sposób. Nie ukrywam, że w dużym stopniu przyczyniłem się do spokoju pańskiego protegowanego.

– I co w związku z tym?

– Uważam, że należy mi się gratyfikacja... takie docenienie naszej dotychczasowej współpracy i załączek pod jej utrzymanie na przyszłość.

Seipelt dostrzegł na twarzy komisarza rozbawienie. To sprawiło, że stracił nieco pewności siebie. Improvizował, stawiał wszystko na jedną kartę, nie zważając na ryzyko. Przekalkulował?

– Pomyślę, Seipelt. Przyjedź do mnie jutro. Pogadamy w spokoju.

Jutra dla Seipelta nie było, ale o tym tamtemu nie mógł powiedzieć.

– Nie ma czasu na myślenie, panie komisarzu. Do Dusznik w najbliższym czasie się nie wybieram. Panuje tam niezbyt sprzyjająca atmosfera, ludzie padają jak muchy... Wolałbym zakończyć tę sprawę jeszcze dziś. – Seipelt wskazał walizeczkę w dłoni Motta. – Myślę, że komisarz nie zbiednieje, dzieląc się ze mną zawartością. Coś czuję, że dziś szczęście panu dopisało.

– Stąpasz po cienkim lodzie, Seipelt.

Paul popatrzył pod nogi, rozejrzał się z udawanym zdziwieniem.

– Wygląda solidnie, lita skała – zaśmiał się.

– Pomyślałbym, że mi grozisz, Seipelt, gdybym sobie nie uzmysłowił, że sam tkwisz w tym gównie po uszy. To oznaczałoby, że podcinasz gałąź, na której siedzisz, albo coś innego... – Komisarz dotknął palcem szyi i przejechał po niej długim przypiętym paznokciem.

Seipelt zaśmiał się w duchu. Miał niewątpliwą przewagę. Mottowi wydawało się, że wizja odsiadki go przestraszy. Ale Paul już niczego się nie bał.

– A w sumie wolałbym to niż uduszenie strunami... – Wystawił język, naśladując umarlaka Prumowa. – Zbyt dramatyczne. Choć podziwiam cierpliwość, i tak długo tolerował pan słabostki synalka...

Mott poczerwieniał na twarzy, lecz milczał.

– Nie ma się co dziwić, wiem dużo i naprawdę nie kłamałem z tym podziwem. – Seipelt zaryzykował, wskazał palcem walizkę. – To pewnie zapłata za pozbycie się tego grajka, co? Nie ma co go żałować, sam był sobie winny. Pewnie gadał z Koschellą mimo ostrzeżeń tatusia. Zresztą nagroda się panu należała za pilnowanie tego całego przedszkola przez te wszystkie lata. Spieprzyli wszystko dokumentnie. Nawet nie starali się ukryć ciała tej całej Sabine. Rabe, Prumow i Zuber byli na to za miękcy. Liczyli, że posprząta za nich Armand, to on miał być od brudnej roboty, ale się na was wypiął. Chyba nawet wiem, jak było. Rabe z przyjaciółmi opracował plan porwania Sabine i wyciągnięcia od jej tatuśka forsy. Gdy wszystko się spieprzyło, a dziewczyna zginęła, zapaliło im się w dupie. Wtedy Prumow zwrócił się do pana o pomoc. Pomógł pan tym patałachom zatrzeć ślady, zrzucić wszystko na berlińskie ringvereiny, co?

– Kiedyś żałowałem, Seipelt, że nie przyjąłeś mojej oferty przenosin do Dusznik. Zrobiłbyś u mojego boku większą karierę niż tutaj... Ale teraz dochodzę do wniosku, że dobrze się stało. – Mott skrzywił się lekceważąco.

– Nie byłem zdolny do takich poświęceń jak komisarz – zaśmiał się Paul, choć nieco niepewnie. – Stąd pewnie ten mój podziw dla pana. Ja na ten przykład nie oddałbym awansu za ciepłą posadkę w Kłodzku Richterowi. Ale ten ruch był przemyślany, nie zaprzeczę. Nasz Heinrich tak się zachłysnął nowym stanowiskiem, że zupełnie odpuścił temat Sabine... A Berlin! – Seipelt złożył dłonie do oklasków. W składziku rozległy się głucho klapnięcia. – W tym

wypadku ośmielę się przypomnieć swoje zasługi. Podałem chłopakom z centrali wszystko to, co chcieli usłyszeć.

– Zostawiłeś pamiątnik Sabine, idioto, w naszym archiwum – warknął Mott. – Miałeś go zniszczyć.

– A to nie moja wina, że macie u siebie taki burdel. – Seipelt uniósł dłonie w obronnym geście. – Poza tym to pan nie upilnował tego swojego Bauscha. Gdyby nie węszył, sprawy by nie było...

– Ten błąd został już naprawiony. Przyjdzie czas na naprawę kolejnych. Czego chcesz, Seipelt?

– Dobrze, krótko, bo widzę, że pan się spieszy. Załatwmy to teraz i rozejdziemy się w pokoju. Pieniądze za moje milczenie, panie komisarzu.

Mott skinął głową, jakby spodziewał się właśnie takiej oferty. Uniósł teczkę i otworzył zapięcie. W tym momencie jakby się zawahał.

– Wiesz co, Seipelt? Myślę, że się jednak nie dogadamy.

Paul poczuł ucisk w klatce piersiowej. Przeliczył się. W jednej chwili dotarło do niego, jaka była prawdziwa przyczyna wizyty Motta w kasynie. Komisarz w walizce miał należność za swoje usługi. Zastosował ten sam zabieg – szantaż – zrobił to jednak z większym wyczuciem. Seipelt był pewny, że Mott także niczego się już nie boi. Z innego powodu. Ten szczur uciekał z tonącego okrętu, dlatego zginął Prumow. Nie miał zamiaru z nikim się dzielić swoją zdobyczą. Paul mógł się założyć, że skurwiel miał już w kieszeni bilety na podróż statkiem do Ameryki.

Wszystkie te rozważania trwały kilka sekund, był to wystarczający czas dla pięści Motta, która wystrzeliła w kierunku jego nosa.

Seipelt runął jak długi na ziemię.

Komisarz przechylił głowę w gady sposób, a w jego dłoni pojawił się nóż. Paul splunął krwią, przed oczyma miał czerwoną mgłę.

– Mott! – krzyknął, chcąc zyskać na czasie i zdekoncentrować napastnika. Wygiął ciało w łuk i z całej siły kopnął Motta w goleń.



Usłyszał chrupnięcie, a cielsko komisarza zwało się wprost na niego.

Seipelt wrzasnął, patrząc ze zdziwieniem na nóż wbity w swoje udo. Twarz Motta wykrzywiła się upiornie. Przekręcił ostrze i podciągnął się na nim w górę, jakby całym sobą chciał przykryć wierzgającego Seipelta.

Ból był paraliżujący. Wachmistrz zagryzł wargi, próbując palcami dosięgnąć oczodołów Motta. Ten odchylił głowę do tyłu i wyjął ostrze z rany. Uniósł je do góry, najwyraźniej zamierzając tym razem wbić je w klatkę piersiową wachmistrza. Paul czuł, jak opuszczają go siły. Skoncentrował się na tym, by zablokować rękę przeciwnika, w której ten trzymał nóż. Złapał tuż przy nadgarstku. Mott był jednak silny jak tur.

– Zdychaj, nie broń się, po prostu zdychaj.

Głos komisarza był przerażający. Wydawało się, że Mott zupełnie się nie zmęczył. Dociskał coraz mocniej, jakby sprawdzał, ile Seipelt ma w sobie pary i woli życia. Milimetr po milimetrze ostrze zbliżało się do serca wachmistrza.

Paul wiedział, że jedyne, co może zrobić, to opóźnić śmierć o kilka, kilkanaście sekund. Nie przewinął mu się przed oczami film z całego życia. Miał tylko jedną klarowną myśl, dosyć prostą: wszystko, co robił, prowadziło go do tego miejsca, jakby wiedział, że tak ma się to skończyć.

Szarpnął głową. Dostrzegł pręt, duży hak niemal na wyciągnięcie ręki. Wystawał spod jednej ze skrzyń.

– Kurwa! – Gdyby udało mu się przez kilka chwil przytrzymać napierającego Motta... Znał ludzi, którzy potrafili się zdobyć na taki wysiłek w obliczu śmierci. Dokonywali niemal cudów, rzeczy, których, wydawałoby się, nigdy nie będą w stanie wykonać. Ci ludzie musieli mieć jednak ogromną wolę walki, chęć przeżycia. A Seipelt z siebie tych sił wykrzesać nie potrafił.

W pierwszej chwili wydało mu się, że zapanuje nad bólem. Ot, zwykłe ukłucie, coś, co wnikało do wnętrza jak sączący się wrzątek.

Wtedy jednak uleciało z niego z sykiem całe powietrze. Nie był w stanie zaczerpnąć kolejnego oddechu. Chyba właśnie wtedy, gdy znalazł się na krawędzi, znów rozpaczliwie zachciało mu się żyć. Miał przecież jeszcze kilka spraw do załatwienia.

Popatrzył na pręt. Ten uniósł się. Nie wiedział, jakim cudem. Odkryło się to bez jego udziału, jakby sama siła woli wystarczyła, by dźwignąć ciężki przedmiot.

Seipelt ze zdziwieniem patrzył, jak ten sam pręt z impetem leci w stronę Motta. Szyja komisarza nadziała się na hak. Seipelt łowił czasem ryby w Nysie i do złudzenia przypominało to nabijanie na haczyk ruchliwego robaka.

Ciężar przestał ugniatać klatkę piersiową. Jakaś siła cisnęła Mottem o ścianę, jednak wachmistrz wciąż nie był w stanie zaczerpnąć powietrza. Coś bulgotało mu w piersi.

– Wachmistrzu!

Zobaczył nad sobą dwie postaci. Jedną z nich był mężczyzna trzymający w dłoniach laskę o perłowej gałce. Drugiego też kojarzył.

– Klein...

To on stał wtedy w cieniu, szedł za nimi z rynku do koszar. Powinien był go rozpoznać.

– Trzeba mu pomóc – krzyknął facet z laską.

Seipelt popatrzył w nieruchome oczy Kleina. Nie spodziewał się po kapitanie pomocy.

\*

Zbudził go łomot do drzwi. Zaklął głośno, wyrzucając w przestrzeń wiązaną wymyślnych przekleństw. Leżał, patrząc jeszcze chwilę w sufit, na jaśniejszy prostokąt światła rzucany przez uliczną lampę. Łomot się powtórzył, więc nie mógł się łudzić, że to omam słuchowy, resztki jakiegoś nieprzyjemnego snu.

Dyrektor Banku Rzeszy Sigmund Winter nie miewał snów, przynajmniej takowych nie pamiętał. Kiedyś, dawno temu, gdy był zwykłym kasjerem we Wrocławiu, śniło mu się, że nie może się

doliczyć powierzonych mu pieniędzy. Za każdym razem, gdy był już przy końcu skomplikowanych obliczeń, cyfry dziwnym sposobem zmieniały się, trójka przekształcała się w ósemkę, dziewiątka w szóstkę. Budził się wtedy zlany potem, wykrzykując wyniki. Koszmary skończyły się, gdy kolejne awanse wzmocniły w nim pewność siebie. Teraz jednak, gwałtownie wyrwany ze snu, miał jakieś ulotne wrażenie, że znów po tylu latach dokonywał w majakach zawiłych kalkulacji.

– Idę już! Idę!

Krzyknął w stronę drzwi, gdy łomot się powtórzył. Sięgnął klamki i wtedy dopiero się zawahał.

– Czego?! Kto tam, do diabła?!

– Policja, panie Winter. Lepiej się pan pospiesz.

Dyrektor poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Wciąż działał w półśnie, przez to nie myślał racjonalnie. Głos wydał mu się jednak znajomy. Przekręcił zamki i otworzył drzwi.

W pierwszej chwili nie docierało do niego, kogo widzi. Miał rację, znał ten głos, potrzebował jednak chwili, by dopasować go do postaci. Gdyby nie zmałowany stan umysłu, pewnie zareagowałby bardziej gwałtownie, może nawet zdążyłby zatrzaskać dębowe odrzwia i zamknąć się na cztery spusty. Nie zdążył. Teraz mógł jedynie przeżywać koszmar na jawie. Stał przed nim oskarżony o zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem Franz Koschella.

– Panie, co pan!

Winter pisnął jak mysz schwytna w pułapkę, gdy wachmistrz przestąpił próg i znalazł się w wąskim korytarzyku. Ugięły się pod nim nogi, a spod koszuli nocnej dobyło się głośnie pierdnięcie.

– Ubieraj się pan, dyrektorze... – Koschella przerwał, skrzywił się nagle i odsunął od Wintera. – Coś pan jadł na kolację?

– Kaczkę, cebulak, wypilem też nalewkę do snu... – Winter wyśpiewał wszystko jak na spowiedzi. Ledwie się trzymał na nogach.

– Człowieku, powaliłbyś tym smrodem konia. – Franz popchnął delikatnie dyrektora w stronę sypialni. – Nie ma czasu. Ubieraj się pan. Musimy jechać.

– Ale gdzie? Co mi pan chce zrobić?

– Ratuje panu dupę, dyrektorze. Jeszcze będzie mi pan wdzięczny.

Winter wtoczył się do pokoju, włożył spodnie na nocną koszulę, zarzucił płaszcz na ramiona. Przypomniawszy sobie sen, który go męczył przed tym gwałtownym przebudzeniem. Znowu dodawał do siebie cyfry i liczby, za każdym razem jednak wychodziło mu, że jest na minusie. Strata liczona była w dziesiątkach milionów marek. Chyba to sprawiło, że nie sprzeciwiał się Koschelli i wykonywał każde z jego poleceń.

\*

– Jesteś cały, Haim?

– Tak...

Opitz słyszał drzenie w głosie chłopca. Malec musiał się mocno potłuc, gdy spadali. On sam miał już śmierć przed oczami. Był pewny, że skręci kark, uderzając w jakąś twardą powierzchnię.

– Boli cię coś?

– Noga.

– Możesz iść?

Być może chłopak skinął głową, a może nią potrząsnął. Tego Opitz nie był pewny. Wiedział jedynie, że muszą dalej próbować, jeśli teraz się zatrzymają, będą straceni. W tych ciemnościach strach chwycił za gardło.

– No wstawaj.

Opitz poczuł, jak Haim wspiera się na nim, usłyszał syk bólu. Nie skomentował tego. Litowanie się nad towarzyszem nie przyniosłoby niczego dobrego. I tak nie był mu w stanie ulżyć w cierpieniu. Miał jedynie nadzieję, że ten nie złamał nogi.

– Jak myślisz, Opitz, gdzie jesteśmy?

Młody Koschella zastanawiał się nad tym już od dłuższego czasu. Przez chwilę wydawało mu się, że ma jakąś nadnaturalną moc, bo był niemal pewny, że nawet w ciemnościach wyczuwa kierunki świata, ma też w głowie plan Kłodzka i wszystkich jego budynków. Bardziej prawdopodobne było jednak to, że łączył pewne fakty. Już wtedy, w celi, przed pojawieniem się Haima, zastanawiał się, gdzie mogą go przetrzymywać. Korytarze wykute w skale, cela przypominająca jakąś piwnicę. Nie miał wątpliwości, że trzymają go w podziemiach.

Określił nawet swoje położenie. Pomógł mu w tym szum wody pod podłogą. Tego, że nie jest to zwykły tunel kanalizacyjny, domyślił się, ponieważ rwący potok pojawił się nagle, jakby po gwałtownej ulewie. Majster Kutz mieszkający na Böhmsche Strasse opowiadał mu kiedyś, że wszystkie kamienice od południowej strony twierdzy kiedyś runą. Pokazywał popękane, wilgotne ściany i zalane piwnice. Opitz pamiętał, jak stary Kutz winił za ten stan rzeczy podziemną wodę spływającą z twierdzy. Podmywała ona fundamenty i zalewała tunele pod kamienicami. Dlatego też Opitz przyjął za pewnik, że krąży teraz z Haimem gdzieś pod swoim domem, w okolicach Böhmsche Strasse i północnej pierzei rynku.

– Czujesz?

Opitz przystanął. Rzeczywiście i on wyczuł teraz na policzku delikatny podmuch.

– Idź za mną, Haim. Musimy iść ostrożnie, żeby znów nie spaść...

– W porządku. Bądź ostrożny.

Młody Koschella delikatnie poklepał Haima po głowie. W ten sposób chciał chyba dodać otuchy także samemu sobie. Był wdzięczny losowi, że nie jest tu sam. Miał nadzieję, że obaj się stąd wydostaną.

\*

Klein widział trupią bladość Müllera, po raz pierwszy, zdaje się, będącego świadkiem tak drastycznej sceny. Wstrząsały nim

dreszcze. Sklepiarz za wszelką cenę starał się nie patrzeć na ciało Motta, wokół którego utworzyła się kałuża krwi.

– Musisz się wziąć w garść, Oskar. Będziesz mi jeszcze potrzebny. Opatrz Seipelta, zrób, co możesz...

Müller zgodził się, ale jakby bez przekonania.

– Od tego zależy los chłopców.

– Tak, wiem... musimy im pomóc.

Wilhelm skinął głową, widząc, jak sklepiarz odzyskuje rumieńce. Oskar przykucnął przy śmiertelnie bladym wachmistrzu. Założył prowizoryczny opatrunek na udo i klatkę piersiową ранnego.

– Świetnie – pochwalił go Klein. – Masz jeszcze jedno zadanie. Rób, co mówię, bo zaraz będzie tu gorąco...

– Zamierzasz mnie wprowadzić w szczegóły?

– Właśnie to zrobiłem. – Klein podniósł z podłogi pochodnię, która niemal wygasła. Płomień rozbłysnął z nową siłą. Müller wpatrywał się w ogień z szeroko otwartymi ustami, chyba dopiero teraz dotarło do niego znaczenie słów kapitana.

Klein przeszedł w kąt pomieszczenia i cisnął pochodnię w stertę słomy. Dorzucił do ogniska kilka skrzyń.

– Wystarczy trochę dymu.

Müller odruchowo wycofał się w kierunku drzwi, wtedy ogień buchnął ze zdwojoną mocą. Klein nic nie robił sobie z pożaru. Stał tuż przy płomieniach, które pochłaniały drewniany materiał. Skrzynie przez lata przesiąkły wilgocią, przez co dym stawał się coraz gęstszy.

– Już czas, Müller. Biegnij do głównej sali. Wiesz, co masz robić?

– Jasna cholera! – Müller, patrząc w oczy Kleina, miał wrażenie, że zagląda w głąb piekła. Zerknął jeszcze na Seipelta. Ten był blady jak śmierć, wydawał się niezdolny do jakiegokolwiek działania.

– Oskar, pędź! – Klein przynaglił przyjaciela ostrym słowem.

Ten zakaszlał i pchnął drzwi, rozwierając je na oścież.

Dopływ świeżego powietrza zdawał się tłumić ogień, jednak po chwili dym podążył za Oskarem, jakby miał zamiar pochwycić go

w swoje szpony.

– Pali się! – Müller wpadł do sali gier, wymachując rękoma. – Ogień! Uciekajcie!

Wrażenie było surrealistyczne. Ludzie zamarli, patrzyli na wymachującego laską przybysza jak na wariata. Dwóch ochroniarzy ruszyło w jego stronę, zapewne myśląc o szybkiej pacyfikacji pobudzonego delikwenta, a nie o wyjaśnieniu sytuacji.

Wtedy jednak za Müllerem wtoczył się do pomieszczenia kłęb dymu. Jakiś mężczyzna krzyknął, dołączył do niego chór głosów. Klienci ławą ruszyli do wyjścia, potrącając i popychając ochroniarzy. Kilku krupierów zbierało ze stołu żetony, chowając je przed tymi, którzy postanowili wykorzystać sytuację i wycofać się z przegranego dopiero co zakładu. Jednak i oni zaczęli z narastającą obawą zerkać w stronę drzwi. Kłęb dymu był coraz gęstszy. Ludzie kaszleli, przekrzykiwali się, pytając o inne wyjście z sali.

– Spokojnie! – Głos Weibera próbującego przebić się ponad tumult wcale nie dodawał otuchy. – Powoli i spokojnie, sytuacja zaraz zostanie opanowana!

Ochroniarze rozglądali się w popłochu, nie wiedząc, jak się zachować. Widać było, że żaden z nich nie został przygotowany na taki bieg wydarzeń. Weiber zapewne także nie, choć wydawało się, że zejdzie jako ostatni z płonącego okrętu. Patrzył na stoły, zastanawiając się, co powinien ratować w pierwszej kolejności: ludzi czy pieniądze. Szybko doszedł do jedynej właściwej konkluzji.

– Stać!

Krupierzy, do których krzyczał, nagle stracili słuch. Tłoczyli się już w korytarzu razem z ochroniarzami, którzy nagle zdecydowali się wspomóc klientów w torowaniu drogi do wyjścia.

Na twarzy Weibera pojawiła się panika. W końcu także ruszył za innymi, ale nagle zatrzymał się, widząc, że ten, który przed chwilą ostrzegął wszystkich przed pożarem, wcale nie kwapi się do ucieczki.

– Co, do cholery?! Co pan narobił? Kim pan jest?

– Zdaje się, jednym z pana mniejszych koszmarów. – Facet wycelował swoją łaskę w stronę drzwi. Weiber podążył wzrokiem we wskazanym kierunku. Z kłębow dymu wyłoniła się wysoka postać.

– Ochrona! – wrzasnął Weiber, wycofując się pod ścianę. – Ochrona! Do mnie!

– Obawiam się, że pana nie usłyszą – odezwał się Klein.

Weiber poczuł w powietrzu intensywniejszy smród spalenizny, miał wrażenie, że za tę woń odpowiada nie tyle dym dochodzący z korytarza, ile stojący przed nim człowiek.

– Jeśli chcecie obrabować kasyno... nic wam po żetonach, nikt ich nie wymieni... – Weiber coraz mniej z tego rozumiał. Dostrzegł teraz i Seipelta, który opierał się chwiejnie o jeden ze stołów. On też na coś czekał.

– Nie zależy nam ani na pieniądzach, ani żetonach. Do tej pory powinien pan już to zrozumieć.

Weiber czuł, że się dusi. Znów popatrzył w stronę korytarza. Był pewny, że ogień zaraz rozprzestrzeni się na salę główną.

– Musimy stąd wyjść! – krzyknął.

– Panie Weiber, wyjdzie pan stąd dopiero, gdy usłyszę odpowiedź na pytanie, które zadam. Gdzie jest Opitz Koschella i Haim Ross?

Weiber pobladł jeszcze bardziej, choć wydawało się to niemożliwe.

– Nie wiem, o czym mówisz, człowieku!

– Myślę, że pan wie... – Dłoń kapitana wylądowała na ramieniu Weibera, który skulił się pod jej ciężarem.

Andre pobladł. Miał wrażenie, że płuca zaczyna mu trawić żywy ogień. Dusił się, ściany sali zaczęły na niego napierać, zawładnął nim paraliżujący lęk, który towarzyszył mu za każdym razem, gdy schodził do podziemi.

– Nic nie wiem, muszę wyjść, muszę stąd wyjść! – Ten histeryczny krzyk urwał się, gdy Weiberem wstrząsnął gwałtowny kaszel.



Przeklinał teraz sam siebie. Jaki diabeł podkusił go, by prowadzić dom gry w podziemiach? Rabe obiecał, że po swoim wyjeździe zostawi mu wszystko. Teraz każdego wieczoru przełamywał swoje lęki z chciwości i próżności. Wydawało mu się, że jest panem podziemnego Kłodzka, mistrzem jakiejś tajemnej organizacji. Zawsze przeczuwał, że kiedyś nadejdzie moment, w którym te skrywane, tłamszone lęki z niego wyjdą. Śnił o zawałających się ścianach i sufitach, pogrzebaniu żywcem, o tym, jak w jednym z tych zatęchłych składów zalewają go hektolitry wody. Śnił też o dymie i ogniu wypełniającym krecie korytarze. Teraz ten koszmar stał się rzeczywistością.

– Zostaniemy tu, dopóki nie odpowiesz na moje pytanie.

Weiber doznawał pomieszania zmysłów. Klein wydał mu się rozmazaną, rozedrganą plamą. Jego głos wsączał się w mózg.

– Pomogę ci, wyjdiesz stąd cały i zdrowy.

– Boże. – Weiber opadł na kolana, klatkę piersiową przytłoczył mu ogromny ciężar, od którego trzeszczały mu żebra. Był bliski hysterii, chciał drapać paznokciami ścianę, byleby się stąd wydostać.

– Muszę stąd wyjść! Natychmiast, błagam...

– Gdzie oni są?

– Mów, bo i tak to z ciebie wyciągną: są tu gdzieś chłopcy?

Weiber popatrzył błagalnie na Seipelta.

– Nie jestem pewny – wydusił płaczliwie. – W głębi jest kilka korytarzy, nigdy tam nie byłem. Jeśli mieli gdzieś ich zabrać, to tam...

Klein i Müller wymienili spojrzenia.

Weiber zwymiotował. Po policzkach pociekły mu łzy. Wcisnął nos w zagięcie łokcia.

– Ja pójdę przodem – wychrypiał Seipelt. – Z niego i tak nie będzie pożytku.

– Ale, panowie, musimy stąd wyjść na zewnątrz... – Weiber się zachwiał. – Musimy uciekać, tu już nie ma czym oddychać.

Nikt go nie słuchał. Trzej mężczyźni ruszyli w stronę tuneli.

\*

Seipelt poruszał się z trudem. Musiał uciskać głęboką ranę w klatce piersiowej. Doskwierała mu bardziej niż ta na udzie, każdy oddech sprawiał mu piekielny ból. Na szczęście dym nie dotarł w tę część korytarzy. Przeszli przez kilka pomieszczeń. Wachmistrz kroczył na czele tego pochodu, na rozwidleniach wybierał drogę na wyczucie. Klein nie sprzeciwiał się jego decyzjom.

– Nie byłeś tu wcześniej?

– Nie. – Seipelt obejrzał się za siebie. Wciąż prześladował go zapach spalenizny. – Ale wiem, że Rabe załęgł się pod miastem. Ryje w ziemi jak kret.

Każdy krok wachmistrza okupiony był potężnym wysiłkiem. Seipelt czuł, że traci siły, chwilami miał problem z ostrością widzenia.

– Ilu było wtajemniczonych? Ilu wiedziało, że Rabe żyje? – zapytał Klein.

Seipelt nie odpowiedział od razu, czuł, że serce coraz mocniej kołacze mu w piersi. Nie zdziwiło go, że Klein domyślił się jego roli.

– Zapewne niewielu – wychrypiał Seipelt. Chłód wdzierał się pod materiał płaszcza i wnikał w rany. – Tylko dlatego tak długo udawało mu się to utrzymać w tajemnicy.

– Skręć tutaj.

Seipelt posłusznie skręcił w boczną odnogę korytarza. W wyborze drogi kierował się świeżymi śladami na suficie zostawianymi przez dym z pochodni. Można było iść po nich jak po sznurku. Podobnie charakterystyczne były kupki gruzu. Pochodziły ze ścian łączących pobliskie korytarze i grotty. Rabe chciał zrobić z tego miejsca własną twierdzę.

– Stój!

Wachmistrz oparł się o ścianę. Popatrzył na przesiąknięte krwią ubranie. Mógł po prostu osunąć się na podłogę, odpocząć. Prowadził jednak Kleina i jego towarzysza przez labirynt korytarzy.

Kapitan zbliżył się do solidnych, częściowo uchylonych drzwi. Otworzył je szerzej i wszedł do pokoju.

Paul z miejsca, w którym stał, dostrzegł wewnątrz celi – domyślił się, że właśnie taka była funkcja tego pomieszczenia. Zauważył dwie prycze, miski z niedojedzonym pożywieniem. Nigdzie jednak nie widział chłopców.

– Patrz na to.

– Myślisz, że tu byli?

Seipelt przysłuchiwał się tej wymianie zdań. Stał w progu, wspierając się o framugę. Od razu zauważył dziurę w kamiennej podłodze. Jedna z płyt była odsunięta. Zaśmiał się w duchu. Syn Koschelli, ten mały skurczybyk, wdał się w cholernego starego.

– Schodzisz pierwszy, Seipelt.

Paul spojrział na Kleina. Obaj wiedzieli, że kapitan nie musi przymuszać go kolejnym słowem.

Gdy wachmistrz zsuwał się w czeluść, miał wrażenie, że wpadnie w studnię bez dna. Z rozczarowaniem odczuł moment, gdy pod butami zachlupotała woda. Wyprostował się i wyciągnął rękę w stronę otworu, przy którym stali tamci dwaj.

– Dajcie pochodnię – wychrypiał. Taki sobie obmyślił plan: gdy już będzie miał pochodnię w rękach, to jej nie wypuści. W jego trawionym gorączką umyśle krystalizował się jakiś plan. Nie wiedział jeszcze, jak go spożytkuje.

Müller opuścił pochodnię do dziury. Seipelt złapał ją sprawnie i poświecił na boki, próbując dostrzec, co kryje się w głębi tunelu. Klein i jego towarzysz wylądowali obok niego niemal natychmiast, nie zdążył się więc rozejrzeć.

– Którędy teraz? – zapytał. – Może te małe skurczybyki miały więcej szczęścia niż rozumu i udało im się wyjść na zewnątrz?

– Tędy. – Klein nie skomentował jego słów. Wskazał kierunek ruchem głowy.

Wachmistrz zgodził się z nim w milczeniu. Posłusznie ruszył pierwszy, ściskając drewnianą pochodnię, jakby tylko ona była

w stanie utrzymać go na powierzchni.

\*

– Panie Koschella, co pan, na litość boską, chce zrobić? Po co to panu? Będą pana ścigać, co z pana żoną, dzieckiem?

Wachmistrz zareagował dopiero na to ostatnie słowo, a w jego oczach pojawił się błysk, który Wintera przeraził. Wcześniej Koschella przypominał wyzutą ze wszelkich uczuć bryłę lodu. Ignorował prośby i zaklęcia dyrektora. Szli w stronę rynku, przemykając opustoszałymi ulicami Kłodzka. Od dolnego miasta nadciągnęła mgła. Wydawało się, że dym ulatnia się spod ziemi, jakby gdzieś pod miastem tkwił rozpalony kocioł.

– Ruszaj się pan – ponaglił Koschella.

Wyminęli budynek gospody Ferdinanda Wolffsa. Kamienica była w trakcie przebudowy przyziemia. Przyzwyczajenia Wintera wzięły nad nim górę. Bankier zawsze będzie bankierem. Nawet w tej szalenie stresującej sytuacji nie mógł się oprzeć, by nie ocenić przy okazji postępu prac swojego klienta. Emill Raddatz wziął kredyt na przebudowę budynku i wyznaczył do tego zadania znanego projektanta Boesego. Oprócz restauracji pomieszczenie w portalu bramy miała zajmować apteka. Winter, patrząc na ścianę pomiędzy oknami piętra, miał wrażenie, że z mgły wpatrują się w niego lśniące oczy wilka. Skarcił się za bujną wyobraźnię, wiedział, że ustawienie płaskorzeźby tego ssaka właściciele mają dopiero w planach.

Przeszli przez kamienny most i zatrzymali się przed wejściem do banku. Dyrektor przez chwilę rozważał, czy nie wzywać pomocy – gdyby krzyknął na całe gardło, na pewno ktoś by go usłyszał – powstrzymały go jednak przed tym desperackim krokiem kolejne słowa Koschelli:

– Ani się waż. Zamknij jadaczkę i otwórz bramę.

Winter drżącymi dłońmi odszukał klucze i otworzył wszystkie zamki. Szybko znaleźli się w środku. Dyrektor ruszył w stronę źródła światła, ale Koschella go powstrzymał.

- O niczym pan nie zapomniał? Alarmy.
- Tam. – Winter wskazał skrzyneczkę za kontuarem.
- Niech pan robi, co trzeba.
- Ale...
- Niech pan wyłączy to cholerstwo, bo stracę cierpliwość.

Winter podszedł do kontuaru, wyminął go i stanął przed szafką. Wystarczyło odczekać jeszcze kilka chwil, by ryk alarmu obudził cały rynek. Policja powinna pojawić się pod budynkiem w ciągu minuty. Mimo to stało się coś dla Wintera niepojętego. Zobaczył, jak jego dłoń otwiera pokrywę, a po chwili odłącza alarm. Skąd ta decyzja? Winter przeanalizował wszystkie dane, tak jak zwykł zawsze to robić. Kilkakrotnie mógł przeszkodzić Koschelli. Gdyby choć trochę się wysilił, ten nie przekroczyłby nawet progu budynku Banku Rzeszy. Jednak stało się inaczej. Winter zawsze wierzył w wyniki swoich analiz. A w tym konkretnym stało, że ma posłuchać tego szaleńca.

– Zawierzyłem panu, Koschella. Jeśli to się źle skończy, to zapewnię panu miejsce w piekle.

– Panie Winter. Będziemy się tam obaj smażyć kocioł przy kotle, ale jutro będziesz pan bohaterem nie tylko w Kłodzku, ale i w całych Niemczech. Możesz mi pan wierzyć.

Winter zamrugał gwałtownie, jakby chciał zrzucić z siebie zaklęcie, którym omamił go ten człowiek.

– Prowadź pan do skarbcza, znasz pan pewnie drogę nawet po ciemku...

Dyrektor poczuł słabość w nogach, mimo to ruszył w stronę drzwi, za którymi znajdowały się prowadzące w mrok schody. Serce łomotało mu w piersi i gdy znaleźli się przed wrotami do skarbcza, był pewny, że ciśnienie krwi rozsadzi mu czaszkę. Przeraził się, huk w uszach był ogłuszający. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że dźwięk, który słyszał, wcale nie wydobywał się z jego klatki piersiowej.

– Co to jest?

Dyrektor zdębiał, widząc, jak palec Koschelli wędruje do ust.

Odgłos znów się powtórzył, wyraźniejszy, dobiegał gdzieś z wnętrza skarbcza. Winter dałby głowę, że wydobywał się spod marmurowej podłogi.

– Ptaszki niedługo będą w gniazdku, panie Winter. Tylko niech ich pan czasem nie wypłoszy.

\*

Wspinali się po schodach. Opitz czuł, że z małym nie jest najlepiej, chwilami więc przystawał, jakby sam musiał odpocząć. Chciał dać Haimowi czas, by ten zebrał siły do dalszej wędrówki.

Malec trzymał się dzielnie, nie bał się też szczurów, z którymi przepychali się w tunelu. Opitz czuł na sobie łapy gryzoni, na szczęście nie były wygłodniałe i nie kęsały ich po nogach. Mimo to ich popiskiwanie jeżyło mu włosy na głowie.

W korytarzu znów natrafili na liczne odnogi. Niektóre młody Koschella omijał, wyczuwał w nich zapach rozkładu. Wybierał te, które nie napawały go lękiem.

Zgubił gdzieś ten świeży powiew wiatru, który wcześniej dał mu nadzieję, i teraz zastanawiał się, czy nie był tylko złudzeniem. Wiedział jedno: muszą iść do przodu, wciąż przed siebie, jeśli się zatrzymają, nikt ich tutaj nie odnajdzie. Mimo woli wyobraził sobie, że spędzą tu wiele dni. Gdy nad nimi toczyć będzie się życie, oni będą umierać z głodu i pragnienia, chyba że posmakują w szczurzym mięsie... Z trudem odepchnął od siebie tę ponurą myśl.

Walczył z czymś, co w nim rosło, głęboko w środku, rozpychało się w przełyku, w żołądku. Gniew? Nienawiść? To w nim pęczniało, wypełniało go po brzegi. Było to uczucie, którego się brzydził i którego się obawiał. Może dlatego że było nowe i fascynujące. Zaczynał je rozumieć i przyswajać.

Poczuł to po raz pierwszy wyraźnie wtedy, tamtego dnia, gdy wracał ze szkoły. Choć matka upominała go, by nie włóczył się po podwórkach, zawsze znajdował czas, by wejść do tej czy innej

bramy, przemknąć pomiędzy składzikami, sprawdzić, co kryje się w piwnicy sąsiadów. Wraciał brudny i podrapany. Tak czarny jak hałdy węgla, z którego zjeżdżał na tyłku, tak umorusany jak korytarze, po których przemykał niczym duch.

Było już późno, gdy wyszedł prosto na tamten samochód. Rozpoznał kierowcę. Człowieka, którego nigdy nie lubił, choć ten był współpracownikiem ojca. Mężczyzna uśmiechnął się, otworzył drzwi zaprosił do środka.

– Znowu spóźnisz się do domu, Opitz, i ojciec wytarga cię za uszy. Wsiadaj, jadę w twoją stronę...

Posłuchał. Nie był czujny. Dopiero po chwili zauważył, że na tylnym siedzeniu jest ktoś jeszcze. Nie miał szans uniknąć jego wielkich łap. Zanim ten człowiek przyłożył mu do ust szmatkę ze śmierdzącym płynem, zdążył wykrzyczeć przysięgę. To ona właśnie jątrzyła się w środku, w jego ciele i duszy. Wiedział, że musi ją wypełnić, by zaznać spokoju. Gdy tracił przytomność, słyszał śmiech kierowcy. Może się przesłyszał, ale wyczuł w tym śmiechu fałszywą nutę.

Nagle w korytarzu rozległ się huk. Opitz wstrzymał oddech. Przez tunel przetoczyło się echo.

– Wystrzał – powiedział cicho. – Ktoś strzelił.

Przykucnęli razem z Haimem. Młody Koschella miał wrażenie, że ktoś obserwuje ich w ciemnościach, wiedział jednak, że to tylko złudzenie. Strażnik, który za nimi podążał, musiał być daleko. Na pewno był uzbrojony, dlaczego jednak wystrzelił?

– Kroki... słyszę kroki.

Opitz zmarszczył czoło, chciał powiedzieć Haimowi, że ten się przesłyszał, ale przyszło mu do głowy, że mały może mieć bardziej wyczulony słuch.

– Nie ruszamy się stąd – zdecydował. – Tak będzie najbezpieczniej.

Seipelt przystanął. Wystrzał był tak głośny, jakby ktoś wypalił tuż przy jego uchu. Odruchowo sprawdził koszulę na piersi, spodziewając się, że wykwitnie na niej kolejna plama krwi.

– To pewnie człowiek Rabego, musiał pójść za chłopcami.

Nikt mu nie odpowiedział. Ruszyli dalej. Teren się obniżył, a woda płynęła tu wartkim potokiem, należało więc zachować maksimum koncentracji, by nie przewrócić się na wyslizganych kamieniach. Seipelt czuł, że jego zęby zaczęły wystukiwać rytmiczne *staccato*. Szedł z coraz większym trudem, ledwie pokonywał opór zeszywniałego ciała. Gdyby ktoś oddał teraz strzał w jego kierunku, przyjąłby to z ulgą.

– Stój!

Wachmistrz zachwiał się, czyjeś dłonie pociągnęły go do tyłu. Spojrzał pod nogi: za zakrętem zionęła w podłodze wielka wyrwa.

– Poświeć, Müller.

Towarzysz Kleina nachylił się wraz z pochodnią. Seipelt także spojrział do dziury.

Ciało. Rozpoznał jednego z ludzi Rabego, tępego Jürgena. Tak go nazywali. Spadł z dużej wysokości, leżał w dole pod tak dziwnym kątem, że było jasne, że złamał sobie kręgosłup. Po jego ciele wspinały się szczury, najwięcej kłębiło się przy głowie, zanurzały pyszczki w ziejącym czerwieniu otworze.

Seipelt domyślił się, co się stało. Ochroniarz musiał zdawać sobie sprawę, że upadek sparaliżował go od pasa w dół. W ciemności pośród szczurów spanikował i palnął sobie w łeb.

Klein i Müller zaczęli powoli opuszczać się do dziury, wachmistrz podążył ich śladem. Gdy lądował z głuchym jękiem dobre dwa metry niżej, wydawało mu się, że dołączy do leżącego u jego stóp ciała. Stanie się takim samym truchłem jak tępy Jürgen.

– Ilu mogło być strażników?

– Jeden, może dwóch...

– W tej chwili mamy przewagę, ale nie mogą się dowiedzieć o naszej obecności – stwierdził Klein. – W ostateczności zaczniemy



chłopaków wołać po imieniu. Jasne?

– Jasne – potwierdził Seipelt ściszym głosem. Przewyciężył słabość. Pałący ból nieco zelżał. Jakby los dawał mu szansę, by mógł załatwić jeszcze jedną, ostatnią sprawę.

Klein popchnął go w plecy, przynaglając, by ruszył w ciemność.

\*

– Haim... słuchaj mnie uważnie. Zostaniesz tu, ja ukryję się za rozwidleniem. Jeśli ktoś się pojawi, zwróć na siebie uwagę, wtedy ja...

Opitz chwilę wcześniej potknął się o bryłę gruzu, teraz trzymał ją w dłoniach. Zastanawiał się, czy rzeczywiście będzie w stanie użyć jej jako broni.

– Jeśli będzie jeden, może nam się udać. Słyszysz mnie? – powtórzył w ciemności do Haima.

– Tak, ale... Jesteś pewny?

Młody Koschella poklepał chłopca po głowie. W tym momencie obaj usłyszeli plusk wody. Ktoś szedł w ich stronę.

– Stój tu. Nigdzie się nie ruszaj.

Młody Koschella wycofał się w głąb korytarza. Skręcił przy rozwidleniu i oparł się plecami o ścianę. Czekał.

\*

– Nie ociągaj się.

Seipelt skinął głową. Znów miał w dłoniach pochodnię.

Przeszli zaledwie kilkanaście kroków, gdy trafili na rozwidlenie. Tutaj przystanęli. Dotąd pewny siebie Klein po raz pierwszy wyraźnie się zawahał.

– Rozdzielimy się – zdecydował nagle. – Wy pójdziecie razem w lewo, ja w prawo.

I nie czekając na ich reakcję, ruszył jedną z odnóg korytarza, zostawiając ich samych.

Seipelt przez chwilę patrzył w osłupieniu na Müllera. Ten machnął niecierpliwie laską i przynaglił do marszu.

Paul skinął głową i podjął wędrówkę.

– Może jednak ich zawołamy? – Seipelt tracił oddech. W ciemnościach pojawiały się rozbłyśki, których nie powinien widzieć.

– Nie, jeszcze nie. Idź...

Wachmistrz skinął głową. Chciał przyspieszyć, ale ledwie się włókł. Tracił czucie w nodze. Spod podtrzymywanego dłonią opatrunku pociekła kolejna strużka krwi.

Gdy zobaczył opartego o ścianę chłopca, był pewny, że to kolejne przywidzenie. Tamten wyglądał niczym upiór. Był brudny i odrapany, jedynie jego oczy świeciły w blasku pochodni. Seipelt się odwrócił. Wspierający się na lasce Müller został nieco z tyłu.

– Mam jednego! – zawołał i zbliżył się do dzieciaka. – Żyjesz, mały? Nic ci nie jest? Gdzie Opitz? Nie zdążył zareagować, gdy skądś wyskoczył cień. Paul poczuł, jak głowa eksploduje mu bólem. Zachwiał się, patrząc na niską postać, która wyrosła obok nie wiedzieć skąd. Znowu dostrzegł w oczach tego chłopca to, co wtedy, gdy wciągnął go do samochodu. Nienawiść. Syn Koschelli obiecał mu coś wtedy, a wachmistrz zdał sobie sprawę, że przyszedł tu jedynie po to, by chłopak mógł tej przysięgi dotrzymać.

Opitz zamachnął się do kolejnego ciosu.

Seipelt odruchowo uniósł dłoń, ale ta opadła bezwładnie. W ciemnościach, które go ogarnęły, nie dostrzegł nic. Żadnej znajomej twarzy i żadnej konkretnej myśli.

\*

– Opitz! To ty? Opuść kamień, jesteśmy przyjaciółmi!

Chłopak stał naprzeciw Müllera na szeroko rozstawionych nogach, zasłaniał swoim ciałem młodszego Haima. W jednej dłoni trzymał spory kawał gruzu, którym przed chwilą powalił Seipelta, w drugiej pochodnię.

– Cofnij się, nie podchodź!

Mimo piskliwego tonu czuć było w młodym Koschelli siłę i determinację. Żagiew w jego dłoni obniżyła się i niemal dotykała powierzchni wody, w której stał zanurzony po kolana.

– Jak podejdziesz, zgaszę ją i uciekniemy. Sam stąd już nie wyjdiesz...

– Spokojnie! Opitz... – Müller uniósł dłonie i cofnął się o krok. Był przerażony. Nie był pewny, co z Seipeltem. W oczach chłopaka dostrzegł coś, co przyprawiło go o ciarki. – Znamy twojego ojca, Franza, szukamy cię od dawna!

– Ale ja cię nie znam. Cofnij się, jeszcze! No dalej!

– Opitz! To ja, Klein...!

Głos, który dotarł do nich z ciemności, sprawił, że Müller odetchnął z ulgą. Kapitan wyłonił się bezszelestnie z mroku i stanął nieopodal.

Oczy młodego Koschelli rozszerzyły się w niedowierzaniu. Dwie bezdenne studnie, którymi przed chwilą były, odzyskały blask. Chłopiec zadrżał, jakby dopiero teraz odzyskał przytomność. Kawał gruzu plusnął w wodę. Młody Koschella rzucił się w stronę kapitana. Müller zdążył przejąć pochodnię, zanim chłopak wpadł w ramiona jego przyjaciela.

– Wiedziałem, że pan wróci. Miałem rację... – powiedział Opitz drżącym głosem.

Klein w odpowiedzi mocno uścisnął chłopaka. Nie przestawał wpatrywać się w martwego Seipelta.

\*

Wyjście z tuneli znaleźli w piwnicach kamienicy przy Niedergasse, w północno-wschodnim narożniku rynku. Musieli wyważyć drzwi komórki, by wydostać się na zewnątrz. Haim się rozkaszał, jakby zachłysnął się świeżym powietrzem.

– Co teraz? – zapytał Müller.

– Idźcie do Koschellów na Böhmische Strasse. Czekają tam na was Barbara i hrabianka von Magnis. Zajmą się chłopcami.

– A ty?

– Ja mam jeszcze coś do załatwienia. – Klein wyczuł na sobie wzrok Opitza, zwrócił się więc do chłopaka: – Wrócę z twoim ojcem. Masz jeszcze jedno zadanie: dostarcz ich bezpiecznie do domu.

Młody Koschella skinął głową, choć wydawało się, że chciałby pójść z Kleinem.

Kapitan uśmiechnął się i po chwili zniknął we mgle, która spowijała kłodzki rynek.

\*

Dyrektor Winter wciąż przeżywał koszmar na jawie. Był pewny, że jest świadkiem beczelnej próby włamania do banku. Patrząc na drżącą podłogę, odnosił wrażenie, że zaraz spod ziemi wydobędzie się na powierzchnię gigantyczny kret. Było jasne, że ktoś zrobił podkop pod podłogą.

Skarbiec był owalnym pomieszczeniem zabezpieczonym grubymi kratami. Widać stąd było skrzynie i szafy depozytowe stojące w równych rzędach na marmurowej podłodze.

Winter z trudem oderwał wzrok od rozgrywającej się sceny i przeniósł go na wachmistrza. Myśl, która rozbłysła w jego głowie, zmroziła go do szpiku kości. A co, jeśli ten policjant od początku współdziałał z szajką? Omamił go, sprawiając, że Winter łątowniarnie wyłączył alarmy?

– Jasna cholera! – wyszeptał, ocierając pot z czoła. Stał się współnikiem bankowych włamywaczy, co prawda nieświadomym, ale kto teraz uwierzy w jego zapewnienia? Rozbroił zabezpieczenia bez zmrużenia oka.

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo usłyszał za sobą czyjeś kroki. Odwrócił się i momentalnie pobladł.

– Klein – wydusił z siebie. – Kapitan Klein?

Mężczyzna ledwie zauważalnie skinął głową. Podszedł do nich. Dyrektor widział, jak wachmistrz wręcza Kleinowi broń, wymienili też kilka słów. Przez twarz Koschelli przemknął jakiś cień.

– Proszę otworzyć kratę, dyrektorze – polecił były policjant. – I niech się pan gdzieś schowa.

Winter podskoczył do zamka. Przekręcił klucz. Bramka otworzyła się niemal bezszelestnie, ale Klein przymknął ją na powrót. Wtedy też bankier szybko się wycofał w stronę schodów i ukrył na półpiętrze. Stąd miał doskonały widok na skarbiec i zarazem blisko do wyjścia, gdyby musiał salwować się ucieczką.

Klein miał znakomite wyczucie czasu. Wkrótce bowiem płyty podłogowe uniosły się, a potem czyjeś ręce wciągnęły je pod ziemię. W otworze pojawiła się ponownie dłoń uzbrojona w pochodnię, a potem cała głowa. Zniknęła, a zamiast niej wynurzyła się torba, w której pobrzękiwał metalicznie sprzęt.

Winter z podziwem i przerażeniem patrzył na sprawność tej ekipy. W kilka sekund na powierzchnię wydostało się trzech mężczyzn. Dyrektor zdławił okrzyk, gdy rozpoznał jednego z nich. Po raz kolejny ujrzał dziś ducha. Bastian Rabe. Znał go bardzo dobrze, rozpoznałby go w każdych okolicznościach.

Rabe podszedł do skrytek i pokazał swoim ludziom, którymi mają się zająć w pierwszej kolejności. W Winterze wzburzyła się krew. Ten człowiek wybierał te skrytki, w których znajdowały się najcenniejsze depozyty.

Do ich otwierania używał łomu. Robił to z dziecinną łatwością, jakby zostały wykonane z papieru. Drugi z włamywaczy przyklęknął przy kasie pancерnej. Przyciągnął w swoją stronę jakieś butle. Najwyraźniej szykował się do rozprucia stali. Winterowi pociemniało w oczach, był pewny, że za chwilę dostanie zawału.

– Już czas. Idź pan na górę i daj sygnał policji.

Dyrektor zatrzęsł się, gdy Klein wyłonił się z ciemności. W odpowiedzi skinął głową, choć nie było już obok nikogo, kto mógłby zobaczyć ten gest. Zmierzając w górę, obejrzał się jeszcze raz

w stronę skarbcza. Dotarł do niego smród spalenizny i rozedrgane błyski.

– Boże, to się nie dzieje naprawdę...

Pobiegł po schodach na piętro, stamtąd do swojego gabinetu. A więc słusznie zaufał przeczuciu. Koschella współpracował z policją. Co jednak robił tutaj Rabe? Ten, którego Koschella uśmiercił w Mariannenbad? Winter poczuł, że nie zapanuje nad mętlikiem w głowie. Co jest prawdą, a co mistyfikacją? Zawahał się, zaraz jednak postanowił, że pozostanie wierny podjętej wcześniej decyzji. Chwycił słuchawkę i wykręcił numer policji. W krótkich słowach zrelacjonował wszystko wachmistrzowi, który odebrał połączenie. Potem wypadł na zewnątrz na Brücktorberg i stanął na rogu rynku.

Dwóch wachmistrzów nadbiegło od strony komendy w ciągu minuty, wkrótce zaczęli dołączać do nich kolejni. Niektórzy jeszcze dopinali mundury.

Winter odetchnął z ulgą, widząc, że działają sprawnie. Ustawili się w dwóch grupkach przy ścianie. Jeden z nich objął dowodzenie. Szykowali się do wejścia do środka.

W tym momencie z wnętrza banku dobiegły odgłosy wystrzałów i krzyki. Przez drzwi wejściowe wybiegło dwóch mężczyzn. Obaj zostali od razu powaleni przez policjantów.

– Rabe, jeszcze Rabe jest w środku! – wrzasnął Winter, nie potrafiąc zapanować nad podnieceniem. Trząsał się jak w febrze. Stał nad włamywaczami, którzy nawet nie próbowali walki. Pragnął, by każdy z nich poczuł na swoim tyłku odcisk jego buta.

– Wchodzimy!

Winter dostrzegł teraz i komisarza Richtera. Ten był nad wyraz spokojny, wydawało się nawet, że nigdzie się nie spieszy. Ludzie pod jego komendą szykowali się do wejścia do banku. Nie trwało to dłużej niż kilka minut, gdy jeden z wachmistrzów zameldował się z powrotem przed gmachem. Wyraźnie podniecony zdał przełożonemu krótki raport.

– Panie dyrektorze – Richter po wysłuchaniu relacji podwładnego zwrócił się do bankiera – idzie pan ze mną!

Winter nawet się nie zawahał. Ruszył za komisarzem i policjantami do Banku Rzeszy.

W nozdrza znów uderzył go smród spalenizny. Salę główną przeczesywało kilku ludzi, wyminęli ich jednak, kierując się na dół, do skarbcza. Winter zmrużył oczy, bo było tu jasno jak w dzień. Dopiero po chwili pośrodku owalnego pomieszczenia dostrzegł rozbite depozyty. Policjanci nachylali się nad wyrwą w podłodze.

– Wchodzimy tam, komisarzu?

– Tak, Schulz! – potwierdził Richter.

Lothar opuścił się na dół jako pierwszy. Za nim ruszyło trzech innych wachmistrzów.

– Miał pan dużo szczęścia, panie Winter.

– Cóż. – Dyrektor poprawił płaszcz i wyprostował się dumnie. – Udaremniłem właśnie napad na Bank Rzeszy... zrobiłem to przy pomocy wachmistrza Franza Koschelli i kapitana Wilhelma Kleina. Myślę, że w tej chwili obaj ścigają Rabego, tego, który...

– Wiem którego – przerwał Richter. – Niech pan się cieszy, że to się właśnie tak skończyło!

Winter przełknął ślinę, nie stracił jednak rezonu. Już wcześniej kierował się przeczuciem i zaufał Koschelli, teraz też był pewny, że wszystko rozstrzygnie się na jego korzyść. Wiedział, jak zainwestować, by zebrać profity. Pamiętał też, że czasem trzeba się owymi dywidendami podzielić.

– Swoją drogą, nieźle to wymyśliliście, panowie – powiedział, starając się, by podziw w jego głosie był wystarczająco czytelny. – Podjęliście spore ryzyko, komisarzu, ale ma pan mój szacunek i dozgonną wdzięczność...

– Tak? – Richter z ciekawością spojrział na bankiera.

– Rozpracowanie Rabego i jego szajki było wzorcowe. Naprawdę niemal wszyscy w mieście uwierzyli, że wachmistrz Koschella

postradał zmysły i zmasakrował Bastiana. Nigdy bym nie przypuszczał, że to część waszego planu...

Richter przeniósł wzrok na otwór w marmurowej podłodze. W ciągu ostatnich kilkunastu minut, po rozmowie z Franzem Koschellą, taka mniej więcej wersja powstała w jego głowie. Gubił się jeszcze na poziomie szczegółów, ale analiza Wintera mocno mu podpasowała.

– Cóż. – Cmoknął głośno z niezadowoleniem. – Muszę pogratulować panu przenikliwości, dyrektorze. Niech to jednak zostanie tajemnicą policyjnej operacji.

– Oczywiście. – Bankier się uśmiechnął. – Będę szczęśliwy, mogąc dziś powiadomić swoich zwierzchników i prasę o niebywałym poświęceniu kłodzkiej policji. To wszystko nie może przejść bez echa.

Richter nie odezwał się już więcej. Wciąż wpatrywał się w otwór w podłodze. Żeby ta wersja sprzedana prasie i jego własnym zwierzchnikom miała sens, pozostała jeszcze jedna kwestia do załatwienia. O nią akurat musieli zadbać Koschella i Klein.

Winter także miał swoje przemyślenia. Uśmiechnął się, patrząc na komisarza. Znał to nieobecne spojrzenie. Tak patrzyli ludzie na wyciągi z konta, na których pojawiała się ponadprzeciętna liczba cyfr.

\*

Dwóch mężczyzn wydostało się z piwnic kamienicy przy Frankensteiner Strasse. Otrzepując z kurzu ubrania, nie zamienili nawet słowa. Ruszyli w stronę rynku.

Przystanęli przed ratuszem. Jeden sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął zawiniątko. Podał je drugiemu.

Chudszy z mężczyzn ustawił się w pobliżu latarni i otworzył zeszyt. Przebiegł wzrokiem wskazany tekst.

– „Muszę powiedzieć o tym ojcu. O romansie Bastiana z tą, która udawała moją przyjaciółkę”. – Szorstki głos Koschelli odbił się echem



od okolicznych bram. – O kogo chodzi? O hrabinę?

Klein potrząsnął głową.

– Sabine nie miała wielu przyjaciół. Tą prawdziwą była tylko Gabriele. Ta druga chciała za taką uchodzić z obowiązku...

– Jeśli to prawda... – Koschella wypuścił z płuc powietrze.

– Kuhnast czeka na was w swoim królestwie. Poślijcie z komisarzem po tę niedoszłą przyjaciółkę Sabine. Będziesz wiedział, co robić.

Obaj popatrzyli na komisarza Richtera, który w towarzystwie policjantów kierował się do ratusza.

Franz zaklął pod nosem i ścisnął w dłoniach pamiętnik. Ruszył w stronę przełożonego.

\*

Niecałe dwa kwadranse później Koschella był już z Richterem na miejscu u doktora Kuhnasta. Nie musieli długo czekać, gdy z hukiem otworzyły się drzwi szpitalnej kostnicy.

– Dlaczego?! Dlaczego nie dacie spokoju Sabine? Czy nie wystarczy wam to, co zrobiliście jej, mojemu mężowi i... mnie? Kto wam pozwolił bezcześcić jej zwłoki?

Franz nawet nie drgnął, zdawał się nie zauważyć gwałtownego wejścia Katherine Hunfeld. Tak jak reszta zgromadzonych wpatrywał się w nią w milczeniu. Komisarz Richter stukał końcówką cygaretki w srebrną papierośnicę. Zapewne bardzo chciało mu się palić, nie śmiał jednak tego zrobić w królestwie doktora Kuhnasta.

– Co to ma znaczyć?

To akurat pytanie odnosiło się zapewne do obecności w kostnicy Koschelli. Na jego widok kobieta nieco straciła impet. Nie zdołała ukryć zaskoczenia obecnością wachmistrza.

– Komisarzu Richter! Żądam wyjaśnień.

Richter skinął głową, ale nie jej, tylko doktorowi Kuhnastowi. Koschella przypomniał sobie podobną scenę sprzed kilku tygodni w kostnicy w Dusznikach-Zdroju. Wiele od tego czasu się zmieniło.

Tym razem nikt nie przejmował się stanem kobiety i jej reakcją na widok ciała.

Prześcieradło zostało ściągnięte. Katherine Hunfeld patrzyła na szczątki leżące na stole sekcyjnym. Widać było, jaka dokonuje się w niej przemiana, gdy uzmysłowiła sobie, czyje zwłoki ma przed sobą.

– Boże, czy wyście zwariowali? Powiadomiono mnie o otwarciu rodzinnego grobowca, o ekshumacji Sabine, a to... Kto wam na to pozwolił?

– Okoliczności, pani Hunfeld. Uzasadnione podejrzenie, że pani mąż, Josef, nie umarł z przyczyn naturalnych.

– Co pan mówi? Przecież to szaleństwo!

– Jednak nie. – Głos patologa był oschły i rzeczowy. – Josef Hunfeld został otruty. Podano mu środek, który spowodował zatrzymanie akcji serca. Przyjął go w dawce, którą nawet dziś, po blisko trzech latach, byłem w stanie odnaleźć w jego... kościach. Chemiczne laboratorium policyjne w Dreźnie w ciągu dwudziestu czterech godzin powinno potwierdzić moje badania...

– To niemożliwe, Josef po prostu upadł podczas kolacji, wszyscy to widzieli. Miał kłopoty z sercem...

W ciszy, która zapanowała w kostnicy, słyhać było jedynie kapanie wody z kranu.

– Czy ktoś mi powie, o co w tym wszystkim chodzi?

– Proszę bardzo. – Koschella usłyszał we własnym głosie znużenie. Zwracając się do Katherine Hunfeld, patrzył jej prosto w oczy. – By wszystko należycie wyjaśnić, musimy się cofnąć do roku tysiąc dziewięćset szesnastego. Właśnie wtedy pewna kobieta wdała się w romans z młodszym od siebie mężczyzną, Bastianem Rabem. Planowali wspólną przyszłość i życie za pieniądze jej zdradzanego męża. Namówiła kochanka, by ten porwał dziewczynę i zażądał od bogatego ojca okupu. Plany kochanków pokrzyżowało jednak pewne wydarzenie. Tuż przed porwaniem przybrana córka owej kobiety odkryła ich romans. To mogło się okazać niebezpieczne dla

spiskowców, jedynym wyjściem z sytuacji wydawało się pozbycie się świadka...

Koschella zawiesił głos, dając Katherine szansę na jakąś reakcję, ale się zawiódł. Wzburzenie na twarzy kobiety zastąpiła chłodna obojętność. Panowała nad sobą.

– Sabine Hunfeld zginęła podczas próby ucieczki. Zapewne nie było to nieszczęśliwy wypadek – ciągnął Koschella. – To okazało się sprzyjającą okolicznością dla kochanki, jej romans nie wyszedł na jaw. Ucieczka z Bastianem była już oczywiście niemożliwa. Plany musiały ulec zmianie...

– Ma pan bujną wyobraźnię, panie wachmistrzu. W więzieniu za mocno dostał pan w głowę?

Franz się uśmiechnął. Oto na pancerzu Katherine pojawiła się pierwsza rysa.

– Josef Hunfeld popadł w rozpacz po zaginięciu córki. Na jej poszukiwania wydał fortunę. Zaniedbał firmę i zapewne żonę. Ta, widząc, jak majątek topnieje w oczach, postanowiła działać. Hunfeld miał problemy z sercem, jednak jak na złość przy życiu trzymała go myśl o odnalezieniu córki. Niewierna żona musiała mu pomóc w zakończeniu cierpień na ziemskim padole.

– Do rzeczy, wachmistrzu, bez teatralnych wtrąceń... – Richter zatrzasnął papierośnicę i schował ją do kieszeni.

– Słusznie, komisarzu. – Koschella skłonił głowę z wymuszoną pokorą. – Romans pomiędzy Bastianem i wtedy już wdową trwał w najlepsze. To Bastian Rabe wspomógł kochankę w działaniach ratujących firmę jej męża. Z całym szacunkiem, ale sama nie byłaby pani w stanie odtworzyć imperium. Wszystko układało się świetnie do czasu odnalezienia zwłok Sabine. Musiała pani dokonać wyboru. Wiedziała pani, że prędzej czy później jej udział w porwaniu zostanie odkryty. Tylko Bastian znał prawdę i tę tajemnicę miał zabrać ze sobą do grobu. Wieść o jego śmierci przyjęła pani z ulgą...

– Proszę skończyć tę farsę. Nie mam zamiaru tego słuchać. – Katherine Hunfeld obróciła się na pięcie, lecz wyjście zagroził jej

policjant, z którym przyjechała do kostnicy.

– Bastian jedynie sfingował swoją śmierć, pani Hunfeld. Sam mu w tym pomogłem. Pani kochanek żyje.

Katherine odwróciła się do Koschelli. Po raz pierwszy można było zauważyć, że straciła pewność siebie.

– Zastanawiałem się, dlaczego nie wykorzystał okazji, by uciec. Wszyscy uwierzyli w jego śmierć, nigdy nie odpowiedziałby za swoje czyny. Wie pani, co go tu trzymało?

Katherine Hunfeld nie odpowiedziała. Uniosła dłoń i zasłoniła nią usta i nos. Zapewne dotarła do niej woń wydzielana przez leżące na stole sekcyjnym zwłoki męża.

– Urażona duma kochanka nie pozwoliła mu na ucieczkę, pani Hunfeld. Zdał sobie sprawę, że zaczęła go pani traktować jako zagrożenie. Umiejętnie wpływała pani na innych, choćby rodziców Thomasa. Wskazywała pani na Rabego, próbując ocalić swoją skórę. Wiedziała pani, że prędzej czy później Bastian znajdzie się na moim celowniku. Pamiętam nasze ostatnie spotkanie, tu, w Kłodzku. Po wyjściu od pani jedyne, czego pragnąłem, to znaleźć i ukarać winnego śmierci Sabine. Chciałem za wszelką cenę wymierzyć sprawiedliwość... Bastian musiał zdawać sobie sprawę, że to przez panią wokół jego szyi zacieśnia się pętla. Zaplanował więc zemstę. Znalazł pocieszenie w ramionach innej, Magdy Ross...

– Dlaczego miałyby mnie obchodzić dziwki Bastiana Rabego?

Katherine doskonale udawała obojętność. Biły od niej chłód i pogarda. Koschella postanowił przypuścić atak z innej strony.

– Rabe chyba doszedł do takiego samego wniosku, dlatego postanowił pozbawić panią tego, co dla pani najcenniejsze.

Koschella zauważył, że jego przemowa wreszcie zaczyna odnosić skutek. Wcześniej nakazał kierowcy, żeby ten, wioząc Hunfeld do szpitala, przejechał przez rynek obok otoczonego kordonem Banku Rzeszy. Ten widok miał się jej wyryć w pamięci.

– Życie przybranej córki, męża, kochanka nic dla pani nie znaczyło. Można panią zranić w jedyne sposoby... I to mu się udało.

Dziś w nocy zrabował cały depozyt, który zgromadziła pani w Banku Rzeszy.

Nozdrza Katherine rozszerzyły się, jakby woń rozkładu przestała ją drażnić. Zacisnęła pięści. Z trudem panowała nad drzeniem ciała.

– Pozostała pani bez bliskich, do których śmierci się przyczyniła, i bez grosza przy duszy.

– Brednie. To wszystko są wasze wymysły. Odpowie pan za bezpodstawne oskarżenia, za obrazę mojego dobrego imienia...

– Bastian Rabe jest w naszych rękach. Będzie zeznawał przeciw pani w sądzie. – Koschella zawiesił głos, pozwalając, by ta informacja odpowiednio wybrzmiała. – Rabe prowadził skrupulatnie rachunki, zajmując się pani firmą. Jest mściwym skurwysynem. Pozostawił nawet faktury za środek, który podała pani mężowi. Jest gadatliwy. Może zależy mu na złagodzeniu wyroku, a może chce po prostu pani dopiec.

– Moje słowo przeciw jego...

Koschella wyciągnął z kieszeni pamiętnik. Podszedł do stołu sekcyjnego, położył go u stóp Josefa Hunfelda.

– Liczy się też słowo pani córki – powiedział. – To, co zapisała w pamiętniku przed porwaniem.

Koschella zauważył w oczach Katherine Hunfeld strach i niedowierzanie. Był pewny, że rozegrał wszystko tak, jak powinien. Widział, że kobieta prowadzi teraz wewnętrzną walkę.

– To Bastian Rabe – wyszeptała.

Jej twardość zniknęła, w oczach pojawiły się łzy. Nie wyglądały na szczere. Franz wiedział, że kobieta przyjęła właśnie nową linię obrony.

– To on wszystko zaplanował, groził mi śmiercią...

## KŁODZKO, 25 MAJA 1921 ROKU

Oskar Müller siedział przy stole naprzeciw żony Koschelli i młodej dziewczyny, którą przedstawiono mu jako hrabinę von Magnis. Pani Barbara, gdy zobaczyła w progu mieszkania Opitza, porwała go w ramiona i nie chciała wypuścić z objęć. Młodszy chłopak podszedł do Gabriele, wydawało się, że się rozpłacze, ale trzymał się dzielnie. Müller słyszał już od Kleina, co stało się z jego matką.

Oskar wciąż popatrywał na Opitza z pewną obawą. Mimowolnie unikał jego wzroku, jakby się bał, że znów zobaczy w jego spojrzeniu coś, czego nie powinno się widzieć w oczach dziecka. Odpychał od siebie tę myśl.

Czekali na kapitana i wachmistrza Koschellę. W małej izbie wciąż wyczuwalne było napięcie, które Müller starał się nieskutecznie rozładować żartami. Dopiero zupa postawiona przed nimi przez gospodynię spowodowała, że nieco się rozluźnili. Müller był głodny jak wilk i poprosił o dokładkę.

Haim zasnął na łóżku nie wiedząc kiedy. Barbara przykryła go troskliwie kołdrą i zaczęła rozmawiać z synem. Ten wciąż pozostawał niespokojny, na pewno przejmował się ojcem. Müller nie był pewny, czy rzeczywiście do chłopaka dotarło, że zabił człowieka. Z drugiej strony Seipelt był ranny, możliwe, że śmiertelnie... Żeby zająć czymś myśli, Oskar postanowił wykorzystać tę chwilę na pogawędkę z hrabianką.

Był pod wrażeniem tej kobiety, nie tyle jej urody, ile siły charakteru. Jej zdecydowanie i wewnętrzna twardość przypominały mu Kleina.

– Związała się pani z Kłodzkiem już na stałe?

Popatrzyła na niego, wydało mu się, że niechęć tym pytaniem poruszył jakąś czułą strunę.

– Nie... – Potrząsnęła głową. – Nie wiem. Do tej pory nie byłam pewna. Powinnam dziś wyjechać na dłużej do Wrocławia, ale

skłaniam się do wyjazdu do Münster. Mają tam szkołę pielęgniarską...

To oświadczenie wcale Müllera nie zdziwiło.

– Zapewne stoi pani przed trudnym wyborem. Nie każdy potrafi się zdecydować na poświęcenie bliźnim. Sądzę, że kobieta o pani statusie mogłaby robić w życiu wszystko. Ale ludzie potrzebują pomocy...

Skinęła głową.

– Haim zostanie z nami. – Barbara usiadła przy stole, przerywając ich rozmowę, co Gabriele przyjęła z ulgą. Opitza także zmorzył sen, leżał na łóżku obok Haima. – Nie oddamy go do sierocińca... Czy pani nam w tym pomoże?

– Proszę przedyskutować to najpierw z mężem, pani Barbaro – powiedziała Gabriele. – To nie może być decyzja chwili...

– Wiem, co powie – przerwała jej twardo Barbara. – Franz wie, co to znaczy być sierotą.

Drzwi izby się otworzyły. Stał w nich Franz. Barbara podniosła się wolno z krzesła, jakby wciąż nie dowierzała swoim oczom. Zadrżała jej dolna warga.

Müller odszukał wzrokiem Kleina, który trzymał się z tyłu, w cieniu korytarza. Widział, jak ten wymienia porozumiewawcze spojrzenie z hrabianką i pozdrawia ją skinieniem głowy. Po chwili przeniósł wzrok na niego.

Oskar właściwie odczytał sygnał – wstał od stołu i ruszył do drzwi. Przed opuszczeniem mieszkania Koschellów obejrzał się jeszcze, by zobaczyć, jak Barbara tonie w uścisku męża. W końcu ruszył za Kleinem po schodach.

– Panie kapitanie?!

Obaj przystanęli między kondygnacjami. Müller taktownie ruszył jednak w dalszą drogę, postanowił poczekać na przyjaciela na ulicy.

Gabriele zeszła na półpiętro i stanęła naprzeciw Wilhelma. Przez chwilę patrzyli na siebie w mdłym świetle korytarzowych żarówek.

Ujęła jego dłoń. Nie sprzeciwił się.

Wydawało się, że któreś z nich odezwało się pierwsze, a drugie dopowiedziało coś równie ważnego. Jednak tak naprawdę żadne nie wypowiedziało nawet słowa. Gabriele nachyliła się w stronę Kleina i dotknęła ustami jego ust. Trwał przez chwilę w tej pozycji. W końcu puściła jego dłoń, uśmiechnęła się i ruszyła z powrotem do mieszkania Koschelli. Wilhelm patrzył za nią, dopóki nie zniknęła za drzwiami.

\*

Niewiele rozmawiali, idąc w kierunku hotelu. Zaczynało świtać. Klein odebrał z pokoju bagaż, przed wyjściem wykonał jeszcze jeden telefon. Müller nie przysłuchiwał się tej rozmowie. Potem pożegnali się ze starym portierem i ruszyli na stację.

Pociąg do Wrocławia czekał już na podróżnych, Klein nie spieszył się jednak z wejściem do wagonu, wydawało się, że na kogoś czeka. Rzeczywiście, Müller dostrzegł, że w ich stronę zmierza zziębnięty policjant z psem. Machał do nich już z daleka.

– Wachmistrz Ernst Puder! – Mężczyzna przedstawił się Müllerowi i zaraz w pośpiechu zwrócił się do Kleina: – Kapitanie, cieszę się, że zdążyłem.

Policjant przekazał smycz w ręce Wilhelma. Flora od razu zrozumiała, co się właśnie stało. Przekrzywiła łeb i uderzyła ogonem o ziemię.

– Będę, cholerka, za nią tęsknił, ale dali mi kilka kolejnych psów pod komendę, a zdaje się, już czas, żeby przeszła na emeryturę. Cieszę się, że będzie u pana. – Puder wyraźnie się wzruszył, poklepując trójkątny łeb suki.

– Dobrze się pan nią zajmował – powiedział Klein.

Konduktor zagwizdał przeciągle, przynaglając podróżnych do wejścia do pociągu. Ucisnęli sobie dłonie. Müller pierwszy wskoczył do wagonu, za nim podążyli Flora i Klein. Lokomotywa wydała ogłuszający gwizd, a para przykryła peron. Flora długo patrzyła za



Puderem, gdy pociąg ruszał. Ten stał z uniesioną wysoko ręką. Uśmiechnął się, gdy usłyszał głośnie szczeknięcie.

Klein zamknął drzwi i zajął miejsce w przedziale. Za oknem przesuwała się panorama miasta. Mgła rozpięzchła się, a wstające słońce sięgnęło szczytu twierdzy, rozjaśniając ją jak świeczkę na torcie.

– Zawsze się zaklinałeś, Wilhelmie, że w końcu to ty zorganizujesz jakąś wycieczkę krajoznawczą. Nie wierzyłem, że do tego dojdzie, a tu popatrz. Będzie mi teraz trudno przebić tę pełną wrażeń wyprawę.

Wilhelm zaśmiał się, nie odpowiedział na tę zaczepkę przyjaciela.

– Byłbym zapomniał: mam coś dla ciebie. – Müller sięgnął do torby przewieszanej przez ramię, wyjął z niej wypchaną kopertę. – Nie wiedziałem, jak długo to będzie trwać ani kiedy wrócisz. Listonosz przyniósł mi do sklepu, zdaje się z Berlina...

Klein z wahaniem przejął przesyłkę, położył sobie na kolanach. Flora obwąchała ją z zainteresowaniem, zaraz jednak położyła się z powrotem na podłodze pomiędzy siedzeniami. Nasłuchiwała odgłosów pociągu, popatrując to na Kleina, to na Müllera.

W końcu kapitan rozdarł kopertę i wyciągnął z niej książkę. Oskar rozpoznał ją. Miał u siebie podobne wydanie sudeckich legend. W milczeniu obserwował, jak Klein otwiera okładkę i zagląda na stronę tytułową. Wydało mu się, że dostrzega tam jakąś dedykację, ale ze swojego miejsca nie był w stanie jej odczytać. Stłamsił w sobie wrodzoną ciekawość. Widział po przyjacielu, że ten nie chce się teraz z nim dzielić żadnymi przemyśleniami.

Klein odłożył książkę na sąsiednie siedzenie i zapatrzył się w okno. W jego nieruchomym spojrzeniu widać było jakiś cień. Müller zastanawiał się, co dostrzega jego przyjaciel. Za szybą przesuwała się górująca nad Kłodzkiem twierdza. Obraz, który miał przed oczami, zapewne sięgał w czeluść tego ludzkiego kretowiska.

Gabriele wyszła od Koschellów podniesiona na duchu. Czuła się lekko, jakby z serca spadł jej kamień. Nie darowałaaby sobie, gdyby coś się stało chłopcom. Podjęła ryzykowną grę, o którą nigdy by siebie nie podejrzewała. Najgorsze było czekanie, pozostawianie wszystkiego w rękach wachmistrza i kapitana. Gabriele nie cierpiała tego uczucia, tej bezsilności podszytej wyrzutami sumienia. Była jednak realistką, wiedziała, że jeśli chce mieć na cokolwiek wpływ, musi zacząć od przejęcia pełnej kontroli nad własnym życiem.

Zatrzymała się na rogu, kilkadziesiąt metrów przed kamienicą należącą do jej rodziny. Przed bramą stał samochód, przy nim czekał dozorca i zapewne kierowca samochodu. Na widok Gabriele mężczyźni wyprostowali się i skłonili głowy.

Von Magnis zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę pojazdu. Odpowiedziała z uśmiechem na pozdrowienia.

– Hrabianko, przysłała mnie po panią hrabina Aurelia...

– Wiem – przerwała mężczyźnie Gabriele. – Niestety wróci pan sam do Wrocławia. Proszę przeprosić ode mnie moją ciotkę. Skontaktuję się z nią i wyjaśnię powód mojej decyzji.

Kierowca się zawahał. Nie był przygotowany na taki obrót spraw.

– Jeśli potrzebuje pani więcej czasu na spakowanie walizek, z przyjemnością na panią poczekam. – Najwyraźniej nie mieściło mu się w głowie, że ktoś może odpowiedzieć odmownie na zaproszenie Aurelii von Magnis.

– Nie będzie to konieczne.

– To znaczy, że panienka zostaje w Kłodzku?

– Tylko na chwilę. – Gabriele posłała mu ujmujący uśmiech. – Do widzenia panom.

Ruszyła w stronę uchylonej bramy kamienicy. Przejęcie kontroli nad własnym życiem. Właśnie wykonała w tym kierunku pierwszy krok. Drugim był ten zapowiedziany obu mężczyznom. Rzeczywiście planowała opuścić Kłodzko. Siostra Greta już jakiś czas temu sugerowała jej, by podjęła naukę w szkole pielęgniarstwa

w Münster. Miała polecić Gabriele znajomym wykładowcom i kobieta uznała, że powinna skorzystać z tej rekomendacji.

Na tę decyzję miały niewątpliwie wpływ jej uczucia. W ostatnich dniach traciła nad nimi kontrolę. To było nowe odkrycie wywołujące zarazem lęk i fascynację. Nie poznawała samej siebie. Jej myśli wypełniał Wilhelm Klein. Chciała być blisko niego, to pragnienie stało się wręcz bolesne. Zdawała sobie jednak sprawę, że los poprowadził ich ścieżki inaczej. Miała w sobie na tyle siły, by z tym nie walczyć. Chociaż nawet teraz odczuwała coś na kształt straty, pustki, którą trudno było wypełnić. Musiała skupić się na nowym wyzwaniu, na czymś, co mogło pomóc jej określić samą siebie. Musiała dać sobie szansę zapomnienia i poznania nowej Gabriele von Magnis.

\*

Gdy Franz Koschella otworzył oczy, przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje. W końcu uspokoił się i podniósł z łóżka. Spojrzał w głąb izby na stół, przy którym siedzieli chłopcy, pałaszując śniadanie. Haim wciąż nie przywykł do nowej sytuacji, gdyby nie obecność Opitza, pewnie nawet nie tknęłoby jedzenia. Koschella patrzył z dumą na syna, który wykazał się godną podziwu dojrzałością i empatią. Barbara jeszcze w nocy szepnęła Franzowi kilka słów o tym chłopaku. Choć nie wiedział, jaka czeka ich przyszłość, skinieniem głowy przystał na jej propozycję. Gdy dołączył do nich przy stole, odczuwał dziwną pewność, że tak właśnie miało być.

Godzinę później wyszedł z mieszkania. Na schodach minął się z robotnikami Berkego, którzy przyszli remontować jego mieszkanie. Franz popatrzył na nich z niedowierzaniem, po czym wyszedł na ulicę i skierował się do ratusza.

Tak jak się spodziewał, zanim dotarł do swojego pokoju, usłyszał oschłe polecenie wydane przez jednego z policyjnych sekretarzy:

– Do komisarza, Koschella, pospiesz się.

Otto Fengler musiał na niego czekać przy schodach ratusza już od otwarcia magistratu. Franz bez pośpiechu podążył za nim. Poranne słońce przenikało przez kolorowe witraże, rzucając na odrapane ściany tęcze ślady. Wkrótce wspięli się bocznym korytarzem do tej części ratusza, którą zajmowała policja.

Koschella zapukał do drzwi Richtera i nie czekając, na zaproszenie wszedł do środka. Miał zamiar zdecydowanie stawić czoła nawałnicy.

Komisarz nawet na niego nie spojrzał, wskazał palcem krzesło przed swoim biurkiem. Wyglądało na to, że spędził tu całą noc. Franz usiadł; mebel zaskrzypiał.

– Bierz kartkę i coś do pisania, Koschella – odezwał się po dłuższej chwili Richter. Siedział bokiem do blatu, z nogą założoną na nogę. Stopa obracała się to w lewo, to w prawo, podrygując w takt jakiejś niesłyszalnej melodii.

Wachmistrz skinął głową. Sięgnął po kartkę i pióro. Tego mógł się spodziewać. Richter był pamiętliwym skurczybykiem.

– Co mam pisać?

– Raport, wachmistrzu. Relację z wczorajszych wydarzeń. Uzupełni też pan raporty, których do dzisiaj nie otrzymałem... Te o inwigilacji grupy przestępczej, rozpracowywaniu Rabego, Armanda i tej całej Katherine Hunfeld. Operacja utrzymywana była w tajemnicy ze względu na delikatność sprawy... Za chwilę wydam specjalne oświadczenie, w którym z żalem stwierdzimy, że komisarz Mott zamieszany był w to gównno. Na szczęście wachmistrz Seipelt, poświęcając własne życie, dorwał tego zdrajcę...

Koschella popatrzył na Richtera, chciał zaoponować. Znał już prawdę o porwaniu Opitza.

– Wyślij kogoś do żony Paula, musi się dowiedzieć o śmierci męża.

Koschella zacisnął szczęki. Gdy znów je rozwarł, zapytał:

– Na kiedy ma być gotowy raport?

Richter obrócił się w fotelu i nachylił się do podwładnego.

– A na co mamy czekać? Na teraz! Piszcie, Koschella. Wczoraj to wy w dyktowaniu mieliście wenę, teraz może ja się wykażę... – Głos Richtera nie stracił jadu. – A przy okazji gratuluję. Od dzisiaj przywracam was na stanowisko szefa Wydziału Kryminalnego. Znajdziecie sobie jeszcze kogoś do pomocy oprócz Schulza...

Franz uśmiechnął się ledwie zauważalnie.

– Mam jednego na oku. Leon Czosek, zdaje się, że pożegnał się właśnie z innym pracodawcą. Będzie się nadawał do tej roboty.

– Jak sobie chcecie, Koschella. Teraz piszcie.

Franz uniósł pióro i zamoczył je w kałamarzu.

– Zaczniemy chyba od wspomnienia o mojej skromnej osobie, co, wachmistrzu? – zaproponował Richter. – W końcu ten cały plan narodził się w mojej głowie?

– Jak pan sobie życzy.

– Mam tylko jedną wątpliwość, którą musimy rozstrzygnąć przed odtrąbieniem sukcesu.

– Tak, komisarzu?

– Gdzie jest Rabe?

– Nie jestem w stanie panu odpowiedzieć. – Koschella strzepnął kroplę atramentu, żeby nie zrobić kleksa. – Chyba już nikt go nie znajdzie.

– Kolejny trup w szafie? – Richter pokręcił głową wyraźnie zdegustowany.

– Raczej w piwnicy...

– To było ryzykowne, Franz: ten twój blef z kostnicy, że Rabe jest w naszych rękach.

– I tak by jej nie wydał. Jedyne depozyty, których nie ruszył, należały do Hunfeld. Trzeba mu przyznać, że był jej wierny do końca. Poza tym Katherine przyznała się do winy, także do otrucia męża, więc ryzyko się opłaciło.

Komisarz zaśmiał się i przygładził wąsy.

– No to piszcie, Koschella. Tylko starannie, żeby można się było rozczytać.

\*

Lothar Schulz długo stał pod bramą kamienicy. Wypalił jednego papierosa, ale zaraz zdecydował się odpalić drugiego. Trzęsły mu się dłonie, wiedział, że w tym stanie nie powinien rozmawiać z Astą. Gdy stanie przed żoną Paula, zabraknie mu języka w gębie. Ta zobaczy roztrzęsioną górę mięsa, żalosego słabeusza zamiast mężczyzny, w którym można znaleźć oparcie. Oparcie nie tylko na teraz, ale i na resztę życia.

– Miałeś swoją szansę, Seipelt... – mruknął do siebie Lothar. Splunął kruszącym się tytoniem na ulicę, potem wystrzelił niedopałek w stronę krawężnika. – Nie zasłużyłeś na Astę.

Mówił to, żeby dodać sobie otuchy, nabrać pewności, przekonać wewnętrzne demony, że nadszedł jego czas. Patrzył jeszcze przez chwilę na gasnący ognik cygaretki. Doznał uczucia, że tak samo gasło życie w oczach jego kolegi. Seipelt nie było już wśród żywych, drań smażył się w piekle u swoich pobratymców.

Wachmistrz drgnął, bo odrzwia bramy za jego plecami zaskrzypiały. Popatrzył na mężczyznę który wystawił głowę w jego stronę. Rozpoznał dozorcę. Machnął mu i bez słowa ruszył w kierunku klatki schodowej.

Zbyt szybko pokonał tych kilka pięter, bo serce w piersi załomotało mu w odruchu sprzeciwu. Odczekał minutę i uniósł bladą dłoń do góry. Zapukał mocno, zdecydowanie, kilka razy.

Wreszcie drzwi się uchylły. Widział zdziwione, pytające spojrzenie Asty. Wbrew obawom nie zapomniał języka w gębie, ale nie musiał wiele mówić. Zupełnie jakby wiedziała. Schulz pozwolił, by oparła głowę na jego ramieniu. Nie uroniła nawet jednej łzy.

## KŁODZKO, DWA DNI PÓŹNIEJ

Ciemność otaczała Bastiana ze wszystkich stron. Wydawała mu się gęstą materią wnikającą do nosa i ust, przeciskającą się przez przełyk. Rozpychała się gdzieś w środku, w jelitach, krążyła we krwi. Chciał ją z siebie wyrzucić, nie miał już jednak czym wymiotować.

Krzyczał, darł pazurami ściany, ale bez odzewu. Krew z poranionych palców i obdartych dłoni i kolan przyciągała te piszczące skurwiele. Kotłowały się, otaczały go, a on nie potrafił przed nimi uciec. Nikt go nie słyszał. Opadał z sił.

W tej dzwoniącej w uszach ciszy słyszał nie tylko popiskiwanie szcurków. Chwilami wydawało mu się, że gdzieś spod ziemi wydobywa się czysty dźwięk. Wstrzymywał oddech, by go znów usłyszeć. Tonacja, barwy zmieniały się, początkowo wydały mu się chaotyczne, ale w końcu odnalazł w nich wzór.

Uciekał przed tym dźwiękiem w senne marzenia. Chociaż w ten sposób był w stanie wyrwać się z ciemności. Przed oczami stawała mu Katherine, przyzywała go do siebie. Zawsze wystarczyło choćby krótkie słowo czy gest, by zrobił dla niej wszystko. Zawładnęła nim, wzięła w posiadanie jego ciało i duszę. Stawał się narzędziem w jej rękach. Zmieniała go i kształtowała. Nie walczył z tym, poddawał się tej sile, która urzekła go w chwili, gdy spotkał ją po raz pierwszy. Już wtedy wiedział, że zrobi wszystko, by do siebie należeli.

Wspomnienie jej zapachu i smaku było wyraźne nawet tu, w wilgotnej jamie, w której zdychał. Wyobrażał sobie, że Katherine sący mu do ucha kolejne słodkie słowa, że obejmuje go udami, zamyka w sobie...

Poruszył się gwałtownie w ciemności. Twarz Katherine uległa przemianie. Patrzył teraz w oczy Magdy Ross. Były nieruchome, zimne i odpychające. Wybrał ją, bo były do siebie fizycznie tak podobne. Wybrał ją, żeby mieć choć namiastkę tego, co Katherine mu odebrała, odsuwając się od niego. To było silniejsze od niego, nie

potrafił przestać... Gdy kochał się z Magdą, chciał jej sprawiać zarówno ból, jak i rozkosz. Gdy ją zabijał i uciekało z niej życie, przez chwilę czuł się wyzwolony. Jakby w ten sposób rozliczył się z Katherine raz na zawsze.

Magda przybliżyła się do jego twarzy. Wraz z niezrozumiałymi słowami sączyła mu w ucho jad. Jej szept zamienił się w zgrzytliwą melodię. Coraz głośniejszą i coraz bardziej natarczywą. Muzyka huczała w głowie, przygniatała, pozbawiając oddechu. Zdał sobie sprawę, że krzyczy, zdzierał gardło, próbując zagłuszyć dźwięki pianina. Tamte wizje rozpląnęły się, miał teraz przed oczyma jedynie ją. Sabine Hunfeld. Widział jej twarz, ten moment, w którym połuźnił uścisk na jej nadgarstku, pozwalając, by upadła ze skarpy.

Czyjeś palce uderzyły w klawisze, wibrujący dźwięk wydobywający się z instrumentu przeniknął do jego rzeczywistości. Nie miały znaczenia ani czas, ani przestrzeń. Sabine była tu znów i wiedział, że towarzyszyć mu będzie aż do końca.

Jego krzyk zamienił się w słaby skowyt. Poruszył się. Ostatni z dźwięków rozpląnął się gdzieś w ciemności. Wydało mu się, że słyszy kapanie wody, potem głośniejszy szmer potoku. Zaczął czołgać się w tę stronę, zrazu powoli, potem coraz szybciej, nie zważając na pieczenie zdartych łokci i kolan. Poczuł na policzkach delikatny powiew powietrza. Niepewnie wciągnął w nozdrza nowy zapach. To pomogło mu wykrzesać siły. Sięgnął przed siebie i zrzucił z kopca kawałek gruzu. Promień światła wwiercił się w jego czaszkę. Palce niecierpliwie sięgnęły w stronę kolejnych odłamków cegieł i kamieni. Miał wrażenie, jakby opuszki placów muskały klawisze niemego pianina. Ta nowa melodia poprowadziła go ku wyjściu z ciemności.



## Podziękowania

To kolejna podróż do Kłodzka. Była dla mnie równie ekscytująca jak poprzednia. Poznawanie tego niesamowitego miasta umożliwiło mi wiele osób. Serdecznie dziękuję kustosz Irenie Klimaszewskiej z Muzeum Ziemi Kłodzkiej, Grzegorzowi Sadowskiemu i Tomaszowi Żabskiemu z portalu [dawneklodzko.pl](http://dawneklodzko.pl), a także pracownikom Powiatowej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Marii Dąbrowskiej w Kłodzku, w szczególności Jolancie Czechowskiej i dyrektor Marcie Zilbert.

Podziękowania należą się także osobom, które wspierają promocyjnie tę serię kryminałów retro. Dziękuję władzom miasta za ciepłe przyjęcie tej powieści. Za miłe rozmowy i pomoc w promocji powieści dziękuję dyrektor Twierdzy Kłodzko, Joannie Stoklasek-Michalak, i rzecznikowi prasowemu burmistrza, Danielowi Jakubowskiemu. Grupie *Kłodzko przed rokiem 1945* dziękuję za rozmowy o mieście.

Mojej żonie Monice, Magdalenie Goik, Joannie Mice i Marcinowi Dymalskiemu – pierwszym czytelnikom *Kraju Pana Boga* – jestem wdzięczny za uwagi i opinie. Wszystkie były dla mnie bardzo ważne. Cieszę się, że zawsze mogę na Was liczyć.

Dziękuję także Wam, drodzy czytelnicy. Wiem, że coraz liczniej odwiedzacie Kłodzko, czytając powieść rozgrywającą się w Glatzu, i podróżujecie śladami bohaterów. Postaram się dostarczyć Wam materiału do tych podróży w kolejnych tomach. Do zobaczenia w Kłodzku!

*Tomasz Duszyński*

## Glatz. Kraj Pana Boga

Copyright © by Tomasz Duszyński 2020

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2020

Redakcja – Joanna Mika

Korekta – Aneta Wieczorek, Paweł Wielopolski

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Za udostępnienie mapy Glatzu dziękujemy Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Wałbrzychu.

Cytat na s. 136 – tłum. Jerzy Łanowski (łac. „Vita brevis hominum variis obnoxia curis.

Mane viret. Languet vespere. Nocte cadit. Quod pia fata volunt. Hominum noinvadat ollen vota.

Sit in votis. Quod pia fata volunt”).

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2020

ISBN EPUB: 978-83-8129-758-5

ISBN MOBI: 978-83-8129-757-8



---

Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Dagmara Kolasa

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka

Promocja: Piotr Stokłosa, Aldona Liszka, Szymon Gagątek, Tomasz Czernich

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga, Karolina Żak

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Łukasz Szreniawa, Marta Tabiś

Administracja i finanse: Klaudia Sater, Monika Płuska, Honorata Nicpoń, Ewa Koza

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędzia

[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)

[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)

[www.labetiga.pl](http://www.labetiga.pl)

# Spis treści

Strona tytułowa

Spis ulic ulic i placów

Hrabstwo kłodzkie, Luty 1916 roku

Duszniki–Zdrój, 4 maja 1921 roku

Kłodzko, 4 maja 1921 roku

Kłodzko, 5 maja 1921 roku

Kłodzko, 18 maja 1921 roku

Gromnik, Powiat strzeliński, 20 maja 1921 roku

Kłodzko, 20 maja 1921 roku

Kłodzko, 21 maja 1921 roku

Kłodzko, 22 maja 1921 roku

Kłodzko, 23 maja 1921 roku

Kłodzko, 24 maja 1921 roku

Kłodzko, 25 maja 1921 roku

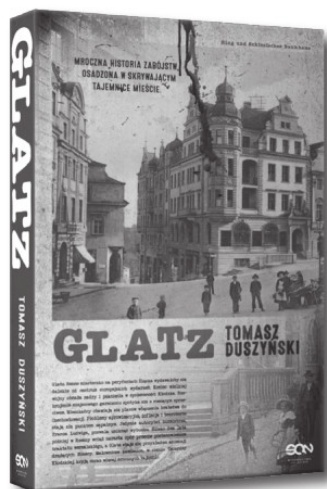
Kłodzko, dwa dni później

Podziękowania

Strona redakcyjna

## PODOBAŁ CI SIĘ KRAJ PANA BOGA? ODKRYJ WCZEŚNIEJSZE LOSY WILHELMA KLEINA

Kłodzko, wiosna 1920 roku. Profesor miejscowego liceum znajduje na moście okaleczone zwłoki. Kilka dni wcześniej na ruchliwej ulicy zostaje zastrzelony wysoki rangą oficer. Czy morderstwa coś łączy? Czy mieszkańcy Glatzu mogą się spodziewać kolejnych ofiar? I dlaczego do rozwiązania obu spraw sprowadzono z Berlina kapitana Wilhelma Kleina, wojskowego śledczego, którego przeszłość wydaje się równie zagadkowa jak popełnione zbrodnie?



## W CIENIU KŁODZKIEJ TWIERDZY SKRYWA SIĘ WIELE PONURYCH TAJEMNIC

Szukaj w dobrych księgarniach



10 LAT RAZEM  
SINE QUA NON

[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)  
[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)

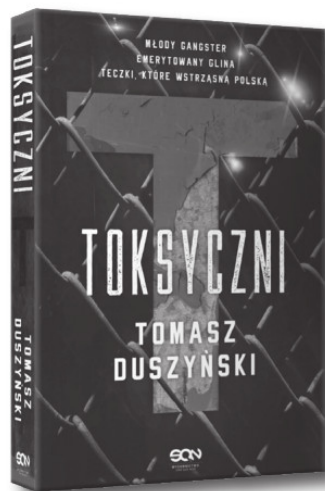
## **POZNAJCIE SEBĘ, LOKALNEGO WROCŁAWSKIEGO GANGSTERA**

Drobne haracze, handel prochami, wyrównywanie rachunków przy pomocy pięści – to jego codzienność. Seba nie miał większych zmartwień, do czasu, gdy szef zabrał go jako ochronę podczas tajemniczej transakcji.

Wtedy wszystko się skomplikowało.

Prokurator Wilczyński tuż przed śmiercią wymusza na zaprzyjaźnionym emerytowanym glinie, Nowickim, zniszczenie pewnych dokumentów.

Sejf jednak okazuje się pusty, a z pobliskiego jeziora policja właśnie wyłowiła samochód. Ze zwłokami w bagażniku.



**W KRĘGU TOKSYCZNYCH NIKT NIE MOŻE CZUĆ SIĘ  
BEZPIECZNIE**

**Szukaj w dobrych księgarniach**



10 LAT RAZEM  
SINE QUA NON

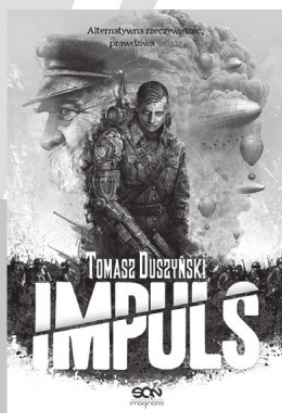
**[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)  
[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)**

## Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.  
W 2020 roku obchodzimy okrągłe  
urodziny, to już 10 lat razem!

Jesteście czytelnikami *sine qua non*,  
warunkiem koniecznym istnienia  
dobrych książek, a Wydawnictwo  
SQN istnieje dzięki ludziom takim  
jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce  
spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



**SQN**

10 LAT RAZEM  
SINE QUA NON